

Elaine Coffman
GDZIEŚ PO DRODZE

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA
KOBIETA

CZĘŚĆ DRUGA
MĘŻCZYZNA

CZĘŚĆ TRZECIA
SPOTKANIE

CZĘŚĆ PIERWSZA

Kobieta

„To, co można dojrzeć gołym okiem, jest najmniej
ważną częścią kobiety.”

OWIDIUSZ

PROLOG

Zamek Dornoch, Szkocja, 1848

Wszystkie kłopoty brały się z tego, że matka nazwała ją na cześć konia.

Myśląc o swojej serdecznej przyjaciółce z Anglii i o tym, jak dobrze się teraz z pewnością bawi podczas sezonu towarzyskiego w Londynie, lady Annabella Stewart przestąpiła z nogi na nogę. Wewnątrz aż kipiała z żalu i wściekłości. Wszystko wydawało się niezwykle radosne i obiecujące tamtego dnia przed kilkoma miesiącami, kiedy to opuściła zamek Saltwood i udała się do Londynu, do należącego do jej rodziny domu. Właśnie skończyła siedemnaście lat, miał to być jej debiutancki sezon i naprawdę uważała się za najszcześniejszą z kobiet.

Och, w jakże innym nastroju była teraz! Powinnaś wiedzieć, Bello, pomyślała. Powinnaś to przewidzieć. Każdy, kto został nazwany na cześć konia...

Krótko przed narodzinami najmłodszej córki księżna Grenville pojawiła się na wyścigach konnych i z zachwytem obserwowała, jak piękna gniada klacz o imieniu Lady Annabella pierwsza mija linię mety.

- Ależ Bello - często powtarzała jej matka. - To była przepiękna klacz. I naprawdę dobiegła do mety pierwsza.

Dopiero kiedy ktoś wcisnął w dłoń Annabelli kieliszek z szampanem, wróciła myślami do rzeczywistości. Skończone. Moje życie będzie wkrótce skończone. To się nie mogło dzieć naprawdę. Popatrzyła na ojca, słysząc pełne paniki bicie swego serca i czując zaciskającą się na szyi duszącą pętlę przeznaczenia. Wzrokiem próbowała wyrazić błaganie. Księżę Grenville zmrużył lekko oczy i odchrząknął. Nie odezwał się jednak ani słowem.

Annabella przymknęła powieki, by nie widzieć ponurej twarzy ojca. On to zrobi, pomyślała. On naprawdę ma zamiar to zrobić. Z zimną krwią doprowadzi do jej zaręczyn z mężczyzną, którego dopiero co poznała, z człowiekiem, który w chwili jej narodzin miał już skończone dwadzieścia lat.

Z odległych kątów sali dosięgnął ją panujący w zamku chłód. Ta uroczystość, gromadząca całą rodzinę i klany, miała przypieczętować i uczcić zaręczyny. Ten dzień powinien być szczęśliwy i radosny.

Tymczasem był to dzień pełen smutku. Matka Annabelli starała się zachowywać pogodny wyraz twarzy, lecz jej oczy błyszcząły nieco zbyt mocno. Na górze wypłakiwała sobie oczy pokojówka Annabelli, Bettina. Jarvisowi, lokajowi księcia, także najwyraźniej wpadło coś do oka. Na zewnątrz siał nieprzyjemny deszcz. Nawet ze świec w kandelabrach nieustannie skapywały krople wosku.

- Za nas i do diabła z Anglikami!

Słowa toastu rozbrzmiały w szumie cichych rozmów niczym nieoczekiwany grzmot, pozostawiając po sobie jedynie dziwną, niezręczną ciszę.

Mogła je wypowiedzieć właściwie każda osoba w tej ogromnej sali zamku Dornoch. W innej sytuacji taki toast wystarczyłby, żeby rozsierdzić każdego gorącokrwistego Anglika, ale teraz Alisdair Stewart, ksiązę Grenville, tylko popatrzył na córkę i jej narzeczonego Johna Gordona, hrabiego Huntly, po czym uniósł kieliszek.

- Oby dane wam było cieszyć się długim i szczęśliwym wspólnym życiem.

Spojrzał na żonę i uśmiechnął się. Księżna także uniosła kieliszek, zerkając przy tym na córkę. Ale Annabella nie odpowiedziała uśmiechem. Nie patrzyła na nikogo. Jej wzrok utkwiony był w gobelinie po drugiej stronie sali. Oddychała nierówno i starała się ukryć wściekłość, jaka niej opuszczała jej w dniu zaręczyn z tym Szkotem.

Modliła się o przyływ odwagi, ale czuła jedynie wstyd - wstydziła się, że jest takim tchórzem, że chce się jej płakać, zamiast stawiać opór, wstydziła się, że jest taką trzęsącą się, żalną istotą. Dlaczego nie przychodziło jej do głowy nic, co powinna powiedzieć w takiej sytuacji każda obdarzona silną wolą kobieta? Dlaczego tylko drżała i bladła, z udręczonym wyrazem twarzy? To bolało - widzieć siebie tak potulną, ugrzecznioną i bladą jak ściana: żalną istotą, poddająca się woli rodziców i mająca mniej odwagi niż śpiące niemowlę. I zero optymizmu.

- Za moją narzeczoną - rzekł Huntly głosem, który na nowo rozbudził w niej przerażenie i złość.

Wiedząc, że musi spojrzeć na przyszłego męża, Annabella odwróciła się do niego i uśmiechnęła blade, by pokryć tym narastającą falę hysterii. Zmarznięta i wystraszona, zamrugała, by powstrzymać łzy, modląc się, aby przynajmniej myślami znaleźć się gdzie indziej. Ze smutkiem przypomniała sobie ponownie Emily, przyjaciółkę z Anglii. Jakże ona musi się teraz dobrze

bawić. Annabella ponownie przestąpiła z nogi na nogę. Jeszcze nigdy nie czuła się taka samotna i nieszczęśliwa. Chciało jej się płakać. Chciała się znaleźć z powrotem w domu.

Dokładnie to powiedziała rano matce.

- Chcę zasnąć w moim własnym łóżku, obudzić się i zjeść prawdziwe angielskie śniadanie. Chcę się napić herbaty u ciotki Ellen. Chcę namalować wozy cyrkowe podczas jarmarku w Peasholme Green. Jeśli o mnie chodzi, to mogłabym już nigdy w życiu nie przyjechać do Szkocji. Nie lubię galaretki z wodorostów. Nie znoszę węgorki. I wprost nie cierpię *haggis*! Nie wiem, jak komukolwiek może to smakować. Zupełnie nie rozumiem tutejszych ludzi. Zachowują się obraźliwie i onieśmielająco. Dziwnie mówią. Podejrzliwie na mnie patrzą. Nie starają się okazywać choćby odrobiny sympatii. - Otarła skapujące na gorset łzy. - Nie mogę znieść myśli, że wyjdę za męża. Nie chcę przez resztę życia jeść tych wszystkich okropności, i to w dodatku u boku mężczyzny, którego nawet nie lubię. Dlaczego to mnie zawsze przytrafia się coś takiego?

- Och, Bello - westchnęła matka, biorąc ją w ramiona. - Zrobiłabym wszystko, żebyś tylko była szczęśliwa. Czuję się taka bezradna. Jedyne, co mogę zrobić, to posłać po sole trzeźwiące.

Stały tak obie i płakały.

- Już nigdy nie będę szczęśliwa - oznajmiła na koniec Annabella.

Nawet teraz, kilka godzin później, w tym tłumie czuła dokładnie to samo. Nigdy nie będzie szczęśliwa. Nigdy, nigdy, nigdy.

Stojący w pobliżu wuj Annabelli, Colin McCulloch, przyglądał się jej w zamyśleniu. Była blada i prosta jak świeca, a w jej oczach błyszczało tyle niewypłakanych łez, że przysłaniały ich prawdziwy kolor. W przeciwieństwie do Annabelli i jej matki, nie wyglądał na przygnębionego, ale nie był chyba zbyt zadowolony z zaistniałej sytuacji. Jakby czując, że siostrzenicy przydałoby się trochę wsparcia i rozweselenia, uniósł kieliszek, by wznieść kolejny toast.

- Oby stary Douglas Macleod pożyczyl wam swoją Bajeczną Flagę na wasze małżeńskie łożo - rzucił, patrząc na Annabelle. I wtedy zrobił coś dziwnego: mrugnął do niej.

Już samo mrugnięcie wystarczyłoby, by na policzkach dziewczyny wykwitły rumieńce. Ale na wspomnienie o małżeńskim łożu spurpurowiała. Popatrzyła na wuja Colina, zastanawiając się, co chciał przez to powiedzieć. Colin był hrabią Dornoch, najstarszym bratem jej matki i jednocześnie głową klanu McCullochów. Hałaśliwy i rudowłosy jak cała reszta rodziny - praw-

¹ Szkocka potrawa narodowa z podróbek baranich.

dziwy Szkot, począwszy od czerwonego pompona na berecie aż do wzoru na skarpetach.

- Oczywiście, że pożyczę im moją Bajeczną Flagę, ale sądząc po minie tej panienki, narzeczony zbytnio nie przypadł jej do gustu - oświadczył Douglas.

- No tak - zgodził się Colin. Patrzył łagodnie na siostrzenicę. - Wolałaby pewnie, by ta flaga pomogła sprowadzić śledzie do jeziora zamiast potomka do jej brzucha.

Podczas gdy w sali rozbrzmiewał głośny śmiech, księżna wpatrywała się w córkę, zastanawiając się, jak pomóc swojej wprawionej w zakłopotanie najmłodszej pociesze. Pochyliła się i wyszeptała:

- Bajeczna Flaga jest największym skarbem Macleoda i pochodzi zapewne z czasów wypraw krzyżowych. Ma podobno trzy właściwości: zabierana na wojnę, przynosi zwycięstwo; kładziona na łożu małżeńskim, zapewnia płodność, no i sprowadza śledzie do jeziora.

Annabella poczuła na talii rękę matki. Pragnęła oprzeć głowę na jej ramieniu, jak to często robiła w dzieciństwie, tak jakby ten prosty gest mógł w jakiś sposób stać się potężnym kijem, włożonym między szprychy kół, które były zdecydowanie za długi w ruchu. Starając się nieco uspokoić, popatrzyła na matkę.

- Wuj ma rację - wyszeptała w odpowiedzi. - To oczywiście, że wolałabym śledzie w jeziorze.

- Kto wie - odparła księżna, poklepując ją po ramieniu. - Może los obdarzy cię i jednym i drugim.

Jej dotyk był pocieszający, ale głos za bardzo drżał, by mógł dodać otuchy. I nie bez powodu. Księżnę także przepełniały mieszane uczucia. Sercem była z Annabellą, gdyż wiedziała, jaki córka odczuwa smutek. Miała także żal do męża za jego brak zrozumienia i obojętność dla tego, jak to jest być młodym i wrażliwym. Starła się wytłumaczyć to wczoraj Annabelli.

- Twój ojciec jest po prostu tak niewzruszenie praktyczny, że nawet abstynenta potrafiłby upić, gdyby zaszła potrzeba - powiedziała.

Wyznałaby jeszcze, że sama w tej chwili ma ochotę na szklaneczkę ginu, ale właśnie w pokoju pojawił się książę, co zawsze doskonale ucinąło każdą rozmowę.

Ponownie rozlano szampana. Księżna uściśnęła dłoń córki, ofiarując pocieszenie w jedyny możliwy sposób.

- Szkoci wcale nie są tacy źli. Ich styl życia na początku może wydawać się nieco dziwny, ale wkrótce go pokochasz.

Annabella wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Pokocham? Nie rozumiem, jak można go choćby lubić. W życiu nie spotkałam tak złośliwych, niewychowanych ludzi. Ojciec był bardzo łaskawy, mówiąc, że Szkoci są „na wół oswojeni”. Są największymi dzikusami, jakich kiedykolwiek poznałam.

Księżna uśmiechnęła się i nachyliła do ucha córki:

- To dlatego, że wychowywałaś w otoczeniu mojej rodziny - wyszeptała.
- Nie wszyscy szkoccy górale są tacy nieposkromieni. Weźmy, na przykład, twojego narzeczonego. Zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen, mógłby się pod tym względem równać z każdym Anglikiem. - Widząc, że córka się krzywi, dodała: - Nie zapominaj, iż więcej niż połowa twojej krwi jest równie dzika jak góry, w których przyszliśmy na świat Colin i ja. A teraz uśmiechnij się, Bello, i staraj się wyglądać pogodnie.

Dziewczyna nie miała ochoty się uśmiechać. Pogodnie wyglądają ludzie szczęśliwi, a dzisiejszy dzień był dla niej wyjątkowo nieprzyjemny. Nie chciała przebywać w Szkocji ani brać udziału w świętowaniu swych zaręczyn. No, a poza tym nie chciała się z nikim zaręczać. Nie chciała za męża nikogo z niekończącej się parady mężczyzn, nad którymi zastanawiał się w Londynie ojciec, a już na pewno nie lorda Huntly'ego, człowieka, na którego się ostatecznie zdecydował. To naturalne, że odczuwała niechęć do samego faktu zaręczyn ze Szkotem. Która prawdziwa Angielka by nie odczuwała? „Za nas i do diabła z Anglikami!” Bardzo śmieszne.

Zerknęła kątem oka na człowieka, który za rok miał zostać jej mężem. Jak własny ojciec, którego zawsze uwielbiała i szanowała, mógł zrobić jej coś takiego? Pięć starszych siostr Annabelli stanęło przed ołtarzem z dystyngowanymi, dobrze wychowanymi mężczyznami, rzecz jasna Anglikami, mieszkającymi w Londynie, hrabstwie Kent, a najdalej w Yorku. Doskonale pamiętała reakcję siostr, gdy się dowiedziały, że ojciec obiecał najmłodszą córkę Szkotowi.

- Szkotowi? - nie chciała wierzyć Judith. - On chyba postradał zmysły.

- Jak ojciec może być takim głupcem? - zapytała Jane.

Sara wstała i oświadczyła:

- O rękę Annabelli błagał każdy angielski książę stanu wolnego. Dlaczego ojciec nie oddał jej któremuś z nich?

- I czemu wysłała ją do Szkocji, tak jakby nie mógł znaleźć dla niej porządnego męża tutaj, w Anglii? - zastanawiała się Margaret. - I dlaczego Szkot chce się ożenić z Angielką? Przecież oni nas nie lubią.

Elizabeth odpowiedziała, przybierając swój najbardziej pretensjonalny szkocki akcent:

- Ponieważ nawet głuchy słyszy brzęk monet.

W każdej innej sytuacji wszystkie by się serdecznie roześmiały. Ale tym razem było inaczej.

- Jestem pewna, że ojciec ma swoje powody i to najwyraźniej poważne. Tyle że mężczyźni w tak dziwny sposób patrzą na życie - rzekła Jane, obejmując najmłodszą siostrę. - Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że zrobił coś takiego własnemu dziecku.

Annabella także nie mogła. Nigdy wcześniej nie powstało w jej głowie, że ojciec wyda ją za kogoś spoza jej kraju rodzinnego, spoza Anglii.

- Ależ Bello, Szkoci są Anglikami - oświadczył książę w odpowiedzi na jej protest.

Płynąca w żyłach jego żony szkocka krew zaczęła na te słowa szybciej krażyć.

- Nie, Alisdairze - rzekła spokojnie księżna. - Szkoci nie są Anglikami. I nigdy nimi nie będą.

- Co masz na myśli? Od ponad stu lat Szkocja jest częścią Anglii.

- Jest częścią Wielkiej Brytanii, a to jej mieszkańców nie czyni od razu Anglikami. - Książę otworzył usta, by dodać coś w obronie swoich przekonań, ale żona nie dała mu dojść do słowa. - Nie masz racji i doskonale o tym wiesz, Alisdairze. A poza tym jesteś w mniejszości. Jeden mężczyzna przeciwko siedmiu kobietom...

- Jakoś udaje mi się przetrwać, Anne - odparował.

- Czasami.

- Szkoci czy Anglicy, i tak stanowimy jedność - nie dawał za wygraną. - Tak samo jest w przypadku rodzin.

- Być może. Ale nie zapominaj, że cały klan jest silniejszy niż sama jego głowa.

- A ty nie zapominaj, że w moich żyłach też płynie nieco szkockiej krwi.

Jego żona prychnęła, po czym dodała:

- Twoja szkocka krew jest zbyt rozcieńczona angielską herbatą, byś mógł z niej czerpać jakiegokolwiek korzyści.

- Krew ojca nie jest rozcieńczona, jest po prostu zimna - wtrąciła Sara, wpatrując się w księcia.

Żałując, że nie ma w sobie tyle śmiałości, by coś takiego powiedzieć, Annabella zebrała się w sobie i zapytała, starając się usilnie, by nie zabrzmiało to jak błaganie:

- Dlaczego muszę wyjść za Szkota, podczas gdy nie zrobiła tego żadna z moich sióstr?

Książę rzucił żonie pytające spojrzenie.

- Czy powinniśmy jej powiedzieć?

- O czym? - zapytała Annabella. Skierowała wzrok na matkę. - Czy jestem w ten sposób sprzedawana za najlepszą cenę niczym medalowa maciora na targu?

- Nie, moja droga, nie jesteś sprzedawana - odparła Anne. - I nie stosuj, proszę, do siebie tak pospolitych określeń.

- Czy ojciec przegrał w karty cały majątek? - spytała Bella. - Jesteśmy zrujnowani? Czy o to właśnie chodzi?

Książę jęknął.

- Ostatnio niezwykle rzadko gram w karty. A jeżeli już, to nigdy na pieniądze. Co jednak ważniejsze, nie jestem człowiekiem, który sprzedałby własną córkę za trzydzieści srebrników.

- Ale za trzydzieści jeden może i tak - rzuciła Elizabeth.

Po raz pierwszy wszyscy się roześmiali. To znaczy wszyscy oprócz Annabelli.

Nie pozwalając sobie na odejście od tematu, zadała matce kolejne pytanie:

- Dlaczego ty i papa jesteście tacy tajemniczy?

Anne westchnęła i spojrzała na męża, który wyglądał tak, jakby wolał być w tej chwili gdziekolwiek, byle nie w bibliotece razem z rodziną.

- Chyba jesteśmy jej to winni - uznał wreszcie.

- Winni co? - prawie wykrzyknęła Annabella. Wiedziała, że za chwilę może stracić cały rozpęd, więc pośpiesznie dodała: - Macie zamiar mi wreszcie zdradzić, o co chodzi, czy też zdręczycie mnie na śmierć?

- Chcesz jej to sama powiedzieć? - spytał książę żony.

Anne popatrzyła na najmłodszą córkę i potrząsnęła głową.

- Nie, mój drogi - odrzekła potulnie, niczym najbardziej posłuszna z żon. - Ty to zrób.

Doprowadzona do ostateczności Annabella, wyobrażając sobie najgorsze, uniosła ręce i wykrzyknęła:

- Jeszcze nie słyszałam, by ktoś zachowywał się tak idiotycznie!

Jej matka odwróciła się zmieszana, by poprawić kilka stojących na najbliższej półce książek, a jej policzki oblał rumieniec. Nie patrzyła na nią, dopóki książę nie odkaslnął i nie rzekł:

- To trochę skomplikowane.

Annabella opadła na stojące tuż obok krzesło.

- Coś mi mówi, że lepiej będzie, jeśli usiądę.

- Ja chyba też tak zrobię - powiedziała jej matka zupełnie dla niej nietypowym cichym, przepraszającym głosem.

Annabelle tak zaskoczyła potulność matki, że na chwilę zapomniała o nadchodzącej katastrofie. Prawie się uśmiechnęła.

Książę skorzystał z tej nieoczekiwanej ciszy i czmychnął w stronę barku. Wyjął z niego wytworną pozłacaną karafkę z napisem BURGUND, zdjął szklaną zatyczkę i nalał sobie pół kieliszka. Zerknął na żonę i pośpiesznie napełnił kieliszek aż po brzeg. Dopiero po opróżnieniu tego i jeszcze połowy następnego odezwał się:

- Kiedy zakochałem się w twojej matce i zapragnąłem ją poślubić, jej ojciec nie miał ochoty oddać jedynej córki Anglikowi. Nie zważał na to, że ja także mam szkockich przodków.

- Musiał się jednak w końcu przełamać - stwierdziła rozsądnie Annabella. Po chwili na jej twarzy pojawiło się przerażenie i zerwała się z krzesła. - Tylko nie mów, że nie jesteście małżeństwem.

Książę roześmiał się i spojrzął z czułością na najmłodszą pociechę.

- Oczywiście, że wzięliśmy ślub.

Annabella z ulgą usiadła z powrotem.

- Stary Donald McCulloch zgodził się na nasz ślub - kontynuował ojciec - ponieważ był z niego szczwany lis i wiedział, że połączenie jego klanu z tak znakomitą angielską rodziną jak moja jest decyzją właściwą. Ale postawił nam jeden warunek: gdybyśmy mieli córkę, miała wyjść za Szkota.

- Macie sześć córek - wtrąciła Annabella.

- To nie wszystko - odparł książę. - Gdybyśmy mieli kilka córek, wtedy za Szkota powinna wyjść najmłodsza.

Zostać wyróżnioną w ten sposób przez własnego dziadka było przeznaczeniem, na które niczym sobie nie zasłużyła. Przeklinała w myślach idiotyczny warunek, który miał zaważyć na całym jej życiu. To niesprawiedliwe, ale nic nie mogła na to poradzić. Pozostało jej przeklinać gruboskórność dziadka. I na pewno nie zapałała w ten sposób miłością do Szkocji.

- Przecież Donald McCulloch już od dawna nie żyje. Kogo więc obchodzi to, czy mój mąż będzie Szkotem? - Niczym mysz schwytana w pułapkę i próbująca się uwolnić. Annabella czuła na przemian gniew i desperację. - Nie boisz się przecież zmarłych, prawda? - W chwili gdy wypowiedziała te słowa, jej oczy rozszerzyły się. Zastanawiała się, czy to gniew czy strach doprowadził ją do szaleństwa, gdyż tylko w takim stanie mogła się tak odezwać do ojca.

Ale nawet jeżeli książę poczuł się obrażony jej śmiałością, nie dał tego po sobie poznać.

- Nie, nie boję się kogoś, kto nie żyje - odrzekł z namysłem, po czym potrząsnął z niedowierzaniem głową. - Choć naprawdę uważam, iż jeśli ktokolwiek miałby mnie straszyć z zaświatów, byłby to stary Donald McCulloch. Był to człowiek zabobonny, wierzył we wszelkiego rodzaju straszyla, czarowników, potwory i duchy wodne zatapiające ludzi. - Zerknął na żonę i widząc, że ta przyjmuje to względnie dobrze, ciągnął: - Urodziłaś się o północy, a twój dziadek wierzył, że przeznaczeniem każdego dziecka urodzonego o tej właśnie godzinie jest być wyjątkowym.

- Wyjątkowym - powtórzyła Annabella. Po chwili, tak jakby nagle stało się to oczywiste, dodała: -I zrobił wszystko, bym naprawdę była wyjątkowa, wymuszając na tobie taką obietnicę. - Nagle przyszło jej coś do głowy. - Nie musisz jej dotrzymać - rzekła z nadzieją. - On już od dawna nie żyje. Nikt już o niej z pewnością nie pamięta.

- Kazał to zapisać w naszym kontrakcie ślubnym, tak by mógł spocząć w pokoju. Jeśli nie wyjdiesz za Szkota, Bello, będziemy winni niedotrzymania warunków kontraktu.

- Czy nie ma sposobu na ominięcie tego warunku? A jeśli nigdy nie wyjdę za mąż?

- Nie masz wyboru - odparł książe, uciekając spojrzeniem.

- A jeżeli się nie zgodzimy? Jeżeli nie dotrzymamy warunku kontraktu, co się wtedy stanie? - spytała go żona.

- Nasze małżeństwo zostanie unieważnione, a wszystkie nasze dzieci staną ogłoszone nieślubnymi.

Annabella zerwała się z krzesła i szeleszcząc bordowym chińskim jedwabiem sukni, podeszła do ozdobnie rzeźbionych drzwi i zatrzymała się.

- Chciałabym, aby dziadek nadal żył - zwróciła się do matki. - Powiedziałabym mu wtedy, co myślę o nim i o jego warunku. - Potem zrobiła coś, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło: zatrzasnęła za sobą drzwi.

Księżna wydała długo wstrzymywane westchnienie.

- Myślisz, że nasza córka się zbuntuje? - spytała męża.

- Nie - odparł książe. - Po prostu zawrzała w niej dzika krew twojej rodziny. Ale nie martw się. Wychowywaliśmy Annabellę silną ręką, wiedząc, co ją czeka. Dobre wychowanie i dyscyplina poprowadzą ją, kiedy zawiedzie zdrowy rozsądek. Dojdzie do siebie.

Jego żona nadal wpatrywała się w drzwi.

- Nie jestem tego taka pewna - powiedziała powoli.

- Moja droga, nasza córka to w każdym calu angielska dama. Nie sprawi nam zawodu.

- Wiem, ale tak bardzo przypomina mi mojego ojca. Często mam uczucie, jakby odrodził się w niej jego niespokojny góralski duch.

- Twój ojciec zmarł, zanim ona skończyła rok. Nigdy nawet nie była w Szkocji.

- To nie ma znaczenia. Mój ojciec zawsze powtarzał, że potrzeba dwóch pokoleń, by stać się prawdziwym Szkotem, i dwóch, by przestać nim być. Annabella należy dopiero do pierwszego pokolenia.

- Nadal twierdzą, że powinniśmy jedynie dać jej nieco czasu. Dojdzie do siebie i spojrzy na wszystko innymi oczami.

W ciągu kolejnych tygodni Annabella absolutnie nie zaakceptowała tego pomysłu ani też nie patrzyła na niego innymi oczami. Pogodziła się z nim jednak, tak jak z wszystkimi wcześniejszymi nakazami rodziców. Może i była w połowie Szkotką, ale - jak słusznie zauważył ojciec - była także prawdziwą angielską damą. Wychowywano ją tak, by bała się Boga, szanowała rodziców i zachowywała się poprawnie, jak przystało na wysoko urodzoną Angielkę. Odpowiednie wychowanie córek było dla księżnej i księcia sprawą najważniejszą i starano się, by wszystkie nauczyły się powściągliwości znamionującej ich wysokie urodzenie. Annabella Catriona Stewart zachowywała się nie tak, jak miała ochotę, ale tak, jak tego od niej oczekiwano. Ani razu nie sprawiła zawodu rodzicom.

Teraz znajdowała się z dala od cywilizowanego życia, które poznała w zamku Saltwood i w londyńskiej siedzibie księcia Grenville. Przybyła do zamku Dornoch, krainy ponurych i niegościnnych krajobrazów i wirujących ciemnych wód, gdzie nawet ryk morza nie był w stanie zagłuszyć nieprzyjemnego dla uszu echa szkockiej mowy. Mimo rozgoryczenia, starała się jednak pamiętać, że jest to dom rodzinny i miejsce narodzin jej matki.

Zerknęła na obrazy w pozłacanych ramach, wiszące w rzędach na wilgotnych kamiennych ścianach. Patrzyła na nią jej własna historia. Wśród tych zimnych szarych ścian mieszkała jej przeszłość. Ale co z przyszłością? Co z nią?

Popatrzyła na zatroskaną twarz matki i poczuła, że drżą jej nogi. Co powiedziała mama? „Uśmiechnij się, Bello, i staraj się wyglądać pogodnie”. Pogodny wygląd był w tej sytuacji zupełnie niemożliwy, ale wiedząc, jak ważne jest to dla matki, z całych sił spróbowała przywołać uśmiech na twarz. Nie było to proste. Nigdy nie czuła się tak bezsilna i rozpaczona. Nie dano jej czasu na oswojenie się z tym okropnym pomysłem, że ma wyjść za człowieka wybranego przez ojca - prawie w jego wieku - i do tego Szkota.

Nie mieszkać już w Anglii? Oczy zapiekły od powstrzymywanych łez, gdy po raz kolejny zerknęła na narzeczonego. Cóż za parodia. Cóż za afront. Nigdy nie będzie gotowa na poślubienie Johna Gordona, hrabiego Huntly.

Wiedziała to od wczoraj, kiedy ujrzała go po raz pierwszy. Być może to różnica wieku sprawiła, że myślała o nim raczej jak o ojcu, niż o kochanku, ale po tym, jak Colin McCulloch przedstawił ich sobie, Annabella tylko się w niego wpatrywała oczami rozszerzonymi ze strachu i niedowierzania. W panującym półmroku Huntly dotknął jej podbródka i odwrócił twarz dziewczyny w stronę światła.

Przez chwilę patrzył w jej bladozielone oczy, widząc w nich jedynie pozbawioną nadziei rezygnację. Puścił ją. W sercu Annabelli zamieszkała zimna niechęć.

- A więc jesteś siostrzenicą Colina McCullocha - rzekł, zerkając na jej wuja, tak jakby chciał dojrzeć jakieś podobieństwo.

- Tak - odparła beznamiętnie.

- Nikt się nie pofatygował, by mi powiedzieć, że jesteś ląką urodziwą panienką.

A mnie nikt się nie pofatygował powiedzieć, że jesteś laki stary, pomyślała z desperacją.

Po rozpaczliwie długiej kolacji wreszcie mogli się rozejść. Annabella podała Huntly'emu dłoń i poczuła dreszcz, gdy zimne usta dotknęły jej skóry. Wtedy właśnie zrozumiała, że ten mężczyzna nigdy nie będzie w stanie „rozpalić w niej ognia i rozbudzić drzemiące pokłady namiętności”, jak mówił do żony ojciec, a Annabelli udało się podsłuchać. Nie wydawało się możliwe, by hrabia Huntly był w stanie rozpalić choćby niewielki płomyk.

Z największym wysiłkiem zmusiła się, by wziąć udział w kolejnym toaście. Szampan przynajmniej stępił jej zmysły i pomacał powstrzymać się od płaczu. Wysłuchiwała następnych komentarzy na temat małżeńskiego szczęścia. Bolała ją głowa i dziwnie się czuła, tak jakby obserwowała to miejsce gdzieś z oddali. To był na pewno jedynie koszmar senny, z którego wkrótce się obudzi. Starając się odsunąć od siebie rzeczywistość, zaniknęła oczy i zaczęła snuć marzenia, chociaż wiedziała, że to na nie. Wszystko stracone. Jej przyszłość została przypieczętowana. Zeszłej nocy po raz pierwszy spała w zamku Dornoch. Zapadła w głęboki niespokojny sen i słyszała głosy, które przypominały jej opowiedziane przy kolacji historie o tym, jak to McCullochowie od zawsze byli znani z odwagi i jak ignorowali to, co myślał inni, i ryzykowali życie i wieczne potępienie w obionie tego, w co wierzyli.

Otworzyła oczy. Nie znajdowała się w zamku Dornoch ani nawet w Sal-wood, ale w jakimś obcym miejscu, gdzie snuła się gęsta mgła i słychać było ryk morza. Stała przed ołtarzem u boku narzeczonego, kiedy nagle pomieszczenie zaczęła wypełniać dziwna ciemna mgła, a w powietrzu rozległy się dźwięki kobzy. I wtedy zobaczyła wysokiego i wyprostowanego niczym szkocka sosna mężczyznę. Miał włosy czarne jak noc, a oczy niebieskie niczym najczystsze jezioro. Jego silne ciało otulały całe metry kiltu i parująca mgła.

Nagle znalazł się między nimi i wyrwał jej dłoń z rąk pana młodego. Rozległy się krzyki.' Tuż przy szyi intruza pojawiły się dziesiątki szabli. Mimo to w powietrzu zagrzmiał jego śmiech. Zrzucił kilt na Annabellę, a ta poczu- -a, jak ją unosi i oddalają się gdzieś razem. Walczyła z zakrywającym jej twarz materiałem, starając się dojrzeć twarz porywacza i zapytać o jego imię.

Wtedy się obudziła.

Wspomnienie tamtego snu wytrąciło ją z równowagi. Zachowanie spokoju było trudne, ale Annabella przywołała w myślach wszystko to, czego ją uczono, kim jest i czego się od niej oczekuje. Przecież już dawno przestała być dzieckiem, które wierzy w bajki. Lord Huntly - oto jej rzeczywistość i przeznaczenie. Nic nie mogła na to poradzić, z wyjątkiem może zejścia z tego świata, a na to nie była jeszcze gotowa. Jej ciemne brwi ściągnęły się w prawie prostą kreskę. Kiedy Huntly odwrócił się, by porozmawiać z jej matką, Annabella uważnie mu się przyjrzała. Mogła trafić gorzej. Jej narzeczoney był w miarę przystojny -jak na starszego mężczyznę -choć nic w jego wyglądzie ani zachowaniu nie wzbudzało jej cieplejszych uczuć. Przynajmniej nie był gruby ani brzydki albo niepiśmienny i nieokrzesany. Z jasnymi włosami i bladoniebieskimi oczami przypominał wyglądem angielskiego dżentelmena. Również jego ubiór i manieri nie budziły zastrzeżeń. Wszystko związane z nim było poprawne i nudne. Annabella nie mogła się otrząsnąć z wrażenia, że jej życie z tym człowiekiem będzie tak samo jałowe jak tutejsze smagane wiatrem wrzosowiska. Jej zdaniem lord Huntly był bezbarwny niczym angielski pudding.

Gordon, tak jakby czuł, że jest obserwowany, odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął przelotnie. Ale ona znała się na tego typu grymasach. W końcu sama spędziła przed lustrem wiele godzin pod opieką guwernantki i ćwiczyła uśmiechy, trzepotanie rzęsami i otwieranie wachlarza jednym ruchem ręki. Kobiety z angielskiej socjety bez szemrania zamieniłyby sezon w Londynie na takiego mężczyznę. Ta myśl nieco ją zirytowała i natychmiast znalazła uchybienia nie tylko w wyglądzie narzeczonego, ale także w jego zachowaniu. Cóż za ironia, pomyślała, że miejscu pełnym dzikich, nieokrzesanych

ludzi jego dystygowany wygląd, dobre maniery i ta cała angielskość tak mnie irytują.

A może chodziło jedynie o to, że została zmuszona, by za niego wyjść, i dlatego wydawał jej się taki wstrętny.

Zadrzała, jakby poczuła na ciele dotyk lodowatej dłoni. Rozejrzała się po sali: nie działo się tutaj nic niezwykłego, mimo to intensywnie czuła czyjaś obecność. Odsunęła od siebie to nieprzyjemne uczucie i także uśmiechnęła się do Huntly'ego. Mimo że uśmiech Annabelli był słaby i chłodny, jej przyszyły mąż wyglądał na zadowolonego.

Nagle drzwi na korytarz otworzyły się i do sali wdarł się silny wiatr, wirujący, jęczący i zdmuchujący wszystkie świece. Służba szybko zatrzasnęła drzwi i zapanowała niezręczna cisza, gdy jedną po drugiej ponownie zapalano świece. Wiatr przez chwilę hulał w kominie, po czym zamilkł. Słychać było za to ciche pukanie. Tap. Tap. Tap.

- Kruk - przerwał ciszę Colin. - Puka w szybę.
- To zwiastuje śmierć - wyszeptał ktoś za plecami Annabelli.
- Chodźmy, moja pani - rzucił Huntly. - Niech sami tarzają się w swoich idiotycznych przesądach. To z pewnością jedynie smagana wiatrem gałąź ociera się o szybę.

Odrętwiały umysł dziewczyny zareagował w zwolnionym tempie. Zamrugała z konsternacją i popatrzyła na stojącego tuż obok mężczyznę. Hrabia wyciągnął ramię.

- Czy możemy iść? - spytał.

Annabella skinęła głową i położyła trzęsącą się dłoń na jego ramieniu. Poprowadzili resztę na uroczystą kolację. Nie myślała o wspólnym posiłku ani nawet o życiu, które mieli razem spędzić.

Idąc powoli do ogromnej zamkowej jadalni, myślała o tym, jak żałuje, że wszystko nie potoczyło się inaczej. Skoro już była zmuszona do poślubienia Szkota, dlaczego nie mógł to być przynajmniej jeden z tych słynnych góralskich przywódców - głów klanów, o których od dzieciństwa tak wiele słyszała - mężczyzna, który zaryzykowałby majątek i życie w imię marzeń i namiętności tak dzikich jak tutejsze góry, przystojny rebeliant z zamiłowaniem do przygód, który wkroczyłby z impetem w jej życie i podbił serce, mężczyzna równie szalony jak namiętny?

Taki, jaki pojawił się w jej śnie. Taki, który zaryzykowałby wszystko, by sprzeciwić się światu w imię tego, w co wierzy. Taki, który potrafiłby się śmiać w obliczu niebezpieczeństwa.

CZĘŚĆ DRUGA

Mężczyzna

„Przystojny mężczyzna nigdy nie jest biedny”.

PRZYSŁOWIE HISZPAŃSKIE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Teksas, 1848

- Otwieraj, ty draniu!

Ross Mackinnon przerwał pocałunek i popatrzył na twarz leżącej **pod** nim kobiety.

- Wiem, że tam jesteś', Mackinnon. Otwieraj albo wyważę drzwi.

Każdemu słowu towarzyszyło mocne uderzenie, przez co brzmiały jak proroctwo. Ross zamarł.

- O Jezu! To tata -jęknęła kobieta, przywierając do niego. - Przyłapał nas.

- Nie bądź tego taka pewna - rzucił Ross, wyplątując się z jej objęć i odpychając na bok.

Kobieta chwyciła go za ramię.

- Nie możesz uciec! Jeszcze nie! Będę zhańbiona! - W jej głosie brzmiał strach i szaleństwo.

Ross roześmiał się głośno.

- Skarbie, ty zostałam zhańbiona jeszcze przed moim pojawieniem się w tej okolicy. - Pośpiesznie ją pocałował i wyskoczył z łóżka. - Pewnie, że chciałbym wziąć udział w twoim przyjęciu weselnym, ale na pewno nie w charakterze pana młodego.

Jednym ruchem ręki zagarnął z oparcia wiklinowego krzesła rzucono tam ubranie i wcisnął je pod pachę. Chwycił buty i wyrzucił je przez okno, po czym przerzucił przez ramię pas z przytwierdzoną do niego bronią. Właśnie sięgał po kapelusz, kiedy ponownie zagrzmiął męski głos, tym razem poparły mocnym kopniakiem w żałośnie cienkie drzwi najtańszego hotelu w Corsicanie w Teksasie.

- Możesz otworzyć, Mackinnon. Tym razem przyłapałem cię na gorącym uczynku. Mam świadków, którzy widzieli, jak Sally Ann wchodzi tu z tobą.

Sally Ann usiadła pośpiesznie, chwyciła prześcieradło i przycisnęła je do bujnych piersi. Widząc, co zamierza Ross, zsunęła się z łóżka, ciągnąc za sobą prześcieradło.

- Zaczekaj! - zawołała, po czym odwróciła się do drzwi i krzyknęła: - Papo, nie strzelaj!

- Sally Ann, odsuń się od drzwi, kochanie.

Z jękiem porażki oparła się o ścianę, którą pokrywała tandetna tapeta. Gdy trzy strzały wybiły w drzwiach trzy otwory i stłukły szklany wazon po drugiej stronie pokoju, zasłoniła dłońmi uszy. Krzyknęła, jednak nie z przerażenia, ale na szalenie frustrujący widok niezwykle kształtnych męskich pośladków mężczyzny, który właśnie przeciskał się przez okno, by na zawsze zniknąć z jej życia.

Została przechytrzona, wyprowadzona w pole i wystawiona do wiatru. Do diabła! Do diabła! Do diabła!

- Wracaj tutaj! - wrzasnęła, tupiąc ze złością nogą. - Wracaj, słyszysz? Nie możesz mi tego zrobić, Mackinnon!

Ale jedyną odpowiedzią był głośny i irytujący męski śmiech, dochodzący już z zewnątrz. Zacisnęła pięści, odwróciła się do ściany i z wściekłością raz po raz w nią waliła. Tym razem jej ojciec naprawdę wszystko sknocił. Był naprawdę irytującym człowiekiem - zawsze musiał się znaleźć pierwszy przy korycie. Nie mógł poczekać i dać jej nieco czasu? Wezbrała w niej frustracja i jeszcze raz uderzyła pięściami w ścianę.

- Do diabła! Do diabła! I jeszcze raz do diabła!

Człowiek, który ją tak zirytował, kopniakiem otworzył drzwi i rozglądając się, wszedł do pokoju.

- Gdzie on jest?

Sally Ann ponownie tupnęła, po czym jęknęła.

- Uciekł oczywiście. Mówiłam ci, żebyś nie przychodził, dopóki nie zapalę światła. Teraz już nigdy go nie złapiemy. - Zrozpaczona rzuciła się na łóżko i zalała łzami.

Kilka mil za Corsicaną Ross pozwolił wierzchowcowi nieco zwolnić. Tym razem znalazł się niebezpiecznie blisko wpadki. Zastanawiał się, dlaczego to jemu zawsze przytrafia się coś takiego, dlaczego nie może sobie znaleźć przyzwoitej pracy i osiąść w jednym miejscu na dłużej niż tydzień albo dwa, kiedy to jakiejś dziewczynie coś zaczyna kiełkować w głowie. Tak jak Sally Ann. Nie był przecież ze stali. Co miał zrobić mężczyzna, który wracał padnięty z pracy, wczołgiwał się do łóżka i zasypiał po to tylko, by po jakimś

czasie obudzić się z miękką, pieszczotliwą kobiecą dłonią na swoim ciele? Napluć jej w twarz?

W każdym miasteczku była taka Sally Ann i RONS poznał już wszystkie. Miał wrażenie, że zostało mu coraz mniej czasu. I miasteczek. Zastanawiał się, czy nie powinien wrócić do rodzinnego domu nad zatoką Tehuacana i nieco zwolnić. Owszem, lubił kobiety. Nawet bardzo. Ale teraz był już trochę nimi zmęczony. Jego starszy brat, Nick, zawsze powtarzał:

- Ta twoja gładka buźka jeszcze cię wpędzi w poważne kłopoty, braciszku.

I wyglądało na to, że miał rację. Tyle że Ross nic uważał, by powodem tego wszystkiego była gładka buźka. Kiedy tylko przeglądał się w lustrze, od lat widział to samo - absolutnie nic, nad czym kobiety mogłyby pisać z zachwytu. Ale przecież z jakiegoś powodu miały ochotę złapać go na męża.

Choć Ross był równie zmęczony jak jego koń, nic zatrzymywał się. Nie pozwoli, by ten szalony ojciec Sally Ann nasłał na niego szeryfa. Roześmiał się, ale nie na myśl o tym, że jest ścigany przez prawo - do czego powoli się przyzwyczajają. Dotarła do niego ironia sytuacji: ścigano go za kochanie się z kobietą, z którą tego w rzeczywistości nie zrobił. Oczywiście, że tak by się to skończyło, gdyby ojczulek Sally Ann nie przerwał ich schadzki. Ross ponownie się zaśmiał. Czy nie byłoby zabawnie, gdyby złapano go właśnie teraz, kiedy był niewinny?

Przystał się uśmiechać. Mogło się to skończyć drastyczną zmianą jego dotychczasowego stylu życia - i to zmianą na gorszo,

Przed oczami stanął mu obraz Sally Ann, wrzeszczącej jak oparzony kot, by wrócił. Dobrze mu zrobiło przypomnienie sobie, jak zaśmiał się w odpowiedzi, podczas gdy jej tatuś przestrzelał drzwi. Ross zastanawiał się, co w nim takiego siedzi, że z jednych tarapatów pakuje się w następne. Był na doskonałej drodze do tego, by ktoś odstrzelił mu głowę.

Następnego ranka Ross pojechał do Groesbeck, by kupić trochę zapasów przed zaszcyciem się w domu Mackinnonów. Stary Herb Catlin, który pracował na poczcie, biegł właśnie za nim, wołając i wymachując kawałkiem papieru. Ross pomachał mu ręką i poszedł dalej. Niby dlaczego miałby się zachować inaczej? Nigdy nie dostawał listów, więc nawet nie przyszło mu do głowy, że to, co Herb trzyma w dłoni, może być listem dla niego.

- Mackinnon, ogłuchłeś czy co?! Zaczekaj na mnie, słyszysz?

Ross zatrzymał się przed sklepem i odwrócił się. Herb podbiegł do niego czerwony na twarzy i zadyszany.

- Co się tak spieszysz, Mackinnon? Pędzisz tak, jakby ktoś wypłukał twoje gacie w terpentynie.

- Jakie gacie? O co ten cały raban?

Herb musiał kilka razy głęboko odetchnąć, zanim jego oddech uspokoił się na tyle, że był w stanie odpowiedzieć. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł nią twarz.

- Dobrze, że cię zauważyłem. Mam dla ciebie listy. Już jakiś czas na ciebie czekają. - Podał je Rossowi. - Jeden z nich naprawdę długo. Ze Szkocji-

Ten obejrzał kopertę.

- Czytałeś go?

- Skąd - zachnął się mężczyzna. - Tylko to, co na kopercie. Za kogo ty mnie masz?

Ross skinał głową i dotknął róna kapelusza.

- Dzięki, Herb.

- Wróciłeś na dobre?

- Nie. Wpadłem jedynie, by sprawdzić, co się dzieje. Zostanę tu pewnie tydzień albo dwa, a potem znowu ruszę w drogę.

- Tak czy siak, miło cię znowu spotkać. Już dawno nie widziałem żadnego z was, Mackinnonów, odkąd porozjeżdżaliście się po świecie.

- No tak - odparł Ross, gładząc palcem żółtawą kopertę. - Masz rację.

- W takim razie do zobaczenia - rzucił Herb.

Ross machnął kopertami.

- Dzięki za przechowanie listów.

- Nie ma za co.

Wieczorem, po kolacji złożonej z zimnej fasoli i niedogotowanych ziemniaków, Ross wziął do ręki jeden z listów. Nie otwierając go, przyglądał się kopercie, mając w pamięci inny list, który przyszedł ze Szkocji jakiś czas temu. Tamten adresowany był do jego starszego brata, Nicholasa.

Cisnął kopertę na stół i przez kilka minut wpatrywał się w nią. Swoją drogą sporo czasu minęło, odkąd po raz ostatni otrzymał jakąś wiadomość od Nicka, Tawisa czy bliźniaków. Przez chwilę siedział pogrążony w myślach. Jego bracia rozproszyli się po świecie niczym zeszłoroczne liście. Rozejrzał się po kuchni, starając się przypomnieć sobie, jak wyglądała ona kiedyś, kiedy był nieznośnym bachorem, a matka jeszcze żyła. Ale obraz ten zamigotał w ciemności, słaby i nieuchwytny, po czym zniknął równie szybko, jak się pojawił.

Może to i dobrze. Zawsze robiło mu się smutno, kiedy myślał o matce. Wiedział, że gdyby żyła, byłaby rozczarowana, lekkoduchem i pogromcą serc niewieścich. Ludzie mówili, że żadna kobieta nie jest bezpieczna w jego to-

warzystwie. To nie była opinia, z której matka mogłaby być dumna. Jeszcze raz przyjrzał się kopercie. Przebyła daleką drogę z kraju, gdzie narodzili się jego rodzice.

Ojciec, John Mackinnon, był tradycyjnie ignorowanym młodszym synem księcia, więc mimo szlachetnego urodzenia nie dziedziczył ani tytułu, ani majątku. Miał dość zapalczywe usposobienie i podczas jednej z kłótni ze swoim ojcem całkowicie stracił panowanie nad sobą. W wieku osiemnastu lat opuścił Szkocję i pożegłował do Ameryki, zabierając ze sobą jedynie spowiewierany kufer, parę groszy w kieszeni i żadnych widoków na przyszłość. Po jakimś czasie ożenił się z córką człowieka, który przyплыł do Ameryki na tym samym statku. Po dwóch latach spędzonych w Północnej Karolinie wyruszył dalej, zabierając żonę Margaret i syna Andrew do Teksasu. Drugi syn, Nicholas, przyszedł na świat w drodze.

Młodzi małżonkowie osiedlili się w Limestone County, w pobliżu Waco, zwanego Council Springs, leżącego nad brzegiem zatoki Tehuacana. Dobrze im się tam żyło - ziemia była żyzna, a trawa sięgała aż do pasa i była doskonała dla bydła. Do 1836 roku John i Margaret dorobili się sporego kawałka własnej ziemi i siedmiorga dzieci.

Żadne z nich nie miało pojęcia, że wkrótce wszystko drastycznie się zmieni.

W maju 1836 roku Komanczowie najechali na Parker's Fort, zabierając ze sobą pięciu jeńców, w tym jedyną córkę Mackinnonów, sześćioletnią Margery. Rok później, kiedy John i pięciu z sześciu jego synów przebywało z dala od domu, poszukując dziewczynki, Komanczowie uderzyli ponownie, tym razem zabijając Margaret i najstarszego syna, Andrew. Wkrótce potem John Mackinnon został oskalpowany, osierocając pięciu dorastających chłopców.

Po śmierci ojca chłopcy zaczęli sami z wysiłkiem uprawiać ziemię, lecz po kilku latach starań dali za wygraną. Jeden po drugim zaczęli i opuszczają rodzinny dom i Teksas.

Nicholas, najstarszy z braci, odszedł pierwszy. Pojechał na północ, by odnaleźć wuja, właściciela kilku wielkich łodzi w Nantucket. Kiedy oznajmił braciom swój zamiar, kilka lat od niego młodszy Tavis zdecydował, że pojedzie razem z nim. Krótko przed ich odjazdem nadszedł list, w którym proszono Nicholasa o przybycie do posiadłości jego dziadka w Szkocji, ponieważ odziedziczył książęcy tytuł.

Nick roześmiał się i podał list Tavisowi.

- Jesteś tym zainteresowany, braciszku?

Ten nigdy nie był zbyt rozmowny.

- To twój list - odparł więc krótko, wzruszając ramionami. - Jak chcesz, to jedź.

- Bardziej interesuje mnie morze niż jakiś tam tytuł.

- Mnie też - przytaknął Tavis i oddał bratu kartkę.

Nick odpisał na list, odrzucając propozycję i wyjaśniając, że kolejny najstarszy Mackinnon, Tavis, także jej nie przyjmuje. Kilka tygodni później najmłodszy bracia, bliźniacy Alexander i Adrian, wyjechali, by zostać strażnikami Teksasu. Ross, który zawsze czuł się w pewien sposób odrzucony, został sam. I nie bardzo wiedział, co zrobić ze swoim życiem.

Mniej więcej w tym czasie odkrył, że jest w nim coś, co podoba się kobietom. Coś, czego pragną. I właśnie wtedy zaczęły się jego kłopoty.

Nie była to do końca jego wina. Wszyscy mężczyźni z rodziny Mackinnonów zostali hojnie obdarowani przez naturę, ale Ross otrzymał nieco więcej niż pozostali. Był wysoki, miał ciemne włosy i intensywnie niebieskie oczy, a jego ruchy cechował trudny do określenia łobuzerski wdzięk, który sprawiał, że kobiety od razu zwracały na niego uwagę. Po przodkach odziedziczył jednak także siłę i poczucie niezależności. I tak jak ich, Rossa cechowała wytrzymałość, odwaga i determinacja. Jednak pod twardą powłoką kryła się sentymentalna dusza, poczucie lojalności i bezgraniczna miłość do rodziny.

Bez trudu nawiązywał kontakt z ludźmi. Miał poczucie humoru, a kiedy się śmiał, kobiety zastanawiały się, czy to właśnie śmiech Rossa tak je przyciąga, czy też ten jego czarujący uśmiech. Już nieraz brał nogi za pas i wyskakiwał z okna ze spodniami przewieszonymi przez ramię, wyrzuciwszy wcześniej na dwór buty, ale tylko raz musiał uciekać, nie zdążywszy się ubrać. Wystarczyło. Postanowił nie narażać więcej swojej męskości na takie ryzyko.

Niezmiennie popełniał błąd, mając nadzieję, że każde nowe miasto będzie inne, ale nie mijało dużo czasu, gdy jakiś rozgniewany mąż albo pragnący wydać córkę za mąż tatuś zaczynał się nim za bardzo interesować. Do tej pory zawsze udawało mu się zgubić pościg, lecz wpadka była jedynie kwestią czasu. Wiedział o tym doskonale.

Ross czuł, iż dogania go przeznaczenie. Za chwilę przyjemności płacił nieustannym brakiem poczucia bezpieczeństwa. Prędzej czy później nawet najlepszy kowboj spadnie z konia. Jego czas nadchodził. Był o tym przekonany. Pytanie tylko, co się z nim wtedy stanie.

Coś się wymyśli. Zawsze tak było. Westchnął i sięgnął po listy. Pierwsza koperta zawierała ofertę kupna ziemi Mackinnonów. Odrzucił ją na bok i otworzył drugi list. Ten zawierał taką samą propozycję jak ta, którą kiedyś odrzu-

cili Nick i Tavis. Proszono go o przybycie do domu dziadka na wyspie Skye. Miał odziedziczyć tytuł ksiązęcy, który w prostej linii należał się teraz jemu, jako że ojciec nie żył, a dwaj starsi bracia odrzucili spadek.

Pierwszą reakcją Rossa był śmiech. Po chwili odchylił się na kuchennym krześle i skrzyżował długie nogi, kładąc je na siole i nie zawracając sobie głowy tym, że ostrogi rysują gładki drewniany blat. Przeczytał list raz jeszcze, zatrzymując się na chwilę przy zdaniu napisanym na samym dole. „Jeżeli Twoim przeznaczeniem jest Szkocja, wtedy zjawisz się tutaj. Przeznaczenie jest przewodnikiem woli i ciągnie za sobą niechętnych”.

Jeżeli Twoim przeznaczeniem jest Szkocja...

Ross zastanawiał się nad tym przez chwilę. Czy tam właśnie czekało jego przeznaczenie?

Szkocja to takie dziwne dalekie miejsce, obce, a mimo to znajome. Tyle przecież słyszał o niej od rodziców. To zabawne, jak pracuje podświadomość. Nie potrafił przypomnieć sobie zbyt wyraźnie twarzy rodziców, za to pamiętał doskonale ich szkocki akcent, charakterystyczne dla tego języka wyrażenia, słowa, których on i bracia nadal od czasu do czasu używali.

Szkocja. Kraj tak znajomy, a jednocześnie lak obcy.

Im więcej myślał, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że nie ma sensu włączyć się do odległego, nieznanego miejsca. To by! dom rodziców, ale nie jego. Miejsce Rossa było tutaj, w Teksasie. Schował list do koperty i odłożył go na stół. Nie wiedział, gdzie czeka na niego przeznaczenie, ale nie sądził, by było to na drugim końcu świata.

Po chwili ponownie wziął do ręki list. Wstał i właśnie podchodził do kominka, by go tam wrzucić, kiedy do jego uszu dobiegi odgłos końskich kopyt. Po jakimś czasie usłyszał męski głos.

Na kilka sekund zrobiło się cicho. Po chwili ponownie rozległ się głos:

- Mackinnon, tu Hank Evans! Lepiej do nas wyjdź. Jest z mną pastor i szeryf i spodziewam się, że naprawisz krzywdę, jaką wyrządziłeś mojej Sally Ann. Wyjdiesz teraz grzecznie i spokojnie, a nie będziesz miał żadnych kłopotów.

- Cholera! - zaklął Ross.

Nie miał najmniejszej ochoty na małżeństwo, a nawet jeśli chciałby się zenić, to nie z kobietą, wybraną dla niego przez jakiegoś rozjuszonego tatuśka. Nie przespał się z Sally Ann, ale wiedział, że nawet gdyby to zrobił, nie byłby jej pierwszym mężczyzną.

- Mackinnon, masz pięć sekund na podjęcie decyzji, a potem sami po ciebie wejdziemy.

Wpychając list do kieszeni i nie zwracając sobie głowy pakowaniem innych rzeczy, Ross wyskoczył przez tylne okno i cicho przemknął do stajni. Po chwili jej drzwi otworzyły się z hałasem i Ross wyjechał na wierzchowcu. Końskie kopyta mknęły po miękkiej ziemi tak, jakby były podkute ogniem. Ross słyszał za sobą krzyki i odgłosy pościgu, ale wiedział, że teraz go nie dogonią. Był na ziemiach Mackinnonów, które znał niczym własną kieszeń.

Nad głową widział zawieszony na atramentowym niebie księżyc w pełni, a jego łagodne światło połyskiwało w poruszanej wiatrem trawie. Gdzieś z tyłu dobiegały krzyki i tętent kopyt. Przezornie się pochylił, a tuż nad jego głową przeleciała ze świstem kula. Ze śmiechem skierował konia w stronę wąwozu.

Był urodziwym ryzykantem ze skłonnością do przygód, równie namiętnym jak lekkomyślnym, człowiekiem, który zaryzykowałby życie i sprzeciwił się całemu światu w obronie własnych przekonań i kobiety, którą kocha. Mężczyzną, który potrafiłby się śmiać w obliczu niebezpieczeństwa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nowy Orlean zdawał się parować niczym ryżowy pudding i był bardziej gorący niż wyjęte z pieca ciasto. Ross był w tym mieście zaledwie od godziny i już czuł się wyciśnięty jak wymię starej krowy. Wydawało się, że nic nie jest w stanie zakłócić spokoju, który panuje w czasie takiego upału - nic oprócz kreolskich przekleństw, co jakiś czas dobiegających do jego uszu. Popatrzył na swoją koszulę; była mokra od potu i przyklejała się do skóry. Widywał już bardziej suche ryby.

Szedł wąskimi ulicami o dziwacznych nazwach, mijając charakterystyczne dla tego miasta domy. Zastanawiał się właśnie, czy nowoorleańczycy mają coś przeciwko podwórzom, kiedy przez otwarte drzwi dojrzał ogród pełen wybujałej roślinności, ze sporą fontanną pośrodku. Coś takiego na pewno podobało się kobietom, lecz Ross potrzebował nieco więcej przestrzeni. Zwarłoby w takim domu. Nic dziwnego, że wszyscy mijani ludzie byli tacy niscy.

Wstąpił do baru, by się czegoś napić, ale bardziej po to, by uciec przed słońcem i nieco odetchnąć. Zmierzył wzrokiem zielony, pachnący anyżem likier i zastanawiał się, jak można pić taki trunek. On preferował szklaneczkę dobrej whisky. Przełykając ostatnie krople, po raz kolejny przeczytał list ze Szkocji, przez całą drogę ukryty w kieszeni jego spodni. Zapisał sobie nazwisko i adres prawnika, z którym miał się skontaktować w Nowym Orleanie. Rzucił na stół monetę, po czym wyszedł na zewnątrz i skierował się w stronę ulicy o nazwie Bourbon Street - pierwsza rozsądnie nazwana, na jaką tutaj natrafił - w poszukiwaniu niejakiego pana Pinckneya.

CHARLES THEODORE FREDERICK PINCKNEY III, PRAWNIK

Ross przyjrzał się ozdobnym literom, wrytym na mosiężnej płycie na drzwiach, starając się wyczytać z nich coś o człowieku, który nosi tak wy-

myślne nazwisko. Jednak jedyne, co mu przyszło do głowy, to, że ktoś z takim nazwiskiem musi być ogromnie cierpliwy. Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Charles Pinckney był prawie tak stary i masywny jak rzeźbione dębowe biurko, za którym siedział. Patrząc na pluszowe obicia foteli, Ross uznał, że staremu Charlesowi Theodorowi nieźle się powodzi i najwyraźniej żyje sobie niczym pączek w masie.

Gdy wszedł do gabinetu, adwokat podniósł wzrok, by pobieżnie zlustrować stojącego przed nim młodego, ciemnowłosego mężczyznę.

- Mój sekretarz mówi, że podaje się pan za Rossa Mackinnona. Czy ma pan jakiś dowód, który mógłby potwierdzić pańskie słowa?

- Nie. Mam jedynie ten list. - Ross położył na biurku kopertę.

Prawnik przyjrzał się jej.

- Wysłałem go kilka miesięcy temu. Co się działo z panem i listem w tym czasie?

- Leżał na poczcie w Groesbeck. A mnie przez jakiś czas nie było w domu.

- A czym się pan zajmował?

- Pracowałem.

- Gdzie?

- Tu i tam.

- Dużo pan podróżuje, prawda?

- Można tak to nazwać - zgodził się Ross.

- Wygląda na to, że nie potrafi pan zagrzać nigdzie miejsca.

- Mam swoje powody.

- Czy prawdą jest, że ma pan wyjątkowy pociąg do dam, przez co musi pan opuszczać kolejne miasta?

- Ross uśmiechnął się.

- No cóż... Można powiedzieć, że częściowo jest to prawda. Kilka razy zdarzyło mi się wyjechać z miasta nieco szybciej, niż planowałem. Może ma to związek z pociągiem do dam, a może nie. - Przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą. - W każdym razie nie można powiedzieć, że to akurat mój pociąg bywa źródłem kłopotów.

Adwokat podsunął mu arkusz papieru.

- Czy zna pan kobiety, które są tutaj wymienione?

Ross przeczytał rząd nazwisk - około dziesięciu kobiet, z którymi zawarł intymną znajomość na przestrzeni ostatnich kilku lat.

- Myślę, że można tak to nazwać, choć ja ująłbym to nieco inaczej.

- Które z tych pań... eee... z braku lepszego słowa eee... znał pan?

Ross roześmiał się.

- Wszystkie.

Charles Pinckney skrzyżował ręce na piersi. Najwyraźniej też miał ochotę się uśmiechnąć.

- Rozumiem. A w jaki sposób pan je znał... to znaczy, co łączyło pana z tymi kobietami?

- Bez ogródek?

Starszy pan przytaknął.

- Można powiedzieć, że dziabnąłem je raz czy dwa.

- Gdzie?

- Normalnie, tam gdzie się zwykle to robi. A pan myśli, że kim ja jestem?

- Ross zaczął się irytować. Zastanawiał się, czy w żyłach starego Pinckneya nie płynie przypadkiem odrobina indiańskiej krwi, bo jego twarz była bez wąpienia czerwona.

- To znaczy chodzi mi o konkretną lokalizację, a nie o część... eee... ciała.

Ross wzruszył ramionami.

- W łóżku. Zazwyczaj.

Adwokat odkaslnął.

- Być może powinienem był spytać w jakich miastach.

- Cóż... w różnych.

- Proszę wymienić kilka z nich. Na przykład w jakim mieście poznał pan niejaką Phyllis Whitehead?

- W Waco, jeśli dobrze pamiętam.

- A Caroline Archer?

- Fort Worth.

- Molly McCracken?

- Ross zastanawiał się przez chwilę.

- Gdzieś w okolicach Mexii.

- Rebecce Harper?

- Ciężko to wszystko spamiętać. Chyba w Gatesville. - Ross był już teraz bardziej niż poirytowany, ale zanim zdążył zaprotestować, pan Pinckney, wyraźnie usatysfakcjonowany, zmienił charakter pytań.

- Rozumiem, że ma pan pięciu braci. Proszę mi powiedzieć, gdzie teraz są i co się z nimi dzieje.

- Tak właściwie to żyje już tylko czterech. Mojego najstarszego brata, Andrew, zabili Indianie.

- A co z pozostałymi?

- Nick i Tavis budują w Nantucket statki. Alex i Adrian przez jakiś czas byli strażnikami Teksasu. Bóg jeden wie, gdzie są teraz. W ostatnim liście napisali, że opuścili oddziały i zaciągnęli się do dywizji generała Zacha Taylora, by walczyć na wojnie z Meksykiem.

- A co z pańskimi rodzicami?

- Nie żyją.

- Żadnych innych bliskich krewnych?

- Nie. - Widząc powątpiewanie na twarzy Pinckneya, Ross westchnął. - Chyba że chodzi panu o moją siostrę, którą jakieś czternaście lat temu wprowadzili Indianie.

- A gdzie ona teraz jest?

- Podejrzewam, że nadal wśród Indian. Albo nie żyje. Wszystkie nasze poszukiwania okazały się bezowocne.

Jakby sygnalizując koniec tej indagacji, prawnik zmierzył Rossa uważnym wzrokiem, po czym przełknął ślinę i wstał.

- W porządku, panie Mackinnon, jestem usatysfakcjonowany. Przejdźmy w takim razie do konkretów, dobrze?

Ross skinął głową.

- Po to tu właśnie przyjechałem.

Adwokat po raz kolejny odkaszlnął.

- Ma pan krup czy coś w tym rodzaju? - spytał Ross.

- Nie, po prostu coś mnie drapie w gardle. - Starszy pan spojrzał na gościa. - Jestem przekonany, że ciekawi pana, o co w tym wszystkim chodzi. Nie jestem upoważniony do ujawniania zbyt wielu szczegółów, ale mogę panu powiedzieć, że pański dziadek, Lachlan Mackinnon jest księciem Dunford i głową klanu Mackinnonów. Mieszka w należącem do rodziny zamku Dunford, niedaleko Kyleakin. To pański świętej pamięci stryj, Robert Mackinnon, miał odziedziczyć po nim tytuł. Może pana zainteresować informacja, że pański dziadek pozwolił już sobie poczynić odpowiednie kroki prawne, mające zapewnić panu tytuł książęcy po jego śmierci.

- Co to znaczy odpowiednie kroki prawne?

- Według prawa, to pański brat Nicholas dziedziczy tytuł, czy tego chce czy nie. W Anglii zmiana tego byłaby prawie niemożliwa, ale na szczęście dla pańskiego dziadka Szkocja, mimo że stanowi część Wielkiej Brytanii, nie jest Anglią. Nadal funkcjonuje tam stary szkocki system prawny. Prawo angielskie różni się od szkockiego. - Adwokat przerwał na chwilę, jakby się nad czymś zastanawiał. - Chodzi mi o to, że uczynienie pana swym spadkobiercą kosztowało pańskiego dziadka wiele czasu, zachodu i pieniędzy.

- A dlaczego był taki pewny, że nie odmówię, tak jak Nicholas i Tavis?
- Pański dziadek to bardzo mądry człowiek. Pozwolił swemu najmłodszemu synowi, to znaczy pańskiemu ojcu, na wyjazd do Ameryki, ale zawsze wiedział, co się dzieje w jego życiu. Akta pańskiego ojca, jak również pana i pańskich braci, są dość okazałych rozmiarów. - Otworzył je i przez chwilę przeglądał z uwagą. Gdy się ponownie odezwał, jego twarz była pąsowa. - Od jakiegoś czasu, pański dziadek wie, że ma pan opinię mężczyzny raczej upartego i lekkomyślnego i że ma pan... eee... talent do wpadania w tarapaty, zazwyczaj z powodu jakiejś młodej damy.

- Proszę kontynuować poprosił Ross z lekkim uśmiechem, ku wyraźnemu zażenowaniu prawnika.

Ten, skinąwszy głową, rozluźnił kołnierzyk koszuli, który nagle zaczął go uwierać. Wyciągnął z kieszeni białą chusteczkę i wytarł lśniące od potu czoło. Złożył chusteczkę i schował ją w kieszeni.

- Uwagę pańskiego dziadka zwrócił także fakt, iż jest pan wykształcony, oczywiście jak na standardy teksańskie, i że mimo opinii buntownika uchodzi pan za człowieka uczciwego i sprawiedliwego. Jest tutaj także zaznaczone, że pan, w stopniu wyższym niż pańscy bracia, odziedziczył charakterystyczną dla Mackinnonów urodę i że właśnie to może być przyczyną kłopotów z kobietami.

- On wie o tym wszystkim? zapytał z zaciekawieniem Ross.

- Jak najbardziej.

- Wygląda na to, że jest pan bardzo skrupulatny, panie Pinckney.

- Skrupulatność należy do moich obowiązków.

- A do moich ostrożność.

- Panie Mackinnon, jeżeli wszystko, co tutaj o panu napisano, jest prawdą, to doskonale rozumiem pańską ostrożność. - Twarz Pinckneya była zupełnie bez wyrazu. Ross nie mógł się powstrzymać i wybuchnął śmiechem.

- Czy w tym raporcie jest coś wspomniane o pieprzyku na lewym biodrze albo o bliznie na moim prawym ramieniu? spytał po chwili.

Adwokat - zaczerwienił się.

- W rzeczy samej... to znaczy tak, wiemy o pańskiej bliznie.

Ross zaśmiał się, wstał z krzesła i podszedł do okna. Odchylił zasłonę i przyjrzał się widocznej w oddali Missisipi. Wpatrywał się w jej brunatną wodę i myślał, jak to będzie być bez przerwy na morzu przez kilka następnych tygodni. Krzyżując ręce na piersi i opierając się ramieniem o ramę okienną, podejmował być może najważniejszą decyzję w życiu.

Po chwili Charles Pinckney odchrząknął.

- Nie chciałybym pana popędzać, panie Mackinnon, ale zdecydował się pan już?

Ross bez słowa odwrócił się i podszedł do biurka.

- Mam dziwne przeczucie, że postanowił pan przyjąć tę propozycję - stwierdził adwokat.

Jego gość uśmiechnął się.

- Jest pan przebiegłym starym lisem, panie Pinckney. Mam dziwne przeczucie, że wcześniej niż ja wiedział pan, iż ją zaakceptuję.

Starszy pan roześmiał się.

- Jeżeli mam być szczery, to w chwili gdy przeczytałem ten raport, wiedziałem, że się pan zgodzi. Prędzej czy później.

- Skąd, jeśli wolno spytać?

- Pana styl życia nieuchronnie do tego prowadził, panie Mackinnon. Absolutnie nieuchronnie. Jest już po prostu zbyt wiele miast, których musi pan unikać.

Ross nadal się uśmiechał.

- Czy powinienem wiedzieć coś jeszcze?

Adwokat podał mu nieprzemakalną skórzaną torbę.

- W środku znajdzie pan nieco informacji o rodzinie pańskiego ojca i klanie Mackinnonów. Pański dziadek pomyślał, że jeśli pan o tym wszystkim przeczyta i pozna historię rodziny i kraju, zanim się spotkacie, ułatwi to sprawę.

Ross wziął od niego torbę i zasalutował.

- No cóż, w takim razie za moje pierwsze spotkanie ze starym Lachlanem - rzekł i zaczął się odwracać.

- Pański dziadek jest głową klanu Mackinnonów, więc należy się do niego zwracać „Mackinnon”, nie „Lachlan”.

- Czy zawsze tak się do niego mówi?

- W niektórych sytuacjach zwraca się do niego także per „książę” albo „wasza miłość”.

Ross skinął głową.

- W porządku, jeżeli tylko nie będę musiał dygać.

Kąciki ust starszego pana drgnęły.

- Wystarczy uścisk dłoni - wyjaśnił. - Nawet w Szkocji.

- Myślę, że to akurat jakoś zniósę.

- Mam przeczucie, że pan potrafi znieść wszystko, jeśli tylko poweźmie pan taką decyzję.

- Z tego, co słyszę, jest to chyba cecha rodzinna Mackinnonów. Jeżeli mój dziadek jest choć trochę podobny do tych Mackinnonów, których znam, przyszedł na świat z rogatą duszą.

Charles Pinckney poklepał go po plecach.

- Jest znany z przekory, jeżeli o to właśnie panu chodzi.

Godzinę później Ross kończył załatwiać wszystko z prawnikiem i podpisywał ostatni z leżących przed nim dokumentów.

- Jest pan pewny, że to wszystko jest niezbędne? Chyba nie zaprzędamy w ten sposób swojej duszy?

Pan Pinckney roześmiał się.

- Oczywiście, że nie. Chodzi o to, że wszystko musi być uprawnomożnione, tak byśmy mogli dowieść, że jest pan tym, za kogo się podaje, panie Mackinnon. Pozostałe dokumenty to pokwitowania za akta i informacje, których panu udzieliłem. - Położył na biurku jeszcze jeden papier. - Proszę podpisać jeszcze ten ostatni.

Ross przyjrzał się uważnie leżącej przed nim kartce.

- A co dokładnie mam teraz podpisać?

- Jest to pokwitowanie na sumę osiemset dolarów na zakup biletu na rejs do Szkocji i inne wydatki związane z podróżą.

- Osiemset dolarów?

- Życzeniem pańskiego dziadka było, by w podróży niczego panu nie brakowało.

- A ja dorastałem, sądząc, że „brak” to moje drugie imię.

Pan Pinckney roześmiał się, a Ross podpisał dokument.

- Nawet mi się nie śniło, że mój podpis będzie wart osiemset dolarów - stwierdził, oddając go.

- Wkrótce będzie wart znacznie więcej. - Prawnik podszedł do sejfu, wyjął z niego trzy koperty i dwie podał Rossowi. - W tej znajdzie pan pieniądze. Druga zawiera niezbędne informacje o pana miejscu docelowym i wskazówki, jak dotrzeć do posiadłości pańskiego dziadka. Jest tam także nazwisko i adres prawnika z Edynburga, na wypadek gdyby coś się stało z pańskim dziadkiem przed pana przyjazdem. - Urwał, spoglądając na trzecią kopertę, którą wciąż trzymał w ręku.

Ross spojrział na kopertę, a potem na adwokata.

- Czy ta jest także dla mnie?

- Otrzymałem instrukcje, by dać ją panu jedynie wtedy, gdyby kwestionował pan słuszność podjętej decyzji.

Ross zaśmiał się.

- Czynie to od chwili, gdy podpisałem ostatni papier.

Starszy pan uniósł brwi, ale bez słowa podał mu kopertę.

Ross przyglądał się wszystkim trzem, lecz żadnej nie otworzył,

- Jeżeli to już wszystko, to będę się zbierał.

Charles Pinckney obserwował, jak młody mężczyzna odwraca się i zmierzają do drzwi. Choć podejrzewał, że Ross nie ma więcej niż dwadzieścia pięć lat, w jego oczach widział więcej doświadczenia, niż mają zwykle ludzie w tym wieku.

- Aha, panie Mackinnon - rzekł, gdy gość stał już przy drzwiach. - W koperce ma pan więcej niż wystarczająco pieniędzy, by kupić także odpowiedni strój.

Ross spojrział na niego pytająco, po czym obejrzał swoje ubranie.

- Sądzi pan, że mój strój jest nieodpowiedni?

- Nie chodzi o mnie, panie Mackinnon. Myślałem o pańskim dziadku. Ten wiekowy dżentelmen jest księciem, proszę o tym nie zapominać, i z tego, co słyszałem, pedantem. On nie prosi, on wymaga. A ponieważ jest księciem, zawsze to otrzymuje. Pomyślałem jedynie, że mógłby zaoszczędzić pan nieco czasu, kupując trochę ubrań tutaj, podczas oczekiwania na statek.

Ross raz jeszcze zmierzył prawnika niebieskimi oczami.

- Czy coś jeszcze? - spytał spokojnie.

- Nie - odparł Charles Pinckney. - Sądzę, że to już wszystko.

Ross skinął głową i zdjął kapelusz ze stojaka, po czym szybko zamknął za sobą drzwi. Na zewnątrz od razu otworzył trzecią kopertę. W środku znalazł jedynie stary rozsypujący się kawałek pergaminu, na którym wyblakłym brązowym atramentem wypisane były te słowa:

O Kaledonio! Dziką i srogą,
Poznaj kolebkę moją tak drogą!
- K r a i n ę lasów i wrzosów brunatnych,
Kraję morza, strumieni wartkich,
Kraj moich ojców!

Walter Scott

Pieśń ostatniego Minstrela

Gdy doszedł do rzeki, przyglądał się bystro poruszającemu się brązowemu nurtowi wody, której najwyraźniej wydawało się śpieszyć do morza. Spojrzał w dal, tam dokąd podążała. Gdzieś tam poza wirującymi wodami Missisipi, hen za ciepłymi wodami Zatoki leży Szkocja, dziwny kraj brunatnych wrzosów i wartkich strumieni. Kraj jego ojców.

Mocno zacisnął powieki.

Po jakimś czasie otworzył oczy i dotknął starego pergaminu, ostrożnie złożonego i schowanego w kieszeni. Nie znał dziadka, ale jednego już się o nim dowiedział: ten stary człowiek był mistrzem w zdobywaniu tego, co chce.

Dwa dni później Ross Mackinnon odpłynął do Szkocji na kliperze „Charity”. Stał na pokładzie i przyglądał się, jak Nowy Orlean zmienia się powoli w zamazaną plamę. Wreszcie rozłożył pergamin i po raz pierwszy dostrzegł, że na odwrocie jest coś napisane. Coś z *Księgi Joela*.

„Starcy będą mieli w głowie jedynie marzenia, młodzi zobaczą wizje”.

ROZDZIAŁ TRZECI

Szkocja

Kiedy Ross Mackinnon stanął na szkockiej ziemi, poczuł, że dotarł do domu. Dziwne uczucie, zważywszy, że nigdy wcześniej tam nie był. Jednak nie potrafił pozbyć się tego przekonania. Przybył do domu. Do domu, do kraju swych ojców. Do domu, do Szkocji.

Tak mało wiedział o tej surowej, dzikiej krainie, krainie poszarpanych gór i krystalicznie czystych jezior i zielonych wzgórz, które przywoływały go do siebie, by spełniło się jego przeznaczenie. Był to kraj tak surowy i wymagający jak duma ojca, cierpliwy i kojący niczym miłość matki. W czasie rejsu Ross sporo czytał i dowiedział się, że Szkocja, jak na tak niewielki kraj, ma niesamowitą historię, słodko-gorzka i bolesną niczym lament gołę-bicy, historię walki, odwagi i desperacji przeciwko pętli przeznaczenia, która się powoli zaciskała.

Szkocja... Przeczytał o niej tak wiele, a kiedy wciąż wiedział tak mało. Mimo to nazwa tego kraju tańczyła w jego żyłach niczym ciepła brandy. Szkocja. Kraina chwały, duchów i intryg. Kraj dzikich i nie dających się podbić Piktów, którzy zmusili Rzymian do uznania ich za naród zbyt barbarzyński do ucywilizowania i zbudowania Muru Hadriana, który miał ich izolować od reszty „cywilizowanego” świata. Kraj uświęconych drzew i magicznych kopców, ojczyzna celtyckich wojowników i pogańskich druidów. Miejsce okrutnych nordyckich najazdów i dających ciepło torfowych palenisk. Szkocja. Kraj dumy i determinacji, która skłoniła Roberta Bruce'a² do stwierdzenia: „Tak długo, jak setka nas pozostanie przy życiu, w żaden sposób nie poddamy się angielskiej dominacji”. Szkocja. Kraina wojny i nietrwałego pokoju, łagodnych mieszkańców nizin i dzikich, odzianych w kilty górali, dumnych

² Król Szkocji w latach 1307-1329.

ludzi, których nigdy nie udało się rzucić na kolana. Miejsce rozlewu krwi i porażek, smutku i rzewnych pieśni, kraina chłostana zarówno przez człowieka, jak i przez żywioły. Kraj wirującej szkockiej mgły i oślepiającego śniegu, demonicznych wiatrów i zawodzeń zwiastujących śmierć zjaw. Ojczyzna najpiękniejszych szepczących strumieni. Szkocja. Zapomniany klejnot osadzony w koronie historii.

Pierwsze spojrzenie na smaganą wiatrem wyspę Skye wywołało w nim uczucie, jakby właśnie przeczytał długi żałobny wiersz, który pozostawił po sobie zadumę i pokorę. Ujrawszy szare kamienne mury zamku Dunford, posmutniał. Wielka stara forteca dawno umarłych marzeń i pełnej chwały przeszłości.

Ross był w Szkocji zaledwie od tygodnia, ale już wiedział, że jego życie nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

Po opuszczeniu „Charity” kilka dni spędził w Edynburgu. W chwili gdy znalazł się na stałym lądzie i starał się przejść kilka kroków, kolana ugięły się pod nim i stracił równowagę. Była to niezwykle krępująca sytuacja dla kogoś znanego prawie w całym stanie z umiejętności obłaskawiania dzikich koni i jeszcze dzikszych kobiet. Minał cały dzień, nim jego nogi odzyskały dawną siłę.

Z Edynburga pojechał pociągiem do Mallaig, gdzie wynajął łódź, którą miał popłynąć do Kyleakin na wyspie Skye. Kyleakin powinno się wymawiać „Ky-lakkin”, czego dowiedział się od Johna MacLeoda, właściciela łodzi.

John MacLeod był dziwakiem, mężczyzną srogim i najwyraźniej mało towarzyskim. Tak skąpił słów, jak podobno każdy Szkot monet ze swej sakiewki. Rossowi dane było usłyszeć głos przewoźnika, dopiero gdy przepływali obok starych ruin, które zwróciły jego uwagę. Kiedy zapytał o nie, MacLeod z wyraźną przyjemnością udzielił odpowiedzi:

- To zamek Maoil. W średniowieczu jego właścicielką była pani wielkiego rodu z Danii, którą nazywano Zuchwałą Mary. Niektórzy mówią, że była normandzką księżniczką, ale nie można wierzyć we wszystko, co się słyszy. Mówią, że rozciągnęła łańcuch od zamku aż do głębi wyspy i żądała opłaty od każdego, kto chciał tamtędy przejść. - Zamilkł i nie odezwał się ani słowem, dopóki nie dotarli do Kyleakin i nie upomniał się o zapłatę.

Kyleakin było niewielką wioską, w której ludzie nie byli ani trochę przyjaźniej nastawieni do obcych niż John MacLeod. Ross zapytał kilku o drogę do Dunford i już zaczynał tracić cierpliwość. Wreszcie znalazł kogoś, kto mu odpowiedział: młodego, rumianego chłopaka, ładującego konwie z mlekiem na zaprzęgniętą w kucyka niewielką furmankę. Właśnie ten skromny środek

lokomocji dowiózł Rossa Mackinnona prawie do domu jego przodków, zamku Dunford.

Furmanka zatrzymała się na rozwidleniu dróg.

- Nie mogę zawieźć pana dalej - rzekł chłopak. - Ale proszę się nie martwić. Do Dunford jest stąd tylko kawałek - dodał, pokazując palcem pokryty koleinami szlak.

- Dzięki za podwiezienie. - Ross wręczył mu monetę i zeskoczył na ziemię, po czym ruszył przed siebie, nie czekając nawet, aż furmanka pojedzie dalej.

Droga do Dunford okazała się dłuższa, niż to sobie wyobrażał. Zanotował w pamięci, że „kawałek” w Szkocji niekoniecznie musi oznaczać to samo co w Teksasie. Kiedy dotarł do zamku, zastukał w drzwi olbrzymią mosiężną kołatką. Otworzyła mu siwa kobieta z zaskakująco niebieskimi oczami i obojętym wyrazem twarzy. W milczeniu wpatrywała się w gościa.

- Czy to jest zamek Dunford, dom Lachlana Mackinnona? - zapytał Ross.

- Ma pan jakiś szczególny powód, by to wiedzieć?

To pytanie nieco zirytowało Rossa, ale uspokoił się, przypominając sobie, jak kapitan klipra ostrzegał go, że Szkoci nie pałają sympatią do obcych.

- Chyba tak - odparł, uśmiechając się. Kobieta wciąż miała kwaśną minę, więc przestał się uśmiechać. - Nazywam się Ross Mackinnon.

- Nie znam żadnego Rossa Mackinnona - odparła i zaczęła zamykać drzwi.

- Proszę poczekać! - zawołał, wpychając stopę między drzwi i futrynę. - Właśnie przyjechałem z Teksasu.

- No to nie będzie miał pan kłopotu z przypomnieniem sobie drogi powrotnej - odparła, z całej siły próbując zamknąć mu drzwi przed nosem.

- Proszę zaczekać i dać mi chwilę na udowodnienie tego, kim jestem.

- Nie radzę. Ostatnim razem musiałam zawołać psy, kiedy ktoś chciał coś udowodnić. A teraz jazda stąd.

Ale Ross nie dał się tak łatwo zbyć.

- Przebyłem długą drogę, by spotkać się z Lachlanem Mackinnonem. Jest moim dziadkiem i zważywszy na to, ile wysiłku włożył, by mnie tu ściągnąć, nie przypuszczam, by zachwydziło go to, że odesłała mnie pani z kwitkiem.

Kobieta otaksowała go spojrzeniem.

- A więc mówi pan, że Mackinnon jest pana dziadkiem? Nie uważam tego za możliwe, ale niech już będzie. Jego miłość i tak natychmiast pana stąd wygoni.

Kobieta cofnęła się, dając mu znak, by wszedł do środka. Cały czas mierzyła Rossa badawczym, mało przyjaznym wzrokiem.

Gdy wszedł za nią do tego niegościnnie wyglądającego szkockiego zamku, uznał, że mieszkańcy tej części świata używają jakiejś dziwnej odmiany angielskiego. Akcent mieli zupełnie inny niż ten, który słyszał w Edynburgu. A jeżeli chodzi o dobre maniery, to najwyraźniej byli nieobecni, kiedy pan Bóg rozdzielał je ludziom. Po spędzeniu w tym kraju kilku dni już się zaczął do tego przyzwyczajać. Dlatego właśnie nieprzyjazne zachowanie tej kobiety zbyt go nie obeszło. Ale nie był przygotowany na nieprzychylne spojrzenia i kiedy szedł ponurym wietrznym korytarzem, nie mógł nie wiedzieć, jak cała służba przerywała swoje zajęcia i gapi się na niego. Zaczął się nawet zastanawiać, czy przypadkiem nie rozdarły mu się spodnie.

Ponieważ jego matka zmarła, kiedy był jeszcze bardzo młody, Ross nie zdążył nauczyć się wielu rzeczy, ale na pewno wiedział, że takie gapienie się nie jest uprzejme. Tyle że tutejsi ludzie najwyraźniej nie mieli o tym pojęcia.

- Czy w ten właśnie sposób wita się tutaj przybysza? - zapytał. - Gapiąc się na niego?

- Oni nie gapią się na pana, tylko na pańskie dziwaczne odzienie.

Ross przejrzał się w kolejnym mijanym lustrze. Nie widział w swoim stroju niczego szczególnie nieodpowiedniego ani dziwnego: porządna para bryczesów ze skóry kozła, najlepsza para butów, masywne srebrne ostrogi (wygrane w pokera), niebieska batystowa koszula i teksański kapelusz, który w chwili wejścia do zamku zdjął i wcisnął pod pachę. Zauważył, że żadna z mijanych osób nie ma przy sobie broni. Być może to widok wiszącego mu u pasa kolta tak bardzo ich dziwił.

Kobieta wprowadziła go do biblioteki, wyłożonego ciemnym drzewem pomieszczenia, w którym zebrana była imponująca kolekcja oprawionych w skórę ksiąg. Na ścianach porozwieszano mapy Szkocji, Anglii i całego świata. Niewielkie przegródki wypełnione były manuskryptami, dokumentami i mniejszymi książkami. Na środku biblioteki stało ogromne biurko, a na nim porozrzucone były mapy i jakieś papiery, kałamarze, nożyczki, pieczęcie, niewielka waga, liniał, kompas i para złotych kandelabrow.

Siedzący za biurkiem mężczyzna wydawał się prawie tak stary jak wszystko inne w tym pomieszczeniu. We wpadających przez okna promieniach słońca jego siwe włosy wydawały się zupełnie białe.

- Wasza miłość - zaanonsowała kobieta. - Ten człowiek twierdzi, że jest pańskim wnukiem.

- Dziękuję, Mary. To wszystko.

Starzec wstał. Ross poczuł jednocześnie strach i szacunek, tak jakby się znalazł w obecności kogoś świętego.

A więc to był jego dziadek.

Po raz pierwszy od dawna Ross był przy kimś bliskim. Milczał, spoglądając na dostojnego starszego pana. Nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz żołądek skręcał mu się z emocji tak jak w tej chwili. Był tak podniekscytowany, że nie wiedział, co powiedzieć. Może ten stary człowiek czuł to samo. Może dlatego także nie odezwał się ani słowem, mierząc wnuka badawczym spojrzeniem.

Ross nie wiedział, co zrobić z rękami. Bał się poruszyć, bał się, że za chwilę ugną się pod nim nogi.

- Czy jest pan Mackinnonem? - zapytał wreszcie i natychmiast zrozumiał, że nie było to zbyt inteligentne pytanie.

Starszy pan uniósł z zaskoczeniem brwi.

- Tak - odparł głosem, który wydawał się szeleścić jak stary papier. - Jestem Mackinnon, jednak zaskoczyłeś mnie tym, że tak się do mnie zwracasz.

Ross poczuł, że sprawił mu tym przyjemność, i było to niczym łyk najlepszej whisky.

- Chciałbym móc powiedzieć, że sam na to wpadłem, ale prawda jest taka, że pański przyjaciel w Nowym Orleanie udzielił mi kilku wskazówek, zanim wypłynąłem w rejs - odparł.

- Nie każdy stosuje się do wskazówek.

Wciąż stali i wpatrywali się w siebie. Ross był pod wrażeniem wzrostu i postury dziadka. Przeczuwał, że ten mężczyzna ma wojownicze usposobienie.

- Podejdz, chłopcze - zwrócił się do gościa Mackinnon. - Tutaj. Do światła, żebyś mógł ci się lepiej przypatrzeć.

Ross podszedł do okna i zatrzymał się, czując się nagle zbyt przejęty, by cokolwiek powiedzieć. Mackinnon był wysoki i kościsty, twarz miał tak wyblakłą jak ciągnące się wzdłuż Rio Grande równiny, jednak było w nim coś dumnego i jednocześnie wzruszającego, coś, co przywoływało na myśl smutną balladę. Ross mógł użyć tylko jednego słowa, by opisać tego człowieka: szlachetny. Szlachetny niczym mądry stary jelen, który przeżył zbyt wiele długich zim i stoczył zbyt wiele pojedynków o przetrwanie i dominację.

Ross może i kontynuowałby swoje przemyślenia, gdyby nagle nie dotarli do niego, iż dzieje się tu coś osobliwego. Coś tak trudnego do uwierzenia, że zastanowił się, czy i Mackinnon zaniemówił także na skutek tego odkrycia.

Patrząc na tego mężczyznę, bez wątpienia swojego dziadka, miał wrażenie, że spogląda w taflę jakiegoś starego lustra, które najpierw migotało, po

czym zasnuła je mgła. Wtedy wydawało mu się, że widzi w nim siebie za pięćdziesiąt lat. Mgła przeredziła się i obraz zaczął się stawać coraz bardziej wyraźny i Ross odkrył, że nie patrzy na siebie, ale na swego dziadka, i wtedy wszystko zrozumiał. To był dziadek, ale także jego własna twarz za pięćdziesiąt lat. Podobieństwo pomiędzy nimi było ogromne i zaskakujące - nawet dla kogoś przyzwyczajonego do niespodzianek.

Mackinnon był mniej więcej tego samego wzrostu i budowy co wnuk. Miał również takie same niebieskie oczy. Ross znał tylko jedną osobę, która miała charakterystyczny dołek w brodzie; był to jego brat Nicholas. Z trudem przełknął ślinę.

Oczy starego Mackinnona były świdrujące i bezpośrednie. Ross poznał po twarzy dziadka, że uderzające podobieństwo pomiędzy nimi wzruszyło go i poruszyło do głębi.

- To... - Nabrzmiały emocją głos urwał się, ale starszy pan szybko odzyskał równowagę. Jediną oznaką jego poruszenia były wilgotne oczy. - To jest mój wnuk. Możesz nas zostawić samych, Robercie.

- Pański wnuk, wasza miłość? Jest pan tego pewny?

- Jak najbardziej - odpowiedział książę głosem tak słabym, że Ross zastanawiał się, czy będzie w stanie dodać coś jeszcze. - Jestem pewny. Ten chłopak to mój wnuk. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Aż do tej chwili Ross nie zauważył wysokiego, szczupłego mężczyzny, stojącego w kącie biblioteki, który teraz skinął głową i wyszedł.

- Usiądź - zwrócił się do gościa stary książę. - Tak wiele mamy sobie do opowiedzenia.

Ross podszedł do fotela, ale nie usiadł.

- Skąd ta pewność, że jestem twoim wnukiem? - spytał. - Mógłbym przecież kłamać.

- Oczywiście, że mógłbyś. Wiedziałem, kim jesteś, w chwili, gdy wszedłeś do biblioteki, jeszcze zanim Mary się odezwała.

- Ale skąd?

- Wielu Mackinnonów wchodzi przez te drzwi. Ich obecność daje światło, lecz nie ciepło, niczym słońce zimą. Ty emanowałeś nie tylko światłem, ale i ciepłem, niczym... - Głos księcia ponownie się załamał.

- Niczym słońcem latem - podpowiedział bez namysłu Ross.

- Tak jest, niczym słońce latem.

Ross poczuł dławienie w gardle. Nie potrafił znaleźć słów. mogących opisać jego uczucia. Tyle lat był sierotą, a teraz nagle znalazł rodzinę i dom. Po raz pierwszy w życiu miał cel; zdał sobie sprawę, że nie będzie musiał już

uciekać. Ogarnęła go dziwna słabość. Przytrzymał się oparcia fotela, ale nie usiadł.

- Rozumiem, że mój syn... twój ojciec... nie żyje - bardziej stwierdził, niż zapytał księżę.

Ross kiwnął głową.

- Od wielu lat.

- I twoja matka i najstarszy brat także.

- Oboje zostali zabici w tym samym czasie, kilkanaście miesięcy przed ojcem.

- A siostra... ta porwana przez Indian? Żadnych wieści o jej losie?

- Żadnych.

Mackinnon zamilkł. Po dłuższej chwili odchylił się do tyłu, tak że masywny skórzany fotel zatrzeszczał.

- Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz o swojej rodzinie. Zaczynj od najwcześniejszych wspomnień. Niczego nie pomijaj.

Ross usiadł. Wracał teraz myślami daleko, daleko w przeszłość, aż do lat swego wczesnego dzieciństwa.

- To może zabrać trochę czasu.

- Owszem, pozostaje mi go coraz mniej, ale jeżeli tylko będę oddychał, nie przerywaj.

Ross opowiedział mu o wszystkim, co wiedział, tak wiele, jak tylko pamiętał o ojcu i matce, aż do czasu ich śmierci, i o tym, co się od tamtej pory działo z nim i jego braćmi.

- Większość z tego jest mi znana - oświadczył dziadek. -Sporo informacji udało mi się zebrać o tobie i twoich braciach. Ty, na przykład, z powodu swojego niedyscyplinowanego zachowania, byłbyś moim ostatnim wyborem.

- W takim razie myślimy podobnie - odparł Ross, podnosząc się z fotela. - Ponieważ przyjazd tutaj był również ostatnim moim.

- Jesteś szczery. I mówisz bez ogródek to, co myślisz.

- Nie mam powodu, by czynić inaczej.

Mackinnon skinął głową.

- Siadaj. Powiedziałem tylko, że nie wybrałbym ciebie. Nie powiedziałem, że miałem rację.

Ross usiadł, a dziadek zaczął mu opowiadać historię swoich trzech synów: Angusa, Roberta i Johna, oraz trzech córek: Mary, Elizabeth i Flory.

- Myślałem, że miałeś tylko dwóch synów - zauważył Ross.

- Miałem dwóch synów, którzy przeżyli pozostałych. Mój pierworodny, Angus, zmarł, kiedy miał cztery lata. Robert, jego żona i cztery córki utonęli,

kiedy ich łódź rozbiła się o skały podczas sztormu. Moja żona Catriona i córka Mary zginęły w pożarze, który wybuchł w chacie zagrodnika, kiedy pojechały zaopiekować się chorymi. Elizabeth zmarła tuż po przyjeździe na świat. Flora była najmłodsza. Miała zaledwie dwadzieścia lat, kiedy została zgwałcona. Wkrótce później powiesiła się. Nigdy nie udało nam się dowiedzieć, kto ją zbezcześcił. Nie odezwała się ani słowem po tym wydarzeniu, ale coś w jej zachowaniu kazało mi się domyślić, że znała mężczyznę, który ją zgwałcił... Znała i wolała śmierć niż upokorzenie, które odczuwała po tym, co się stało, i ból towarzyszący ujawnieniu nazwiska tego łotra. - Mackinnon przerwał na chwilę, spoglądając na miniaturowy portret młodej kobiety, który stał na jego biurku. - Miałaby teraz trzydzieści jeden lat, niewiele więcej niż ty. Widzę, że cię to dziwi. Moja żona była ode mnie znacznie młodsza. Flora przyszła na świat dużo później niż reszta naszych dzieci, a jej narodziny były dla nas wszystkich sporym zaskoczeniem. Być może dlatego była mi tak droga; dziecię moich dojrzałych lat. *Mo nighean donn nam meall-shuilean...* - Jego oczy zasnuły się mgłą i odwrócił na chwilę twarz. - To celtycka pieśń, którą jej często śpiewałem: Moje brązowowłose dziewczę z kuszącymi oczami.

- Nie miałeś łatwego życia - stwierdził Ross. - Doskonale to rozumiem. Wygląda na to, że wreszcie mamy ze sobą coś wspólnego.

- Owszem - przytaknął łagodnie książę. - I nie tylko to. - Wyjął z kieszeni kamizelki złoty zegarek i przyjrzał mu się z namysłem. - Jak większość szkockich górali, Mackinnonowie nauczyli się żyć ze smutkiem, a czasami nawet upajać się nim. To część naszej historii. Miłujemy i pielęgnujemy naszą przeszłość, chłopcze, ale nie wiemy, co z nią zrobić.

- Może mój tata tak bardzo kochał Teksas, ponieważ przypominał mu rodzinny kraj.

- Jesteś bardzo podobny do swojego ojca - orzekł Mackinnon. - Rozmyślałem całymi latami, które z dzieci Johna będzie najbardziej do niego podobne. Być może przez cały czas znałem odpowiedź. Być może dlatego myślałem o tobie jako o moim ostatnim wyborze, ponieważ twoja dzikość i buntownicza natura za bardzo przypominały mi bolesne rozstanie z synem. - Przerwał i popatrzył na Rossa dziwnym wzrokiem. - Mówią, że mądrość wyrasta na prochach szaleństwa, i że rozmyślanie wyostrza zrozumienie. Miałem czas na jedno i drugie. Nie miałem racji, jeżeli chodzi o twojego ojca. Stałem zbyt blisko niego. Był przez to w moim cieniu i wolniej przez to dojrzewał.

Zamilkł i Ross miał wrażenie, że właśnie chciał powiedzieć coś, co najpierw postanowił przemyśleć. Obserwował, jak książę bierze głęboki wdech.

- Myliłem się także co do ciebie - przyznał jego dziadek silnym i pełnym przekonania głosem. - Powiedziałem, że nie byłeś moim wyborem. Nie myślałem, że to dlatego, iż byłeś moim jedynym wyborem. Błędy - dodał z błyszczącymi oczami - wylęgają się z gniazda smutków.

Rossa ogarniało przygnębienie. Temat tej rozmowy okazał się dla niego smutny, wręcz ponury. W jego głowie pojawiło się zbyt wiele wspomnień. Wyszło z ukrycia tyle rzeczy, o których pragnął zapomnieć.

- Nie miałeś łatwego życia, chłopcze.

- Podobnie jak i moi bracia.

- To prawda - zgodził się książę. - Ich historie także znam. - Wydawało się, że znikła iskra z jego oczu i teraz wyglądał na zmęczonego. - Często żałowałem, że nie posłałem po was wszystkich, gdy tylko dowiedziałem się o śmierci Johna. - Kąciki jego ust uniosły się w słabym uśmiechu. - Czasami nie mogę się oprzeć wrażeniu, że John znalazł sposób, żeby się na mnie zemścić. Oto narodziło mu się sześciu synów, a jego bratu Robertowi, który miał odziedziczyć tytuł, ani jeden. - Mackinnon wyglądał w tej chwili bardzo staro, jednak w jego oczach nie było ani śladu porażki. Westchnął i rozparł się wygodniej w skórzanym fotelu. - A teraz obaj nie żyją. - Potrząsnął głową. Jego uśmiech stawał się coraz szerszy, a w oczach znowu pobłyskiwały iskierki jak u młodzieńca. - Spłodził sześciu chłopaków, a który się u mnie zjawia? Ten, który jest jego wierną kopią. Znalazł sposób, aby się wreszcie na mnie odegrać.

- Albo sposób na naprawienie wszystkiego.

- Tak, masz rację, szansę na rozpoczęcie jeszcze raz. - Książę zawahał się, po czym dodał: - Niech Bóg mi pomoże, jeżeli tym razem lepiej nie wykorzystam danego mi czasu.

- Wykorzystasz - zapewnił Ross ze śmiałością, która zaskoczyła nawet jego samego.

Mackinnon roześmiał się.

- Zawsze jesteś taki pewny siebie, chłopcze, czy też może posiadasz dar spoglądania w przyszłość?

- Po prostu znam siebie. Nie zawiodę cię.

- Tak, sądzę, że nie zawiedziesz. - Uśmiech księcia był pełen dumy. - Jesteś przecież Mackinnonem, prawda? I wierną kopią swego ojca?

- Nie jestem podobny do ojca. Wszyscy tak mówią.

- Z wyglądu to może i przypominasz mnie, chłopcze, ale w środku jesteś zupełnie jak twój ojciec. - Mackinnon odetchnął głęboko. - Myślałem o tobie od chwili wysłania listu, w którym prosiłem, byś tutaj przybył. Zastanawiałem się, czy to zrobisz, czy dobrze zrobiłem pisząc do ciebie.

- Jestem tutaj - odparł zwięźle Ross. - A jeżeli chodzi o resztę, to nie mogę się wypowiadać na ten temat.

Mackinnon zaśmiał się cicho.

- W takim razie zanoszę się na to, że przyszłość dostarczy mi nieco rozrywki. Mam tylko nadzieję, że zachowam rozsądek i będę pamiętać, że niepowodzenie może albo złamać albo uczynić mężczyzną.

- Nie złamało mnie i nie złamię. Nieważne, jak bardzo się stara - oświadczył Ross.

- Dlatego, że jesteś Szkotem - odrzekł jego dziadek. - I Mackinnonem.

To stwierdzenie nieco zaskoczyło Rossa. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, został nazwany Szkotem, a nie dzikiem, awanturniczym Teksańczykiem.

- Nie bez powodu przeznaczenie wybrało ciebie, chłopcze. Długo zastanawiałem się, jak postawić klan Mackinnonów na nogi i kiedy dane mi będzie zobaczyć na jego czele silnego, zdrowego, młodego przywódcę.

Książę musiał wyczuć, że Ross z uwagą mu się przygląda, ponieważ przerwał i wyciągnął z kieszeni zegarek.

- Święci pańscy! - zawołał pogodnie. - Głędzę niczym stara plotkarka i pozwoliłem mojej niecierpliwości wziąć górę nad dobrymi manierami. - Wiedział, że chłopak ma dzisiaj nad czym myśleć. Wstał z fotela. Rzucił wnukowi uważne spojrzenie spod białych, krzaczastych brwi. - Czasami sądzę, że kiedyś zgubił mnie własny entuzjazm. Nie zawsze pamiętam, że człowiek, który ma za zadanie czekać przy łódce, w końcu się pojawi, i że nie ma potrzeby wskakiwać do wody i płynąć wpraw.

Podszedł do stolika i z wysokiej karafki z różnego szkła napełnił szklanekę czymś, co Ross uznał za wino.

- Wypij to. Poradzi sobie ze zmęczeniem po podróży i zastąpi twoje obawy trzeźwym spokojem.

- Po raz pierwszy słyszę, by szklanka wina zdolna była rozjaśnić umysł.

- To nie wino, chłopcze, ale whisky, *uisgebeatha*, szkocka woda życia. - Książę nalał drugą dla siebie i wrócił na fotel. - Za mojego wnuka - wznosił toast. - Następnego księcia Dunford i głowę klanu Mackinnonów.

Ross uniósł w odpowiedzi szklanekę i obaj się napili. Mackinnon wygodnie oparł się w fotelu. Uniósł szklanekę i przyjrzał się jej bursztynowej zawartości.

- Przypomina mi stare czasy - rzekł. - Kiedyś pozyskiwało się whisky w małych, górskich chatkach zwanych *bothy*. Teraz nie można zbudować już takich samych, ale wtedy były przytulne i wygodne, miały mocne kamienne ściany i strzechy tak porządne, że nie przedostawała się przez nie nawet kropla wody. Nadal mam przed oczami to, jak wyglądała w środku: pełno w niej

było beczek i kadzi, a tak wiele rurek doprowadzało zimną, wiosenną wodę do destylarni, że od samego patrzenia na nie można było dostać kręćka. - Na twarzy księcia malowała się tęsknota. - Bardzo rzadko można spotkać teraz takie chaty. Większość z nich została wyburzona. - Poruszył szklanką. - Ale smak, Bogu dzięki, nie jest daleki od tamtego z górskich chat.

Wstał i podszedł do ściany, by pociągnąć za atłasowy sznur. Po kilku minutach drzwi otworzyły się, a do pomieszczenia wpadł powiew chłodnego powietrza. W progu stanęła Mary.

- Wasza miłość mnie wzywał?

- Mary, chciałbym, żebyś poznała mojego wnuka Rossa. Jest jednym z synów Johna.

- To nie jest ten, do którego pierwszego pan napisał.

- Nie. John miał sześciu synów, z których przeżyło pięciu. Ross jest czwartym... i najlepszym - dodał, mrugając do wnuka.

Mary prychnęła. Najwyraźniej słowa księcia nie zrobiły na niej żadnego wrażenia.

- W takim razie pozostała czwórka to naprawdę biedne chłopczyny - stwierdziła.

Ross nie mógł się powstrzymać od śmiechu, a dziadek o mały włos nie przyłączył się do niego.

- Zabierz Rossa do kuchni i powiedz kucharce, by porządnie go nakarmiła. A kiedy już się posili, zaprowadź go do jego pokoju. Chcę, by zamieszkał w dawnym pokoju Johna. I każ przygotować dla niego gorącą kąpiel. - A do Rossa rzekł: - Idź teraz z Mary. Zobaczymy się na kolacji.

Ross skinął głową i odwrócił się w stronę Mary. Kobieta szybko dygnęła, zamiatając przy tym sztywną spódnicą zimną, szarą podłogę.

- Jeszcze jedno, Mary! - zawołał książę. - Powiedz Robertowi, aby postarał się o jakieś ubrania.

Ross zatrzymał się i odwrócił.

- Mam ubrania.

Z twarzy Mackinnona trudno było cokolwiek wyczytać.

- Nie podobają ci się nasze stroje, prawda?

- Są jak należy... na tobie.

Ross przyjrzał się swemu dziadkowi. Jego ubranie - para spodni i ciemnoniebieska marynarka oraz szara, pięknie haftowana kamizelka - wyglądało najzupełniej odpowiednio na nim, ale Ross wiedział, że to niekoniecznie oznacza, iż tak samo będzie wyglądał w nim on.

- Głupio czułbym się w takim stroju - przyznał.

Odwrócił się i podążył za Mary, która rzekła na odchodne:

- Powiem Robertowi, wasza miłość.
- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparł stary książę z nutką rozbawienia w głosie.
- Proszę bardzo - rzekł Ross. - To i tak nic nie da.
- ~ Może nie da, a może i da. - Tym razem książę wybuchnął długo powstrzymywanym śmiechem.

Mary poprowadziła Rossa długim korytarzem, w którym hulał wiatr, po czym skręciła i Ross zszedł za nią wąskimi schodkami do kuchni. Kucharka była potężną, krzepką kobietą, która w dłoni trzymała pokaźnych rozmiarów topór rzeźniczy. Ross zachował więc stosowną odległość.

- Jego miłość mówi, żebyś nakarmiła jego wnuka i zagrzała mu wodę na kąpiel. - Wychodząc z kuchni, Mary rzuciła przez ramię: - Kiedy skończy, wyślij go do północnego skrzydła.

Kucharka kiwnęła głową i toporem wskazała na krzesło. Ross zasiadł za długim, kamiennym stołem, który na szczęście odgradzał go od niej. Nie ufał zbyt tym małomównym Szkotom, przynajmniej na razie. Chwilę później usłyszał trzask zamykanych drzwi i odgadł, że Mary idzie teraz, rada nierada, doprowadzić do porządku jego nowy pokój.

Zjadł posiłek złożony z zimnej baraniny i ziemniaków, zastanawiając się jednocześnie nad tym, jak mu się będzie tutaj mieszkac, w tym pełnym przeciągów starym zamku. To był dom jego ojca, a teraz on tu zamieszka. Czy kiedyś uzna to miejsce także za swój dom? Uznał, że jutro będzie miał wystarczająco dużo czasu na zastanowienie się nad tym wszystkim.

Większość następnego tygodnia spędził z dziadkiem, głównie zajmując się tym, co nazywał chowaniem rogów. Bardzo szybko przekonał się, że poglądy jego i dziadka znacznie się od siebie różnią. A najwięcej chyba czasu spędzili, debatując nad stylem ubierania nowego mieszkańca zamku Dunford. W tym przypadku Ross nie wahał się ani przez chwilę. Przyszedł na świat w Teksasie i był wychowywany jako Teksasńczyk, a to oznaczało, że ubierał się tak jak mieszkający tam ludzie. Nie miał ochoty wbiąć się w te niewygodne, wyszukane koszule ze sztywnymi kołnierzykami, jakie nosił jego dziadek. Nie widział ku temu żadnego powodu.

Książę zdecydował, że jego wnuk powinien pozostać jeszcze w zaciszu zamku, by mieć wystarczająco czasu na, jak to nazywał, „oświecenie”. Upływie przynajmniej kilka tygodni, zanim zaczną objeżdżać tereny, które po otrzymaniu tytułu odziedziczy po swojej matce i babce. Było bardziej niż oczywiste, że ten dziki, nie nauczony ogłady chłopak z Teksasu nie jest jeszcze goto-

wy na to, by go przedstawić wytwornej, szkockiej socjecie, w której obracało się także wielu wysoko urodzonych Anglików.

Ross nie poświęcał jednak temu zbyt wiele uwagi. Uznał, że odziedziczenie tytułu przypomina kupno kawałka ziemi. Kiedy już ma się w kieszeni dowód zakupu, można z tym zrobić wszystko, na co się tylko ma ochotę.

Szybko się przekonał, że niezupełnie tak to się odbywa, a przynajmniej nie tutaj. Istniało kilka kwestii, co do których będzie musiał się zgodzić, jako że dziadek dał mu już to jasno do zrozumienia. Nieszczęśliwie go jednak one zachwycały.

Podobnie jak długonosy mężczyzna, którego dziadek uczynił odpowiedzialnym za jego oświecenie, niejaki lord Percival.

Gdy spotkali się po raz pierwszy, Ross rzucił mu jedno spojrzenie i uznał, że ten człowiek nie jest w stanie oświecić nikogo i niczego. Gdy zaś usłyszał jego sposób wysławiania się, zyskał co do tego niezachwianą pewność.

- On mówi jeszcze gorzej od nas.

- Lord Percival jest Anglikiem - wyjaśnił dziadek. - Jest moim starym przyjacielem i łaskawie zgodził się opuścić swój dom w Anglii na czas nieokreślony, by zostać twoim nauczycielem, opiekunem, przyjacielem i przewodnikiem. Będzie odpowiedzialny za poszerzenie twojej edukacji.

- Co takiego? - zapytał Ross, po czym na dobre się zirytował. Nie miał zamiaru dać się pchać, popędzać i wieść gdziekolwiek. Nie przez tego człowieka. - A co to ma u licha oznaczać? Poszerzenie mojej edukacji, jasny gwint. Z moją edukacją jest wszystko w porządku. Skończyłem szkołę - pochwalił się. - Potrafię pisać.

- Ledwie - odparł lord Percival, krzywiąc usta z niechęcią. Westchnął i zmarszczył nos. - Tak czy inaczej, musisz mieć zapewnioną opiekę. Jesteś prawie kompletnym ignorantem, jeżeli chodzi o znajomość kwestii związanych z Wielką Brytanią bądź Szkocją. Nie znasz historii klanu, którego masz stać się głową, nie wiesz nic o stylu życia szkockich górali. Co jednak ważniejsze, nie możesz oczekiwać, że zostaniesz księciem i znajdziesz się w kręgu socjety, wyglądając i zachowując się tak jak do tej pory.

- W moim wyglądzie nie ma niczego nieodpowiedniego - rzucił Ross przez zęby.

Gdyby był teraz w Teksasie, zdążyłby już temu człowiekowi naruszyć przednie zęby. Nikt się nigdy tak do niego nie odzywał. Nikt. Ross spojrzął spoде łba na tego Percivala. Niech sobie myśli o nim, że jest nieokrzesany, niewykształcony i źle wychowany. Nic go to nie obchodzi. Niech tylko przy tym ma świadomość, że nie warto z nim zadzierać.

- Najpierw zajmijmy się twoim chodem - ciągnął Percy, tak jakby w ogóle nie usłyszał słów Rossa. Spojrzał na niego z wyższością.

- Idź pan do diabła! - Ross nie zauważył tego spojrzenia. Był już w połowie drogi do drzwi.

- Jeśli wolisz, to możemy zacząć od włosów! - zawołał za nim lord Percival. - Są zdecydowanie za długie i źle obcięte.

- Powtarzam, idź pan do diabła! - Ross zatrzasnęła za sobą drzwi.

Lorda Percivala czekało dużo pracy. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Ale był bardziej wytrwały, niż myślał Ross. Tego drobnego mężczyzny nic nie mogło powstrzymać od tego, do czego się zobowiązał. Przez jakiś czas Ross zastanawiał się, dlaczego, do jasnej Anielki, zadają sobie tyle trudu, by próbować go przeinaczyć. Nic w nim nie wydawało się właściwe: sposób, w jaki chodził albo mówił albo ubierał się czy też cesał, manieri przy stole i manieri w ogóle.

- Co pan ma przeciwko moim manierom? - prawie krzyknął.

Zachowując niewzruszony spokój, Percival odpowiedział:

- Nie mogę oceniać czegoś, czego nie dane mi było ujrzeć. - Kiedy Ross wpatrywał się w niego, nieustraszony Anglik kontynuował: - Z największą przyjemnością wydam werdykt, kiedy już będę miał okazję poobserwować twoje manieri.

- Spycha pan w dół beczkę z deszczówką.

- Słucham?

- Szczeka pan na niewłaściwe drzewo, nic pan w ten sposób nie wskóra - odparł Ross prawie opryskliwie.

- Czy mówimy teraz o tym samym?

- Ja mówię o edukacji - odparował Ross. - Nie wiem za to, o co chodzi panu. - Chwycił za ozdobiony żabotem przód koszuli Percivala. - Niech mnie pan nie nazywa niewykształconym. Gdybyśmy znajdowali się teraz w Teksasie, nie byłbym dla pana nawet w połowie tak miły. - Potrząsnął nim. - Sprawdźmy, jak wyedukowany jesteś ty, Percy. Czy wiesz, co to znaczy zniknąć jak białe bzy? Albo poczuć mięte? Wiesz może, co to znaczy dostać w czapę? Albo chodzić na rzęsach? Albo że coś idzie jak krew z nosa? Czy znasz nazwisko prezydenta Meksyku? Czy potrafisz nazwać rzekę pomiędzy Meksykiem i Stanami Zjednoczonymi? Czy ty wiesz, co to znaczy *tejas!*

Gdy przerwał na chwilę, by zaczerpnąć tchu, do jego uszu dobiegł śmiech. Dochodził gdzieś zza jego pleców. Ross odwrócił się, nie trudząc się uwolnieniem Percy'ego.

W drzwiach stał dziadek.

Ross puścił Percy'ego, i podczas gdy ten poprawiał pogniecioną koszulę, książę rzekł:

- Lordzie Percival, czyżby mój wnuk sprawiał ci jakieś kłopoty?
- Tak, wasza miłość, obawiam się, że tak właśnie jest.
- Zostaw nas na chwilę, Percy.
- Z ogromną przyjemnością - odparł Percival, kierując się ku drzwiom. -

Jest cały twój.

Ross rzucił wychodzącemu w pośpiechu mężczyźnie spojrzenie spode łba.

- Percy minął się z powołaniem. Powinien pracować w lochu, dokręcając śruby przy kole tortur.

- Chodź ze mną, Ross. Chciałbym ci coś pokazać.

Ruszył za dziadkiem do biblioteki. Stał kolo biurka i przyglądał się, jak książę przekopuje się przez leżący na nim stos papierów. Znalazłszy to, czego szukał, starszy pan chrząknął i podał wnukowi arkusz papieru.

PIĘĆ TYSIĘCY DOLARÓW NAGRODY
ZA INFORMACJĘ O MIEJSCU POBYTU
ROSSA MACKINNONA
POSZUKIWANEGO ZA GWAŁT
KONTAKTOWAĆ SIĘ Z SZERYFEM CORSICANY, TEKSAS

Ross rzucił kartkę na biurko.

- To kłamstwo.

- Oczywiście, że ci wierzę. Ale oni? Co więcej, czy masz coś na swoją obronę? - Westchnął. - Jeżeli odrzucisz przyjęcie tytułu i wszystkie związane z tym wymagania i wrócisz do Teksasu, będzie czekało na ciebie to. - Poklepał dłońią kartkę. - Jestem starym człowiekiem. Nie zostało mi już wiele życia. Nic dziwnego, że chcę przed śmiercią zadbać o tytuł książęcy. Nie ma sensu marnować czasu twojego ani mojego, jeżeli ty tego nie chcesz. Wiem, że nie jest ci łatwo. Jeżeli przekracza to twoje możliwości, zrozumiem.

Ross spojrział na dziadka wilkiem.

- Zniosę wszystko, co każesz mi ty i lord Percival.

- Naprawdę? Czy jesteś tego pewny, chłopcze?

- Dam sobie radę. Jest to po prostu przeciwne mojej naturze, to wszystko. - Z głosu Rossa znikła większość jego wcześniejszego gniewu.

- W takim razie czy sądzisz, że byłbyś w stanie wykazać nieco więcej dobrej woli i chęci do współpracy? Lord Percival nie zjawił się tutaj, by cię

torturować. On wykonuje jedynie swoją pracę. Wyświadczając mi tym samym przysługę.

Ross zgodził się na pozostanie pod opieką Percy'ego głównie dlatego, że dziadek uświadomił mu konsekwencje jego powrotu do Teksasu, gdzie „stałby przed sądem za gwałt”, jak to elokwentnie ujął Mackinnon.

- Już ci mówiłem, że to oszczerstwo. Nigdy w życiu nie zgwałciłem kobiety - zapewnił Ross, wstając z fotela i uderzając pięścią w biurko. - Nigdy nie musiałem.

Książę wyglądał tak, jakby chciał się uśmiechnąć, jednak zamiast tego odkaszlnął.

- Inne zdanie ma na ten temat Tess Cartwright.

- Z Tess Cartwright nie chciałby się przespać nawet umarłak. A ja nigdy nie byłem aż tak zdesperowany.

Tym razem kaszel Mackinnona nie był udawany.

Ross ochłonał nieco i zgodził się na jeszcze jedną próbę podjęcia współpracy z lordem Percivalem. Nie był jednak do końca przekonany, czy jego dziadek nie miał przypadkiem czegoś wspólnego z tymi wysłanymi z palca oskarżeniami. Tess Cartwright? Jezusie, Mario i Józefie Święty. Żaden mężczyzna nie był w stanie upić się wystarczająco porządnie, by wczołgać się między jej nogi. Wiedział, że uroda jest kwestią powierzchowną, ale brzydota Tess Cartwright z pewnością sięgała także jej wnętrza. Nawet nie zbliżał się do tego typu kobiet.

Popatrzył na dziadka i zauważył błysk w jego oczach. Od swego przyjazdu do Szkocji zdążył się już dowiedzieć o nim kilku rzeczy. Po pierwsze, że jest człowiekiem, z którym się trzeba liczyć, a po drugie, że nic go nie powstrzyma w osiągnięciu raz obranego celu. Absolutnie nic.

Wkrótce Ross zadziwił wszystkich tym, jak szybko się uczy. Zaskoczył także księcia swoją szeroką wiedzą o kobietach. Pewnego razu został wezwany na dywanik za flirtowanie z pokojówką.

- Wygląda na to, że sporo, uwagi poświęcasz na doksztalcanie się w kwestii kobiet - rzekł Mackinnon.

- Na ten temat wiem już wystarczająco dużo - odparł Ross. - Chciałem się tylko upewnić, czy niczego nie zapomniałem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lord Percival uniósł szklanekę do światła i z roztargnieniem wpatrywał się w bursztynowy płyn. Rozmawiał właśnie z Mackinnonem, który zaprosił go na szklaneczkę whisky. Tematem ich rozmowy był oczywiście książęcy wnuk.

Starzec roześmiał się sardonicznie.

- Na Boga, Percy - rzekł tytułem wyjaśnienia. - Jest tak podobny do Johna, że czasami mam trudności z używaniem jego prawdziwego imienia.

Percy także się roześmiał.

- To może być jego najbardziej wartościowa cecha... Znów spowaźniał.
- Albo najgorsza wada - dodał.

- Oczywiście. To może go stworzyć albo złamać - stwierdził po chwili Mackinnon. Jego twarz miała równie posepny wyraz.

W tej właśnie chwili do pracującej na zwolnionych obrotach świadomości lorda Percivala dotarło, że ten stary człowiek siedzący po drugiej stronie biurka jest zupełnie inną osobą od tej, z którą rozmawiał zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Zmieniał się właściwie na jego oczach. Jeszcze nie tak dawno jego oczy były pochmurne i bez życia, krok powolny i chwiejny, teraz jednak poruszały się nad podziw pewnie, a w jego oczach błyszczała nadzieja.

- Powiem ci coś jeszcze - dodał z przekonaniem książę. - Jest też bardzo podobny do mnie, gdy byłem w jego wieku. Jest porywczy. Zna więcej odpowiedzi niż istnieje pytań. Najpierw skacze, a dopiero potem sprawdza głębokość wody.

Percy już jakiś czas temu przekonał się, że wnuk Mackinnona jest podobny do swego dziadka nie tylko z wyglądu. Wiedział także, że stary książę sam się o tym przekona w swoim czasie. Najwyraźniej ta chwila nadeszła.

- To Mackinnon w każdym calu. Nie można temu zaprzeczyć - uśmiechnął się Percy. - Chłopak posuwa się naprzód, szybciej, niż się tego spodziewałem. Jest bystry i bardzo chce ciebie zadowolić. Dlatego niezwykle się

stara, ale mam obawy, że nie będzie jeszcze gotowy do czasu przyjazdu Colina McCullocha i księcia Grenville z rodziną. - Anglik potrząsnął głową. - Wiesz, że nie mam w zwyczaju martwić się na zapas, ale pozostało w nim jeszcze sporo z dzikiego Teksasńczyka, a naszego stylu życia nie przejmuję łatwo.

- Z czasem przejmie - zapewnił ksiączę.

- Tak, ale czas jest tym, czego akurat nie mamy pod dostatkiem. Oczywiście, o ile będziemy się trzymać ustaleń. Goście zjawiają się wcześniej niż chcielibyśmy, chyba że... Zamilkł i widać było, że nad czymś się intensywnie zastanawia. - Jeszcze nie jest za późno, by przełożyć bal, albo i całkowicie go odwołać. Przecież zaplanowałeś go, zanim zmaterializował się twój wnuk. Wszyscy to zrozumieją.

Mackinnon wstał z fotela i zmierzył Percy'ego twardym, nieustępliwym wzrokiem.

- Co masz na myśli, mówiąc „odwołać”? Mackinnonowie nigdy niczego nie odwołują. Cóż miałyby to za sens? Czy chcesz, bym uczył mego wnuka, że w porządku jest, by Mackinnon cofał raz dane słowo? Albo że może uchylać się od powziętych zobowiązań?

Percy wzruszył ramionami.

- Bardzo dobrze. Wiem, kiedy ustąpić. Nie mam pojęcia, dlaczego to w ogóle zaproponowałem. Już w chwili wypowiedzania tych słów doskonale wiedziałem, że i tak nie zmienię w ten sposób twojego zdania.

- To prawda - przyznał Mackinnon. Jego głos złagodniał, ale wzrok pozostał nieugięty. - Wszystko odbędzie się tak jak zaplanowano. Ross jest moim wnukiem. Będzie gotowy. - Stary ksiączę zasiadł z powrotem w fotelu, odchylił głowę i zamknął oczy. - Ta panienska od Stewartów będzie miała swój zaręczynowy bal. Nie za bardzo jednak podoba mi się jej narzeczony.

Percy uniósł brwi. To stwierdzenie rozbudziło jego ciekawość.

Otwierając oczy, ksiączę zauważył zaskoczenie na twarzy przyjaciela.

- Wiem, co sobie teraz myślisz. To nie dlatego, że Huntly nie wybrał sobie na żonę jakiejś dziewczyny stąd - rzekł. - Góralka miałaby więcej rozumu i nie dała się zmusić do małżeństwa z człowiekiem jego pokroju.

- Dziewczyna z gór nie byłaby tak posłuszna i grzeczna. Sama chciałaby wybrać sobie męża - dodał z przekonaniem Percy.

- Właśnie - zgodził się Mackinnon, ale coś go wyraźnie trapiło. - Nie uważam Colina McCullocha za głupca - ciągnął po chwili. - Na pewno nie jest zachwycony, że jego siostrzenica zaręcza się z kimś pokroju hrabiego Huntly.

Te słowa zdziwiły Percy'ego.

- Dlaczego? Huntly jest uważany za dobrą partię...

- ... przez tych, którzy go dobrze nie znają - dokończył za niego Mackinnon. - Nigdy mu nie ufałem. Ten człowiek mnie drażni i nie jest tajemnicą dlaczego. Nieszczęście zdaje się podążać pół kroku za nim.

Gdy to mówił, księżę myślał o swojej ukochanej córce Florze i o tym, jak wiele lat temu zadurzenie się w Huntlym nie przyniosło jej nic poza odrzuceniem. Wtedy uważał, że to nawet lepiej, ale Flora już nigdy nie wydawała się być sobą po tym, jak porzucił ją dla innej. Odrzącił Florę, by posłubić córkę księcia Corrie, który miał względy u królowej Wiktorii.

- Czuję, że nie mówisz mi wszystkiego - rzekł powoli Percy. - Problemem nie jest ta panienka od Stewartów ani to, że jest Angielką. Chodzi o Huntly'ego, prawda? Co on takiego ci zrobił? Dlaczego tak bardzo go nie lubisz?

- Nie lubię? Ha! To stanowczo zbyt łagodne słowo na określenie uczuć, jakie żywię względem niego. - Mackinnon wydał się nagle zmęczony: Potarł oczy. - Nie sądzę, by słowo „nienawiść” także je w pełni oddało. - Podniósł głowę i napotkał pytające spojrzenie Percy'ego. - Pewnie nie dasz mi spokoju, dopóki nie wyciągniesz ze mnie wszystkiego.

Anglik roześmiał się.

- Czy to jest aż tak oczywiste?

- Ano jest. - Przez chwilę milczał, zastanawiając się, od czego zacząć. - Nigdy nie poznałeś mojej najmłodszej córki, Flory.

- Nie. - Spojrzenie Percy'ego padło na portret dziewczyny, stojący na biurku księcia. - Była uroczą.

- To prawda, moja córka była uroczą dziewczyną, a kiedy malowano ten portret, była także zakochana.

- Jej wybranek musiał być szczęściarzem.

- Jej wybrankiem był hrabia Huntly.

- Huntly? Nie miałem o tym pojęcia. Słyszałem, że o mały włos nie posłubił jednej z córek Argylla.

- Tak, ale Argyll nie był na tyle głupi, by sprzedawać swoje gęsi na takim nędznym targu, więc Huntly ożenił się z inną bogatą panienką.

Twarz, którą Percy widział przed sobą, mało przypominała oblicze przywódcy klanu Mackinnonów, którą znał tak dobrze. Wyglądał nagle na starszego niż jest i zmęczonego. W jego oczach nie było teraz ani odrobiny humoru i radości, jedynie zawziętość, mająca swoje źródło w bólu zbyt ogromnym, by móc się z nim kiedykolwiek pogodzić.

- Trzy miesiące po tym, jak Huntly ją odrzącił, Flora została zgwałcona. Brutalnie. Była przy nadziei. Myślę, że znała mężczyznę, który to zrobił. Znała i wołała śmierć niż ujawnienie jego nazwiska. Dwa dni później powiesiła się.

- A ty nigdy nie odkryłeś tożsamości mężczyzny, którego ona chroniała?
- Nie. Flora nie żyła. To już nie miało znaczenia.
- Jakaś część musi mieć nadal dla ciebie znaczenie, skoro tak bardzo nienawidzisz Huntly'ego.

- Złamał Florze serce i zniszczył jej życie. Po tym, co jej się przytrafiło, śmierć była wybawieniem. Choćby z tego powodu z największą przyjemnością nadziałbym go na ostrze mego miecza. Poza tym nic nie czuję do tego człowieka, choć gotów jestem założyć się o mój tytuł, że siedzi w nim coś diabelskiego.

- Być może księżę Grenville nic o tym nie słyszał. Znam go. Nie zrobiłby czegoś takiego własnej córce, gdyby wiedział. Jest człowiekiem honorowym i sprawiedliwym. To kochający ojciec, wierny mąż i bardzo jest oddany swojej rodzinie.

Na twarzy księcia pojawiła się zawziętość. Pociągnął łyk whisky, obserwując jednocześnie z uwagą Percy'ego.

- Ja to wszystko wiem. Jestem pewien, że Grenville nic słyszał niczego o Huntlym. Zresztą niewielu ludzi słyszało. Huntly nie jest tym, za którego pragnie uchodzić. Dobrze zaciera ślady. Ukrywa się za maską fałszywej cnotliwości i ma w Szkocji opinię bogatego i wpływowego człowieka. Nawet w oczach kościoła jest prawy i uczciwy, dobroczyńca, który nie szczędzi grosza ze swej wypchanej sakiewki.

- Przedstawiasz go jako człowieka zdolnego do przebicia mieczem własnej matki, jeżeli miałoby mu to przynieść wymierną korzyść - stwierdził Percy.

- Bo to prawda - odparł Mackinnon.

- A ty wyprawiasz bal, by uczcić jego zaręczyny?

- Policzkiem byłoby dla mnie niewyprawienie balu dla panienki od Stewartów. Colin McCulloch jest moim bardzo odległym krewnym, a poza tym od wielu, wielu lat przyjaźnimy się. Znałem też matkę tego dziewczęcia, Anne.

- Uniósł brwi. - Kiedyś się nawet w niej podkochiwałem. Była zbyt piękna, by poślubić Anglika.

- W twoich ustach brzmi to niczym najgorsza kara - roześmiał się Percy. - Anne jest nadal piękną kobietą. Jej córka, lady Annabella, także wyrosła na piękność. Nawet większą od swej matki, jak sądzę. Ma twarz, która zapiera mężczyznom dech w piersiach i pozbawia zdrowego rozsądku.

Gdy tylko wyrzekł te słowa, Percy poczuł, jak ogarnia go przygniatający niepokój. Ross był dzikusiem i wobec kobiet raczej nie miał skrupułów. Zerknął na księcia i w jego oczach ujrzał to samo.

- Wygląda na to, że mamy potencjalny problem - stwierdził lord Percival. - Lady Annabella nie jest dziewczyną, obok której można przejść obojęt-

nie, a obaj wiemy, że Ross ma słabość do płci pięknej. - Potrząsnął głową. - Mam tylko nadzieję...

Mackinnon roześmiał się.

- Nadzieja. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to właśnie ona jest matką głupich.

Percy miał niewyraźną minę.

- Świetnie pamiętam to powiedzenie, wasza miłość. Wolę je po prostu ignorować. - Widział w oczach księcia rozbawienie, ale nie powstrzymało go to. - Dlatego właśnie upierałbym się przy trzymaniu chłopaka w ukryciu trochę dłużej. Można przecież przedłużyć okres jego nauki...

- I nie dać mu szansy na zdobycie nowego doświadczenia? - spytał pogodnie księżę.

Jego przyjaciel zeszywniał.

- Będą jeszcze inne bale.

- Oczywiście, a także inne dziewczęta. - Księżę wstał, podszedł do srebrnej tacy i nalał sobie jeszcze jedną szklankę. - Pomyślę nad tym, co powie działęś, Percy, ale ostrzegam cię, że właśnie przedstawiłeś mi bardzo interesujący powód, dla którego chciałbym zobaczyć Rossa w jego najlepszym wydaniu, kiedy przybędzie Huntly.

Percy wstał. Jego twarz była blada. Odstawił szklankę na tacę koło karafki z whisky.

- Nie wolno nam nawet wymieniać jednym tchem imienia twojego wnuka i lady Annabelli. Doskonale o tym wiesz. Podejrzewam, że zdążył już skraść cnotę każdej co ładniejszej pokojówce w promieniu pięciu mil od Dunford. Nie możesz sobie pozwolić na takie ryzyko.

- Przypieranie mleczarek na stryszku z sianem nie jest tym samym co uganianie się za narzeczoną Huntly'ego. Dlaczego sądzisz, że panienska od Stewartów nie będzie bezpieczna w towarzystwie mego wnuka?

- Rybakowi zawsze uda się coś złowić - odparł surowo lord Percival.

Księżę Dunford obdarzył swego długoletniego przyjaciela uśmiechem i skinął głową, po czym się zamyślił. Zachowując postawę, którą można było nazwać jedynie królewską, nie odezwał się ani słowem, lecz usiadł z powrotem, podczas gdy Percy cicho wyszedł. Wpatrując się w masywne, rzeźbione drzwi, księżę odchylił się w fotelu i z namysłem skrzyżował ręce na piersi. Omiótł wzrokiem pokój, aż jego spojrzenie spoczęło na ozdobnie rzeźbionej, pozłacanej ramce. Jego twarz złagodniała, gdy przyglądał się portretowi córki. Uniósł szklankę, której zawartość połyskiwała w świetle stojącej nieopodal lampy.

- Za Florę - rzekł spokojnie Mackinnon i opróżnił szklankę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Percy! Gdzie ty się do diabła podziewasz?

Drzwi do biblioteki zadrżały, po czym otworzyły się gwałtownie. Do środka wpadł Ross Mackinnon.

- Zgadzałem się na wszystko, co mi do tej pory kazałeś - oświadczył. - Ale tym razem posunąłeś się za daleko. Podaj mi chociaż jeden dobry powód, dla którego miałbym się uczyć szkockiego.

Percy pochylił głowę i przyglądał się Rossowi znad szkieł swoich okularów. Z pełnym zmęczenia westchnieniem odłożył na bok egzemplarz „Glasgow Free Press”. Wcześniej zaabsorbowany był niezwykle ciekawym artykułem, który rozważał aspekt moralny stosowania narkozy podczas porodu. Był to problem, który powracał od chwili wynalezienia chloroformu. Popatrzył na młodego człowieka, który wtargnął lulać niczym rozpedzona lokomotywa z parą buchającą zza kołnierza, i pomyślał o jeszcze jednym możliwym zastosowaniu chloroformu, który mógłby wszystkim przynieść doprawdy wiele korzyści.

- Nigdy nie twierdziłem, że musisz się nauczyć szkockiego, Ross. Powiedziałem jedynie, że powinieneś się z nim zaznajomić. To jest język twoich przodków. Wciąż jest używany w niektórych rejonach Szkocji. Ale nawet ja nie jestem takim potworem, by wymagać od ciebie nauczania się go. Potrzebne by ci były na to całe lata.

Ross wyraźnie się odprężył. Prawdę mówiąc wydawał się nawet nieco zakłopotany.

- Musisz się jeszcze wiele nauczyć, chłopcze, jeżeli chcesz kiedyś nosić płaszcz klanu Mackinnonów z taką samą godnością, jak czyni to twój dziadek - dodał Percy. - Jesteś zbyt impulsywny i pewny siebie. Czasami wydajesz się przez to powierzchowny. Będą cię nazywać nierozważnym młodym przywódcą i na pewno nie zaskarbisz sobie w ten sposób szacunku.

Ross nic na to nie odpowiedział, a Anglik patrzył na niego twardo i myślał o tym, że określił swego podopiecznego niezupełnie odpowiednio. To prawda, był młody i czasami lekkomyślny, ale to tylko przykrywka: nędzna stajnia, w której skrywał się pełnokrwisty rumak. Szkocja potrzebuje silnych, młodych przywódców właśnie takich jak on, mężczyzn, którzy rozsławialiby ten kraj w tak zwanym cywilizowanym świecie. Ruch, zapoczątkowany przez Roberta Burnsa i Waltera Scotta zaczął już przekształcać wizerunek niecywilizowanych barbarzyńców z gór w nie lękających się niczego bohaterów, którzy mają serce na właściwym miejscu. Mężczyźni tacy jak ta oto stojąca przed nim płonąca głównia pomogą przywrócić Szkotom pewność siebie i odzyskać szacunek do swego kraju, które to uczucia tak bardzo nadszarpnęły wydarzenia ubiegłego wieku. Szkocja odzyska swoją historię i dumę, a wszystko dzięki takim ludziom jak on.

- Musisz wiele w sobie zmienić, chłopcze, albo zostaniesz kiedyś z niczym. Ludzie nie podążą za kimś, kogo nie będą szanować.

Ross zacisnął pięści.

- Będą mnie szanować kiedy już zostanę głową klanu.

Percy wyprostował się i potarł grzbiet swego nosa.

- Czy sądzisz, że w chwili, kiedy twój dziadek przekaże ci tytuł, stanie się to ot tak po prostu? Że nagle zyskasz szacunek wszystkich członków klanu? - Jedno spojrzenie wystarczyło Percy'emu, by odgadnąć, że jego podopieczny tak właśnie uważa. Potrząsnął głową. - Dlaczego to właśnie najwyższą górę zawsze spowija mgła? - rzekł cicho. - To są Szkoci, chłopcze, a ten naród nigdy nie robi niczego bez naprawdę dobrego powodu. Jeśli myślisz, że natychmiast zyskasz lojalność i oddanie każdego członka klanu, to jesteś w błędzie. Dlaczego mieliby szanować kogoś, kto nawet nie próbuje zrozumieć ich stylu życia? A co ty zrobiłbyś na ich miejscu? Nauczysz się żyć tak jak oni albo nie, ale przynajmniej spróbujesz. Gdy po raz pierwszy spotkasz się z członkami klanu jako jego głowa, możesz spodziewać się przyjęcia równie ciepłego jak wczorajsza owsianka. Będziesz musiał zasłużyć na ich szacunek i lojalność, chłopcze. Nikomu nie byłoby w takiej sytuacji łatwo, ale tobie będzie jeszcze trudniej.

- Dlaczego?

- Ponieważ jesteś cudzoziemcem.

- Płynie we mnie tyle samo szkockiej krwi co w każdym z urodzonych tutaj ludzi.

- Ludzie nie podążają za krwią. Oni podążają za ludźmi, którzy są ich przywódcami. Stawanie okoniem za każdym razem, kiedy prosi się ciebie o pozna-

nie ich zwyczajów, albo też każe zaznajomić z ich pradawnym językiem i tradycjami nie przysporzy ci zwolenników. Ludzie odczuwają, że się od nich separujesz.

Ross nic nie odpowiedział. Rzucił jedynie Percy'emu pochmurne spojrzenie, nagle spokorniały.

Mężczyzna poklepał go po plecach.

- Bądź dobrej myśli, chłopcze. Każdy rodzi się zielony. Teraz nadszedł czas na dojrzewanie. Twoja godzina nadejdzie. Czas naprawi twoje błędy i nauczy cię tego, czego ja nie jestem w stanie. Czas jest różdżką Boga, pamiętaj o tym.

Ross usiadł na jednym z foteli.

- Sam powiedziałeś, że nie mam dużo czasu na nauczenie się wszystkich rzeczy, które powinienem poznać.

- Motyl ma przed sobą tylko jeden sezon i jakoś mu to wystarcza - odparł pogodnie jego nauczyciel.

- Wiesz, jak sprawić, by człowiek czuł się wart mniej niż owadzie skrzydło - skrzywił się Ross. - Za każdym razem, kiedy otwieram usta, ty odpowiadasz tak, że mi idzie w piętę.

- W takim razie milcz. Milczenie także jest nauczycielem. Wielu ludzi żałuje swych słów, ale niewielu żałuje, że zachowało milczenie.

Ross rozsiadł się wygodniej, a skóra zatrzeszczała przyjaźnie. Popatrzył na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. Jakże mylne okazało się pierwsze wrażenie. Oto człowiek, który potrafił dostać się tam, gdzie nic miały wstępu szable, człowiek, którego amunicja była szybsza i bardziej pewna niż kule. Do tej pory Ross żył według prawa pięści i pistoletu i nauczył się szybko spinać ostrogami konia, kiedy sytuacja tego wymagała. Przyjrzał się teraz z namysłem delikatnej sylwetce Percy'ego. Oto człowiek, którego silniejszy wiatr był w stanie powalić, człowiek, którego siła nie leżała w mięśniach, lecz w mądrości i życiowym doświadczeniu.

Po raz pierwszy w życiu Ross pozazdrościł czegoś drugiemu człowiekowi, czegoś, czego nie mógł zdobyć siłą, co stanie się jego dzięki cierpliwości i umiejętności czekania, czego, jak doskonale wiedział, nie ma zbyt wiele. Po raz pierwszy od śmierci ojca poczuł się oszukany, pozbawiony nie tylko rodzicielskiej miłości, ale także tego wszystkiego, czego by się nauczył, tego, czego by go nauczono.

Tak się pogrążył w rozmyślaniach, że nawet nie zauważył, jak Percy wstał i podszedł do okna. Po kilku minutach, spokorniały, chrząknął i wziął do ręki leżący na stole plik kartek. Nie słyszał, by Percy się poruszył, ale poczuł jego dłoń na swojej głowie.

- Posłuszeństwo jest dobrym znakiem, chłopcze. Jeżeli nie potrafisz być posłusznym, nigdy nie będziesz też umiał stanąć na czele.

Ross obrzucił spojrzeniem listę słów: *lochd cadail*, drzemka; *meirghe*, sztandar; *tacar*, wytwarzać; *sealbh*, własność; *gartlann*, pole kukurydzy. Nigdy nie byłby w stanie nauczyć się tego wszystkiego. Powinien odczuwać ogromną ulgę, że nie oczekują od niego nauczania się tego języka, jednak czuł się nieco niepewnie z powodu nadmiernego pośpiechu przy formułowaniu wniosków. Był tak zagubiony jak tego dnia, kiedy do posiadłości Mackinnonów nad zatoką Tehuacana przybył szeryf i oznajmił pięciu chłopcom, że ich ojciec nie żyje.

Percy obserwował, jak Ross wczytuje się w leżące przed nim kartki. Wkrótce nauczy chłopaka, jak wymawiać niektóre ze słów, które tak pilnie tej chwili studiował. Wkrótce opowie mu poprzez język jego celtyckich przodków o mądrości, bólu i cierpieniu. Ale na razie posiedzi sobie i nacieszy oczy widokiem chłopaka, chłonnącego nowe wiadomości.

Ross osiągał w tej chwili szczyt swoich możliwości. Cały świat migotał i błyszczał zrozumieniem - cennym kamieniem, który powinno się podnieść i schować do kieszeni. Percy skrzyżował ręce na piersi i odchylił się w fotelu. Już miał zamknąć oczy, gdy kątem oka dojrzał stojącego w drzwiach księcia, którego cała sylwetka emanowała dumą. Ale to właśnie uczucie widoczne w zasnutych mgłą oczach kazało się Percy'emu domyślić, kogo ten stary człowiek widzi, patrząc na Rossa. On nie widział swego wnuka. Widział siebie.

Kiedy Mackinnon oddalił się, lord Percival wstał z fotela i poszedł za nim do jego prywatnego gabinetu. Zbliżywszy się do okna, stary książę spoglądał na ogród i nie mógł przestać myśleć o swoich własnych szaleństwach z lat młodości, o sposobie, w jaki radził sobie z dziewczętami, i o uderzającym podobieństwie pomiędzy jego czynami i zachowaniem jego wnuka. Mógł być dumny z tego chłopaka, po latach pełnej goryczy ciemności zaświecił wreszcie promyk nadziei. Stracił dwóch synów, ale zyskał wnuka. Ross reprezentował sobą wszystko, czego spodziewał się po synu: był silny i zdecydowany, pełen entuzjazmu i jednocześnie sprawiedliwy. Był młodym wilczkiem, osieroconym w dzieciństwie i zbyt szybko zabranym od matczynej piersi. Do tej pory sam musiał się uczyć wszystkiego o życiu.

Mackinnona ogarnął nastrój tak dobry, że podobnego nie doświadczył już od lat. Dzięki wnukowi odzyskał nadzieję i radość życia. Podjął więc słuszną decyzję. Słyszając, że ktoś wchodzi, książę odwrócił się i rozpoznał Percy'ego.

- Wygląda na to, że chłopakowi nie jest łatwo - odezwał się pierwszy. - Jest nadal dziki i niesforny, nawet ja to widzę. Martwisz się o niego?

- Bardziej bym się martwił, gdyby był cichy i poważny. Jest bardzo podobny do Szkocji, teraz to zauważam, dziki i trudny do okiełznania, skory do gniewu, niechętny do wybaczenia, lojalny aż do śmierci wobec tych, których kocha. Jest też jednak człowiekiem, któremu można ufać i na którego można liczyć. - Percy potrząsnął głową. - Na Boga! Nie potrafię długo się gniewać na tego chłopaka. On naprawdę coś w sobie ma.

Twarz księcia rozjaśniła się w uśmiechu.

- Otrzymał w darze ten słynny czar Mackinnonów. Każdego w ten sposób będzie w stanie owinać sobie wokół palca. - Starzec zamyślił się na chwilę. - To jak stapanie po kruchym lodzie, Percy. Chcę utrzymać chłopaka w karchach, ale jednocześnie nie chciałbym go złamać.

- Nie sądzę, aby tak się stało. Najwyraźniej otacza go jakaś magia. Pewnego dnia klan Mackinnonów zacznie go czcić - odparł z przekonaniem jego przyjaciel. - Czuję to.

- O ile wcześniej biednego chłopaka nie utłuką.

- No tak - zgodził się Percy, naśladowując akcent księcia. - O ile go wcześniej nie utłuką.

Książę roześmiał się i poklepał swego towarzysza po plecach.

- Jacy ludzie są głupi - stwierdził, nalewając im obu po szklaneczce drambuie. - Za sto lat to wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia.

- Dokładnie tak mówiono po Cullodenie - odparł Percy. - Uważasz, że to prawda?

- Nie sądzę, by kiedykolwiek stało się to prawdą - oświadczył z mocą Mackinnon. - Tak długo, jak w czyichś żyłach będzie płynąć choć odrobina szkockiej krwi.

W ciągu kilku następnych dni Ross zaznajomił się ze starym językiem Szkotów i twórczością szkockich poetów. Nauczył się już, że Percy nie był kimś, kogo trzeba długo ugłaskiwać, dlatego też nie protestował zbyt wiele, gdy obarczał go kolejnymi zadaniami. Tyle że tym razem chodziło o coś, nad czym debatowali już nie raz.

- Moje ubrania są czyste i zakrywają wszystko, co trzeba - oświadczył zdecydowanie Ross. - A to jedyne wymagania, jakie im stawiam, nie mówią już o tym, że są wygodne, no i podobają mi się.

- Jeżeli masz zamiar stać się księciem Dunford, musisz nauczyć się ubierać jak szkocki dżentelmen. Pozwoliłem sobie posłać po krawca. Przyjdzie tutaj dziś po południu, by zdjąć z ciebie miarę.

- Prędej piekło zamarnie! - zawołał Ross. - Nigdy nie wyraziłem zgody na ubieranie się jak jakiś fircyk.

- Dżentelmen i fircyk to dwie zupełnie różne postacie. A poza tym to prośba twojego dziadka, chłopcze. Jeżeli widzisz w tym jakiś problem, posłę po niego i będziecie mogli to przedyskutować. - Percy uniósł brwi. - Mam kazać Robertowi sprowadzić księcia?

Ross nie miał żadnych wątpliwości, że dziadek niezwłocznie się zjawi, powiewając jednocześnie tą przekłętą kartką papieru z oskarżeniem o gwałt. A to byłyby jedynie strata czasu, ponieważ zawsze, gdy Ross widział ten papier, momentalnie się poddawał.

- Nie - powiedział wreszcie.

Wyprostował się i popatrzył na Percy'ego. Jego oczy ciskały błyskawice, a na twarzy malowała się podejrzliwość.

- Jaki rodzaj ubrań masz na myśli?

O dudniącym śmiechu Percy'ego, niosącym się wzdłuż ciemnego korytarza i po cichych pokojach, rozprawiano jeszcze przez kilka następnych dni.

Douglas Alison, krawiec, którego klientela pochodziła z wyższych sfer, przybył z całą pompą, jaka należy się jego profesji. Robert z uragijnym wyrazem twarzy oznajmił lordowi Percivalowi:

- Chce się widzieć z panem jakiś człowiek, który ma na sobie takie ubranie, że aż je trudno opisać. Powiedział, że nazywa się Douglas Alison.

Percy zaśmiał się.

- Przyrowadź go do gabinetu Rossa.

Kiedy Douglas się pojawił, Ross właśnie rozmawiał z Percym. Natychmiast spojrzął na gościa, który wszedł do pokoju, pusząc się jak paw. Jego brwi wydawały się tworzyć linię prostą.

Douglas rozjaśnił się na widok Anglika.

- Lordzie Percival! Wprost nie potrafię wyrazić, jaki to dla mnie zaszczyt ubierać książęcego wnuka. Zaledwie tydzień temu... - Przerwał, z trudem łapiąc powietrze na widok wysokiego, patrzącego spode łba mężczyzny w drugim końcu pomieszczenia. - O, Święta Panienko - rzekł wreszcie, po czym bardzo powoli podszedł do niego, uważnie przyglądając się jego ubraniu.

Można było usłyszeć, jak mruczy: „Mmmmm”, bądź: „To się kompletnie nie nadaje” albo: „Święci Pańscy! A co my tutaj mamy?”.

Sceptycznie zmierzył wzrokiem bryczesy Rossa.

- Zwierzęca skóra - rzekł, potrząsając głową. - Rety, rety, to wszystko trzeba będzie wyrzucić.

Douglas przejechał dłonią po skórzanych spodniach, a z gardła Rossa wydobył się ryk wściekłości, po czym nastąpiło uderzenie, które odrzuciło Douglasa w tył.

- Nazwijcie mnie głupkiem - rzucił Ross - ale ten dureń zachowuje się jak kobieta! Albo pederasta! - Po czym chwycił biednego Douglasa za poły jego marynarki i rzucił go na wyłożoną drewnem ścianę. - Lepiej uważaj, gdzie pchasz swoje łapy, fircyku, albo wyrwę ci twój interes i wykorzystam jako przynętę na ryby. Czy wyrażam się jasno?

Douglas przewrócił oczami w desperacji, szukając pomocy u lorda Percivala.

- N...n...najzupełniej - odparł słabo.

- Daj spokój, Ross - zainterweniował Percy. - Douglas nie miał zamiaru cię obrazić.

- Akurat! - ryknął jego podopieczny. - Ten człowiek sfiksował, a ty go jeszcze bronisz?

Percy odepchnął na bok ręce Rossa i wygładził poły płaszcza Douglasa, który osunął się po ścianie na podłogę. Podciągając biednego krawca do góry, Anglik kontynuował:

- Kiedy daje się zżyć ubrania na miarę, to zrozumiałe, że krawiec tu i tam musi cię dotknąć.

- Niech dotyka - odparł opryskliwie Ross - ale też uważa, gdzie pcha te swoje cholerne łapska, w przeciwnym razie będzie mógł zjeść swoje szczękające zęby na kolację.

- Douglas jest najlepszym krawcem w Anglii - oświadczył Percy.

- Założę się, że jest dobry nie tylko w tym - odparował Ross.

- Zna się na swojej pracy.

- Nigdy bym się tego nie domyślił - odparł, patrząc niechętnie na Douglasa. - Jeżeli chodzi o mnie, to wygląda na takiego, co to nie potrafiłby wyhodować fasoli na końskim gównie.

Percy zakaszłał i zmusił się do uśmiechu.

- Teksańczycy mają to do siebie, że lubią się wyrażać dosadnie - zwrócił się do gościa, na którego twarzy malowało się przerażenie, po czym rzekł do Rossa: - Czy Douglas może kontynuować?

Chłopak dał krok w tył.

- Może spróbować. - A do Douglasa rzekł Uważaj na ręce, fircyku.

Mężczyzna zamrugał, po czym popatrzył na Percy'ego.

- Śmiało - zachęcił go Anglik. - Tylko ostrożnie.

Głośno przełykając ślinę, Douglas przykleknął i pociągnął za nogawkę spodni Rossa, po czym dotknął kółek meksykańskich ostróg.

- Co za dziwaczne ostrogi. Obawiam się, że są strasznie niemodne. - Przyglądał się im się z namysłem. - Zresztą wątpię, by kiedykolwiek były.

- Percy... - zaczął Ross, a ten uśmiechnął się słabo, słysząc ostrzeżenie w głosie podopiecznego.

Jeżeli chodzi zaś o Douglasa, to zatopiony był właśnie w krawieckich myślach i nie zwrócił na nie żadnej uwagi.

- Aby ubrać pana odpowiednio, jak przystało na dżentelmena pańskiej klasy, muszę zapisać sobie, co aktualnie znajduje się w pańskiej szafie.

- To nie zabierze dużo czasu - odparł Ross.

Z ołówkiem i kartką papieru w dłoni, Douglas zaczął przepytывanie.

- Czy ma pan coś z niżej wymienionych: koszule z żabotami na wieczór, fałdowane albo plisowane na dzień?

- Nie.

- Pantalony do kolan bądź krótsze?

- Pantalony? - Ross zerknął na Percy'ego. - Nie noszę pantalonów. Żadnych. Percy zakaszłał. Krawiec wyglądał na skonsternowanego.

- Nie nosi pan pantalonów? Proszę mi wybaczyć, ale co w takim razie ma pan pod tą okropną zwierzęcą skórą?

- Inną zwierzęcą skórę - odwarknął Ross. - Moją.

Douglas aż podskoczył.

- Nic? To znaczy pod tymi spodniami jest pan n...n...nagi?

- Golusieńki jak mnie pan Bóg stworzył - powiedział przeciągle Ross, nareszcie dobrze się bawiąc.

- O święci pańscy, to straszne, to naprawdę straszne. Jest dużo gorzej, niż myślałem. - Nieszczęsny krawiec wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł łśniące od potu czoło. - No cóż, przejdźmy dalej. Gdzie ja byłem? - spytał, sprawdzając listę. - Już widzę... fular. Ma pan batystowy czy płócienny? A może preferuje pan te nowe, mniejsze krawaty?

- Cóż, nie sądzę, bym miał krawat - odparł Ross, przeciągając ostatnie słowo, tak że brzmiało ono jak *kraaaaaw-wat*. - Choć w zasadzie nie wiem, co to takiego jest. *Kraaaaaw-wat* - powtórzył, najwyraźniej delektując się nowo poznanym słowem. - Brzmi jak nazwa jakiejś części ciała. - Chwycił się za nogę i zaczął kuśtykać po pokoju. - Wycieli mi mój *kraaaaaw-wat*! Niech ktoś wezwie doktora!

Douglas zerknął na Percy'ego, którego uwagę nagle przyciągnęło coś na zewnątrz i wyglądał teraz przez okno, jednocześnie zanosząc się kaszlem. Krawiec zanotował coś na swojej liście, po czym kontynuował, a jego głos nagle stał się słaby i dziwnie wysoki.

- Marynarki - rzekł, po czym odkaszlnął. - Czy ma pan porządny dwurzędowy frak z połą do kolan?

- Nie.

- A co z krótkim frakiem?

- Nie mam.

- Panie Mackinnon, czy ma pan jakiegokolwiek ubrania odpowiednie na wieczór?

- Panie Alison, tam, skąd pochodzę, ludzie nie mają czasu ani pieniędzy na spotykanie się wieczorami, a kiedy już to robią, nie noszą ubrań, które zbyt różniłyby się od tych, które noszą w ciągu dnia. Są może nieco czystsze, to wszystko. Jeżeli zaś chodzi o mnie, to do tej pory dużo podróżowałem. Cały mój dobytek można było zapakować do kilku worków. Kiedy chcę się ubrać, mam do wyboru trzy opcje: ubranie niedzielne, czyli najlepsze, codzienne i strój roboczy. Proszę więc wybrać.

Douglas odwrócił się do lorda Percivala.

- Widzę więc, że trzeba go wyposażyć kompletnie - rzekł.

- Do takiego samego wniosku doszedłem i ja - odparł Anglik.

W ciągu kolejnych tygodni lord Percival i Ross osiągnęli coś, co można nazwać harmonią - obaj pracowali w tak dobrych humorach, że Percy okazał się całkiem sympatyczny, a jego podopiecznego czasami można było nazwać niezwykle posłusznym.

Po codziennej porcji nowych wiadomości, przymierzania ubrań i poznawaniu przyjemności szkockiego dżentelmena, co obejmowało jazdę konną, polowanie, łowienie ryb i sport, który Szkoci wydawali się kochać - coś, co nazywali golfem, Ross spędzał kilka godzin z dziadkiem i kilkorgiem jego najbliższych doradców. Wszyscy byli członkami klanu Mackinnonów i pracowali ramię przy ramieniu, by wszystko w zamku Dunford i jego okolicy chodziło jak w zegarku.

Pod srogą i nieustępliwą kuratelą lorda Percivala i rygorystycznymi naukami dziadka Ross zaczął powoli oswajać się z myślą, że zostanie kiedyś szkockim księciem, częściowo dlatego, że coraz bardziej kochał Dunford i wszystko, co to miejsce sobą reprezentuje, częściowo zaś dlatego, że podziwiał i kochał swego dziadka. Był jeszcze jeden powód.

Stary książę pewnego razu powiedział mu:

- W życiu człowieka nadchodzi czas, kiedy zapragnie czegoś tak bardzo, że gotów jest zapłacić za to każdą cenę.

Te słowa utkwiły mu w pamięci. Po raz pierwszy w życiu Ross Mackinnon uświadomił sobie, że pragnie czegoś tak bardzo, że gotów jest zapłacić

każdą cenę, dokładnie tak, jak powiedział dziadek. Pragnął stać się częścią czegoś, poczuć, że jest ważny, że zapuścił wreszcie gdzieś korzenie. Marzył o tym przez całe życie i zawsze czuł się odtrącony. Dorastając bez matki i ojca, Ross odczuwał pustkę i samotność i zawsze czuł się jak sierota, nawet w towarzystwie czterech braci. To on tkwił między nimi sam jak palec, mając dwóch braci starszych i dwóch młodszych. Jak się można było spodziewać, dwaj starsi, Nicholas i Tavis, byli sobie bliscy niczym bliźnięta, a Adrian i Alexander, prawdziwi bliźniacy, zbyt byli zajęci walczeniem ze sobą, by zwracać uwagę na średniego brata.

Tak więc stał się samotnikiem, który liczy tylko na siebie, przemieszcza się z miasta do miasta, od kobiety do kobiety. Mężczyzną, który starał się pokazać światu, że nikogo nie potrzebuje. A teraz znalazł się w innym kraju, zaczynał wszystko od początku, jednak nadal odczuwał samotność. Z tego powodu postanowił wytrzymać wszystko, ale to wszystko, byle tylko znaleźć swoje miejsce na ziemi.

CZĘŚĆ TRZECIA

Spotkanie

W miłości zawsze jest tak, że jeden całuje,
a drugi nadstawia policzek.

PRZYSŁOWIE FRANCUSKIE

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Annabella siedziała w ogrodzie za zamkiem Dunford i nasłuchiwała dźwięków, które wydawała z siebie trącana wiatrem harfa, zawieszona na najniższej gałęzi wiekowej sosny.

Wszyscy, czyli matka, ojciec, brat, czterech woźniców, lokaj ojca, który obsługiwał także Gavinowi, i dwie pokojówki: jedna Anabelli, a druga matki, w dwóch powozach oraz z nieco kłępującą ilością bagażu, przybyli tutaj dziś rano.

Podróż zdecydowanie nie należała do przyjemnych. Nie dlatego, że powóz był niewygodny (a był), i nie dlatego też, że odległość od zamku wuja Colina była szczególnie uciążliwa (nie była). Siedziała obok Gavina, a na przeciwko rodziców. Tematem sześciogodzinnej rozmowy było oczywiście zamążpójście Annabelli, omawiane niezwykle drobiazgowo.

Księżę Grenville, zauważając nienaturalne milczenie córki, spytał:

- Bello, czy twój własny ślub ani trochę cię nie ekscytuje? Pomyśl o tych wszystkich sukniach, które trzeba będzie ci uszyć.

- Staram się być podekscytowana. Naprawdę. Wiem, że pewnie uważasz mnie za bardzo źle wychowaną - odparła, nerwowo bawiąc się chusteczką. Zerknęła na Gavina i w jej głowie pojawiła się pewna myśl: odseparują ją od Gavina. Zabiorą go do Anglii, a ją zostawia tutaj. - To wszystko dzieje się tak szybko... To znaczy zaręczyny i tak dalej. Nie miałam zbyt wiele czasu, by... - Zaczęły ją piec oczy i zamrugała. Wymknęła się z nich jedna samotna łza i spłynęła po bladym policzku.

- Bello, nie płacz - wyszeptał do jej ucha Gavin, a jego głos był miękki i pełen współczucia.

Troska brata wywołała całą lawinę.

- Starałam się myśleć ciepło o tym ślubie, ale nie potrafię. Nie chcę wychodzić za mąż. Proszę. Czy nic nie zmieni waszego zdania? Naprawdę nie moglibyśmy wrócić do domu?

Książę przez chwilę uważnie przyglądał się twarzy córki, po czym westchnął ze znużeniem.

- Rozmawialiśmy już o tym, Annabello. Sądziłem, że rozumiesz powód, dla którego ten ślub musi się odbyć.

Rozumiem, ale to nie zmienia moich uczuć.

- Ja także potrafię je zrozumieć, ale zaręczyny zostały już formalnie ogłoszone. Ślub jest ich nieuchronnym następstwem. Twój upór czyni wszystko jeszcze trudniejszym dla mnie i dla twojej matki. Może trudno ci w to uwierzyć w tej chwili, ale obserwowanie, jak bardzo jesteś smutna i nieszczęśliwa, nie jest naszym życiowym celem.

Alte to właśnie robicie, pomyślała dziewczyna. Sprawiacie, że jestem smutna i nieszczęśliwa. W jej oczach ponownie zalśniły łzy, tym razem wściekłości i rozżalenia, ale starała się, by to, co powie, nie zabrzmiało wyzywająco i buntowniczo:

- Czy nic nie da się zrobić, papo?

Zamiast niego odpowiedział Gavin, który zawsze potrafił rozładować napięcie i wtrącić coś wesołego:

- Mam pewien pomysł. - Na jego ustach natychmiast skupiły się trzy pary oczu. - Mógłbym udusić narzeczonego Belli.

Wspomnienie o nim na nowo skierowało myśli Annabelli na Huntly'ego i teraźniejszość. Huntly'ego - człowieka, którego się bała, i któremu nie ufała w najmniejszym nawet stopniu. Było w nim coś, o czym nie chciała myśleć, przynajmniej dopóki nie była do tego zmuszona. Jako że nie pojawił się jeszcze w Dunford, z czego była niesłychanie zadowolona, uznała, że najrozsądniej będzie całkowicie wyrzucić go z myśli, mimo że w Londynie ostatnim krzykiem mody było publiczne zamartwianie się. Na przycisku, który leżał na biurku w gabinecie ojca, wyryto: *Człowiek mądry wszystko, co jest brzydkie, pozostawia w ciemności*. I tam właśnie Annabella miała zamiar umieścić Huntly'ego: w ciemności. A przynajmniej postarać się to zrobić.

Ku jej zadowoleniu ogród był pusty. Dzięki temu mogła sobie spokojnie porozmyślać. Rodzice pili właśnie herbatę z księciem, do którego wszyscy uparcie zwracali się „Mackinnon”. Jej brat, którego obecność w chwili takiej jak ta nie była szczególnie pożądana, prawdopodobnie wypróbował swój młodzieńczy czar na którejś z nieśmiałych pokojówek.

Jeżeli chodzi o Annabelle, to nadal miała na sobie ciemnoniebieską suknię podróżną. Jej gęste włosy uczesane były starannie w lśniący węzeł i przewiązane niebieską wstążką. Dzięki swojej delikatnej budowie przypominała kruchą kameę. Była niewysoka, miała czarne włosy, jasną cerę i wysokie ko-

ści policzkowe w twarzy o kształcie serca. Popołudnie było wyjątkowo ciepłe, ale nawet nie przyszło jej do głowy, by zdjąć spod sukni halkę bądź nawet dwie, albo też odpiąć kilka guzików swojej wysokiej aż pod szyję sukni, i że dzięki temu może jej być znacznie wygodniej i choć trochę chłodniej. Co zaś do zdjęcia butów, to nie sądziła, by ktokolwiek to robił, no, chyba że w własnej sypialni. Już sama myśl o czymś takim wywoływała na jej policzkach rumieniec zawstydenia.

Bella popatrzyła na rozłożony na kolanach kajet. Na jej twarzy malowała się zaduma, gdy się zastanawiała, co by tu napisać. Do tej pory wymyśliła jedynie tytuł: *Oda do szepczącej harfy*.

Właśnie miała zapisać pierwszy wers: „Trącane namiętnie struny w objęciach wiatru”, kiedy jej spokój został zakłócony.

Nie spodziewała się, że o tej porze ktoś będzie ją niepokoił w ogrodzie, więc była zaskoczona, kiedy usłyszawszy kroki, podniosła głowę i spostrzegła, jak Gavin prześlizguje się pomiędzy szpalerami ostrokrzewu.

- Ha! A więc tutaj się schowałaś. Chodź, Bello! Porzuć natychmiast tę swoją bazgraninę. Lord Percival pokazał mi fantastyczną zieleń, idealną do gry w krokieta³.

Annabella popatrzyła na brata.

- Gavin, jeżeli ta fantastyczna zieleń choć trochę przypomina wiodące do zamku drogi, będą na niej same wyboje.

Z jej tonu można było wywnioskować, że porzucenie poezji na rzecz partyjki krokieta nie jest czymś, o czym w tej chwili szczególnie marzy.

- Widziałem ją, Bello. Jest wspaniała. Słowo. - Uśmiechnął się przymilnie. - No chodź, mała - dodał, biorąc z jej kolan kajet i pióro. - Gdy tylko zaczniesz grać, nie będziesz się mogła oderwać. A może wolałabyś pójść na ryby?

- Czy naprawdę wyglądam aż tak nieszczęśliwie, by trzeba mnie było zabawiać grą w krokieta? - zapytała, ignorując drugą propozycję brata.

- W takim razie grasz czy idziesz na ryby? - Gavin uśmiechnął się szeroko.

- Ty szelmo. - Annabella zacmokała z udanym niezadowoleniem i popatrzyła na niego z czułością. - Zagram, ale chyba powinnam najpierw zmienić pantofle.

- Wyglądasz całkiem modnie - ocenił, przyglądając się jej fachowym okiem. - Przecież będziemy tylko grać w krokieta...

- Ale jeżeli je zniszczę...

³ Gra towarzyska, popularna w Anglii, polegająca na **przetaczaniu drewnianych kul przez druciane bramki za pomocą specjalnego młotka**.

- Nie zniszczysz. Trawa nie jest ani trochę wilgotna. Nic im się nie stanie. - Pomógł jej wstać. - Chodź. Pokażę ci tę łączkę.

Rodzeństwo ruszyło zwirowaną ścieżką. Drogę przebiegł im duży, czarny pies, który gonił przemykającego królika. Annabella nie odezwała się ani słowem, dopóki nie minęli zamku i nie zobaczyła lekko spadzistej, zielonej łąki.

- Czy to właśnie ta zieleń? - spytała.

- Tak jest. Mówiłem ci, że jest wspaniała.

- Wspaniale pagórkowata i wyboista. Nie da się na niej grać w krokiet - odparła zdecydowanie.

Gavin przyjrzał się łączce krytycznym wzrokiem.

- Oczywiście, że się da. Percy mówił, że często to robią. Widzisz, nawet bramki są już ustawione.

Godzinę później mieli za sobą trzy partyjki. Wszystkie wygrał Gavin.

- Jeszcze raz, Bello - błagał.

- A po co? Żebyś mnie pobił po raz kolejny?

- Pozwolę ci w takim razie wygrać. Proszę, jeszcze tylko raz. Proszę...

- Pozwolisz mi wygrać? Och, bardzo ci dziękuję. Jesteś dla mnie niezwykle łaskawy.

- Skoro tak uważasz - odrzekł z uśmiechem.

- No dobrze, ale tylko jeden - oświadczyła z naciskiem Annabella. - Raz... i koniec.

- A ja pozwolę ci wygrać.

- Uczciwie i sprawiedliwie - dodała.

Gavin wygrał także i tym razem.

- Nie zrób mi zawodu, Bello, i spróbuj choć trochę się odegrać.

- Nie.

- Przestań, a co masz innego do roboty?

- Nie możemy zagrać jeszcze raz - oznajmiła.

- A to dlaczego?

- Ponieważ nie mamy już kul.

Zanim Gavin zdążył zareagować na to kłamliwe według niego stwierdzenie, jego siostra wzięła zamach i uderzyła drewnianym młotkiem kulę, która leżała tuż przy ich stopach. Drewniana kula uniosła się w powietrze i przefrunęła nad łąką, po czym odbiła się dwa razy i poturlała w kierunku drzew.

- Za chwilę będziemy mieli - odparł ze śmiechem Gavin i pobiegł za kulą.

Gdy tylko skrył się między drzewami, Annabella zlokalizowała kolejną kulę i zrobiła z nią to samo co z poprzednią, tyle że tym razem skierowała ją w przeciwnym kierunku.

Kula poszybowała w górę i nieoczekiwanie przeleciała na drugą stronę kamiennego muru.

Chwilę później powietrze przeszły głośny ryk.

- Co się dzieje, do diabła?!

Annabelli opadła szczęką, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Jeżeli nawet chciała coś powiedzieć, utkwіło to gdzieś pomiędzy płucami i gardłem. W pierwszej chwili instynkt nakazał jej natychmiast się gdzieś ukryć. A jeśli kogoś zraniła? I to w dodatku poważnie? Zerknęła w stronę drzew. Gavina nie było nigdzie widać, co było jej bardzo na rękę. Nie chciała, by brat dowiedział się, że za jednym uderzeniem kuli z intelektualistki przekształciła się w zwyczajnego łobuza. Nigdy by tego nie zapomniał i drażniłby się z nią do końca życia.

Annabella przebiegła przez łączkę, zatrzymała się na chwilę przy furtce, po czym biorąc pokrząpiący haust powietrza, otworzyła ją i przeszła na drugą stronę, wyglądając na najzupełniej spokojną i opanowaną. I wtedy go zobaczyła.

Po raz drugi w ciągu zaledwie kilku minut jej usta otworzyły się ze zdumienia.

Kilka kroków od niej stał Ross. Właśnie rozcierał coraz większy guz na głowie, a w drugiej dłoni trzymał drewnianą kulę. Ujrzał przechodzącą przez furtkę postać dzierżącą młotek do krokieta i już przygotował się na jeszcze jedno uderzenie, kiedy przeżył inny rodzaj wstrząsu, taki, równie celnie wymierzonego.

Dziewczyna stała tuż przy furtce w otoczeniu pnących żółtych róż, które zataczały łuk nad jej głową. Jej oczy były tak zielone, jak łąka po drugiej stronie muru i wpatrywały się w niego z ogromnym zaskoczeniem. Wydawała się mała, nieśmiała i tak przerażona, że Rossa na chwilę ogarnęła konsternacja. Zapomniał o pulsującym guzie na głowie i z przyjemnością przyglądał się subtelnym rysom stojącej kilka kroków dalej damy z kruczoczarnymi włosami i twarzą w kształcie serca. Jej usta były pełne i miękkie i wygięte w grymasie zdziwienia. Rzęsy miała długie, gęste i równie ciemne jak włosy.

W chwili gdy ją ujrzał, poczuł się odurzony jej urodą, wdziękiem i sposobem, w jaki w jej oczach nieśmiałość walczyła z pewnością siebie, którą dziewczyna niewątpliwie pragnęła w tej chwili okazać. Kiedy spojrzała na niego i dojrzała w jego oczach błysk zainteresowania, uniosła głowę. W normalnych okolicznościach Ross uznałby uniesienie podbródka za pychę, ale teraz

nie przyszło mu to nawet do głowy. Przez chwilę wyobrażał sobie, jak to dziewczę wygląda nago.

Jeżeli zaś chodzi o Annabelle, to nie wykonała żadnego ruchu od chwili, gdy przekroczyła furtkę i ujrzała olbrzyma, który wyglądał, jakby był w stanie zniszczyć wszystko, co mu stanie na drodze. Nigdy jeszcze nie spotkała kogoś takiego. Czy zszedł on właśnie ze stron jej podręcznika do historii? Czy był jednym z tych legendarnych bohaterów jej szkolnych lat: pogańskim wikingiem bądź barbarzyńskim Hunem, a może piratem, wymachującym nożem i w koszuli rozpiętej aż do pasa? Na pewno było w nim coś niepokornego i nieoswojonego. Ten mężczyzna był jej całkowitym przeciwieństwem i być może właśnie dlatego wydawał jej się tak bardzo atrakcyjny. Był człowiekiem, który mógł się pojawić zarówno w legendzie, jak i koszmarze sennym, typem mężczyzny, o których szeptały pokojówki w Londynie. Mężczyzną, o którym kobiety cnotliwe, takie jak ona, śniły po nocach.

Na jego twarzy malował się gniew. Annabelli przypomniał się oglądany niedawno w muzeum obraz, na którym rozwścieczony Zeus ciska piorunami w uciekającą Herę.

Stojący przed nią mężczyzna włosy miał długie i czarne jak u pirata. Emanował jednocześnie spokojem, opanowaniem i pewnością siebie. Pomyślała, że na pewno zachowuje się tak jak ma ochotę, nie zważając na konwenanse, przyzwoitość ani zasady dobrego wychowania. Właśnie to zaparło jej dech w piersiach. Na jej czole pojawiły się maleńkie kropelki potu, a w głowie zabrzmiał ostrzegawczy głos: trzymaj się od niego z daleka!

Nie przypominał on żadnego mężczyzny, którego wcześniej znała bądź tylko widziała przelotnie, gdyż gdyby minęła go podczas jazdy konnej w Hyde Parku lub też spacerując po St. James's Street, z pewnością zwróciłaby na niego uwagę i eksplodowałyby w niej te same co teraz uczucia. Nie była to tylko kwestia okoliczności.

To on był ich powodem.

Był zdecydowanie najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Annabella kiedykolwiek widziała, w taki szorstki, lekko gburowaty sposób. I bez wątpienia miał na sobie także wyjątkowo dziwaczne ubranie. Był wysoki i dobrze zbudowany, a jego długie nogi opinały spodnie, które po uważniejszym zlustrowaniu wydawały się uszyte z jakiejś zwierzęcej skóry, którą uznała za odpowiednią dla barbarzyńcy.

Koszulę miał równie niebieską jak oczy, a jego biodra otaczał pas z przytwierdzonym doń pistoletem. Dziwnie to wyglądało. Był najwyraźniej na kogoś bardzo zły.

A tym kimś okazała się właśnie ona.

- Czy zawsze wybałuszasz gały niczym przerażony lis, kiedy kogoś spotkasz na swojej drodze? - spytał szorstko, obdzierając Annabellę z i tak nędznych resztek godności i pewności siebie.

- Wpatrywała się w kulę do krokiet, która spoczywała w jego ogromnej dłoni.

- Twoja? - zapytał.

Nie mogąc wydobyć z siebie głosu, dziewczyna skinęła głową.

- Jesteś niemową?

Potrząsnęła głową.

- A mówisz po angielsku?

Tak, ale nie mam pewności, czy ty potrafisz, chciała odpowiedzieć, ale zamiast tego odezwała się słabym głosem:

- Tak, mówię po angielsku.

Spojrzał na młotek w jej dłoni, po czym potarł czoło.

- Jeżeli cię to w ogóle obchodzi, w co wątpię, diabelnie mało brakowało, byś roztrzaskała mi czaszkę.

Annabella początkowo nic nie odpowiedziała. Zbyt absorbowano ją myślenie o tym, że matka gotowa byłaby ugotować ją w garnku z zupą z porów, gdyby się o tym dowiedziała. Ciarki ją przeszły na samą myśl, co by zrobił jej ojciec.

- Najmocniej pana przepraszam. Czy bardzo boli? Może przyniosę panu trochę wina korzennego? Albo może herbatę ziołową? Chciałby pan usiąść?

Ross wsłuchał się w muzykę, jaką był dla niego głos tego cudownego stworzenia, i opuścił go cały gniew. Przerzucił kulę przez murek i skupił uwagę na tej zachwycającej dziewczynie. Była drobna, miała zielone oczy, czarne włosy i kontrastującą z nimi mlecznobiałą cerę, która we wszystkich odpowiednich miejscach była zaróżowiona niczym płatki róży. Przyszło mu do głowy kilka rzeczy, które mógłby zrobić, by wywołać rumieniec na całym jej ciele.

Ku zdziwieniu Annabelli jego twarz złagodniała. Dziewczyna poczuła taką ulgę, że aż ugięty się pod nią kolana i przechyliła się, by się oprzeć o murek.

Mężczyzna zaklął i dał krok w jej kierunku.

- To przecież ja dostałem w łeb, a ty mi tu prawie mdlejesz. Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

- Jesteś blada jak płótno.

Dziewczyna uniosła dłoń i dotknęła policzka, który okazał się gorący i wilgotny od potu. Było jej wstyd, że jest takim tchórzem, i się boi odezwać, a jeszcze bardziej wziąć nogi za pas. Wiedziała, że nie może spędzić reszty dnia stojąc tutaj i trzęsąc się ze strachu przed tym ogromnym, zagniewanym mężczyzną i że powinna okazać choć odrobinę czegoś takiego, jak dobre manieiry. Mogłaby się zapytać o jego samopoczucie. Już to zrobiłaś, zganiła się w duchu. Cóż, w takim razie mogłaby się jakoś wytłumaczyć. Wzięła głęboki oddech i otworzyła usta. I wtedy zupełnie niepotrzebnie popatrzyła w jego oczy.

A to był błąd.

Nic, ani staranne wychowanie, ani dotychczasowe kształcenie nie przygotowało jej na co, czego doświadczała w tej właśnie chwili. Z jakiegoś dziwnego powodu jedyne, co jej przychodziło do głowy, to stwierdzenie: „Cóż za miłe spotkanie”, które nie mówiąc już tym, że kompletnie nie na miejscu, było także absurdalnie banalne.

- Kim pan jest? - udało jej się wreszcie płaczkliwie i z wysiłkiem wyjąkać.

Ross lekko się uśmiechnął i odrzekł:

- Sądzę, że to ja powinienem zadać takie pytanie.

W tej chwili stał już dużo bliżej, a jego ręka znajdowała się niepokojąco blisko dłoni dziewczyny, w której ciągle tkwił młotek do krokietu.

Popatrzył na białe knykcie i znieruchomiała, drobną dłoń.

- Mogę? - zapytał miękko.

Do Annabelli dotarło, że wygląda on na znacznie bardziej ubawionego, niż powinien, mając na uwadze jego zranioną głowę. Pośpiesznie się odsunęła. Możliwe, że uczyniła to nieco zbyt szybko, gdyż poleciała do tyłu na kłujący krzew ostrokrzewu. Nie zdążyła jeszcze upaść, a usłyszała soczyste przekleństwo i poczuła stalowy uścisk, gdy została poderwana do góry.

- No już - odezwał się Ross. - Oddaj mi to, zanim zrobisz sobie krzywdę.

Wyciągnął rękę, a ona posłusznie oddała mu młotek.

Głupia, głupia, pomyślała Annabella, gdybyś miała choć trochę rozumu, ponownie uderzyłabyś go w głowę i nabiła mu jeszcze jednego guza.

Mężczyzna zmarszczył czoło i zmierzwił dłonią włosy.

- Nie trzęś tak portkami, dziewczyno, nie mam zamiaru cię skrzywdzić - rzekł, odkładając młotek na ziemię.

Po raz pierwszy przestraszyło ją coś poza faktem, że nabiła mu ogromnego guza.

- Nie boję się pana - oświadczyła i natychmiast pożałowała swoich słów, gdyż w oczach nieznanego zapaliło się światełko zainteresowania.

Ogarnięty nagłą czułością, Ross obserwował uroczy sposób, w jaki jej policzki nabierają koloru dojrzalej brzoskwini.

- Jesteś tego pewna? - zapytał miękko. Dotknął wierzchem dłoni jej policzka i przyjrzał się wąskiej, czerwonej prędze. - Zadrapałaś się.

- Nie szkodzi. To nie boli. Proszę mnie nie dotykać.

Uśmiechnął się.

- Rozumiem, że do tej pory niewiele czasu spędziłaś sam na sam z mężczyzną.

- Nigdy tego nie robiłam - odparła, odyskując zdolność mówienia. Jednocześnie zaczęła w niej zbierać gniew.

Wolała już gniew niż przerażenie, która odczuwała zaledwie kilka chwil temu. Uznała to za dobry znak.

- A wiesz, skarbie, że to mnie nawet nie dziwi.

- Proszę mnie tak nie nazywać! Nie jestem pana... Nawet pana nie znam.

- Aaa, ale mogłabyś poznać.

- Nie! Nie mogłabym. Nie jestem taka, za jaką mnie pan uważa. Robi pan błąd.

Ross zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu.

Nie wyglądasz jak błąd - rzekł wreszcie. - Ani trochę. - Ponownie pogłaskał ją po policzku, po czym dotknął podbródka i uniósł jej głowę do góry. - I nie czuję, byś była błędem. - Jego głos miał teraz ochryple brzmienie.

Annabella wciągnęła głęboko powietrze i zrobiła krok w tył, przygotowując się na kontakt z kłującym ostrokrzewem, jednak zamiast tego znalazła się niespodziewanie w ramionach nieznajomego. W czasie gdy próbowała przyjąć do wiadomości, że właśnie znajduje się w męskich objęciach, Ross pocałował ją tak delikatnie, że z jej głowy uleciały wszelkie myśli.

Dotknął jej warg zadziwiająco czule, a dziewczynę ogarnęła niezwykła słabość, która nie pozwoliła jej na odepchnięcie intruza. Stała sztywna i niezdarza i czuła, że zostaje wydarta ze świata szczerzej niewinności do innego poziomu świadomości. Ross dotknął dłonią jej odkrytej szyi. Przyciągnął ją bliżej, a ona delektowała się ciepłymi promieniami słonecznymi, które otaczały ich ze wszystkich stron. W uszach szumiało jej tak głośno, że to nie mógł być rój brzęczących pszczoł. I wtedy zaczęła oddawać jego pocałunki, tak jakby nie była w stanie mu się w żaden sposób oprzeć.

- Nie była pewna, czy gorąco, które czuje, pochodzi od słońca, czy też od tego potężnego mężczyzny, który wciąż trzymał ją w ramionach.

- Mieszkasz gdzieś niedaleko? Może poszlibyśmy gdzieś, gdzie bylibyśmy sami? - zapytał Ross, odrywając usta od jej warg.

Annabella dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że już nie czuje naporu męskich warg i że on teraz myśli już o czymś zupełnie innym. Może i była naiwna i niedoświadczona, ale potrzebowała zaledwie sekundy, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

I wtedy ciszę przerwał głos po drugiej stronie muru:

- Bello, gdzie jesteś?

Tam był jej brat, tuż za murem, i szukał jej. Dziewczyna poczuła wszechogarniającą ulgę.

- Bello, czy mnie słyszysz? - zawołał ponownie Gavin, tym razem głośniej.

Lada chwila znajdzie furtkę i doprawdy wątpliwym było, by nie domyślił się wtedy, co się tutaj dzieje.

Kochany, słodki Gavin. W jego głosie pobrzmiwało zaniepokojenie. Myśl, że martwi się o nią, podziałała na Annabelle uspokajająco, a razem ze spokojem ogarnęło ją zakłopotanie i poczucie winy. Jak wielu ludzi jej ufało? Oczywiście Gavin. No i rodzice. Nie wspominając już o narzeczonym. Jak mogła zachować się tak nikczemnie?

- Kto to? Twój kochanek?

Nieznamy uśmiechnął się chytrze, widząc jej oburzenie.

- Nigdy się tego nie dowiesz.

- Jesteś pewna? Istnieją bardzo przyjemne sposoby wydobywania potrzebnych informacji. I efektywne. Jak według ciebie daleko pozwoliłabyś mi zejść, zanim wyśpiewałabyś mi wszystko, co tylko bym chciał?

Wołając imię brata, Annabella odepchnęła natręta, odwróciła się na pięcie i pobiegła przed siebie, pozostawiając po sobie jedynie dywan żółtych, różanych płatków i leżący na trawie młotek do krokietu.

Ross nie miał zbyt wiele czasu na przeanalizowanie spotkania z tym uroczym stworzeniem, gdyż w zamku czekał na niego zniecierpliwiony Percy.

- Nareszcie jesteś, ty włóczęgo. Już się martwiłem, że nie zdążysz na czas, bym mógł ci przekazać kilka informacji związanych z balem. Wiesz, oczywiście, że musisz się wyszykować znacznie wcześniej. Dziadek oczekuje, że będziesz stał przy jego boku w szeregu powitalnym.

- Jakim szeregu powitalnym? Witającym co? Co to w ogóle do diabła jest szereg powitalny?

Lord Percival, człowiek o bezgranicznej cierpliwości, odrzekł:

- Jest to szereg dam i dżentelmenów, którzy bądź są mieszkańcami zamku, bądź też zostali w jakiś sposób uhonorowani przez gospodarza. Staniesz w tym szeregu obok dziadka i będziesz przedstawiany przybywającym gościom.

- Wszystkim trzystu osobom?
- Chyba że część z nich w ostatniej chwili odwoła swoje przybycie.

W takim razie dlaczego zmusiłeś mnie do uczenia się tych wszystkich tańców, skoro przez cały wieczór będę stał w szeregu?

Kąciki ust Percy'ego drgnęły mimo jego starań, by zachować surowy wyraz twarzy.

- Dłatego, żebyś potrafił tańczyć, a po cóż innego?

- Nie będę miał na to czasu. Trzysta osób... Święty Sebastianie! Podejrzewam, że w życiu nie widziałem iż aż tylu, a już na pewno nie naraz. Kiedy byłem mały, na niedzielną mszę przychodziło jakieś trzydzieści pięć osób. Wtedy myślałem, że to prawdziwy tłum. Raz na jakiś czas w saloonie w Forcie Worth potrafiło się zebrać jakieś sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Ale trzysta? - Ross potrząsnął głową i skierował się w stronę drzwi.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał Percy.

- Na przejażdżkę konną.

- Tylko wróc przed piątą.

- Tak jest, ciociu Percy. - chłopak dygnął i złożył na czubku głowy Anglika pocałunek, po czym zniknął za drzwiami.

Lord Percival roześmiał się i zawołał za nim:

- Tylko pilnuj czasu!

Ross oczywiście się spóźnił.

Gdy wrócił do zamku, lord Percival chodził przed jego drzwiami tam i z powrotem niczym wściekłe głodny wilk.

- Witaj, Percy.

Ten chwycił go za ucho i porządnie wykręcił.

- Nie baw się teraz w powitania, ty szelmo. Zostaw je sobie na później. - Otworzył drzwi do pokoju podopiecznego. - Spóźniłeś się i nie zostało nam dużo czasu.

Wszedł za Rossem i oznajmił, że książę chce, by jego wnuk włożył na bal „tradycyjny strój szkocki”.

Ross czuł, że coś się zaraz wydarzy. Słowa „tradycyjny strój szkocki” działały mu na nerwy, a to nie bardzo mu się podobało. Odwrócił się i skrzyżował ręce na piersi, wpatrując się z napięciem w lorda Percivala.

- Jaki tradycyjny strój szkocki masz na myśli?

Ktoś zapukał do drzwi. Na ich progu stał Robert. Percy skinął na niego, na co on wprowadził do środka mężczyznę mającego na sobie krótką, szalową spódnicę w kratę. Ross widział już, rzecz jasna, taki ubiór. W korytarzach w zamku Dunford wisiały portrety jego przodków, ubranych właśnie tak. Ale

nigdy wcześniej nie widział żywego mężczyzny w kilcie. Wiedział, że kiedyś był on tradycyjnym szkockim strojem, został jednak zakazany przez Anglików po bitwie pod Culloden. Nie powiedziano mu za to, że nadal się go nosi, ani, co gorsza, że i on może zostać o to poproszony.

- O nie - zaprotestował stanowczo, unosząc ręce, by odeprzeć ewentualny atak. Ruszył w kierunku drzwi. - Nie zmusisz mnie, bym to założył. Nawet nie próbuj.

- Ross...

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

- Czy zechcesz mnie wreszcie wysłuchać?

- Słuchanie ciebie zawsze wpędza mnie w kłopoty.

- Twój dziadek też będzie miał na sobie kilt.

- Dla mnie może go nosić nawet i król Anglii! - ryknął Ross.

- Nie mamy króla - odparł Percy - lecz królową.

- Nie. - Zanim lord Percival zdążył dodać choć jedno słowo, spytał: - Gdzie jest dziadek?

- Jest teraz w sali tanecznej i rozmawia z przybyłymi wcześniej gośćmi. Jego podopieczny zmierzył wzrokiem drzwi.

- Ross - rzucił ostrzegawczo Percy. - Nie możesz tam teraz pójść. Nie w takim stroju i bez zapowiedzi.

- A właśnie, że mogę. - Błyskawicznie znalazł się przy drzwiach. - Przypatrz się tylko.

Energicznie pomaszerował korytarzem, zastanawiając się jednocześnie nad tym, co dokładnie powie Mackinnonowi. Słychać było tylko odgłos jego kroków.

Wiodące do sali tanecznej dwuskrzydłowe drzwi otworzyły się gwałtownie i uderzyły o ścianę. Pięcioro czy sześcioro gości odwróciło się, by dojrzeć, jak do środka wchodzi Ross, a za nim z przeproszającym wyrazem twarzy lord Percival, i Robert. Pochód zamykał mężczyzna w kilcie.

Twarz księcia poczerwieniała.

- Co to ma wszystko znaczyć? - zapytał, a jego głos był dużo grzeczniej-szy niż wyraz oczu.

- Coś mi właśnie powiedziano i przyszedłem sprawdzić, czy to prawda.

- A o co chodzi? - księżę nie krył zniecierpliwienia.

- O to, że mam dzisiaj założyć kilt. Czy to prawda?

- Tak.

- Nie zrobię tego - parsknął Ross.

- Porozmawiamy o tym później - oświadczył zdecydowanie Mackinnon.

- Nie. Nie ma o czym. Nie założę kiltu i już. Możesz mnie straszyć, ile chcesz... -jego wnuk przerwał, by zaczerpnąć tchu, i spojrzął w bok.

Natychmiast ponownie zabrakło mu powietrza. W odległos'ci kilku kroków od jego dziadka stała najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziały jego oczy.

Wydawała mu się także bardzo, ale to bardzo znajoma.

Chwilę wcześniej Annabella stała pomiędzy matką i hrabiną Stoneleigh, kiedy, ta druga wciągnęła powietrze i zapytała:

- O mój Boże! Kto to jest?

Annabella odwróciła się i popatrzyła w tym samym kierunku. Na salę wkraczał właśnie energicznie mężczyzna. Był wysoki i dobrze zbudowany. I wtedy ją olśniło. Wiedziała, kim on jest.

Poczuła ukłucie niepokoju, świadoma, że w każdej chwili może ją dostrzec i rozpoznać i głośno przypomniał o ich spotkaniu. Jej tętno przyspieszyło, a ciało zeszywniało z napięcia. Jeżeli on o tym wspomni, jak ona wytłumaczy się ojcu?

Mężczyzna właśnie umilkł i patrzył prosto na nią. Nie miała wątpliwości, że ją rozpoznał. Z twarzy Annabelli odpłynęła cała krew, gdy ktoś wyszeptał, kim on jest. Jego nazwisko zabrzmiało niczym wystrzał armatni: lord Leslie Ross Mackinnon. Wnuk księcia Dunford.

Przygotowała się na to, co za chwilę nastąpi, na słowa, po których, gdy tylko skończy się spotkanie z księciem, jej ojciec natychmiast po nią pośle.

Musiała jednak przypisywać zbyt duże znaczenie ich spotkaniu, gdyż on nie wspomniał o nim teraz ani słowem. Zamiast tego dojrzała w oczach księżęcego wnuka błysk rozpoznania, a po chwili na jego twarzy pojawił się leniwy uśmiech. Bez słowa, nie dając po sobie poznać, że już się zdążyli poznać, odwrócił głowę.

Spojrzął na lorda Percivala, a potem na mężczyznę w kilcie.

- Co on ma pod spodem? - zapytał, a Annabella bez mała osłabła z ulgi.

Gdyby Ross teraz na nią spojrzął, dojrzałyby jej pełen wdzięczności uśmiech, jako że dziewczyna nie miała wątpliwości, że odwracał uwagę celowo. Ale dlaczego? Nie dane jej było poznać odpowiedzi, gdyż lord Percival zakaszczał i rzekł:

- To nie jest kwestia, którą będziemy roztrząsać w obecności dam.

- Muszą mi państwo na chwilę wybaczyć - przeprosił księżę Dunford. - Wygląda na to, że mam do rozwiązania nieoczekiwany problem. - Mówiąc to, Mackinnon dał znak lordowi Percivalowi, by udał się za nim.

Ross w tym czasie był już w połowie drogi do drzwi.

Kiedy cała trójka dotarła do biblioteki, hamujący się do tej pory księżę wybuchnął:

- Co to do diabła ma znaczyć? Czy wyleciały ci już z głowy wszystkie zasady dobrego wychowania, które staraliśmy się w ciebie wpoić?

- Jeżeli już chcesz rozmawiać o dobrych manierach, to gdzie się podziały twoje, kiedy zaprezentowano mi najnowszą niespodziankę? Jeżeli mam być ubrany jak ofiara, zasługuję przynajmniej na to, by mnie o tym wcześniej poinformowano. I jeszcze jedno: jeżeli nie przestrzegam nakazów i dobrych obyczajów, których mnie uczyliście, to może dlatego, że wy także tego nie robicie.

Te słowa najwyraźniej nieco ostudziły gniew dziadka.

- W porządku, wygląda na to, że zderzyliśmy się głowami i żaden z nas nie okazał się zwycięzcą. Zechcesz mi wreszcie powiedzieć, dlaczego tak nie podoba ci się pomysł założenia stroju twoich przodków?

- Chodzi o to, że tak właściwie jest to spódnica. I pozostanie nią bez względu na to, jak ją nazywasz. Aha, i nie powiedziałeś mi jeszcze, co się nosi pod nią.

- To samo, co ty masz pod tymi swoimi skórzanymi spodniami - wtrącił Percy. - Nie powinno więc być to dla ciebie nowością.

- Pewnie że nie jest! Ale do wszystkich diabłów, nie będę paradował z gołym tyłkiem w spódnicy, którą podwiewa wiatr! - ryknął Ross, po czym nagle przypomniał sobie, jak to pewnego razu został zmuszony do ucieczki ze spodniami przerzuconymi przez ramię. - Wiem, co to znaczy jechać konno z gołym tyłkiem. Nie mam zamiaru powtórzyć tego doświadczenia. - Z tymi słowami wypadł jak burza z biblioteki.

Mackinnon popatrzył na Percy'ego.

- Oddałbym połowę tego, co mam - rzekł powoli - żeby poznać okoliczności, które towarzyszyły tej jeździe.

Percy spojrzął na swego przyjaciela.

- Ja też. Idę o zakład, że byłoby warto - stwierdził.

- O tak - zgodził się książę, patrząc z czułością na drzwi, za którymi przed chwilą zniknął jego wnuk. Niebieskie oczy lśniły wewnętrznym blaskiem. - Och, żeby tak znowu być młodym. - Klepnął starego druha w ramię. - Nieźle użyliśmy życia, co, Percy?

- Oj, nieźle. - Percy zamilkł i popatrzył na księcia. - Czy ty kiedykolwiek... urwał.

- Czy ja kiedykolwiek co?

Percy lekko się zaczerwienił.

- Czy kiedykolwiek jechałeś konno z gołym tyłkiem?

- A owszem - odparł książę. - Żeby tylko raz.

Odrzucił głowę do tyłu i obaj głośno się roześmieli.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Ross Mackinnon poszedł na wydawany przez dziadka bal.

Ale nie założył kiltu.

Zostało mu jeszcze pół godziny do zejścia na dół. Stał teraz w swoim pokoju i rozmyślał o tym, że dzień balu jest jak na razie najgorszym w jego dotychczasowym życiu. Właśnie żałował, że nie może się cofnąć w czasie i zacząć go od początku, kiedy kątem oka dojrzał w lustrze swoje odbicie. Nie mógł uwierzyć w to, że wpatrujący się w niego mężczyzna to on sam. Podeszedł nieco bliżej. Oczy były jego. Usta także. No i jeszcze dłonie. I to by było na tyle.

Cała reszta należała wyraźnie do kogoś zupełnie innego. Kto by pomyślał? Oto on, Ross Mackinnon, który był w stanie pokonać w picciu i biciu, jeździe konnej i oczywiście zdobywaniu kobiet połowę mężczyzn w Teksasie, i cóż on takiego robił? Stał tutaj w czarnym fraku, białej kamizelce i nowomodnym krawacie i wyglądał tak, jakby się starał być kimś, kim nie jest. Czuł się przy tym jak mały pies w wysokiej trawie.

Większość jego myśli stanowiły soczyste, opisowe słowa, które wyrażały jego zakłopotanie i irytację, że musi robić z siebie głupca dla, jak to określał Percy, „wzbogacenia jego kontaktów towarzyskich”.

Psiakrew. Robienie z siebie głupca to jedno. Zupełnie czym innym jest ubieranie się przy tym jak głupiec.

- Dokładnie tak, jak w tym sezonie noszą się dystyngowani dżentelmeni we Francji - rzekł głośno, naśladując akcent lego drania Douglasa i powtarzając jego wcześniejsze słowa.

Ross nie dbał w najmniejszym nawet stopniu o (o, co w tym sezonie noszą dystyngowani dżentelmeni we Francji. W jakimkolwiek zresztą sezonie, jeżeli chodzi o ścisłość.

Zmierzył wzrokiem swój oficjalny strój wieczorowy, wiedząc, że tego typu ubrania pasują do mężczyzny jego pokroju jak pięść do nosa. Do tej

pory zawsze szczycił się jednym: nigdy nie starał się udawać kogoś, kim nie jest. Mając na sobie te wszystkie czarne i białe ciuchy... cóż, wyglądem przypominał skunksa, a jego możliwości pojmowania przekraczało zrozumienie, dlaczego ktoś chciałby ubierać się jak jakiegokolwiek zwierzę. Musiał przyznać, że widział już w życiu dziwniejsze rzeczy. Jednak skoro już miał wyglądać jak zwierzę, dlaczego musiał to być właśnie skunks?

Wsunął palec pod ciasny, sztywny kołnierzyk i mocno go pociągnął. Okropnie go to wszystko uwierało. Człowiek nie może poruszać się normalnie w takiej uprzęży.

Pomyślał też o swoich braciach i wyobraził sobie wyraz ich twarzy, gdyby go mogli teraz zobaczyć. Ta myśl przyniosła ze sobą uczucie tęsknoty za domem, ale po raz kolejny powtórzył sobie, że przyjeżdżając tutaj, dobrze zrobił. Pomyślał sobie także coś innego: Mackinnon, gdybyś miał w głowie choć odrobinę rozumu, założyłbyś swoje skórzane bryczesy i batystową koszulę i tak wystrojony poszedł na dziadkową fetę.

Ale przecież obiecał. A od przyjazdu wbijano mu do głowy, że Mackinnon nigdy nie cofa danego słowa.

Poprawił krawat, myśląc z zadowoleniem, że przynajmniej w sprawie kiltu nie ustąpił. Dziwna nazwa: kilt. Od czego ona pochodzi? Zastanawiając się nad narodowym strojem szkockim, że uświadomił sobie jedną rzecz. W porównaniu z kiltem to skunksowe przebranie nie wydawało się wcale takie złe. Mogło być znacznie gorzej.

- Ale mogło być także cholernie lepiej - mruknął.

Nie uśmiechało mu się zbytnio wybieranie się dokądkolwiek w takim stroju. Czuł się w nim gorzej niż przemoknięty szop. Niewiele pomagała świadomość, że wszyscy będą ubrani właśnie tak. Ci ludzie na dole byli do tego przyzwyczajeni.

W przeciwieństwie do Rossa.

Ludziom na dole było całkiem wygodnie w takich ubraniach.

Rosowi nie.

I wiedział, że goście dziadka szybko to odkryją. Wystawi się na pośmiewisko, a jeżeli Ross Mackinnon miał jakiś słaby punkt, była to obawa przed śmiesznością.

Jego reakcja nie byłaby może tak gwałtowna, gdyby na powierzchni pamięci nie wypłynęło nagle bolesne wspomnienie z dzieciństwa i nie pękło niczym bańka powietrza. Przypomniał sobie dawny ból. Ból, jaki się czuje, gdy jest się wyśmiewanym.

Dorastał w biedzie. Był „biedny jak szczyny i obierki z kartofli”, jak to określał zawsze kierownik poczty w Groesbeck, gdy tylko Ross i jego bracia

zjawiali się w mieście. Bycie biednym oznaczało wiele rzeczy, ale najbardziej utkwiało mu w pamięci donoszenie ubrań po dwóch starszych braciach. Do czasu, gdy nadchodziła jego kolej, ciuchy prawie nie nadawały się do noszenia.

W ciele Rossa pojawiło się stare, znajome napięcie. Wszystkie szyderstwa i kpiny były czymś, czego nie umiał usunąć z pamięci, a przynajmniej nie całkowicie. Nawet teraz bolało to przypomnienie, jak inne dzieciaki żartowały sobie z jego ubrań. Doskonale pamiętał ich docinki i wyzwiska, a także smutek i żal, który ogarniał go zawsze, gdy chłopcy w szkole gromadzili się wokół niego, by się naigrować.

Czasami zastanawiał się, jakim sposobem to wszystko przetrzymał, jak to możliwe, że nie uciekł z podwinętym ogonem i się nie poddał. Ale to oznaczałoby porzucenie szkoły i przyznanie się do porażki, a to nigdy nie leżało w jego naturze, ani też żadnego chłopaka od Mackmnonów. Nigdy nie poprosił braci o prowadzenie batalii w jego imieniu. Nicholas i Tavis mieli własne problemy i świadomy tego Ross nie obarczał ich dodatkowo swymi kłopotami.

Mimo upływu tych wszystkich lat nadal pamiętał metaliczny zapach strachu, pragnienie ucieczki i skrycia się i jak blisko był spełnienia tego pragnienia. Jakże inaczej mogłoby wyglądać jego życie, gdyby pewnego upalnego dnia nie dowiedział się, że jest jeszcze inny sposób.

Po jednej szczególnie obfitującej w prześmiewki przerwie Ross wymknął się ze szkoły nad rzekę, by tam móc w spokoju lizać rany. W czasie, gdy nauczycielka dzwonkiem wzywała dzieci do klasy, on puszczał po powierzchni wody kaczki. Następnego ranka został przywołany do biurka panny Lori Pettigrew, która poprosiła go o pozostanie po lekcjach. Przez resztę dnia wpatrywał się tępo w głowy siedzących przed nim uczniów. Nie kusiło go nawet, by pociągnąć Pearline Howser za jej gruby warkocz albo umoczyć jego koniec w kałamarnu.

Kiedy lekcje się skończyły, Ross posłusznie stanął przy biurku panny Pettigrew. Wciąż pamiętał, jak bardzo chropowate były deski, na których stał z bosymi stopami.

Nie przejmował się zbyt reprimendą, jakiej z pewnością udzieli mu panna Pettigrew, ale męczarniami, które go czekają ze strony innych chłopców, oczekujących przed szkołą na jego wyjście.

- Rossie Mackinnon - zaczęła nauczycielka. - Martwię się o ciebie.

Chłopak przełknął ślinę.

- Tak, psze pani?

- Czy wiesz może, dlaczego się martwię?

Z zakłopotaniem wcisnął ręce do kieszeni i utkwił wzrok w podłodze.

- Nie... nie jestem pewny - wymamrotał.

- Mów głośniej, Ross. Nie jestem w stanie cię zrozumieć, kiedy mówisz tak niewyraźnie.

- Nie, psze pani. Nie wiem, dlaczego jest pani na mnie zła.

Twarz panny Pettigrew złagodniała.

- Nie powiedziałam, że jestem na ciebie zła, ale że się o ciebie martwię. Martwię się, ponieważ radzisz sobie na lekcjach nie tak dobrze jak dawniej, ponieważ wczoraj opuściłeś zajęcia i wydaje mi się, że nie za dobrze dogadujesz się z kolegami.

- Tak, psze pani.

- Czy masz może coś do dodania poza „psze pani”?

- Nie, psze pani. Chyba nie mam.

Panna Pettigrew westchnęła.

- To nic nie da, Ross. Nie będę tolerować zuchwalstwa. Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego nagle zacząłeś mieć w szkole takie kłopoty.

- To chyba przez moje ubrania.

Nauczycielka wyglądała na zdumioną.

- Twoje ubrania? Cóż mogą mieć wspólnego ze szkolnymi kłopotami?

Ross przypomniał sobie teraz, jak to opowiedział nauczycielce o swoim zniszczonym odzieniu i o tym, jak przez to inni chłopcy się z niego wyśmiewają i wołają na niego „Ross łachmaniarz”, albo „obdarty Mackinnon”. Już się szykował na zawarcie bliższej znajomości z grubym linałem panny Pettigrew za powiedzenie czegoś takiego, kiedy stała się rzecz niesłychana.

Zamiast surowego wykładu bądź klapsa linałem usłyszał:

- Nic dziwnego, że nie idzie ci zbyt dobrze.

I wtedy nauczycielka zrobiła coś, czym na zawsze zdobyła sobie jego serce. Niczym cyklon wybiegła zza biurka, chwyciła dłoń chłopca i pociągnęła go za sobą tak energicznie, że z jej koka wypadły dwie spinki, a od spodni Rossa odczepiła się jedna szelka.

Dał spokój szelce, ale pośpiesznie podniósł z podłogi spinki i podał je swojej nauczycielce. Nie zatrzymując się, schowała je do kieszeni. Najpierw opuścili budynek szkolny, a po chwili dziedziniec, po czym przeszli kilka jardów dalej na środek drogi, tuż za teren szkoły. Dopiero tam się zatrzymali. Panna Pettigrew puściła dłoń swego ucznia i odwróciła się do niego.

- Muszę ci coś powiedzieć, Rossie Mackinnon, i chcę, żebyś uważnie wysłuchał i zapamiętał każde wypowiedziane przeze mnie słowo, ponieważ nie mam zamiaru niczego powtarzać. Rozumiesz?

Chłopiec przełknął ślinę i powoli skinął głową.

- Dobrze. A teraz słuchaj. Nie mówię ci tego jako twoja nauczycielka i nie mówię tego na należącym do szkoły terenie, ani w czasie przeznaczonym na zajęcia. Dlatego przyprowadziłam cię tutaj, z dala od budynku szkolnego. Mówię ci to jako twoja przyjaciółka, podczas mojego wolnego czasu i na drodze publicznej. - Na chwilę zamilkła, tak jakby chciała zobaczyć, czy jej uczeń wszystko rozumie, po czym kontynuowała: - Jeżeli komuś piśniesz choć słowo z tego, co ci powiem, przysięgnę, że wszystko zmyśliłeś. Czy wyrażam się jasno?

Ross kiwnął z przejęciem głową.

Położyła dłoń na głowie chłopca.

- Słuchasz mnie, Ross? Uważnie?

Pokiwał głową dwukrotnie.

Nauczycielka przechyliła lekko głowę, wyraźnie usatysfakcjonowana, po czym oświadczyła:

- Następnym razem, i mam na myśli naprawdę od razu następny raz, kiedy jakiś chłopiec będzie się z ciebie wyśmiewał, zaciśnij dłonie w pięści i daj mu to, na co zasługuje. I nie przestawaj, dopóki nie osiągniesz celu. Słyszysz?

Ross słyszał. To samo kazali mu zrobić starsi bracia, ale w ustach panny Pettigrew zabrzmiało to jakoś właściwie. Następnego dnia zastosował się do rady swojej nauczycielki.

I nigdy nie zapomniał tej chwili. Ani panny Pettigrew. Pójdzie do grobu, mając w pamięci jej wygląd tamtego dnia, jej rude włosy i błyszczące, niebieskie oczy, które w pewien sposób nie pasowały do stereotypu nauczycielki ani sympatycznej baptystki. Ross uważał, że jeżeli jakakolwiek kobieta poza jego matką jest odpowiedzialna za jego słabość do płci pięknej, jest to na pewno jego dawna nauczycielka.

Wtedy przypomniał sobie, jak to panna Pettigrew zmarła tamtego lata na dyfteryt i na chwilę ogarnęło go przygnębienie.

Był teraz w pełni dojrzałym mężczyzną, a wspomnienia już wyblakły i postanowił nie zwracać sobie nimi w tej chwili głowy. Ponownie przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze, by zająć myśli czymś innym.

Zmierzył wzrokiem łańcuszek od ukrytego w kieszonce kamizelki złotego zegarka, po czym wyjął go i sprawdził godzinę. To była jedyna sensowna część jego stroju.

Wyszedł z pokoju i ruszył się korytarzem w stronę dużych, dwukrotnie zakręcających dębowych schodów, które mogły zapewnić doskonałe wejście

nawet komuś znacznie wyższego rodu. Było to jednak coś, czego Ross pragnął za wszelką cenę uniknąć. Poczul na sobie świdrujące spojrzenia gości. Nie czułby się bardziej absurdalnie, gdyby znalazł się tutaj goły jak święty turecki. Dzięki Bogu było jeszcze dość wcześnie i na sali nie zebrało się na razie zbyt wiele osób.

Gdy jego stopa stanęła na ostatnim stopniu, spostrzegł czarnowłosą boginię, z którą zdążył już wcześniej zawrzeć znajomość. Miała na sobie lekką jak mgiełka, białą balową suknię przybraną falbankami. Najczerwieńsze szkockie kwiaty upięte były w jej włosach i na całej sukni. Przyglądał się, jak dziewczyna zamyka wachlarz i wciska go pod pachę, po czym poprawia białe rękawiczki.

Pragnąłby zacząć od tychże właśnie cienkich rękawiczek, zsunąć je ze szczupłych, długich palców, jedną po drugiej, i upuścić na ziemię. Potem zdjąłby z niej suknię i wszystko, się pod nią, pozostawiając ją jedynie w pończochach i satynowych pantofelkach i z tymi ognisto czerwonymi kwiatami w czarnych jak atrament włosach.

Kim ona jest?

Nie potrzebował dużo czasu, by znaleźć Percy'ego i zadać mu to pytanie.

- Lady Annabella Stewart.

- Jest przepiękna.

- Obawiam się, że nie do wzięcia - rzekł Percy.

- Znaczy się ma już męża?

- Nie, ale niedługo będzie miała.

Ross wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- To znaczy, że jest jeszcze do wzięcia.

- Daj spokój. Jest tak blisko ołtarza, jak to tylko możliwe, Ross. Jej zaręczyny zostały oficjalnie ogłoszone, a to oznacza, że nie możesz już prosić o jej rękę.

Ross roześmiał się.

- Nawet nie miałem zamiaru - oświadczył, przyglądając się Annabelli i nie kryjąc swego zainteresowania. - Jest wiele innych części jej ciała, które znacznie bardziej mnie interesują.

- Powiedziałem, żebyś dał spokój, drogi chłopcze. Mężczyzna, który przy niej stoi to John Gordon, hrabia Huntly i jednocześnie jej przysły małż. Przebiegły diabeł, którego nigdy nie chciałyś poznać.

- Przysły małż, Percy. To znaczy, że wciąż się można z nią zabawić.

- Nie w Szkocji... ani w Anglii.

- W Anglii? - Ross zaśmiał się. - Nie planuję ścigać jej aż tak daleko. - Przynął się bliżej i wyszeptał: - Nie będę musiał.

Jego opiekun nie wątpił w to ani przez chwilę.

- Ta dziewczyna jest Angielką - rzucił ostrzegawczo. - A oni żyją w zupełnie inny sposób. Jest córką księcia, chłopcze, i nie zapominaj o tym, że mamy dziewiętnasty wiek. Pięćdziesiąt lat minęło, odkąd górale po raz ostatni plądrowali osady, przrzucali książęce córki przez siodła i uprowadzali je.

- Mnie nie chodzi o uprowadzenie... - Ross ponownie spojrzał na Annabelle. Właśnie się uśmiechała. Na tle czarnych włosów jej zęby wydawały się równie białe jak materiał sukni. - Nie obchodzi mnie, czy jest Angielką, Szkotką, czy też nagą dzikuską z Afryki. Jest przepiękna i tyle. Nie interesuje mnie jej drzewo genealogiczne ani przeszłość - dodał. - Jedynie przyszłość. A poza tym jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, ta dziewczyna jest bardziej Szkotką niż Angielką.

- Niech to diabli! Czy rozumiałeś choć jedno słowo z tego, co powiedziałem? To jest kolosalna różnica, chłopcze. Ta panienka była wychowywana na Angielkę.

- Jeżeli chodzi o mnie, nie ma to żadnego znaczenia. Mogłaby być i wodną nimfą, wynurzającą się z górskiego potoku. Powiedziałem ci, że jest przepiękna i tylko to się liczy.

- Mylisz się. Największe znaczenie ma fakt, że jest zajęta, bez względu na to, jak bardzo chce ci się z nią flirtować.

- Chce mi się z nią dużo więcej niż flirtować. - Ross roześmiał się, widząc szok na twarzy Percy'ego. - Spokojnie, staruszk. Do tej pory powinienś już się nauczyć, że ostrzeżenia nie są w stanie mnie zniechęcić. - Poklepał Anglika po plecach. - Nie martw się. Przysięgam, robisz się gorszy niż stara baba. Nie wiesz, że jedyne, co możesz zyskać tym ciągłym zamartwianiem się, to kolejne siwe włosy? - Nagle spowaźniał. - Nie zmienisz mojego zdania, Percy. Równie dobrze możesz więc przestać próbować.

Odwrocił się, by odejść, ale Percival przytrzymał go za ramię.

- Posłuchaj, Ross. Wtrącanie się w ten związek byłoby bardziej niż głupie. Skutki tego mogłyby się okazać fatalne. Coś takiego jak zdrada nie istnieje formalnie w Szkocji od wielu lat. Jednym z najszybszych sposobów jej odświeżenia jest pchanie się między Stewartównę i Gordona. Zostaw ją w spokoju. Możesz jedynie napytać sobie biedy. Rodziny obojga są niezwykle wpływowe.

- Bardziej wpływowe niż Mackinnonowie? - zapytał Ross, unosząc wysoko brwi.

- Wiesz równie dobrze jak i ja, że wiele lat temu Mackinnonowie utracili sporo wpływów na rzecz Macleodów. Stanowią teraz skromny klan, zadowo-

lony z tego, że zamieszkuje to, co im zostało z wysp Mull i Skye, mieszając drambuie z ich słodową whisky i wrzosowym miodem. Ponieśli już wystarczająco dużo strat, chłopcze. Nie doprowadzaj do kolejnych tylko dlatego, że spodobała ci się jakaś panienka. - Percy zerknął w kierunku Annabelli. - Może i jest śliczna jak obrazek, ale Szkocja jest pełna takich dziewcząt. Połowa z nich znajdzie się dzisiaj na balu twego dziadka. Wybierz sobie którąś z nich.

Ross klepnął go w plecy.

- Obawiam się, staruszkule, że już na to za późno. Wiesz przecież, co się mówi o tym, że serce nie służy i tym podobne.

Te słowa ani trochę nie ugłaskały lorda Percivala.

- Ta dziewczyna została uznana za najlepszą partię sezonu. Starali się o nią spadkobiercy najznakomitszych angielskich rodzin. Ktoś z klanu Mackinnonów nie miałby szans, nawet gdyby była jeszcze wolna.

W oczach jego podopiecznego pojawił się niebezpieczny błysk.

- Mój drogi Percy, tym razem nie zastanowiłeś się nad swoimi słowami.

Zerknął na ciemnowłosą piękność. - Myślę, że najwyższy czas, by Mackinnonowie odzyskali choć część dawnej chwały, o której tyle mi opowiadałeś.

Widząc, że troska Anglika nie jest udawana, Ross roześmiał się. - A teraz, ciociu Percy, przestań się już o mnie martwić. Obiecuję, że będę się dziś bardzo dobrze sprawował.

- Akurat - odparł sucho. - Masz mnie za głupca, chłopcze? - Jego następne słowa były jednym wielkim ostrzeżeniem. - Ani twoje żarty, ani przymuszanie się ci nie pomogą. Zapominasz, że jestem zbyt starym i doświadczonym kocurem, by zostać przechytzonym przez kociaka.

Świadomy tego, że wystawia na próbę cierpliwość przyjaciela, Ross odrzekł:

- Cóż, w takim razie jeżeli ma cię to uspokoić, obiecuję, że nie urządzę dzisiejszego wieczoru żadnej sceny.

- Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym w to uwierzyć.

- A więc zrób to. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Mam przecież te wspomnienia, nowo zdobyte dobre maniery, pamiętasz?

- Ja pamiętam - odparł zwięźle Percy. - Modlę się tylko, abyś pamiętał o nich także ty.

Po jego odejściu Ross wziął z tacy kieliszek z czymś mocniejszym i z ciekawością udał się na inspekcję. Zauważył zmiany, jakie specjalnie na ten bal poczyniono w przestronnym korytarzu i na sali tanecznej. Wyjrzał przez ogromne okno, zlustrował ogród, po czym stanął na chwilę przed potężnych

rozmiarów portretem swojej praprababki, a następnie przyjrzał się uważnie wojowniczeemu portretowi pierwszego przywódcy klanu Mackinnonów. Obraz ten wydawał się górować nad całym pomieszczeniem.

Ale żadna z tych rzeczy tak naprawdę go nie interesowała. Ułatwiły jedynie rzucanie ukradkowych spojrzeń piękności odzianej w białą, anielską suknię. Wyglądała przepysznie z każdego rogu sali. Ross nie miał dość patrzenia na nią, kiedy kamerdyner oznajmił przybycie księcia i dodał, że niedługo powinien się uformować szereg powitalny. Ross przywitał się z dziadkiem, po czym został oficjalnie przedstawiony Huntly'emu.

Pomiędzy mężczyzn natychmiast wkradła się niechęć.

Hrabia pierwszy rzucił rękawicę.

- Wygląda na to, że ma pan oko na piękne kobiety.

- Czyżby? - wycodził Ross. - A ja zawsze myślałem, że jest dokładnie na odwrót.

Kąciki ust Huntly'ego zrobiły się białe, ale Mackinnon udaremnił mu wypowiedzenie kolejnych słów.

- A tak, mój chłopak ma oko na dziewczęta, to pewne, ale przecież żadna ładna panienska nie zjawiałaby się na jakimkolwiek balu, gdyby nie była pewna, że znajdzie się na nim choć jeden młodzieniec pragnący schlebiać jej próżności.

Gdy dziadek i Huntly odeszli na bok, Ross ponownie zaczął strzelać oczami do dziewcząt, a tak właściwie to tylko do jednej. Wpatrując się w Annabellę zauważył, jak zbliża się do niej jej brat. Nawet z tej odległości łatwo było dostrzec łączące ich uczucie.

- Bello, wyglądasz w tej sukni jak anioł - oznajmił Gavin, obejmując szczupłą kibić siostry i mocno ją ściskając.

- Ty szelmo! - zawołała księżna i uderzyła ramię syna wachlarzem. - Gavin, uważaj na to, co robisz. Zgniatasz różę na sukni Belli.

- Oj, przepraszam. Psiakość, to było z mojej strony naprawdę paskudne.

- Chłopak żartobliwie zmarszczył czoło. - Obawiam się, że zdeptałem lilie.

- A już na pewno zgmiotłeś moje różę - odparła jego siostra i roześmiała się, po czym przyjrzała się sukni. Poprawiła szybko kilka kwiatów. - Proszę - dodała po chwili. - Wszystko już w porządku. Szkody naprawione. - Spojrzenie Annabelli, którym obdarzyła swego brata, było tak samo pełne uwielbienia jak jej matki krytyki.

- Nie pozwól, żeby uszło mu to płazem - rzekła księżna. - W przeciwnym razie nie będzie chciał zachowywać się jak utytułowany Anglik, a nie niczym niesforne szczenię z ogromnymi łapami i małym rozumkiem.

Annabella uśmiechnęła się do Gavina.

- Ale wszyscy kochają niesforne szczenięta - oświadczyła.

- To prawda, ale nie wydają swoich córek za nich za męż, a pozwól, Gavinie, że ci przypomnę, iż dzisiejszy bal stanowi dla ciebie doskonałą okazję, by przyjrzeć się młodym dziewczętom ze szkockiej śmietanki towarzyskiej. A więc nie zapominaj o dobrych manierach, ty psotny, mały szczeniaku, i skończ te swoje figle, zanim dostrzeże je wasz ojciec.

- Jeśli będzie jedynie patrzył, nie powinno mnie to martwić - odparł Gavin.

- Dobrze wiesz, że na patrzaniu się nie skończy - przypomniała mu żartobliwym tonem siostra.

Wyraz dezaprobaty na twarzy księżnej wywołał uśmiech jej syna, jednak Annabella wiedziała, że wyczerpała już pokłady matczynej cierpliwości. Jeżeli chodzi o brata, rodzice byli bardziej pobłażliwi. Znosili jego eskapady i jowialne żarty z pełnym opanowaniem. Dziewczyna podejrzewała, że istnieją dwa powody takiego zachowania: po pierwsze był on chłopcem, a po drugie jedynym ich synem. Bez względu jednak na powód wiedziała, że rodzice nie zniosą podobnego zachowania u którejkolwiek ze swych sześciu córek.

Żartobliwy nastrój prysł. Annabella odzyskała swój właściwy spokój i przyglądała się, jak brat z przesadną gorliwością całuje dłoń matki, po czym odchodzi w kierunku ojca.

Kochany Gavin. Uwielbiała go. Być może dlatego, że był jej jedynym bratem. A może z tego powodu, że był jej najbliższy wiekiem. Może dlatego, że cieszył się wolnością i zabawą, których ona była pozbawiona. Jednak przypuszczała, że głównym powodem było to, że Gavin jest taki uroczy, wyraźnie uwielbia najmłodszą siostrę i zawsze bierze jej stronę.

Annabella kochała w nim wszystko: począwszy od niedbałości, z jaką nosił swoje eleganckie stroje, skończywszy na sposobie, w jaki potrafił wszystkich oczarować. Przyglądała się, jak brat odchodzi, odsłaniając tym samym dla jej wzroku wnuka księcia, który był właśnie przedstawiany innym członkom jej rodziny.

Zastanawiała się, która z obecnych tutaj uroczych, młodych kobiet, które strzelają do niego oczami, stanie się jego zdobyczą. W pewnej chwili poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Ledwie dostrzegalnie odwróciła głowę i jej wzrok skrzyżował się ze spojrzeniem książęcego wnuka. Zauważyła jego pełen uznania i rozbawiony uśmiech. Skinął w jej kierunku głową. Zanim się odwróciła, posłała mu spojrzenie, w którym obecne było ostrzeżenie.

Annabella pośpiesznie otworzyła wachlarz, by ochłodzić swoją nagle zaczerwioną twarz. Zrobiła to tak energicznie, że wachlarz wypadł z jej dłoni, uderzając w najbardziej krępujące miejsce markiza Pentland, który miał tego pecha, że właśnie obok niej przechodził. Przez chwilę znajdowała się w niezwykle upokarzającym, kłopotliwym położeniu. Co robić?

Przeprześć, rzecz jasna.

I zrobiłaby to. Natychmiast.

To znaczy, gdyby przeprosinami nie potwierdziła, że wie, gdzie jej wachlarz uderzył markiza. Postąpienie wbrew nakazom dobrego wychowania było do niej doprawdy niepodobne. Annabella doskonale o tym wiedziała, jednak w tym przypadku uznała, że jest to konieczne. Zignorowała więc ten drobny incydent.

Ten łobuz, wnuk księcia Dunford, nie był aż tak wielkoduszny. Do diaska! Przyłapaną znieca, wpatrywała się w niego z senną, ospałą fascynacją. On także obserwował ją, a po jego twarzy błąkał się uśmiech. Stojąc niczym marmurowy posąg, Annabella czekała, aż skończy te swoje oględziny, jednak kiedy bez pośpiechu mierzył ją od stóp do głów, nie pomijając żadnego fragmentu ciała, tego już było dla niej za wiele. Mimo słabości w kolanach nie pozwoliła sobie na przyjemność odwrócenia się od jego bezpośredniego, niegrzecznego spojrzenia.

Nie mogła sobie przypomnieć, czy powiedział to święty Piotr czy też Paweł: „Staw opór diabłu, a cię opuści”, ale mimo swej krótkiej pamięci właśnie to zrobiła. Na jego natrętne spojrzenie odpowiedziała tym samym.

Jeżeli chodzi o środki odstraszające, ten okazał się zupełnie nieskuteczny.

Nie mogąc się uwolnić od jego spojrzenia, Annabella odwróciła się i rozejrzała w poszukiwaniu Gavina, pragnąc zawołać go, by stanął przy jej boku. Znalazła go i zapragnęła tupnąć z wściekłością. Był odwrócony do niej plecami, nie miała więc możliwości zwrócenia jego uwagi. Musiałaby przejść przez całą salę, a to oznaczałoby znalezienie się przez chwilę krępująco blisko tej właśnie osoby, od której chciała się trzymać jak najdalej. Ostrożnie omijając wnuka księcia, ruszyła jednak w kierunku brata.

Dlaczego tak jest, zastanawiała się, że osoba, której unikasz jak ognia, ciągle pojawia się na twojej drodze? No i niestety działo się tak i teraz.

Widząc, że w jej stronę zmierza książę Dunford, prowadząc za sobą wnuka, Annabella uśmiechnęła się ponuro i przygotowała na trudną przeprawę.

- Chciałbym, żebyś poznał lady Annabelle Stewart - rzekł książę. - To jest mój wnuk, lord Leslie Ross Mackinnon.

Dziewczynę zaczęła piec twarz. Gotowa była się założyć, że ten gruboskórny drań nie omieszka teraz wspomnieć o incydencie z wachlarzem, bądź o ich wcześniejszym spotkaniu i niefortunnym wypadku, z udziałem zabłakanej kuli do krokieta.

Zaskoczyło ją, kiedy Ross ujął jej dłoń i pocałował w równie nienaganny sposób jak każdy wysoko urodzony Anglik.

- Rozumiem, że jest pan w Szkocji nowy, podobnie zresztą, jak i ja? - zapytała, podczas gdy on uporczywie się w nią wpatrywał. Wysunęła dłoń z jego uścisku.

Doskonale wiedząc, że zjawiskowa Annabella przygotowana jest na to, że on wspomni teraz jej wcześniejszą wesołą przygodę z wachlarzem, Ross postanowił ją przemilczeć. Czyniąc to, doprowadził jednak do czegoś, co jeszcze nigdy nie przytrafiło mu się w towarzystwie kobiety. Nie wiedział, co powiedzieć. Kiedy wreszcie się odezwał, z jego ust wydobyło się coś, czego wcale nie zamierzał powiedzieć:

- Może i nowy, ale na pewno nie tak uroczy jak pani.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, gotów był siebie udusić. „Na pewno nie tak uroczy jak pani”? Niebiosa, pomocy! W jakiegoż zmienił się on głupca?!

Dziewczynie z trudem udało się powstrzymać od głośnego śmiechu. Poślała mu przesadnie skromny uśmiech. Popatrzyła na księcia.

- Wierzę, że gdzieś między tymi słowami skrywa się komplement - rzekła lekko.

- Z pewnością - zgodził się książę, rzucając wnukowi kpiące spojrzenie. - Ale niełatwo będzie go panience odnaleźć.

Ross nakazał sobie trzymać buzię na kłódkę. Ale czy kiedykolwiek słuchał się czyichś rad? Prawdopodobnie dlatego właśnie jednak się odezwał:

- Chciałem przez to powiedzieć, że...

Annabella spojrzała na młodego mężczyznę. Jej zielone oczy były zmrużone, ale mimo to widoczna w nich była iskra humoru.

- Wiem, co chciał pan powiedzieć, i bardzo za to dziękuję. - Odwróciła się i powiedziała coś do lorda Percivala.

Ross był wdzięczny niebiosom, że pojawił się lokaj i wyjaśnił, gdzie każde z nich powinno teraz stanąć, co na szczęście odwróciło uwagę od jego pozbawionych sensu słów.

Pierwszy w szeregu stanął książę Dunford, a tuż przy nim Ross. Po jego drugiej stronie zajął miejsce książę Grenville, dalej jego żona, następnie syn Gavin i wreszcie lady Annabella, która stała pomiędzy swym bratem i narzeczonym, hrabią Huntly.

Określenie „szereg powitalny” było, jak uznał Ross, cywilizowaną nazwą prawdziwych tortur. Nigdy podczas jednego wieczoru nie przywitał się z tyloma osobami, ani też nie widział tylu anielskich gorsów, drżących z nadzieją przed jego oczami. I nigdy nie spotkał tak wielu chichoczących, młodych dziewcząt z błyszczącymi oczami, które wzajemnie się o siebie potykały. W porównaniu z nimi Annabella przedstawiała sobą doskonały obraz elegancji i spokoju. Właściwie to patrzyła na niego tak, jakby zrobił się nagle przezroczysty. Oczywiście wtedy, kiedy nie była zajęta posyłaniem mu lodowatych spojrzeń.

Jakiś czas później, kiedy szereg zdążył się już przerzedzić i Ross miał chwilę na spokojne przeanalizowanie sytuacji, z zaskoczeniem stwierdził, że w jego myślach nadal króluje urocza Annabella. Nie potrafił przypomnieć sobie imion innych dziewcząt, które poznał dzisiejszego wieczoru.

Jak dla mężczyzny, który zmienia kobiety równie często, jak koszule, było to szokujące odkrycie. Nie pamiętał, by kiedykolwiek jego myśli okupowała tak długo jedna kobieta, i jeszcze nigdy nie spotkał takiej, która całkowicie uodporniłaby go na wdzięki innych przedstawicielek płci pięknej.

Orkiestra skończyła grać żywą, dziką melodię, która przypominała jakiś wiejski, stary taniec, a po chwili rozległy się dźwięki spokojniejszego walca. Percy zaczął rozglądać się za Rossem. Odnalazł go wzrokiem, opierającego się o jedną ze ścian. Trzymał w dłoni szklaneczkę brandy i wpatrywał się w Annabelle. Odwracając się do księcia, Anglik rzekł:

- Na krzyż świętego Jerzego, Lachlan, ten twój wnuk prosi się o kłopoty.

Mackinnon spojrział na przyjaciela, ale nie wydawał się zbyt z troskany.

- O co?

- Kłopoty. To właśnie one wiszą w powietrzu. Wygląda na to, że robi wszystko, by sprowokować Huntly'ego. Najwyraźniej nie widzi w tym niczego niewłaściwego. Widziałeś, jak posypały się iskry, kiedy ich sobie przedstawili. Huntly nie jest głupcem i ma więcej oczu niż przeciętny człowiek, jako że trzeba liczyć także te należące do jego płaszczących się popleczników, którzy skrywają się w cieniu. Tropienie przez Rossa tej paniutki niczym wygłodniały wilk idący za śladem krwi to jedno, ale czymś zupełnie innym jest pozwolenie, by dowiedzieli się o tym wszyscy obecni na tej sali. On nie stara się zachować najmniejszych nawet pozorów dyskrecji. Gdybym nie wiedział lepiej, gotów byłbym przysiąc, że ten chłopak chce, żeby jego zainteresowanie było jasne dla wszystkich.

- Myślisz, że spodobała mu się ta panienka?

- Bez wątplenia jest nią zainteresowany - odparł sucho Percy. - I guzik go najwyraźniej obchodzi, czy stanie się to jasne dla innych gości.

- Czy to takie oczywiste?

- Tak bardzo, że zauważyłoby to nawet niemowlę.

- Na tej sali nie ma żadnego dziecka - rzucił Mackinnon.

- Ani także zbyt wiele rozsądku. Dlaczego tak go chronisz?

- Stanowiliby piękną parę.

- Wiesz przecież doskonale, że ona nie jest dla niego odpowiednią partią - odparł zdecydowanie Percy. - Dorastała pod opieką guwernantek i jest zbyt młoda i niedoświadczona, by poradzić sobie z mężczyzną takim jak on.

-I sądzisz, że lepiej rzucić ją na pożarcie wilkowi pokroju Huntly'ego?

- Ona nigdy nie zakochałaby się w kimś takim jak Huntly.

- Aha - domyślił się Mackinnon. - I to by ją chroniło.

- Tak, o ile tylko pozostałaby posłuszna i usługowa mężowi. Huntly'emu nie jest potrzebna dziewczyna z charakterem.

- A uważasz, że ta mała Stewartówna go nie ma?

- Tego nie powiedziałem. Nie znam jej na tyle, by móc to stwierdzić.

- Nie trzeba kogoś dobrze znać, by to wyczuć. To coś, co się widzi od razu. - Mackinnon przez chwilę obserwował Annabelle, po czym dodał z namysłem: - Ta dziewczyna ma charakter. Tyle że sama jeszcze o tym nie wie.

- Psiakostka! Ale z ciebie spryciarz. Jak to możliwe, że tak wiele o niej wiesz?

- Ludzka natura jest wszędzie taka sama. Dzieli nas jedynie styl życia i obyczaje. Dziewczyna nie jest w stanie przestać być dziewczyną, tak samo jak ślepy nie przestanie być ślepym. Gdyby przysłała na świat jako chłopiec, dużo wcześniej odkryłaby swoje możliwości i siłę charakteru.

- To nie czyni jej partią dla Rossa.

- Ta dziewczyna jest lepszą partią, niż myśli - stwierdził Mackinnon. Na jego twarzy nieoczekiwanie zagościła zaduma i melancholia. - Przypomina mi moją dziewczynę, Catrionę, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy... Na początku potulna jak owieczka, ale bardzo szybko zaczęła wieść prym.

- Wtedy czasy były inne, a Catriona nie była zaręczona z kimś innym.

- Nawet gdyby była, nic by mnie to nie obchodziło.

Percy wyglądał na zaskoczonego.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że twój wnuk ma prawo starać się o każdą kobietę w Szkocji, która akurat wpadnie mu w oko!

- Gotów jestem pójść o zakład, że żadna inna mu się nie spodoba.

- Powiniennem być przewidzieć, że wszystkie moje ostrzeżenia zdadzą się psu na budę. - Mężczyzna przerwał na chwilę i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu Annabelli. Kiedy ją znalazł, przyjrzał jej się uważnie i z namysłem zmarszczył czoło. - Wydaje mi się niesamowicie pruderyjna - rzekł wreszcie. - Jest kompletnym przeciwieństwem tego twojego wyjątego spod prawa wnuka.

- Są tacy sami - odrzekł ze śmiechem książę. - Ona przypomina suche drewno do podpałki, które może rozpaść jedna jedyna iskra.

- Jeżeli iskra jest tym, czego potrzebuje - rzucił z powątpiewaniem Percy, wyglądając przy tym niezwykle brytyjsko - nie będzie z tym żadnych problemów. Ross w tej chwili wprost płonie namiętnością.

- Ano tak - zgodził się Mackinnon, posyłając wnukowi spojrzenie pełne czułości. - Jaka szkoda, że ten chłopak nie przyszedł na świat sto lat wcześniej. Przypomina dawnych górali, którzy nie dbali o majątek. Wtedy mógłby wziąć sobie tę dziewczynę, jeśliby mu się spodobała. - Uśmiechnął się, widząc konsternację Percy'ego, i poklepał przyjaciela po plecach. - Szykuje się interesujący rok. Mam tylko nadzieję, że Ross trzeźwo oceni sytuację i będzie polegał na swoim rozsądku. Grenville jest człowiekiem honoru. - Książę popatrzył na Annabellę, a po chwili na wnuka. - Nie mogę winić Rossa za to, że ta mała wpadła mu w oko, gdyż jest naprawdę urodziwa.

- Do diabła z urodą. Jest kobietą zaręczoną, a Ross mierzy ją wzrokiem tak, jakby realnie rozważał jej kupno. Nawet ona jest tego świadoma. Posyła mu jak najbardziej zniechęcające spojrzenia. Ross jest głupcem, że to ciągnie po uwagach Huntly'ego.

- Sądzę, że poradzi sobie z Huntlym. I z dziewczyną, jeżeli już o tym mówimy.

- Ja jednak się upieram, że to wszystko źle wróży. Spojrzenia, którymi ją obdarza, są w stanie rozpętać wojnę domową - upierał się Percy.

- Może to choć trochę urozmaici nasze życie - odrzekł Mackinnon, po czym ruszył w kierunku wnuka.

Pograżony w zadumie Ross nie usłyszał, że zbliżył się do niego dziadek. Nieświadomy obecności księcia, przyglądał się, jak po parkiecie wiruje Annabela w objęciach Huntly'ego. Z uporem nie zgadzał się na nazywanie tego mężczyzny jej narzeczonym. Annabelle wymówił w myślach jej imię. Słodka, nieśmiała Annabelle Jesteś równie urocza jak twoje imię. Kiedy Huntly przyciągnął ją bliżej i szepnął coś do ucha, Ross mruknął:

- Stać cię na kogoś lepszego. Dużo lepszego.

- Chyba nie myślisz o sobie jako o tym kimś lepszym, co?

Ross cicho się zaśmiał i spojrzął na Mackinnona.

- A owszem, właśnie siebie miałem na myśli - przyznał. Popatrzył dziadkowi prosto w oczy. - Czy dla ciebie stanowi to jakiś problem?

W oczach księcia pojawiły się ogniki.

- Nie. Ale sądzę, że dla ciebie tak. - Jego spojrzenie pomknęło ku wirującej na parkiecie Annabelli. - Podoba ci się, prawda?

- Bardzo - odparł wnuk, myśląc jednocześnie, jak mało adekwatne jest (o słowo do jego uczuć.

Nie pamiętał, by wcześniej z którąkolwiek kobietą tak bardzo pragnął się znaleźć sam na sam. I jego pragnienia nie kończyły się na tym. Annabella. Nawet jej imię było delikatne i miękkie niczym kobieca dłoń.

Mackinnon westchnął i zmarszczył czoło.

- Percy nie będzie stał po twojej stronie. Zobaczą, co da się zrobić.

Ross popatrzył na dziadka, a na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Chyba nie każesz mi trzymać się od niej z daleka ani zostawić ją w spokoju?

- A czy to by coś dało?

- Nie. Nic.

- W takim razie nie zrobię tego - odparł zwięźle Mackinnon. - Ale nie mogę ręczyć za Percy'ego.

- On nie musi o niczym wiedzieć.

- Uwadze Percy'ego nic nie umknie.

- Porozmawiaj więc z nim.

- Będzie to miało taki sam efekt, jakbym tobie nakazał trzymać się z dala od tej panienki.

- W takim razie życz mi szczęścia.

- Diabelski dzieciak ma diabelskie szczęście.

Ross uniósł pytająco brwi.

- Jesteś więc diabłem?

- Owszem - odrzekł Mackinnon. - A przynajmniej byłem w swoim czasie.

Jego wnuk roześmiał się, po czym skierował wzrok z powrotem na parkiet, nie zauważając jednak spojrzeń innych młodych dam.

Dostrzegł je za to stary książę.

- Czy jesteś pewien, że ta dziewczyna jest właśnie tą jedyną? Nie widzisz, że niejednej panience na tej sali wpadłeś w oko?

Ross pośpiesznie rozejrzał się po sali, zauważając wreszcie promienne uśmiechy i flirtujące spojrzenia, rzucane w jego kierunku przez wiele mło-

dych kobiet. Stanowiło to tak ogromny kontrast z pochmurnymi spojrzeniami, które przez całą wieczór słała mu Annabella, że aż się wydawało zabawne. I wtedy dotarło do niego, że właśnie dlatego nie interesuje go żadna inna. Były zbyt zrównoważone, zbyt doświadczone i zbyt łatwe do rozszyfrowania, podczas gdy Annabella była jedyną kobietą, która przyłożyła mu w głowę drewnianą kulą i kompletnie go ignorowała.

Nie spuszczać z niej oczu, obserwował, jak wiruje na parkiecie w objęciach następnego mężczyzny. Zerknęła raz na niego, rzucając spojrzenie pełne wyrzutu. Ross roześmiał się i po chwili namysłu odwrócił się z powrotem do dziadka.

- Jeżeli spojrzysz na mnie jeszcze raz, będzie moja.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sztywna i skrepowana w ramionach Huntly'ego, Annabella przyglądała się wiszącym nad głowami kandelabrom, a jej uszy rejestrowały wygrywaną przez orkiestrę melodię: głośniejszą, gdy przepływali obok podium dla muzyków, i nieco cichszą, kiedy się od niego oddalali. Po przeciwnej stronie sali matka dziewczyny uśmiechnęła się i z aprobatą kiwnęła głową. Córka odpowiedziała niepewnym uśmiechem, po czym odwróciła wzrok. Przejęta wyprostowała się, omiatając w przelocie spojrzeniem Rossa Mackinnona.

W tej chwili byli się od niego w odległości nie większej niż kilka stóp, a światło świec podkreślało dzikie rysy jego twarzy i jednocześnie niezwykle blask niebieskich oczu. Gra światła na jego twarzy zdawała się uwypuklać jej różne części: najpierw usta, później oczy, a po chwili prosty nos. Wydawało się przez to, że jest on człowiekiem o wielu różnych twarzach, ale zawsze była ta twarz mężczyzny, który wiedział, jak rościć sobie prawo do kobiety. Uświadomienie sobie tego rozbrzmiewało dudniącym echem w jej głowie i napełniało paniką.

To się musi skończyć. Natychmiast.

Jej skrepowanie i zakłopotanie potęgował kobiecy, nieco naiwny sposób myślenia, że potrafi ona jednym spojrzeniem obrócić bieg zdarzeń. Zmarszczyła czoło. Tak naprawdę Annabella nie posłała natrętowi jedynie gniewnego spojrzenia, ale także najbardziej pogardliwą odmowę.

Widząc to spojrzenie, Ross szeroko się uśmiechnął i uniósł pytająco brwi, patrząc jednocześnie na dziadka, który wkładał naprawdę wiele wysiłku w to, by zachować spokój i powagę.

- Wygląda na to - oświadczył wnuk z rozbijającym uśmiechem - że znalazłem sobie dziewczynę.

- Tak, i tym samym sznur kłopotów. Ufam, że wiesz, co to oznacza?

- Wiem.

- Nie będzie ci łatwo, chłopcze. Znasz plany, jakie ma wobec tej panienki jej ojciec, a także moje wobec ciebie. Jestem starym człowiekiem i w dodatku Mackinnonem. Dobro klanu muszę przedkładać ponad wszystko, nawet szczęście wnuka, jeżeli dojdzie do tego.

- W takim razie jesteś przeciwko?

- Wiem, że czasami musisz sobie myśleć, że mam serce wykute z najtwardszej skały, ale ja naprawdę jestem zdolny do ludzkich uczuć. Gdybym tylko posiadał odpowiednią moc, użyłbym jej, by wyrwać tę dziewczynę ze szponów kogoś takiego jak Huntly, bez względu na to, czy interesowałbyś się nią, czy też nie. Nawet głupiec by dostrzegł, że nie jest zadowolona z wyboru ojca oraz to, że rodzice za nią przepadają. Być może użyje tego uczucia jako broni, by wymusić na nich odwrócenie biegu wydarzeń.

- Jeżeli ona tego nie robi, ja z pewnością tak.

- Pomyśl o konsekwencjach, chłopcze. Co będzie, kiedy doprowadzisz do zerwania zaręczyn, tak jak mówisz, tylko po to, by się przekonać, że to dziewczę nie żywi do ciebie takich uczuć, jakich się spodziewałeś?

- Będzie żywić.

- Ale jeśli nie?

- Wtedy i tak lepiej jej będzie bez kogoś takiego jak Huntly przy boku.

- Oj tak - zgodził się Mackinnon, marszcząc czoło. - Wszystko jest lepsze niż to.

Książe wypowiedział te słowa tonem tak posępnym, że Ross, niepomny, iż wszyscy obecni na sali odwrócili głowy w jego kierunku, wybuchnął głośnym śmiechem.

Na sali zrobiło się natychmiast cicho, jednak po chwili powietrze ponownie wypełnił ją szmer prowadzonych przyciszonymi głosami rozmów. Domyślając się, z czego się śmiał wnuk księcia Dunford i rozdrażniona, że zrobił to pomimo posłanego mu chwilę wcześniej groźnego spojrzenia, Annabella żałowała, że nie może tanecznym krokiem wypłynąć za prowadzące do ogrodu drzwi i tańczyć, tańczyć dopóki nie dotrze do Anglii.

Hrabia powiódł ją w tańcu na drugi koniec sali, z dala od Rossa. Obejmował ją w talii, a wzrok utkwiony miał ponad głową narzeczonej. Annabelli przyszło do głowy, że Huntly jest gładki, i oszlifowany jak bursztyn. Było w nim jednak coś, co ją niepokoiło.

Czuła, że postępuje z nią tak samo, jak ona ze swoją czystą krwią kłaczą: z niewielkim naciskiem, mając na uwadze to, że jest nie tylko rasowa, ale także odpowiednio szkolona. Był mężczyzną zagadkowym, który niewiele się do niej odzywał i bez specjalnego powodzenia starał się zachowywać przy-

jazny wyraz twarzy o cienkich, zaciśniętych ustach. Annabella nie wiedziała dlaczego uparcie żywi bojaźliwą nadzieję, że będzie on dla niej przesadnie miły, kiedy przecież ma pełne prawo do bycia w złym humorze. Do tej pory okazywała mu doprawdy niewiele szacunku i uwielbienia poza zdawkowym posłuszeństwem i poważaniem, wymaganym od niej jako jego narzeczonej. Starła się odpędzić od siebie te nieprzyjemne myśli, ale nie opuszczała jej wizja pozostania na zawsze przykutą do tego człowieka.

Nagle znowu miała trzynaście lat, stała przy oknie w zimnej bibliotece, zupełnie nieprzygotowana na surowe życie, jakie czekało ją pod opieką pani Hipplewhite, dyrektorki szkoły z internatem w Berkshire, i przyglądała się, jak rodzice odjeżdżają. Minęło tylko pół roku, nim matka Annabelli dowiedziała się o panujących w tej szkole warunkach i szybko przybyła, by wyrwać stamtąd swoją córkę, ale było to wystarczająco dużo czasu, by ta zdążyła się poczuć porzucona i straszliwie samotna w świecie, który był równie zimny i pusty jak dom, do którego nie przychodzą żadni goście.

Za odczuwany w tej chwili smutek winała Rossa. To jego wina, że nieustannie porównywała go z Huntlym, chociaż w głębi duszy wiedziała, iż nie byłaby z hrabią szczęśliwa, nawet gdyby nigdy nie dane jej było poznać lorda Rossa Mackinnona. Jednak nie była w stanie przestać pytać się w duchu, dlaczego ten łobuz Mackinnon nie niepokoi innej z obecnych tutaj młodych kobiet do wzięcia i to jej nie unieszczęśliwia. Przypomnienie sobie, że ona już nie jest wolna, rozciągnęło się nad głową Annabelli niczym ciemna, deszczowa chmura.

- Czy coś się stało? - zapytał Huntly.

Przez chwilę milczała.

- Nie. Nic się nie stało - odpowiedziała wreszcie. - A dlaczego pan pyta?

- Przez cały wieczór miałas niewiele do powiedzenia, a teraz wygląda na to, że nawet te sporadyczne uwagi gdzieś wyparowały. W ten sposób nigdy się lepiej nie poznamy. - Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, dodał: - Nie jestem głupcem, Annabello, a nawet gdybym nim był, i tak bym zauważył, że nie jesteś zbyt uszczęśliwiona perspektywą pójścia ze mną do ołtarza.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, ale nic na to nie odpowiedziała.

- Nie czynię ci wyrzutów, Annabello. Jedyne stwierdzam fakt... czynię obserwację, jeżeli wolisz, bym ujął to w ten sposób. W każdym razie jesteśmy zaręczeni i byłoby znacznie lepiej, gdybyś postarała się zaakceptować tę sytuację. Mówię to na wypadek, gdybyś nie była poinformowana przez swoją rodzinę, czego wymaga się od młodej kobiety, która właśnie się zaręczyła. Gra szczęśliwą. Pod przymusem albo zupełnie dobrowolnie, nawet jeżeli musi

udawać zachowuje się tak jakby obecność narzeczonego sprawiała jej przyjemność.

Ogromny cień wziął w posiadanie jej serce. Ten mężczyzna, bardziej niż ktokolwiek wcześniej przez nią poznany, napełniał ją przerażeniem. Nie chodziło przy tym o to, że go nie lubi, miało to raczej związek z tym, że przypominał jej pułapki koszarów sennych. I tak właśnie się teraz czuła: jak w kleszczach okropnego koszmaru. Desperacko pragnęła krzyknąć, jednak nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

Dojrzała błysk w jego oczach i z rozpaczą pomyślała, że resztę życia przyjdzie jej spędzić, patrząc na tę twarz- Z jej ust wydobył się cichy jęk.

Huntly ścisnął boleśnie jej ramiona i uśmiechnął się, pochylając przy tym nisko głowę, tak jakby szeptał jej właśnie jakieś czułości i komplementy.

- Zachowuj się, moja urocza przyszła panno młoda. Nic ci nie da, jeżeli twój ojciec będzie myślał, że nie bawisz się dobrze w moim towarzystwie. Nie możesz przecież pozwolić sobie, by go tak upokorzyć, prawda?

Annabella starała się wyszarpnąć z jego uścisku, ale był dla niej zbyt simy. Ręce Huntly'ego jeszcze mocniej zacisnęły się na jej ramionach. Po chwili nieoczekiwanie ją puścił.

- Proszę bardzo - rzekł spokojnie. - Droga wolna. Biegnij w ramiona swego papy i zobacz, jak niezwykle są one pokrzepiające. Nie masz pojęcia, jak bardzo by mnie ucieszyło, gdyby ktoś jeszcze doznał takiego samego upokorzenia, jakie tego wieczora stało się moim udziałem. Nie rób takiej zdziwionej miny, ty beznadziejne połączenie drżących kolan i wilgotnych oczu. Widziałem, jak przez cały wieczór węszy za tobą wnuk księcia.

- Nie wyrzekłam do niego więcej niż pięć słów - rzuciła obronnie.

Mężczyzna zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Nie musiałaś. Zdradziły cię oczy, a twoje zachowanie mówiło więcej niż jakiegokolwiek słowa. Wygląda na to, że nie jesteś w stanie przestać na niego patrzeć, co? - warknął. - Jego ciotka zabiła się przeze mnie. Spodziewała się mojego dziecka. Czy powiedziano ci o tym?

Annabella poczuła, jak ogarniają ją mdłości.

- Nie - odparła, nie będąc w stanie dodać niczego więcej.

Na szczęście taniec wreszcie się skończył.

- Jutro rano wybieram się na polowanie na kuropatwy - oświadczył Huntly. - Planowałem wcześniej, że zabierze mi to tylko dwa dni, ale teraz nie widzę powodu do pośpiechu i do tego, by dotrzymywać ci towarzystwa. Nie będzie mnie przez cały okres twojego pobytu w zamku Mackinnona. Tydzień, Annabelle. Tyle czasu powinno wystarczyć twemu ojcu na ustawienie wszyst-

kiego na właściwym miejscu i położenie kresu twojemu szczenięcemu pociąganiu nosem. Kiedy wrócę, Annabelle, a nie łudź się, że będzie inaczej, spodziewam się, że będziesz się zachowywać jak sumienna i pełna szacunku narzeczona.

- Dlaczego pan to robi? Nie uczyniłam niczego, za co mógłby się pan na mnie złościć.

Poczuła na policzku ciepły oddech narzeczonego. Uniósł dłoń, by dotknąć jej policzka, i odwrócił jej twarz w swoją stronę, ignorując to, że się wzdrygnęła. Tak szybko, jak się pojawił, dziki gniew w jego oczach wyparował. Gdyby Annabella nie uważała go za niezdolnego do takich uczuć, uznałaby, że w jego oczach pojawił się ślad współczucia.

- Sądziś, że dlaczego chciałem cię poślubić, kiedy mógłbym mieć niezliczone ilości innych kobiet? Odkryłem, że poza tym, iż jesteś całkiem urodziwa, jesteś także świeża, niewinna i chowana pod kloszem. To właśnie twoja świeżość i brak złych nawyków przyciągnęły moją uwagę. Jakkolwiek rozumiem, że pragnęłabyś kogoś młodszego, nie mam zamiaru z ciebie zrezygnować. Nie wiem, czy mi uwierzysz, kiedy to powiem, ale moim pragnieniem nie jest unieszczęśliwianie cię ani zadawanie ci bólu. Pragnę tylko znaleźć jakiś sposób, byś była szczęśliwa, myśląc o naszym zbliżającym się ślubie. Twój ojciec jest człowiekiem honoru. Jestem pewny, że potrafi cię przekonać, byś spojrzała na to innymi oczami, jak również że położy kres twemu szczeniackiemu zaślepieniu. Na nieszczęście przekonuję się, że mam niezwykle mało cierpliwości, jeżeli chodzi o innego mężczyznę smalącego do ciebie cholewki. - Opuścił dłoń.

- Ale...

- Tydzień - powtórzył, przerywając jej. - Wrócę za tydzień, by towarzyszyć tobie i twojej rodzinie w podróży po Szkocji. Spodziewam się, że do tego czasu nauczysz się zachowywać odpowiednio. - W jednej chwili Huntly stał i mówił jej, czego od niej oczekuje. W następnej już go nie było.

Sala natychmiast zaczęła błyszczeć od powstrzymywanych łez. Jedyne, czego Annabella pragnęła w tej chwili, to zaszyć się w samotności i rozplakać się. Nieoczekiwanie cały jej strój wydał jej się stanowczo zbyt ciężki: warstwy hałek, ciężkie jedwabne falbanki przy sukni, ciasno zasznurowany gorset z wbijającymi się w ciało fiszbinami. Nawet upięte we włosach kwiaty zdawały się być z ołowiu.

Po przeciwnej stronie sali dojrzała swą matkę i ruszyła w jej kierunku, ale po kilku krokach zmieniła zdanie. Księżna nie jest głupia. Zauważy, że oczy jej córki za bardzo błyszczą, a twarz jest dziwnie blada. Wzięła z tacy

przechodzącego obok lokaja kieliszek ponczu, po czym przyłączyła się do grupy dziewcząt w jej wieku, które zdążyła już wcześniej poznać. Stała z boku i udawała zainteresowanie tematem ich rozmowy. Co jakiś czas wtrącała jakąś nic nie znaczącą uwagę, jednak tak naprawdę myślami była daleko, daleko stąd.

Wpojone w nią zasady dobrego wychowania nakazywały jej dobrze się bawić i nie pozwolić, by zniszczyły to słowa Huntly'ego, ale z drugiej strony pragnęła po prostu wziąć nogi za pas. Marzyła także o tym, by w swoim pokoju wsunąć się pod chłodną, przyjemną kołdrę i zatracić w przynoszącym ulgę śnie.

Wypiła do końca zawartość kieliszka, zbyt późno odkrywając, że to nie poncz, lecz szampan. Może to i lepiej. Czując lekki szum w głowie, Annabella pomyślała o tym, co by się stało, gdyby Huntly porozmawiał z jej ojcem. Ojciec mógłby przyspieszyć datę ślubu. Mógłby posłać ją do klasztoru, by spędziła nadchodzące miesiące w odosobnieniu. Mógłby ją wydziedziczyć. Mógłby też udzielić córce surowej reprimendy oświadczając, że ma ona jeszcze jedną szansę i że byłoby lepiej, gdyby jej nie zmarnowała.

Podczas gdy ona czuła się tak fatalnie, Ross kończył właśnie taniec z młodą dziewczyną o imieniu Maeve, której ruchy lekkością dorównywały jej trajkotaniu. Odprowadzając Maeve do grupy jej znajomych, dojrzał Annabelle. Dziewczyna najwyraźniej zamknęła się w sobie i we własnym świetle, tak wydawała się odległa od otaczających ją ludzi i zdarzeń. Przez chwilę rozważał możliwość podejścia do niej i nawiązania luźnej rozmowy, jednak coś go przed tym powstrzymało. Między gośćmi szybko i pewnie przechadzał się lokaj z pełną tacą. Gdy znalazł się obok Rossa, ten wziął kieliszek, po czym znalazł dla siebie spokojne miejsce w kącie sali, gdzie mógł oddać się temu, co interesowało go teraz najbardziej: przyglądaniu się Annabelli.

Była zdecydowanie zbyt młoda na smutek, gdyż z pewnością to właśnie on pozbawił jej uroczą twarz koloru, którym natura zazwyczaj obdarowuje płatki róż. Szukał wzrokiem wśród gości, ale nie dojrzał Huntly'ego, mimo że widział go, jak zostawił Annabelle po ich ostatnim tańcu. Czy to strach przed własnym narzeczoną, czy też zbliżający się ślub wywoływał taki smutek na jej uroczej twarzy? Jego krótka wymiana zdań z hrabią uświadomiła mu, jaka przyszłość ją czeka. Ross potrafił sobie wyobrazić, co czuje młoda kobieta, gdy oto jej życie skończy się z chwilą zawarcia małżeństwa z mężczyzną w takim wieku, iż mógłby być jej ojcem. I właśnie ten tęskny smutek na jej twarzy tak bardzo go do niej przyciągał. Jedyne, czego w tej chwili pragnął, to zbliżyć się i wziąć ją w ramiona.

Zobaczył, że Annabella opuszcza salę. I to właśnie myśl o ogarnięciu jej swymi ramionami i pocieszeniu jej - a nie o tym, co mógłby z nią zrobić, gdyby już ją odnalazł - sprawiła, że także wyszedł.

Bella planowała przemyknąć się do swojej sypialni, ale nie chciała po drodze zwracać na siebie niczyjej uwagi. Pękała jej głowa, czuła się stara, zgorzkniała i kompletnie wyczerpana, a dodatkowo przestraszyły ją dotyczące ojca uwagi Huntly'ego.

Nie chciała być dla ojca ciężarem, ani tym bardziej powodem jego upokorzenia. Spiesznie przemykając przez najdłuższy z możliwych korytarz, pragnęła niepostrzeżenie dotrzeć do schodów, a potem do swego pokoju. Ze spuszczoną głową szybko posuwała się naprzód. Nagle ze skrzyknięciem otworzyły się jakieś drzwi i Annabella zderzyła się narzeczonym. Tuż za nim pojawili się dwaj mężczyźni, przy jego nogach skamlały zaś dwa spaniele.

- Och - wyrzuciła z siebie tylko, próbując wyrwać się z kleszczy jego ramion.

- Gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że nie bawisz się za dobrze - rzekł Huntly. - Nie stój tak, załamując ręce i wyglądając jak ofiara, ty głupi dzieciaku. Powiedz mi może, dokąd zmierzałaś w takim pośpiechu.

- Nigdzie... do mojego pokoju.

- Hmm, to znaczy dokąd? Nigdzie? Czy też do pokoju?

Towarzyszący mu mężczyźni roześmieli się i to ponownie rozdrażniło psy. Huntly dotknął dłonią jej czoła. Annabella przeniosła spojrzenie z mężczyzn na hrabiego. Była pewna, że ją sprawdza. Tym razem wiedziała, że lepiej go nie odpychać.

- Uśmiechnął się.

- A więc boli cię głowa?

:

Jeden z mężczyzn zaśmiał się.

- To zazwyczaj następuje dopiero po baraszkowaniu, nie, Huntly?

- Zamknij się, głupcze.

Mężczyźni zarechotali, a psy zaczęły biegać w kółko, na przemian piszcząc i szczekając. Annabelli zrobiło się niedobrze.

- Nie sądzę, by twoja głowa bolała cię mniej w sypialni niż tutaj na dole ciągnął Huntly. - Idź do salonu i poczekaj tam na mnie. Każę komuś przynieść ci ziółka.

- U siebie w pokoju mam specjalne proszki. Działają dużo szybciej niż herbata ziołowa. Pobiegnę tam tylko i...

Już się odwracała, kiedy dłoń Huntly'ego zacisnęła się na jej ramieniu.

- Nawet nie chcę słyszeć, skarbie, o tym, że miałabyś cierpieć w samotności.

Mężczyźni prychnęli, a Huntly rzucił im karcące spojrzenie.

- Jeżeli upierasz się przy proskach, pójdę na górę i poproszę o nie twoją pokojówkę. Betty, nieprawdaż?

Skinęła głową.

- Zaczekaj na mnie w salonie.

Annabella wiedziała, kiedy należy dać za wygraną. Pragnąc czym prędzej usunąć się z zasięgu jego wzroku, poruszała się szybciej niż myślała, że jest to możliwe. Wpadła do salonu i pośpiesznie zatrzasnęła za sobą drzwi. Oparła się o nie, prawie omdlała z ulgi. Zamknęła oczy i czekała, aż bicie jej serca nieco się uspokoi. Przeklinała się za to, że jest takim tchórzem i słabuszem. Nie czuła takich zawrotów głowy i oszołomienia od dnia, w którym zjadła zbyt wiele rodzynek, zatopionych w morzu ciepłego miodu i francuskiej brandy. Do jej uszu dobiegł śmiech Huntly'ego. Umysłowo stawiała go mniej więcej na tym samym poziomie co jaszczurki, ślimaki, pająki i baranie podroby, a może nawet jeszcze niżej. Żałowała, że nie ma w sobie odwagi, by pójść tam z powrotem i głośno domagać się przeprosin. A kiedy już by je otrzymała, oznajmiłaby, że nie zgadza się na to, by został jej mężem. Ale oczywiście jak zwykle skończyło się na myślach. Już ja ci się pośmieję, ty... ty psiarzu, pomyślała mściwie.

Psiarz?

Dziewczyna poczuła prawdziwą desperację. Psiarz. I ona, która nawet nie była w stanie powiedzieć mu niczego jadowitego, nawet w myślach. Żalując, że nie ma silniejszego charakteru i wiedząc jednocześnie, że takie żale niczego nie zmienia, Annabella podeszła do obitej dekoracyjną tkaniną sofę i usiadła, by poczekać na Huntly'ego. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była przekonana, że jednak jest inaczej, że ma charakter, tyle że jest zbyt nieśmiała, by zrobić z niego właściwy użytek. Jakże pragnęła móc po prostu wstać i wyjść.

A dlaczego by tak nie zrobić?

Huntly byłby wściekły.

No i co z tego? Niech sobie będzie.

Przełamując wpajaną od dzieciństwa niechęć wobec wszelkich form nieposłuszeństwa, zerwała się z sofę i rozejrzała po salonie. Nie ma sensu iść teraz do sypialni, jako że w tej chwili jest tam z pewnością Huntly. Gdyby wróciła na salę balową, bez trudu by ją tam odnalazł. Nie było innego miejsca, gdzie mogłaby się skryć. A może zamknęłaby drzwi i twierdziła potem, że zrobiła to przypadkowo, po czym zmęczona czekaniem zasnęła na sofie?

Gdy zbliżyła się do drzwi, trzęsły się jej kolana. Przyłożyła do nich ucho i nasłuchiwała. Mężczyźni nadal stali na korytarzu i rozmawiali.

- Lepiej idź po te proszki dla swojej damy, Huntly, w przeciwnym razie nieźle ci się dostanie.

- Dostanie? - Parsknął hrabia. - Bardzo wątpię. Ten dzieciak nie ma w sobie dość ikry. A jeżeli chodzi o ból głowy... Dokuczaj jej w równym stopniu co mnie albo wam.

- Co masz więc zamiar zrobić? Kazać jej czekać? Nie zapominaj, że mamy do dokończenia naszą karcianą partyjkę.

- Nie zapomniałem, nie bój się. Ta mała może poczekać. Nic się jej nie stanie - oświadczył zdecydowanie.

Annabella odeszła od drzwi. Teraz już wiedziała, że Huntly jest nie tylko kanalia, ale i tyranem. Kazać jej czekać, też mi coś. Ponownie zbliżyła się do drzwi i posłuchiwała dalszych słów swego narzeczonego.

- Kiedy będzie miała czas na rozmyślanie - mówił właśnie - i wystarczająco przez to spokojnie, pójdę i przyjmę jej przeprosiny.

Przeprosiny? Bella przyłożyła dłoń do ust, by się głośno nie roześmiać.

Przez chwilę targały nią sprzeczne uczucia. Była rozdarta pomiędzy pragnieniem pokazania Huntly'emu, jak silny jest jej charakter a chęcią utrzymania ojca w niewiedzy o tym, co się dzieje, zachowując swoją pozycję rozsądnej córki angielskiego księcia. Ale wtedy w jej uszach ponownie rozbrzmiały słowa hrabiego.

Przeprosiny?

O nie. Wróci na salę balową i będzie się świetnie bawić. Ostrożnie uchyliła drzwi, by dojrzeć, co się dzieje na korytarzu. Huntly nadal tam stał. Psy także. Obydwa skoczyły w jej stronę. Zamknęła drzwi szybko, słysząc po ich drugiej stronie piski i szczekanie, a po chwili także drapanie.

Przyklękła i wyszeptwała do dziurki od klucza:

- Sio! Odejść mi stąd!

- Wygląda na to, że twoja pani nieźle ci będzie zatruwać życie - rzekł jeden z mężczyzn, po czym wybuchnął śmiechem.

- Z pewnością nie wtedy, kiedy już się pobierzemy - odparł Huntly.

Niewiele myśląc, Annabella zerwała się na równe nogi i przemknęła przez pokój. Znalazła już rozwiązanie. Wymknęła się na zewnątrz przez drugie drzwi, które prowadziły na oświetlaną niewielkimi latarniami trawiastą skarpe. W oddali widziała jedynie kilku przechadzających się gości, którzy najwyraźniej postanowili się nieco ochłodzić po tyłu ognistych tańcach. Przez chwilę kryła się w cieniu zamkowych murów. Przez otwarte drzwi do jej uszu dopły-

wały dźwięki orkiestry, która dostrajała instrumenty przed kolejnym tańcem. Mieszały się z głośnym śmiechem i brzękiem kieliszków.

Uniosła lekko suknię i pośpiesznie ruszyła w dół skarpy, stając ostrożnie po kamienistej ścieżce. Dzieliła na dwie części ogród, w którym powojniki mieszały się z naparstnicą, irysami i polną rutą. Zeszła po trzech schodkach i znalazła się pod łukiem, z którego leniwie osypywały się płatki róż. W swojej białej sukience będzie zbyt widoczna, chyba że pójdzie w stronę jeziora, poza okrąg słabego światła rzucanego przez latarnie. Jej serce mocno zabijało. Co będzie, jeśli ktoś ją zobaczy i doniesie o tym ojcu?

Albo, co gorsza, Huntly'emu?

Brzeg jeziora był ostatnim miejscem, w którym chciałyby spotkać kogoś pokroju swego narzeczonego. Ale... Jeśli będzie ostrożna, w ogóle go nie będzie musiała dzisiaj oglądać.

Otulająca wyspę mgła coraz bardziej gęstniała. Annabella słyszała przed sobą chlupot uderzającej o skały wody.

Zewsząd otaczały ją dźwięki nocy.

Jak to możliwe, że tak bardzo kogoś nienawidzi, kogoś, kogo w zasadzie prawie nie zna? Dotarła do brzegu jeziora, wyrzucając tym samym Huntly'ego ze swych myśli i zamiast tego delektując się pięknem księżycy, który odbijał się w atramentowej wodzie niczym jakaś cygańska błyskotka. Chwilę później natknęła się na pdwrócony kadłub niewielkiej łodzi. Deski były w niektórych miejscach przegniłe, ale mimo to wydawały się solidne. Annabella oczyściła kilka chusteczką, po czym z westchnieniem ulgi usiadła.

Ross nie był typem mężczyzny, który czai się po kątach i śledzi wzrokiem jakąś kobietę. Tak naprawdę nigdy wcześniej coś takiego mu się nie przytrafiło. Dla Annabelli złamał jedną ze swoich zasad. Wyszedł za nią z sali. Na korytarzu dojrzał, że rozmawia z Huntlym. Nagle dziewczyna zrobiła krok w tył i odwróciła się od hrabiego. Ross nie słyszał, co on jej powiedział, ale nie wyglądała na zbytnio szczęśliwą. Patrzył, jak idzie w stronę salonu, elegancka i dystygowana niczym prawdziwa dama, ale jej twarz jest czerwona jak burak, a czoło zmarszczone. No i szła bardzo szybko, tak jakby bardzo się śpieszyła. Albo uciekała od Huntly'ego. Raczej to drugie.

Ross przyglądał się jej, dopóki nie znikła za masywnymi drzwiami salonu. Zerknął ponownie na Huntly'ego. On i dwóch towarzyszących mu mężczyzn stali i dalej ze sobą rozmawiali. Ten dureń najwyraźniej nie miał za grosz rozumu. Nie śpieszył się do niej.

Ross nie miał zamiaru brać z niego przykładu.

Wrócił na salę balową i opuścił ją ponownie, tym razem drzwiami wiodącymi na zewnątrz. Otuliło go natychmiast chłodne, nocne powietrze, przyjemne po duchocie, jaka panowała na sali. Przyjrzał się uważnie czarno-białemu światu, obserwowanemu z góry przez srebrzysty księżyc, tak okrągły i lśniący, że przypominał mu otrzymany od dziadka kieszonkowy zegarek. Nigdy wcześniej nie przypuszczał, że biel może mieć tyle różnych odcieni, aż do bardzo ciemnej szarości. Niebo było czarne, ale ziemia jeszcze ciemniejsza. I wszystko spowijała mgła, w jednej chwili ciemna, a w drugiej biała niczym mleko. To była noc tajemnic, sekretów i intryg, kiedy niebiosy zdawały się udzielać im swego błogosławieństwa, kryjąc świat w oparach gęstej, wirującej mgły.

Prowadzące do ogrodu drzwi salonu były otwarte na oścież. Wszedł do środka. Nikogo. Lekko uchylił drzwi na korytarz. Huntly i jego towarzysze nadal tam stali. Jego psy ruszyły do drzwi, więc pośpiesznie je zamknął. Wszedł z powrotem na zewnątrz.

Gdzie ona poszła? Ruszył opadającą w stronę jeziora, kamienistą ścieżką, rozglądając się wokół, gdy mijał rozstawione w ogrodzie antyczne rzeźby i krzewy pnących róż. Nagle ją dojrzał, siedzącą niczym perła w muszli, opalizującą w blasku księżycowego światła. Szedł w jej kierunku i zatrzymał się w niedalekiej odległości. Annabella była najwyraźniej zbyt czymś pochłonięta, by go zauważyć.

Oczywiście, że widziała dzisiejszego wieczoru tego przystojnego Amerykanina więcej niż raz: dwa razy przez przypadek, a kolejne trzydzieści lub coś koło tego celowo. Uważała, że patrząc na niego, nie robi niczego niewłaściwego. Był barbarzyńcą, a jeden z jej podręczników uczył, że to nic złego przyglądać się im, nawet przystojnym, o ile tylko kończyło się na patrzaniu.

A więc patrzyła. Mniej więcej w ten sam sposób jak wtedy, gdy rodzinę królewską odwiedził w zeszłym roku poseł z Indii - ten, który w podarunku dla królowej Wiktorii przywiózł dwa tygrysy bengalskie. Annabella krok po kroku oddalała się od rodziny i przybliżała do klatki ze zwierzętami po to tylko, by z odległości kilku stóp podziwiać dziwne, a jednocześnie imponujące okazy. Nigdy nie ośmieliłaby się ich oczywiście dotknąć, jednak było coś ekscytującego w przebywaniu w pobliżu niebezpieczeństwa, a jednocześnie w odległości, która gwarantowała jego uniknięcie. Dokładnie tak się czuła, kiedy patrzyła na książęcego wnuka: była podekscytowana, ponieważ wiedziała, że igra z ogniem, a jednocześnie bezpieczna dzięki swemu narzeczonemu, jakkolwiek byłby on niesympatyczny.

Głównym powodem opuszczenia przez nią balu była chęć odzyskania kontroli nad własnym zachowaniem i spokoju, które razem pozwoliłyby jej cieszyć się, a właściwie to przetrwać zaloty narzeczonego. Szkoda, że nie spotkała przypadkiem tego przystojnego Amerykanina. Annabella westchnęła tęsknie i kopnęła leżący przy jej stopie niewielki kamyk. Musiała przyznać, że cieszył ją bieg sprawy. Bez wątpienia przyjemniej było tutaj, nad jeziorem, niż na załoczonej sali. Nie miała ochoty na zaloty narzeczonego i z pewnością nie będą one dla niej przyjemne. Nigdy!

To, czego pragnęła i potrzebowała, to czasu na zastanowienie się, co powinna zrobić. W tej chwili ewentualne wyjścia z obecnej sytuacji nie przedstawiały się zbyt zachęcająco: mogła się utopić albo pójść do klasztoru.

Ponownie westchnęła i popatrzyła przez mgłę na otaczający księżyc pierścien światła. Pomyślała, że gdzieś tam obecny Bóg, wysoko w niebiosach, ponad mgłą, a z pewnością i księżycem, jest pewnie zbyt zajęty dużo poważniejszymi sprawami, by poświęcać uwagę jej problemom.

Annabelle wychowywano zgodnie z nakazami epoki, a więc wpajano jej znajomość niezliczonej ilości form towarzyskich i dobrych obyczajów. To surowe, religijne wychowanie niosło ze sobą ponury, codzienny rytuał, kiedy to ojciec wiodł rodzinę i służbę na poranne modlitwy. Było to coś, co niektórzy uznawali za niezbędne. Ona nigdy do końca nie zrozumiała entuzjazmu rodziców wobec porannych modlitw. Prawdę mówiąc, uważała je nawet za rozdzierające nudne.

Była przyzwyczajona do modlitwy, choć teraz, było już na nią trochę za późno, jako że zaręczyny zostały już oficjalnie ogłoszone. Ale nigdy nie zaszukdzi spróbować. Przecież Daniel był już w jaskim z lwami i prośbę, co się z nim stało.

No a Jonasz? Ona przynajmniej nie znajdowała się w brzuchu wieloryba. W najgorszym wypadku Bóg jej po prostu wysłucha, po czym pozostawi wszystko bez żadnych zmian. Istniała jedna zaleta znalezienia się na samym dniu rozpaczy - nie było możliwe, by spaść jeszcze niżej.

Uznała więc, że teraz albo nigdy.

Pomimo jej formalnego, religijnego wychowania, kiedy Annabella modliła się na osobności, miała w zwyczaju oddalać się od tradycyjnej anglikańskiej surowości i sztywności. Jej modlitwy były bardziej rozmową z Wszechmocnym niż jakąkolwiek inną formą żarliwych błagań.

- Czy jesteś przekonany - zaczęła trzeźwo, utkwivszy poważne spojrzenie w księżycu - że dobrze przemyślałeś to małżeństwo? Z pewnością wiesz, co robisz i w ogóle, ale nie widzę niczego złego w upewnieniu się, że nie

ustawiłeś mnie w parze z człowiekiem, do którego czuję tak wielką antypatię tylko dlatego, że oboje jesteśmy wolni i mieszkamy względnie niedaleko siebie. - Westchnęła, zastanawiając się, czy Bóg zrozumiał cokolwiek z tego, co właśnie powiedziała. - Podejrzewam, że powinnam się teraz wstydzić - ciągnęła - za to, że zawracam ci głowę w takim momencie, kiedy masz dużo innych zmartwień, znacznie poważniejszym niż dziewczęce jęki i problemy, sądzę jednak, że powinieneś wiedzieć, jak diabelnie trudno jest być zaręczonym z kimś, kogo się wyjątkowo nie lubi. - Popatrzyła na mglistą aureolę księżyca, wyobrażając sobie, że to płaszcz białych, powiewających włosów Wszchemocnego. - Ale widzisz, to wszystko jest dla mnie niezwykle ważne. Proszę, nie zrozum mnie źle. Nie jestem niewdzięczna i nie proszę cię, byś robił sobie kłopot i drastycznie zmieniał swoje plany. Ale gdybyś tak miał akurat na oku jakiegoś innego Szkota, którego szybko musisz ożenić, nie miałabym nic przeciwko, gdybyś jeszcze raz to wszystko rozważył i obdarzył mnie innym naręczonym. - Zaczepnęła pokrzepiający haust powietrza i niepewnie milczała przez chwilę, po czym dodała: - A jeśli przez przypadek byłby podobny do wnuka księcia Dunford, absolutnie nic przeciwko temu bym nie miała.

Tej nocy, wypełnionej muzyką i delikatnymi powiewami wiatru, młodej dziewczynie niełatwo było rozmyślać o mężczyźnie, który ani trochę jej się nie podobał i który był starszy od niej o dwadzieścia lat. Tak więc Huntly szybko wyleciał z głowy Annabelli, Oddała się rozmyślaniom, w których królował pewien książęcy wnuk, podziwiający jej dobre maniery, urodę i grację.

Wiedziała, że mało jest prawdopodobne, by lord Ross Mackinnon znalazł się w świecie, który obracał się wokół pięknej, lecz beznadziejnie niedoświadczonej dziewczyny, bez względu na jej dobre maniery, urodę i grację.

Ale Bella od zawsze lubiła oddawać się marzeniom. Nigdy nie wiadomo, kiedy się zdarzy cud, jak sobie często powtarzała.

Zawsze miała w zanadru kilka pomysłów, na wypadek gdyby cud naprawdę nastąpił. I właśnie w tej chwili była w samym środku niezwykle romantycznych wydarzeń z niezwykle przystojnym mężczyzną w roli głównej.

Jeśli zaś chodzi o tożsamość tego niezwykle przystojnego mężczyzny i niezwykle romantyczne wydarzenia - to wszystko okrywała mgła, więc Annabella nie widziała niczego złego w tym, że nada mu wygląd wnuka księcia Dunford i umieści ich razem w otoczeniu odurzająco pachnących krzewów róż, gdzie Ross z zapamiętaniem całuje jej dłoń i zapewnia o swojej dozgonnej miłości. Nagle te przyjemne słowa przerwał przerażający dźwięk.

Stojąc niedaleko niej, Ross w urzeczeniu przypatrywał się pozie, jaką przybrała. Uśmiechnął się do siebie, jednocześnie oczarowany i zaintrygowany tym, co przed chwilą usłyszał. Uczynił krok do przodu, by lepiej słyszeć kolejną część dialogu z Wszechmocnym. I właśnie wtedy przebiegł mu drogę kot, a on się o niego potknął.

Nieoczekiwanie ciche, nocne powietrze rozdarł przenikliwy pisk kota. Zwierzę przemknęło blisko Annabelli i zniknęło w ciemnościach. Dziewczyna zerwała się na równe nogi, ogarnięta strachem. Urwała przy tym niechcący jedwabną wstążkę przy nadgarstku. Przyczepiony był do niej wachlarz, który teraz upadł na ziemię. Annabella z przerażeniem podniosła wzrok i zaledwie kilka stóp od siebie dojrzała księżęcego wnuka. Ubrany na czarno, wyglądał dziko, wyzywająco i zakazanie niczym pirat.

Serce zaczęło jej walić tak mocno, jakby zaraz miało wyfrunąć z jej klatki piersiowej. Nigdy nie czuła się bardziej krucha ani bardziej wystraszona.

W dzielącej ich odległości oczy Annabelli wydawały się ogromne. Zdały się także świecić w ciemnościach. I były pełne bojaźni i nieśmiałości. Ross przyglądał się, jak stoi bez ruchu, niczym jedna z małych, znajdujących się w ogrodzie rzeźb.

- Czy mnie oczy nie mylą? - spytał ojcowskim tonem. - Czyżbym się natknął na morską syrenę?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Oczywiście, że nie, sir, ale śmiertelnie mnie pan wystraszył.

Ross wydawał się jej nie słuchać.

- Zdziwiające - rzekł. - Nawet z takiej odległości widzę, że twarz masz równie białą jak suknię. Czyżby to kot cię przestraszył?

- Nie, pan to zrobił... To znaczy nadal robi... eee, chciałam powiedzieć, że jest pan nieco przerażający.

Och, zamknij się wreszcie, Bello, pomyślała, wściekła na siebie za zbyt długi język. Uniosła trzęsącą się dłoń do czoła i zastanowiła, jak to się stało, że wymknęła się z zamku, by uniknąć uwag jednego mężczyzny po to tylko, by znaleźć się w jeszcze gorszej sytuacji. Najwyraźniej wpadła z deszczu pod rynną. Ten mężczyzna niepokoił ją jednak w zupełnie inny sposób niż Hunlly. Wnuk księcia patrzył na nią tak... cóż, gorąco. Tylko takie słowo przychodziło jej do głowy.

Nadal panowała spokojna nocna cisza. Nawet woda, która normalnie z hałasem uderzała o brzeg, wydawała się milczeć. Wokół nich wirowała mgła, przypominająca grube wstążki pary wydostające się ze stojącego na ogniu kotła. Czas wydawał się w zawieszeniu, tak jakby dzięki czarom udało się im przedostać do zupełnie innego świata, w którym nie było czasu, początku ani końca.

Świadoma tego wszystkiego, Annabella zadrżała z niepewności. Wstydziała się swego tchórzostwa, drżącego, słabego głosu, strachu, o którym wiedziała, iż jest obecny w jej oczach. Każda choć trochę odważna kobieta potrafiłaby sobie poradzić z taką sytuacją i posłałaby intruza do wszystkich diabłów. Jedyne, do czego wydawała się być zdolna ona, to stanie i drzenie niczym galaretką z kurczaka.

Z pewnością siebie tak ogromną, że aż zapragnęła wrzucić go do jeziora, Ross podniósł z ziemi wachlarz z kości słoniowej i podał go jej.

- Pewnie powinienem się cieszyć, że nie uderzyłaś mnie nim tak jak tego biedaka w środku. Czy zawsze posługujesz się tym narzędziem z tak niesłychaną energią?

Annabella nie potrafiła powstrzymać uśmiechu, gdy wyciągnęła rękę po wachlarz. Ross zamknął jej dłoń w swojej. Ta przygoda szybko zaczynała się robić mało przyjemna. Poczowała wzbierającą panikę, gdy mężczyzna nawet się nie poruszył, by uwolnić jej dłoń.

Jego ręka była znacznie cieplejsza od jej. I zdecydowanie bardziej sucha. Starła się zignorować to, co się dzieje, i delikatnie wysunąć dłoń, ale nie była w stanie się poruszyć.

Ross nawet tego nie zauważył. W chwili, gdy ich dłonie się zetknęły, unieruchomiło go uczucie jednocześnie przyjemne i zadziwiające. Stojąca naprzeciwko niego zjawiskowa istota była tak doskonała, że nie umiał myśleć o czymkolwiek innym. Wiedział, że nie może tak stać przez całą noc, trzymając jej dłoń i wdychając niczym sztubak, ale nic na to nie mógł porządzić.

Wreszcie ją puścił i zrobił krok do tyłu.

Popatrzyła na niego, czując, że kręci jej się w głowie z podekscytowania. Uważaj, Bello, pomyślała. Bądź ostrożna. Obserwuj go, nakazała sobie stanowczo.

- Czy to moja matka wysłała pana, by mnie pan poszukał? - spytała.

- Nie.

- Mój ojciec?

- Nie - odparł Ross, śmiejąc się w duchu z jej naiwności. Książę Grenville nie był na tyle głupi, by na poszukiwanie córki wysłać kogoś jego pokroju. Nikt nie byłby na tyle głupi.

- W takim razie kto? - nie dawała za wygraną Annabella. - Kto pana przysłał?

Delikatnie musnął dłońią jej policzek. Momentalnie cofnęła się o krok.

- Dlaczego sądzisz, że ktoś mnie wysłał, bym cię znalazł? - zapytał.

Powoli uświadamiając sobie, o co mu chodzi, dziewczyna uznała, że jest zbyt sprytna, by odpowiedzieć na to pytanie. Dostrzegła w nim zręczną pułapkę. Nie odezwała się więc ani słowem.

Ross zaśmiał się cicho.

- Tak naprawdę przysłał mnie hrabia Huntly, bym ci przekazał wiadomość od niego.

- Nieprawda. On nawet nie wie, gdzie jestem. Dlatego właśnie tu przysłałam, by uciec...

- Przed nim - dokończył Ross. - Jak to możliwe, że jesteś tak sprytna?
- Proszę nie być tak pewnym siebie. Wszyscy popełniamy błędy.
- Niektórzy z nas więcej, niż inni. - Jego głos był teraz miękki.

Kiedy zebrała łańdy sukni, gotowa odejść, mężczyzna oświadczył:

- Jeżeli spróbujesz teraz odejść, będę musiał ponownie ująć twoją dłoń.
- Annabella obejrzała się na zamek Dunford.

- Muszę już wracać. Oczekują mnie tam. Jeżeli się wkrótce nie zjawię, ktoś na pewno zacznie mnie szukać. Nie mogę pozwolić, by znaleziono mnie w takiej sytuacji.

- Chcę z tobą porozmawiać - oznajmił Ross. - Na osobności.

Wzięła głęboki oddech.

- Proszę. Nie mogę. Pan niczego nie rozumie.

Co do tego miała rację. W tej chwili nie był w stanie pojąć czegokolwiek. Był zafascynowany. Koniec, kropka.

Każde wymawiane przez nią słowo, każdy cudowny ruch, każdy rozkoszny cal jej ciała - wszystko było po prostu doskonałe. Cóż mógł jeszcze dodać? Szalenie mu się podobała. Intrygowała go. Do diaska! Już samo patrzenie na nią było niesamowitą przyjemnością. Jednak nie spodziewał się jednego: że ta dziewczyna będzie w stanie go zaskoczyć. Wcześniej gotów był się założyć o swój złoty zegarek, że Annabella czmychnie niczym spłoszony kot, rozpłaczę się, będzie chichotać jak idiotka albo uczyni jedną z setek głupich rzeczy, które mają w zanadrzu przyparte do muru dziewczęta. Nic takiego się nie wydarzyło. Ross sądził nawet, że ona się nie oddali, dopóki jej na to nie pozwoli. Zastanawiał się, w jaki w takim razie sposób była wychowywana.

- Porozmawiać - kontynuował - albo trzymać się za ręce. Dla mnie to niewielka różnica.

- Nie może mnie pan dotykać - odparła stanowczo.

- Dotykam cię teraz - rzekł i wyciągnął rękę, by ponownie pogładzić jej policzek. - Wolisz więc porozmawiać czy trzymać się za ręce? - powtórzył.

Wyglądał wystarczająco poważnie, by spełnić to, co powiedział, więc Annabella westchnęła i opuściła ręce wzdłuż ciała. Ponownie obejrzała się na zamek Dunford.

- Mogę zostać tylko chwilę. Naprawdę.

- Rozumiem.

Odczekał chwilę, dając jej czas na oswojenie się z myślą o rozmowie z nim. Nie mógł jednak powiedzieć, że tylko ona jest poruszona. Zaskoczyło go, gdy zauważył, że ogląda go od stóp do głów. Najpierw nogi, potem stopy,

następnie przeniosła spojrzenie na twarz. I wtedy natychmiast dojrzała, że on widzi, jak mu się przygląda.

- Chcesz dobić targu? - spytał nieco kpiąco. W panujących ciemnościach nie widział rumieńców, które pojawiły się na jej policzkach, ale niezaprzeczalnie poczuł płynące od niej gorąco.

- Słucham?

- Mierzyłaś' mnie wzrokiem tak, jakbyś się zastanawiała nad kupnem, więc przyszło mi do głowy, że może chciałaś dobić targu? A może w Anglii używa się na to innego określenia?

- Innego określenia na co? - zapytała czując, jak na jej całym ciele pojawia się gęsia skóra. - Przypuszczam, że nie zrozumiałam pana.

- Może i tak. - Ross przyglądał jej się z uwagą. - Jesteś albo tak niewinna, jak się wydaje, albo też bardziej śliska niż sowie sadło.

Jej twarz była bez wyrazu.

- Słucham? - Wygląda na to, że często przy nim powtarza to słowo. - Co pan powiedział?

- Powiedziałem, że jesteś albo tak niewinna...

- Nie, nie, nie to - przerwała pośpiesznie. - To drugie - niecierpliwie machnęła ręką.

- Co? Bardziej śliska niż sowie sadło?

„Bardziej śliska niż sowie sadło”? Jej żołądek fiknął buntowniczo koziółka. Sowie sadło? Przyłożyła dłoń do czoła. Sowie sadło? Chyba zaraz zwymiotuje.

- Dobrze się czujesz?

- Oczywiście. Wszystko w porządku. Naprawdę. A dlaczegoż miałyby być inaczej? My, angielskie damy, jesteśmy przyzwyczajone do bycia nazywanymi eee... sowim sadłem - odparła.

Ross szczerze się roześmiał. Nic nie powiedział, ale jego spojrzenie wywołało na policzkach dziewczyny ogniste rumieńce. Nie dotknął jej.

Nie musiał. Jego spojrzenie pieściło ją w sposób, w jaki dłonie nigdy nie byłyby w stanie. Annabella poczuła dziwną suchość w ustach, a w jej gardle urosła wielka kula. Lekko rozchyliła usta, by zaczerpnąć nieco więcej powietrza, którego tak bardzo teraz potrzebowała.

Mężczyzna uczynił krok w jej kierunku. Uniósł dłoń i dotknął jednego z długich, lśniących loków, po czym bez wahania ujął jej podbródek i skierował głowę w stronę księżycowego światła. Po chwili jego dłoń objęły szczupłą talię.

Ile on ma rąk?

Delikatnie przyciągnął Annabellę do siebie, a jej coś nakazało zamknąć oczy. Po chwili na ustach poczuła przepyszny dotyk jego warg. Ten niespodziewany pocałunek wywołał w jej ciele zupełnie niezamierzoną reakcję: dziewczyna zdrzała. Było to niezwykle dziwne uczucie - zawstydzające, że w ogóle nastąpiło, frustrujące, ponieważ była pewna, że chce więcej.

Ross delikatnie odsunął się i rzekł:

- Mój Boże, jesteś tak słodka, że z chęcią bym cię schrupał.
- W takim razie będzie się pan musiał pośpieszyć - odparła bez namysłu.

Ponieważ strasznie szybko się topię.

Jej towarzysz zaśmiał się cicho i ponownie zbliżył usta do jej twarzy. Po chwili, przytrzymując jedną ręką głowę Annabelli, pocałował ją z większą siłą i uczuciem. Był to pocałunek, który drażnił ją, pieścił i intrygował. Ross objął ją i przycisnął do siebie.

Płonęła wszędzie tam, gdzie jej dotykał. Ponownie rozchyliła usta, by do jej płuc przedostało się nieco więcej powietrza.

Nakrył je swymi wargami, a jego język delikatnie badał i odkrywał. Ukrył twarz w jej szyi i wyszeptał:

- Mógłbym się od tego uzależnić.

Usta Rossa rozpoczęły wędrówkę, muskały jej twarz, całowały policzki, nos, powieki. Były ciepłe i pewne, gdy dotykały gładkiego, kobiecego czoła. Dłoń mężczyzny pieściła kark Annabelli, a po chwili przeniosła się na wystającą spod sukni ramię. Ten czuły, delikatny dotyk wprawił jej ciało w drżenie, a serce zaczęło walić w szaleńczym rytmie. Poczowała się równie napeężniała jak ociekające brandy rodzynki, dojrzałe i lepkie od ciepłego miodu. Przez jedną cudowną chwilę Annabella oddała pocałunek, po czym do jej oszołomionej świadomości zaczęła się wkradać rzeczywistość. Położyła swą małą dłoń na męskiej piersi i odepchnęła go od siebie.

Spodziewał się, że dziewczyna będzie udawać przesadnie skromną, nazwie go łobuzem za deprawację istot tak niewinnych jak ona, albo przynajmniej w gniewie wytarga go za uszy. Ale ona nie zrobiła żadnej z tych rzeczy. Po prostu patrzyła na niego. Było to spojrzenie, które go zaskoczyło, głównie dlatego, że jeszcze takiego nie doświadczył, a już na pewno nie w chwilę po pocałunku z kobietą. W jej twarzy nie było ani gniewu, ani zakłopotania, ani potępienia, ani strachu. Stała i wpatrywała się w niego, doskonała niczym wystawowa róża. Ross schylił głowę, by ponownie ją pocałować, ale odepchnęła go od siebie, tym razem czyniąc dodatkowo krok w tył.

- Jesteś okropnie sztywna i nieugięta. Byłaś dużo cieplejsza i łaskawsza na sali, kiedy razem tańczyliśmy.

- Ani razu z panem nie tańczyłam.
- Ależ tak, maleńka. Przez cały czas, gdy wirowałaś po parkiecie z Huntlym, moje spojrzenie cię nie opuszczało. To nie on cię obejmował, lecz ja. I nie próbuj zaprzeczać. Czułaś to równie intensywnie jak ja sam. I powtarzam, byłaś wtedy dużo cieplejsza.

- Tam byli także inni ludzie. Tutaj jesteśmy...

- Sami - dokończył Ross. - Czy niepokoi cię myśl o byciu sam na sam z mężczyzną, czy tylko z takim, którego nie znasz?

Obserwował grę uczuć na jej twarzy i zastanawiał się, które należą do prawdziwej Annabelli.

- Nie jestem pewna - odparła wreszcie.

- A co mogłoby sprawić, byś tę pewność zyskała? - spytał, unosząc dłoń i gładząc jej ciemne włosy. Przyciągnął ją znowu bliżej. - Jeżeli jest już coś, czego nienawidzę, to kobiety, która ma problemy z podjęciem decyzji, bądź też mężczyzny, który nie stara się jej pomóc. - Musnął jej usta wargami.

- Nie potrzebuję żadnej pomocy - oświadczyła, bezskutecznie próbując go odepchnąć. - Sama potrafię zdecydować.

- Widziałem coś zupełnie przeciwnego - odparł ze śmiechem.

- P.. pan - wyjąkała. - Pan mnie niepokoi.

Uśmiechając się, Ross po raz kolejny musnął jej usta.

- Myślę, że jest to najbardziej zachęcająca rzecz, jaką mogła mi pani powiedzieć, lady Annabello.

- Nie próbuję pana zachęcać - odparła stanowczo. - Tak naprawdę to staram się uczynić coś dokładnie przeciwnego.

- Jakoś nie bardzo ci to wychodzi - stwierdził, przyciskając ją mocniej do siebie.

Dziewczyna próbowała się odwrócić i odepchnąć go. Wydała z siebie stłumiony dźwięk, którego Ross nie uznał za protest i ponownie ją pocałował. Kiedy ich usta oderwały się od siebie, nadal trzymał ją blisko.

W jej głowie płonęło światło alarmowe, ale jedyne, co była w stanie zrobić, to głęboko westchnąć i rzec:

- Wykorzystuje mnie pan.

- Annabello - odparł ochryplym szeptem. - Poczynię wszelkie niezbędne kroki, by osiągnąć mój cel, którym jest zdobycie ciebie. Wiesz o tym, prawda?

- Zdobyć... - zaczęła słabo, a po chwili jej głos odzyskał nieco siły. - Zdobyć mnie?

Dziwne, ale właśnie to nabrzmiałe zdziwieniem pytanie sprawiło, że Ross uświadomił sobie, iż posuwa się nieco za szybko. Była wychowywana pod

kloszem i z pewnością łagodnie. Będzie więc także musiał się nauczyć łagodności. Przyjrzał się jej twarzy. Dla niej gotów był to zrobić. Dla niej nauczył się powściągać swój temperament.

Twarz dziewczyny rozjaśniała księżycowa poświata. Jeszcze nigdy nie widział takiej połyskującej życiem cery, doskonałej harmonii bladej kości słoniowej i pączka róży. Jej oczy były zielone niczym wiosenna łąka, usta... Nigdy wcześniej nie spotkał u kobiety ust, które byłyby jednocześnie prawie dziecinne, a mimo to wprost stworzone do pocałunków.

Wpatrywała się teraz w niego oczami, które były zmysłowe, a zarazem niewinne i ostrożne. Wydawały się mówić: weź mnie, nie bierz mnie, chodź do mnie, odejź. Wtedy spojrzął na jej usta. Pocałuj mnie i nie przestawaj - oto, co mówiły i tego właśnie pragnął i on. Ale coś go powstrzymało.

Natychmiast przypomniał sobie swobodę, z jaką on i jego bracia zawsze poczynali sobie z dziewczętami. Trudno było uwierzyć, by ta dziewczyna, nieważne jak młoda, nigdy nie była sam na sam z mężczyzną.

Annabella nigdy nie uważała siebie za zacofaną ani nieśmiałą, jednak gdy tak stała i wpatrywała się w książęcego wnuka, taka właśnie się czuła. Zerknęła pośpiesznie w stronę zamku.

- Naprawdę muszę wracać. Zbyt długo już mnie nie ma.

- Ależ skąd, nie musisz - odparł z przekonaniem, dotykając jej ramienia.

Jeszcze nie porozmawialiśmy. - Czuł jej skrzepowanie i choć Ross go nie rozumiał, chciał, by dziewczyna się odprężyła. - A może zdjęłabyś te swoje pantofelki i pończochy i przeszlibyśmy się brzegiem jeziora? Myślę, że chłodna woda dobrze zrobi twoim stopom po tych wszystkich ognistych tańcach.

- Z...zdjąć pantofle? To znaczy iść bosą?

Kiwnął głową.

- Bosą - pisnęła Annabella. - Tutaj?

Wjej głosie słyhać było tak ogromne zdumienie, że Ross się roześmiał i popatrzył na nią z rozbawieniem.

- Właśnie to mam na myśli. Czy nigdy nie zdejmujesz butów?

- Jedynie podczas kąpieli... albo kiedy śpię.

Mężczyzna ponownie się zaśmiał. Podobało mu się jej poczucie humoru. Tyle że kiedy na nią spojrzął, natychmiast zrozumiał, że ona nie żartuje. Kolejny raz pomknął pamięcią do domu Mackinnonów nad zatoką Tahuacana, przypominając sobie, jak to on i jego bracia przez większą część lata biegali na bosaka. I dziewczyny też tak robiły. Może nie w takim stopniu, jak młodzi Mackinnonowie, ale wystarczająco często, by Ross uznał, że to nic nadzwyczajnego.

czajnego. Przed oczami stanął mu obraz Katherine Simon, biegnącej po zielonej trawie. Buty miała związane sznurowadłami i przerzucone przez ramię. Spódnicę miała uniesioną i widać było jej pantalone, gdy biegła za jego braćmi, Alexem i Adrianem.

- Cóż, nie miałabyś w takim razie ochoty spróbować? - spytał z ciekawością.

Annabella przez chwilę się wahała, ale uznała, że nie może zaufać komuś takiemu jak stojący tuż obok mężczyzna. Musiała wrócić do zamku, zanim zacznie jej szukać hrabia. Nawet matka i Gavin uznaliby jej zachowanie za skandaliczne.

- No dalej - rzucił przeciągle Ross. - Co to takiego trochę błota na stopach? Możesz unieść suknię, jeżeli nie chcesz jej pobrudzić. - Uśmiechnął się i wyciągnął rękę. - Choć tak naprawdę uważam, że wyglądałabyś uroczo z plamą albo i dwiema. - Przez chwilę się nad tym zastanawiał. - Czy kiedykolwiek byłaś brudna, lady Annabelle? Naprawdę brudna? - Sięgnął po jej rękę, ale ona cofnęła się o krok.

- Brudna? Nie... Chyba że trochę, kiedy robię coś w ogrodzie.

- W takim razie powinnaś spróbować, moja damo. Nic się nie może temu równać. Ja też zdejmę buty i przejdziemy się razem.

Już to widziała. A jeszcze wyraźniej minę ojca, przyłapującego ich sam na sam, brodzących w wodzie na bosaka. Poczucie przyzwoitości wygrało.

- Nie wiem nic o miejscu tak zacofanym jak Teksas, ale w Anglii kobieta wysokiego rodu nie chodzi brzegiem jeziora ani nigdzie indziej w towarzystwie obcego mężczyzny, nie wspominając już o zdejmowaniu butów w miejscach publicznych.

- A kto tak powiedział? Poza tym nie jesteśmy ani w Teksasie, ani w Anglii. O ile mi wiadomo, znajdujemy się teraz w Szkocji, a nie słyszałem, by tutaj istniały jakieś bezsensowne zasady, zabraniające dziewczynie zdjęcia butów. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest czuć piasek pod stopami, a między palcami chłodne błoto.

Przez chwilę Annabella wyglądała tak, jakby chciała odrzucić głowę do tyłu i szczerze się zaśmiać. Nie zrobiła jednak tego. Dotykając jej ramienia, Ross zaprowadził ją z powrotem do zmurzałej łodzi. Usiadł i pociągnął ją, by zrobiła to samo.

- Zastanawiam się - rzekł z namysłem, patrząc na twarz, która była jedną wielką niewinnością - co jeszcze straciłaś.

- Niczego nie straciłam. Zostałam bardzo dobrze wykształcona... na damę, jak zapewne pan by powiedział.

- Czyżby?

- Tak. Rysuję i maluję i musi pan wiedzieć, że zostałam gruntownie zaznaniomona z zasadami zachowania, które przystoi wysoko urodzonej kobiecie.

- Och, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wskazuje na to każdy twój sztywny krok. Czy nigdy się nie odprężasz? - Starając się ją rozśmieszyć, Ross dodał: - Założę się, że chodziłaś po klasie z książkami na głowie.

Nie udało się.

- W rzeczy samej - odparła poważnie jego towarzyszka. - Spędziłam także wiele godzin z deską przywiązaną do pleców i siedząc na krześle bez oparcia, by ćwiczyć postawę, którą panna Aimsley uważała za straszną, do-prawdy straszną!

Odwrócił się, by na nią spojrzeć.

- Ty nie żartujesz, prawda?

Annabella zmarszczyła czoło.

- Żartuję? Oczywiście, że nie. Dlaczegoż miałabym to robić? W *Podręczniku dla młodych dam* jest napisane: „Godne zachowanie jest równie ważne jak i skromność”. W taki sposób powinna się zachowywać każda kobieta. Nie ma w nim ani słowa na temat żartowania. Dlatego też zakładam, że nie jest to coś pożądanego u damy.

- Jak wyglądało twoje życie, gdy byłaś dzieckiem? W co pozwalano ci się bawić?

Pamiętając, jak mali Mackinnonowie podczas letnich miesięcy bez przerwy bawili się poza domem, a w środku, kiedy pogoda nie dopisywała, królowały przepychanki, różne gry i wspólne śpiewanie, Ross uznał, że życie małej angielskiej damy będzie w jakiś sposób podobne. I znowu spotkała go niespodzianka.

- Wolno nam było grać w kardynały⁴...

- No tak, to brzmi dość ciekawie - stwierdził, zastanawiając się, czy te kardynały były równie zabawne jak ich nazwa. - Co jeszcze?

- Haftowałyśmy fartuszki, a jedna z nas zawsze robiła kwiaty z jedwabiu albo wosku. Moje siostry i ja grałyśmy na pianinie, no i zawsze można było porobić coś w ogrodzie albo zająć się szyciem.

- Szyciem? - zapytał, pamiętając uroczę dzieła swej matki: haftowane poszewki na poduszki, ręczniki, obrusy.

- Ścieg krzyżykowy i ścieg namiotowy - wyjaśniła Annabella. - Kopio-wałyśmy fragmenty psalmów czarną nitką na starych, białych materiałach.

⁴ Gra w dREWienka.

- Jaka byłaś jako mała dziewczynka? - zapytał z ciekawością Ross.
- Chuda i okropnie cicha. Kiedy byłam mała, bałam się ojca. Jego głos był taki gruby.

- A teraz? Nadal się go boisz?

- Bardzo go szanuję, ale już się nie boję. - Roześmiała się. - Naturalnie bardzo wcześniej się nauczyłam, co trzeba robić, by zadowolić ojca, tak by nie krzyczał i nie denerwował mamy, ani nie wołał guwernantki. Bardzo się starałam, by stać się najlepszą i najbardziej posłuszną córką, jak to tylko było możliwe, żeby papa był ze mnie zadowolony.

- Czego się obawiałaś? Że cię odeśle? - Posłał jej leniwy uśmiech i wyciągnął przed siebie nogi.

Annabella wyobraziła to sobie i mimo woli roześmiała się.

- Nie, oczywiście, że nie. Chodzi po prostu o to, że kiedy byłam mała, ciągle śniłam na jawie. Strasznie to gniewało ojca i krzyczał wtedy na guwernantkę, że nie daje mi wystarczająco dużo zajęć, bym miała czym zająć umysł. Wtedy ona płakała i straszyla, że odepdzie, a potem mama też zaczynała płakać i mówiła papie, jak trudno znaleźć dobrą guwernantkę, i moje siostry płakały i mówiły, że wszystko jest moją winą, ponieważ jestem taka zepsuta i samolubna.

- A więc nauczyłaś się być bardzo, bardzo grzeczna i zadowalać wszystkich?

- Oczywiście. - Spojrzała chmurnie na siedzącego obok mężczyznę. - Lordzie Mackinnon, może i jestem nieco naiwna, ale na pewno nie głupia. - W jej głowie rozbrzmiał głos: Czyżby? Nie sądzisz, że przebywanie sam na sam i rozmawianie z mężczyzną jest niezbyt mądre, gdy jesteś zaręczona z innym? Zignorowała ten głos. - Bardzo wcześniej nauczyłam się, że dla własnego dobra powinnam robić wszystko, by utrzymać spokój i dobre stosunki w rodzinie.

- A to znaczyło zadowalanie wszystkich.

- Tak, chociaż w pana ustach brzmi to okropnie, podczas gdy wcale tak nie było. Nie byłam z tego powodu nieszczęśliwa i podejrzewam, że nie ja jedna wychowywana byłam w taki właśnie sposób.

- Może i masz rację - odparł miękko. - Nie urodziłem się w rodzinie podobnej do twojej. Byliśmy farmerami... Uczciwymi, ciężko pracującymi i lękającymi się Boga farmerami. Biednymi jak myszy kościelne, ale szczęśliwymi. Moi rodzice zmarli, kiedy byłem jeszcze chłopcem, ale pamiętam oboje i pamiętam też, że nigdy nie bałem się żadnego z nich. Nigdy się nie martwiłem, czy kogoś zadowolę. Ale Teksas znajduje się o całe niebo od Anglii, prawda?

- Oj, to prawda. To znaczy o ile wszystko, co słyszę, nie jest kłamstwem. Ross zaśmiał się.

- Pewnie, że nie jest - odparł.

- Chciałabym kiedyś odwiedzić ten pański Teksas - przyznała Annabella.

Jej głowę wypełniały wyobrażenia o tamtejszym życiu. Jako wykształcona i odczytana dama przypominała sobie, czego się uczyła o fascynującym i jednocześnie przerażającym miejscu zwanym Ameryką. Przyglądała się uważnie swemu rozmówcy, wyobrażając sobie, jak galopuje konno przez rozległe prerie, goniony przez horde pładrujących wszystko na swojej drodze Indian, bądź przez bandę typów spod ciemnej gwiazdy. Ale najbardziej wytaçała ją z równowagi wizja jego stojącego w pubie - albo jak tam się mówi na takie miejsce w Teksasie - i obejmującego jednym ramieniem kobietę odzianą w świecidełka, pióra i niewiele poza tym.

- Chciałbym cię zabrać ze sobą do Teksasu - rzekł wreszcie Ross, nie spuszczać z niej wzroku.

- Nie mogłabym z panem pojechać - odparła.

- A dlaczego? - Wędrował wzrokiem po jej twarzy, zielonych oczach, pełnych ustach. - Lady Annabelle - rzekł, ujmując jej twarz. - Nie masz zamiaru ułatwiać mi zadania, prawda?

Odwrociła głowę, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zanim domyśliła się, o co mu chodzi, położył dłonie na jej ramionach i odwrócił w swoją stronę. Przysunął się bliżej i zamknął ją w objęciach ciepłych i pocieszających, a ona nie miała wcześniej pojęcia, że takie mogą istnieć. Ich usta się spotkały. Przez chwilę była zbyt szokowana, by uczynić coś innego, niż się poddać, a tuż potem wbrew wszelkim nakazom rozsądku i honoru, Annabella otoczyła go ramionami w taki sam sposób, w jaki sama była obejmowana.

Kiedy Ross przerwał pocałunek, by się jej przyjrzeć, dziewczyna poczuła się nieswojo pod jego badawczym spojrzeniem. Zastanawiało ją, dlaczego jego twarz ma taki dziwny wyraz.

- Czy jesteś pewna, że masz narzeczonego? - spytał żartobliwie, ale jej nie było do śmiechu.

- Nigdy nie żartuję na ten temat - odparła ostro. Po chwili jednak jej gniew zelżał. W jakiś sposób nie była w stanie oprzeć się jego uśmiechowi. Nic mogąc się powstrzymać, uśmiechnęła się w odpowiedzi, czując, jak opuszcza ją napięcie. - Nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan.

- Nawet mnie to nie dziwi.

- Jest pan człowiekiem bezczelnym i niezwykle bezpośrednim.

- Tylko wtedy, kiedy czegoś pragnę.

- A teraz też tak jest? To znaczy czy czegoś pan pragnie?
- Nie jesteś chyba aż tak zacofana - odparł ze śmiechem Ross.

Właśnie miała zamiar mu odpowiedzieć, by pilnował swojego nosa, kiedy poczuła na sobie jego wzrok i znowu to samo, ten jego uśmiech... Tyle tylko było potrzeba: jedno łagodne spojrzenie, jeden uśmiech, a jej serce gwałtownie przyspieszało. Annabella zastanawiała się, czy kiedykolwiek ujrzy coś tak ciepłego i zachęcającego jak ten właśnie uśmiech. Szkoda, że nie mógł zamykać go w butelki, tak jak klan Mackinnonów robił to z ich drambuie. Taki uśmiech wart był naprawdę wszystkich pieniędzy.

Jej myśli były tak skupione na uśmiechach, butelkach i pieniądzach, że jego następne pytanie dotarło do niej dopiero po chwili, gdy poczuła na policzku delikatny dotyk szorstkich palców.

- Czy każdego mężczyznę całujesz tak samo jak mnie?

Doskonale wiedziała, że jest to pytanie z gatunku podchwytliwych, ale była nieco zbyt ciekawa i trochę za mocno zirytowana, by udawać, że nie dosłyszała.

- A dlaczego pan pyta?

Ross wzruszył ramionami i obejrzał się w stronę zamku, tak jakby zaczynał się nudzić.

- Tak się tylko zastanawiałem.

Jego niedbały ton przelał czarę. Prawdziwie dotknięta, zacisnęła dłoń w pięści.

- W takim razie sądzi pan, że było z tym coś nie tak?

- Nie, musiałem tylko ciągle sobie przypominać, że całuję kobietę, a nie marmurowy posąg. Kto cię uczył całowania?

Annabella wiedziała, że prowadzi z tym mężczyzną niebezpieczną grę. Była boleśnie niedoświadczona, a on całował się prawdopodobnie z tyloma kobietami, że już za samo to mógłby otrzymać medal. Było bardziej niż oczywiste, iż nie przebywał w Anglii bądź Szkocji wystarczająco długo, by stać się osobą cywilizowaną, jako że jego zachowanie nadal bardziej pasowało do tego, co słyszała o skandalicznych czasach lorda Byrona, kiedy to śmietanka towarzyska, a za nią oczywiście cała Anglia, zdawała się kpić z wszelkich moralnych nakazów. Były to czasy, kiedy zasady przyzwoitości i dobrego wychowania jakoby nie istniały.

Gdyby nie miała pewności, że jest inaczej, gotowa była przysiąc, że ten człowiek jest reliktem tamtych czasów. Ale on nie był Anglikiem, ani nawet prawdziwym Szkotem, ponieważ przyszedł na świat w Ameryce, i to prawdopodobnie wszystko tłumaczyło. Zmuszona była się zgodzić z tym, co wcze-

śniej słyszała o Amerykanach - że na ogół są źle wychowani, choć prawdę powiedziawszy, ten olbrzym z płonącymi oczami i zapierającym dech w piersiach uśmiechem nie prezentował nic więcej poza niekonwencjonalnym zachowaniem.

Annabella została starannie wychowana przez trzeźwo myślących rodziców, którzy nauczyli ją zawsze zachowywać się niewinnie jak dziecko i nie-nagannie niczym dziewczyna panna młoda. Od najwcześniejszych lat uczono ją, że w życiu młodej damy nie ma miejsca na namiętność i zmysłowość. Dzika jak Cyganka jako mała dziewczynka, Bella musiała spędzić wiele długich godzin, siedząc sztywno na twardym krześle, i jeszcze więcej głodnych nocy, kiedy to została odesłana do łóżka bez kolacji, zanim jej buntownicza natura została ujarzmiona.

Ale gdy raz tak się stało, pozostało już na zawsze. Pamiętając teraz o dobrym wychowaniu i swym pochodzeniu, dziewczyna zebrała się w sobie i posłała Rossowi spojrzenie, które mówiło, że czuje się bardziej niż obrażona. Spróbowała odwrócić wzrok, ale on ujął jej podbródek i zmusił, by ponownie na niego spojrzała.

- Zawstydz mnie pan takimi uwagami - rzekła więc. - Mówiłam już, że nie jestem przyzwyczajona do przebywania sam na sam z mężczyzną. Nawet jeszcze nie pocałowałam mojego narzeczonego.

Mimo że ta wiadomość bardzo go ucieszyła, Ross przez chwilę był zdolny jedynie wpatrywać się w swoją towarzyszkę. Całkowicie niewinna? Nie-spiesznie powiódł spojrzeniem po całym jej ciele. Włosy miała wilgotne od mgły, a skóra wyglądała tak czysto jak świeża śmietanka. Niemożliwe. Jak mogła jakakolwiek kobieta z ciałem gwiazdy wodewilu i twarzą bogini przetrwać w cnocie i pozostać nietkniętą? Niemożliwe. Nie kryjąc oczywistego sceptycyzmu, spytał z powątpiewaniem:

- Mówisz prawdę? Nigdy?

- Oczywiście. A poza tym to nie pańska sprawa.

Chciała się odwrócić, ale jego ręka ją przytrzymała.

- Ile masz lat?

- Wystarczająco wiele, by wiedzieć, że nie powinnam pozwolić się całować. Żałuję, że tak się stało.

- Tak, no cóż, nie miałem takiego zamiaru, jeżeli może to stanowić dla ciebie jakąś pociechę, ale mężczyzna, który robi wszystko według planu i z premedytacją, ma bardzo niewiele wartych zapamiętania wspomnień.

Annabella zastanawiała się, czy on słyszy, jak głośno wali jej serce i jak bardzo utrudnia jej to oddychanie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że sie-

zenie tutaj z nim bez żadnej przyzwoitki jest czymś wybitnie nieestosownym. Dorastała jak kwiat hodowany w ogrodzie otoczonym murami, podczas gdy on był zawsze wolny niczym wiatr. I prawda, tym właśnie dzisiaj byli: wiatrem i kwiatem. I, och, między jej płatkami tej nocy szalał ciepły, kuszący orkan.

Spojrzała w leniwe oczy Rossa i pomyślała: właśnie tak kobiety zdobywają złą reputację. Zastanowiło ją, co on by zrobił, gdyby wiedział, o czym ona myśli, gdyby przyszło mu do głowy, jak bardzo jest ciekawa tajemnic, o których on niewątpliwie wie tak wiele. Uniosła dłoń i dotknęła swych ust, przypominając sobie wilgotność jego pocałunku. Zbyt wiele, pomyślała. Zbyt wiele i za wcześnie. I wtedy przypomniała sobie o Huntlym i zrozumiała, że nie jest za wcześnie, lecz niestety zdecydowanie za późno.

Był tak blisko, zbyt blisko, a jego ciepły oddech omiatający jej policzki zbyt rozprasał. Jego głos był niski, a słowa zdejmowały wieczko puszek Pandory. Jak mogła mu się oprzeć?

- Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju? - zapytała. - Dlaczego pan nadal to robi? Czyni pan to wszystko jeszcze trudniejszym dla mnie.

- Wiem - odparł Ross, sięgając po jej dłoń. - Drzysz. Zimno ci?

- Po prostu czuję się nieswojo i to wszystko przez pana.

- Przykro mi niezmiernie z tego powodu. Mógłbym sprawić, że poczułaby się lepiej - rzekł. - Jeśli pozwoliłabyś mi na to.

Dziewczyna popatrzyła na niego nierozumiejącym wzrokiem.

- Słodka Annabelle, z pewnością wiesz, co dzieje się między mężczyzną i kobietą - dodał z nutką rozbawienia w głosie. - Nie mógłbym raczej zrobić tego teraz i tutaj. Do naszych majtasów dostałby się piasek.

- Ze wszystkich nikczemnych... - Szarpnęła się, ale mocno ją trzymał.

- Dlaczego jesteś taka zła? Wiesz przecież, dlaczego tutaj za tobą przyszedłem.

- Niech pan nie myśli nawet przez sekundę, że może mnie pan uwieść.

- W takim razie dlaczego ta ewentualność tak cię wytrąca z równowagi?

- A właśnie, że nie - odparła z wyzwaniem w głosie.

- Dobrze - rzeki łagodnie. - Każdy musi kiedyś i gdzieś zacząć. Za każdym razem czuję, że najlepsza do tego jest terazniejszość, a ty?

- Ja... ja... nie jestem pewna. - Tyle tylko Annabella była w stanie z siebie wydusić, jako że tym razem odczuwała taką konsternację, iż nie była pewna już nawet własnego imienia.

- Nie jesteś ani trochę ciekawa?

- Ciekawa?

- Tego, co dzieje się między mężczyzną i kobietą.
- Nie! - zawołała z takim ferworem, że Ross się roześmiał.
- Boisz się?

Energicznie pokiwała głową. Nie tylko się bała. Była przerażona. Przerażona tym, co on może zrobić. Nawet bardziej, niżby sobie tego życzyła.

- Boisz się, że rodzice mogą się dowiedzieć - spytał łagodnie - czy też tego, że ja będę tym, który ci to wszystko pokaże?

Ta rozmowa zmierzała szybko donikąd, gdyż Annabella nie miała pojęcia, co on sugeruje. W zasadzie wszystko, co wiedziała o tych sprawach, było na tyle niewinne, że można było o tym rozprawiać w kościele.

Opuścił ją rozsądek i pewność siebie. Nic nie odpowiedziała, ale odwróciła z zamyśleniem wzrok. To prawda, nie powinna tutaj być. Gdyby została przyłapana teraz z nim, wszystko, co jej ojciec opowiadał o „tego typu kobietach” byłoby szeptane także o niej. W każdym innym momencie swego życia Annabella nie pozwoliłaby, by przytrafiło jej się coś takiego. Ale jej życie ostatnio diametralnie się zmieniło. Przepęłnił ją bezgraniczny smutek.

Nie potrafiła otrząsnąć się z wrażenia, że ogłoszenie jej zaręczyn jest dla niej równe z wyrokiem śmierci. Nie chodziło przy tym o to, że ta śmierć była bardzo, bardzo okrutna, ale że niezwykle powolna i długa. Żałowała, że stanie się tak, zanim będzie miała okazję naprawdę żyć. A pragnęła żyć wprost desperacko, choćby tylko przez jeden sezon, tak jak motyl. Nie zastanawiając się, ponownie spojrzała na Rossa. Bez względu na powód nie mogła się powstrzymać.

Fascynowało ją w nim wszystko. Jak to jest żyć, zastanawiała się. Prawdziwie żyć. Ten mężczyzna to potrafił. Mówiło o tym całe jego ciało i płomień w przepastnych głębiach oczu. I w chwili, gdy o tym pomyślała, wiedziała, że to prawda. Było w nim coś dzikiego i wolnego, co nadawało wietrzny zapach jego ubraniom i włosom. Gdy docierało to do niej, poczuła na sobie jego pełne rozbawienia spojrzenie. Wiedziała, że wpatruje się w niego z takim zachwytem, że jego na pewno to śmieszy. Nie mogła pozwolić, by ją wyśmieiał albo zasugerował, by „poszła już sobie jak dobra dziewczynka”.

To właśnie strach przed upokorzeniem kazał jej wyszarpnąć się i pobiec w górę skarpy. Zgubiła po drodze prawy pantofelek. Ross patrzył, jak dziewczyna się oddala. Chciał pobiec za nią i właściwie sam nie wiedział, dlaczego tego nie zrobił.

Kiedy jej biała suknia stała się tylko połyskującą we mgle cma, on także ruszył w stronę zamku. Szedł powoli, mając myśli zaprzątnięte Annabella, która już całkowicie znikła mu z oczu. Przebył zaledwie kilka jardów, kiedy

natknął się na pantofelek: mały, biały, satynowy bucik na wilgotnej trawie, rosnącej po obu stronach ścieżki.

Podniósł go. Był niewiele większy niż jego dłoń. Ross przyjrzał mu się uważnie, obracając go w dłoni i dotykając palcem ciemniejszych miejsc, do których dotarła wilgoć. Popatrzył na zamek. Mimo że po Annabelli nie było już śladu, jeszcze nigdy nie odczuwał tak silnie czyjejs obecności. Co się z nim dzieje? Czyżby zaczynał tracić rozum?

Nie potrafił na to odpowiedzieć. Nie miał także pojęcia, co go tak przyciąga do tej dziewczyny. Nie należał do najcierpliwszych z ludzi, ale może z czasem to zrozumie. Percy uczył go, że cierpliwość często prześciga naukę, ale on nie był przekonany, czy jest to prawdą także teraz. Być może jego matka znała go lepiej niż ktokolwiek inny, choć przecież zmarła, kiedy był jeszcze chłopcem. Nieraz, kiedy ojciec mówił: „Synu, wspinania się po drabinie nie rozpoczynaj od najwyższego szczebla”, zawsze uspokajała swego niecierpliwego syna. Nawet teraz pamiętał, co mówiła: „Ross, mój mały chłopcze, twój ojciec nie wie, że cierpliwość jest jak kwiat, który nie rośnie w ogrodzie każdego człowieka”.

Ze wszystkich stron otaczała go noc, mglista, ciemna i pełna tajemnic. Stał przez chwilę bez ruchu, z zadowoleniem przyglądając się miejscu, gdzie po raz ostatni dojrzał zmierzającą do zamku Annabellę. Stał tak z bucikiem w rękę, a w jego głowie ponownie rozgrywało się to, co się wydarzyło zaledwie kilka minut temu. Myślał o kobiecie, której przeznaczenie, wiedział to, nierozzerwalnie splatało się z jego życiem. Omiótł spojrzeniem widniejące w dali góry i zastanowił się, jak wielu przed nim stało w tym właśnie miejscu... Jak wiele jest nazwisk, które zostały zapomniane i nie znała ich żadna pieśń ani legenda.

Poczuł, jak przeszłość dosięga go i przywołuje do siebie. Mgła na chwilę zrobiła się przezroczysta i Ross w oddali dojrzał łagodne, szare światło. Posłyszał stamtąd jakiś głos, ale uznał, że to niemożliwe. Światło zbladło i ponownie zapanowała nocna ciemność. Nie mogą słyszeć głosów. Chyba, że zacznę wariować, pomyślał i odwrócił się.

Zobaczył jedynie wędrujący po wodzie cień. Uderzające o brzeg fale jakby westchnęły, po czym zamilkły.

Mężczyzna schował pantofelek do kieszeni i ponownie ruszył w kierunku posiadłości swego dziadka. Zamkowe światła były stąd ledwie widoczne, jednak wiedział, że trafiłby tam z zamkniętymi oczami. Czuł - nie, on wiedział - że coś silniejszego od niego kieruje teraz jego krokami. Pomyślał o Annabelli, wiedząc, że ta dziewczyna będzie częścią jego życia. Jednak bardzo chciał

się dowiedzieć, jak do tego dojdzie. To nie będzie proste. Nie stanie się to od razu i trzeba będzie zapłacić odpowiednio wysoką cenę. Stanie się to w sposób dziki, ciemny i pełen tajemnic. Ale jednak nastąpił w wyznaczonej na to godzinie. I wiedział, że warto będzie za to zapłacić każdą cenę.

Pomyślał jeszcze raz o Annabelli. A potem Ross Mackinnon zagwizdał, czując, jak jego duszę przepełnia radość.

Gdyby był kojotem, odrzuciłby do tyłu głowę i zawył.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Annabella zapadła w głęboki sen.

Stała na wrzosowisku. Pomimo ciemności zauważyła, że z oddali nadciąga konno trzech jeźdźców apokalipsy. Pierwszy na koniu czarnym, drugi czerwonym, a trzeci na białym. Kiedy się do niej zbliżali, dojrzała w oddali czwartego wierzchowca, bladego niczym mgła. Był bez jeźdźca, a galopował pewnie i miarowo, najwyraźniej starając się dogonić pozostałą trójkę.

Jeździec na czarnym koniu był złowroga, ponurą postacią w czerni. Jego twarz przysłaniała czarna, ozdobiona pióropuszem przyłbica. Wymachiwał na wszystkie strony mieczem, pozostawiając za sobą zdradę, zniszczenie i śmierć. Tuż za nim pędził drugi rumak, czerwony niczym gorąca lava, symbolizujący wojnę. Jeźdźca Annabella rozpoznała ze swego poprzedniego snu i tak jak wtedy, jego twarz skrywała wirująca mgła, tyle że tym razem była ona czerwona - czerwona jak krew. Ciało drugiego jeźdźca okrywały jardy kraciastego kiltu. Gdy przemknął w pobliżu, w powietrzu rozległy się dźwięki kobzy. I wtedy pojawił się trzeci koń, a dosiadający go jeździec był niezwykle urodziwy. Biło od niego oślepiające światło, które nagle objęły w posiadanie ciemności, nadciągające niczym gęsty dym od strony czarnego konia. Świat pograżył się w nienaturalnej ciszy. Wirująca i złowróźbna czarna mgła zagarnęła w swoje szpony najpierw czerwonego konia, a po chwili także białego. Świat znieruchomiał. W powietrzu rozległ się straszny, przyprawiający o gęsią skórę śmiech, a Annabelli zamarło serce. W jej gardle wzbierał krzyk, gdy zbliżał się blady koń. Miał kopyta podkute ogniem i pewnie zmierzał w stronę ciemności, a ona wiedziała, że ten wierzchowiec bez jeźdźca to śmierć. Z okrzykiem przerażenia obserwowała, jak wynurza się ponownie ze straszliwej czerni, która po chwili zaczęła się rozpyływać. A kiedy znikła zupełnie, stało się jasne, iż pozostał tylko on.

Annabella wpatrywała się w konia z przerażeniem, a on zbliżał się do niej powoli niczym wędrująca po niebie chmura. Teraz już wiedziała. Prze-

powiedziano w ten sposób czyjaś śmierć. Ale czyją? Na jej oczach jasny koń zaczął się kurczyć, aż pozostała z niego milcząca nicość.

Rankiem obudziła się wyczerpana, a jej serce wydawało się z ołowiu. W głowie nieustannie wirowały wizje z jej snu. To było ostrzeżenie. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziała, że ktoś umrze i że ona została o tym ostrzeżona. Zadrzała, przemarznięta i przeraźliwie osamotniona. Rozejrzała się. Pomieszczenie, w którym przebywała, to były jedynie szare, kamienne ściany. Nie czuła ani spokoju, ani też wzburzenia. Nie czuła po prostu niczego, jedynie przeraźliwą pustkę, jakby coś cennego i pełnego życia wymknęło się z niej w trakcie snu. W jej życiu nie było w tej chwili ani odrobiny ciepła. Mimo to poczuła, jak z oddali dociera do niej gorący płomień.

Annabella westchnęła i zamknęła oczy, czując ponownie na swoich wargach usta Rossa Mackinnona, tak jak zeszej nocy. Położyła się na łóżku, odczuwając intensywne gorąco we wszystkich miejscach, których on wcześniej dotykał. Czuła na ciele szorstkie, ciepłe, męskie dłonie. Jego dotyk był zaskakująco delikatny. To wszystko wydawało się tak rzeczywiste, że nie śmiała otworzyć oczu z obawy przed utratą tego uspokajającego, odprężającego stanu. Przez dłuższą chwilę leżała bez ruchu, mając nadzieję, że będzie ona trwać wiecznie. Wreszcie otworzyła oczy.

Szybko usiadła na łóżku. Nie miała zamiaru pozwolić temu komuś umrzeć, nie starając się w żaden sposób pomóc. Musiała znaleźć kogoś, z kim mogłaby o tym porozmawiać, komu mogłaby zaufać. Kogoś, kto dojrzy w niej nie tylko sprzedaną, przyszlą pannę młodą. Nie mogła porozmawiać o takich sprawach z ojcem, a co za tym idzie, także z matką. Annabella pomyślała o Rosie, ale natychmiast *odrzuciła ten pomysł. Westchnęła z przygnębieniem.* Nie było nikogo, z kim mogłaby podzielić się swymi obawami, przy kim czułaby się swobodnie.

Nikogo z wyjątkiem starego księcia Mackinnona.

Energicznie zsunęła się z łóżka, by zadzwonić po pokojówkę, jednak po chwili uznała, że lepiej będzie, gdy ubierze się sama. Betty czasami bywa męcząca. Zadaje mnóstwo pytań, gdy ona chce w spokoju pomyśleć, albo jest markotna i małowówna, kiedy ona ma akurat ochotę na pogawędkę. Czasami jest nawet gorsza od matki Annabelli - zawsze czymś zaaferowana, stara się przewodzić i nakazuje, co ona powinna na siebie włożyć - zupełnie jak księżna Grenville.

Otworzywszy szafę, zmierzyła wzrokiem wiszące w niej suknie. Wybrała najmniej strojną, z czerwono-zielonej tafty. Zaplotła włosy w długi, gruby

warkocz, po czym podwinęła go i przewiązała zieloną wstążką. Nie mając chwili do stracenia, wybiegła z pokoju.

Było jeszcze wcześniej i przy odrobinie szczęścia mogła znaleźć starego księcia, który był rannym ptaszkiem, zanim jej matka zdąży się obudzić.

W salonie zastała wycierającego kurze Roberta.

- Dzień dobry, Robercie - przywitała się z nim. - Czy widziałeś jego miłość Mackinnona?

- Udał się na przyjemną przechadzkę, lady Annabello.

- Przyjemną przechadzkę?

- Przechadzkę, która wprawia go w przyjemny nastrój.

- Och - odparła i roześmiała się. - No cóż, w takim razie gdzie można się udać na taką przyjemną przechadzkę?

- Jego miłość zazwyczaj spaceruje ścieżką, która ciągnie się od wzgórza do samej doliny.

- Dziękuję, Robercie.

- Ależ nie ma za co - odparł służący, ale Annabella z szumem tafty zdążyła już opuścić salon.

Na dworze było wyjątkowo przyjemnie. Wiosenny wietrzyk przynosił ze sobą ciepłe powietrze, które pieściło pokryte mchem wzgórze niczym najczulszy kochanek, roztopiając resztki śniegu, a te spływały szemrzącą strugą po lśniących kamieniach, tworząc na samym dole głęboki staw, który z kolei spływał wodospadem do spienionego potoczku po to tylko, by niewiele dalej zostać porwanym przez morskie fale.

Niebo nad *jej głową* było intensywnie niebieskie, a białe *chmury przypominały* kędzierzawe owieczki. Gdzieś wysoko szybował orzeł, jednak Annabella nie zatrzymała się, by na niego popatrzeć. Zbyt była pochłonięta wspinaniem się starą, torfową ścieżką, która biegła w górę, tam, gdzie powietrze jest rozrzedzone, a resztki śniegu stanowczo opierają się pieszczotliwemu oddechowi wiosny. Minęła stodoły z pokrytymi słomą dachami i stare, dawno opuszczone chłopskie chaty. Szła dalej, nie bez wysiłku, jako że ścieżka była mało uczęszczana, a przez to pełna wyrw, dziur i ukrytych pułapek.

Pijący wodę jeleń podejrzliwie podniósł łeb, gdy się zbliżała, po czym w ułamku sekundy zniknął w zaroślach. Jeleń był wspaniały, ale jednocześnie wzbudzał grozę potężnym porożem. Annabelli przykro było, że zakłóciła jego spokój, ale cieszyła się, że nie zrobił jej żadnej krzywdy.

W chwili, gdy zauważyła wreszcie Mackinnona, zdążyła się już naprawdę zmęczyć.

- Dzień dobry! - zawołała. - Dzień dobry, wasza miłość!

Mackinnon siedział na wielkim głazie, dzięki czemu bez przeszkód mógł podziwiać malowniczy widok na dolinę i niewielkie jezioro. Niezwykle zdziwił go widok dziewczyny, która dotarła aż tak daleko. Dojście tutaj nie było takie łatwe nawet dla niego. A przecież on przychodził tu regularnie od ponad czterdziestu lat.

Przeglądając się, jak Annabella śpieszy w jego stronę, ksiązę zastanawiał się, czy powinien ją skarcić, że wyszła sama tak daleko, jednak uznał, że ta dziewczyna była w swoim życiu wystarczająco besztana. A poza tym niełatwo było udzielać nagany panience tak pięknej jak ta. A była piękna, oj, była. Miał pewność, że w jej celtyckich żyłach nie płynie ani kropla krwi wikingów, jako że była niska i ciemnowłosa niczym pradawni, posługujący się językiem gaelic Szkoci, którzy dawno temu pierwsi przybyli tutaj z Irlandii.

Ksiązę uniósł z rozbawieniem brwi, kiedy dziewczyna zbliżyła się do niewielkiego strumyka, szerokiego na nie więcej niż trzy stopy. Zatrzymała się i patrzyła na niego z niemym błaganiem w oczach. Jego twarz pozostała niewzruszona. Chciał zobaczyć, co to dziewczę robi, wiedząc, że jeśli będzie musiał jej pomóc, równie dobrze może zrobić to za chwilę. Wahała się jeszcze przez kilka sekund, po czym zdecydowała się sama przedostać na drugą stronę, przeskakując lekko po śliskich kamieniach, zanurzonych do połowy w lodowatej wodzie.

Jego oczy zabłyśły uznaniem. Zastanawiał się, czy ta mała odważyłaby się zrobić coś takiego u siebie w Anglii.

Annabella po chwili stanęła koło księcia.

- Cieszę się, że pana znalazłam, wasza miłość - wysapała.
- Cóż, usiądź i odpocznij, bo mi tu jeszcze zasłabniesz - odparł, zauważając jednocześnie w jej całej sylwetce napięcie i oczekiwanie.

Ksiązę nie musiał niczego dodawać, ponieważ dziewczyna opadła obok niego na głaz i oświadczyła:

- Niezmiernie się cieszę, że pana znalazłam, wasza miłość. Och, chyba już to mówiłam, prawda? - Objęła rękami kolana i popatrzyła tęsknie na niegościnne góry, po czym odwróciła się twarzą do rozmówcy. - Widzi pan, szłam już dość długo i prawie straciłam nadzieję, że uda mi się pana spotkać. Oczami wyobraźni widziałam już, jak wracam do zamku, na darmo odbywszy tak długą przechadzkę.

- Dlaczego tutaj przysłaś? - zapytał.

- Chciałam się pana poradzić. Miałam bardzo dziwny sen i nie wiem, z kim mogłabym o nim porozmawiać, oczywiście poza panem.

Wyglądał na zaskoczonego.

- Nie rozumiem, dlaczego chcesz o nim opowiedzieć właśnie mnie. Cemu nie matce albo ojcu?

- Cóż, może panu nie wydaje się to oczywiste - odparła - jednak nie mogę porozmawiać o sprawach takiej natury z żadnym z moich rodziców.

Mackinnon popatrzył na nią.

- A więc miałaś sen - rzekł. - Czy posiadasz zdolność jasnowiedzenia?

Przez chwilę się nad tym zastanawiała.

- Nie sędzę - stwierdziła wreszcie, przypominając sobie, jak dowiedziała się od matki, że taką zdolność posiadała jej babka. - Nigdy wcześniej mi się to nie zdarzyło. - Annabella opowiedziała księciu swój cały sen, o trzech jeźdźcach i samotnym, jasnym koniu, który pokonał pozostałą trójkę.

- Tak, podobnie jak ty uważam, że to była śmierć.

- Co powinnam w takim razie zrobić?

- Nic, panienko. Możesz najwyżej pozwolić toczyć się wydarzeniom zgodnie z ich biegiem. Nic nie da, jeżeli rozchorujesz się ze zmartwienia. Wyroki śmierci nie zależą od nas. Nie jesteś w stanie niczego zmienić.

-Ale...

- Uspokój się, dziecko. Otrzymałaś dar ujrzienia czegoś, co się wydarzy, a nie możliwość ingerowania w przyszłość. - Mackinnon rozejrzał się. - Robi się chłodniej i mgła gęstnieje. Lepiej wracajmy do zamku.

Annabella nie była jedyną osobą, której coś się zeszłej nocy śniło. Wkrótce po tym, jak ona i książę wrócili ze spaceru, Ross odnalazł dziadka w jego gabinecie.

- *Audentes fortuna juvat* - rzucił, nie tracąc czasu na powitania. - Co to znaczy?

- *Audentes fortuna juvat* - powtórzył wolno książę, zaskoczony pytaniem wnuka. - Kto ci to powiedział?

- Nikt mi nie powiedział. Usłyszałem to.

-Gdzie?

- Powiem ci za chwilę. Co to znaczy?

- To motto Mackinnonów. Fortuna sprzyja odważnym.

Ross przyglądał się, jak dziadek podchodzi do dużej, dębowej szafki i otwiera ciężkie, rzeźbione drzwiczki. Wyjął z niej małe pudełko inkrustowane kością słoniową i macią perłową, które następnie otworzył trzymanym w biurku kluczem. Podeszedł do wnuka i podał mu pudełko.

- Planowałem dać ci to później, ale skoro okazja, na którą czekałem, nie nadejdzie, równie dobrze możesz dostać to teraz - rzekł. - Po czym, widząc zaintrygowanie na twarzy wnuka, dodał: No dalej, otwórz je.

Ross podniósł wieczko i ujrzał srebrną broszę z herbem klanowym, którym była głowa dzika. Otaczają pas, na którym wyryty był napis:

AUDENTES FORTUNA JUVAT.

- To brosza do beretu klanu Mackinnonów - wyjaśnił stary książę.

- Na jaką okazję, która się nie zdarzy, to trzymałeś? - zapytał chłopak, a jego głos przepełniało uczucie do dziadka.

- Dzień, kiedy po raz pierwszy założysz kilt.

- Masz rację - odparł jego wnuk, patrząc spode łba. - Ten dzień nie nadejdzie.

Ross zdziwił się, że jego dziadek nie podjął dyskusji, jak to zwykle bywało, gdy poruszano problem kultu. Tego ranka Mackinnona interesowało jednak zupełnie coś innego.

- Prosiłem Percy'ego, by nie wspominał ci o tej broszy ani o herbie, dopóki sam ci jej nie dam - rzekł. - Pewnie nie słuchał uważnie.

- A może i słuchał. Percy nie powiedział mi o tym.

- A kto?

- Sam chciałem to, do diaska, wiedzieć. Mówiłem ci już, że nikt mi nie powiedział. Usłyszałem to.

- Gdzie?

- Zeszłej nocy, we śnie.

Ross przyglądał się, jak twarz jego dziadka robi się blada, a jego ręce drżą, gdy chował inkrustowane pudełko do biurka. Milczał przez chwilę, przeczesując palcami włosy i wpatrując się w ścianę naprzeciwko, tak jakby oczekiwał, że zmaterializuje się na niej jakaś pomoc.

- Wiem, że brzmi to tak, jakbym się dobrał do rodzinnych zapasów drambuie, ale przysięgam na niebiosy, że byłem trzeźwy jak niemowlę, kiedy usłyszałem ten głos. Wydawał się dochodzić prosto z chmury jasnego światła. - Przerwał i popatrzył z konsternacją na dziadka. - Myślisz, że jestem skończonym głupcem, prawda?

Książę przeszył go wzrokiem, a Ross nie był już wcale taki pewny, czy chce usłyszeć to, co jego dziadek ma mu do powiedzenia.

- Nie, nie uważam tak, chłopcze. Ale jesteś pierwszym Mackinnonem od ponad stu lat, który usłyszał te słowa w taki właśnie sposób. W naszym klanie

miało już miejsce coś takiego trzy albo cztery razy. Nie sądziłem, że zdarzy się ponownie, a już na pewno nie za mojego życia.

Tego właśnie mi trzeba, pomyślał Ross. Nocnych gości wyłaniających się w magiczny sposób z ciemności. Gości, którzy zdążyli już zaplanować całe moje życie.

- Czy to dobry omen? - zapytał, mając nadzieję, że jego przeznaczeniem nie jest cierpienie i tortury po to, by Mackinnonowie mogli się szczyścić kolejnym męczennikiem.

Poświęcanie życia w imię jakichś wyższych wartości albo poddanie torturom i męczeńska śmierć zdecydowanie nie było jego marzeniem i celem życiowym. Lubił życie i miał zamiar cieszyć się nim tak długo, jak to tylko możliwe. Gdyby miał wybrać dla siebie motto, brzmiałoby ono tak: Lepiej być żywym tchórzem niż martwym bohaterem. Każdy głupiec wiedział, że żywy tchórz może stoczyć walkę także następnego dnia, no a martwy bohater? Mógł zyskać jedynie marmurową płytę nagrobną. A Rossowi, pomijając już wszystko inne, marmur nieszczególnie się podobał.

- Być może nie jest to dobrym znakiem teraz, ale koniec ...

- Co masz na myśli? - chciał natychmiast wiedzieć Ross, a jego głos był dziwnie wysoki i niepewny.

- Nie będzie ci łatwo, chłopcze.

- Posłuchaj, Bóg może i sporządził plan mojej przyszłości, ale jeszcze się pod nim nie podpisał.

Dziadek nie wyglądał na przekonanego i Ross westchnął ze zmęczeniem.

- Cokolwiek to ma być - rzekł - nie zrobię tego.

- Sprzeciw nie przyniesie niczego dobrego. Ci, którzy słyszą głos, muszą przejść ciężką próbę przed nastąpieniem końca.

- Czy mógłbyś nie nazywać tego końcem? - poprosił stanowczo wnuk.

- Dobrze już, dobrze. Ujmę więc to tak: zanim dotrzesz do odległego brzegu, będziesz musiał przepłynąć wzburzone morze.

- Cóż za kolejne wspaniałe wieści. Powiedz mi, czy ktokolwiek nie dotarł do tego odległego brzegu? Żywy?

- Nie sądzę, by ktokolwiek umarł z powodu lodowatej wody, jeżeli o to ci chodzi.

- Pewnie powinienem być teraz za to wdzięczny.

- A tak, powinieneś.

- Kiedy po raz ostatni jakiś Mackinnon usłyszał te słowa?

- Przed bitwą pod Culloden.

- Cóż, po prostu wspaniale. Ta rozmowa z minuty na minutę staje się coraz weselsza -jęknął Ross, spoglądając na dziadka. Widząc na jego twarzy roztargnienie, zastanowił się, czy stary książe w ogóle go słucha.

Mackinnon słuchał, ale miał już siedemdziesiąt dwa lata i nie zawsze koncentrował się na temacie rozmowy. Na przykład teraz. Podczas gdy cieszył się niezmiernie obecnością swego wnuka, myślał jednocześnie o tym, jak mało brakowało, by go w ogóle nie poznał. Każdej nocy w ciągu ostatnich dziesięciu lat klęczał na swych kościstych kolanach i modlił się żarliwie, o życie wystarczająco długie, by dane mu było ujrzeć potomstwo swego syna Johna. A teraz przyszła odpowiedź na te modlitwy. To wystarczało, by staremu człowiekowi w oczach zakręciły się łzy.

Ross przyglądał się dziadkowi i przyszło mu do głowy, że książe wyglądem przypomina orła.

- Pewnie to niemożliwe, by odkręcić wszystko... No wiesz, jakoś to odwrócić... Może powiedzieć im, by odeszli i próbowali sztuczek z głosem na kimś innym? - bąknął Ross, po czym zaczął nerwowo przemierzać pokój.

Mackinnon wyglądał przez chwilę tak, jakby miał zaraz wybuchnąć śmiechem, ale jakoś udało mu się powstrzymać.

- Nie sądzę, by to było możliwe, chłopcze. Nie masz wyboru. Zostałeś wybrany i można teraz oczekiwać, że zdarzy się coś szczególnego. Ty nie masz na to żadnego wpływu.

- Chciałbym tylko wiedzieć, kto w takim razie ma. - Nie mówiąc niczego więcej, odwrócił się i szybko wyszedł z gabinetu.

Mackinnon przyglądał się, jak znika za drzwiami. Jego wnuk bardzo mu kogoś w tej chwili przypominał, ale nie był pewny kogo - to wszystko z powodu ogarniającej go czasami pewnego rodzaju ociężałości umysłowej. Może jednego z jego braci. Tak naprawdę nie pamiętał już, ilu ich miał. Z jego głową zaczynało się robić to samo co z nogami: w jednej chwili były żwawe niczym u młodzieńca, a w drugiej stawały się zimne i ciężkie.

Zaledwie dziś rano przyglądał się, jak służąca poleruje wielką, srebrną tacę, która stała na kredensie, i przypomniał sobie, jak kiedyś zjeżdżała na tej tacy po poręczy aż do samego dołu. Wtedy to była przednia zabawa i dzisiaj odczuwał pokusę, by ponownie jej zakosztować. Smutne było to, że za dzień lub dwa spojrzy na tę tacę tak, jakby jej nigdy wcześniej nie widział na oczy i zapyta służącą, czy nie jest ona przypadkiem nowa.

- Nie mam nic przeciwko starzeniu się - mruknął do siebie książe. - Jednak nie znoszę tego, że wszystkie części mojego ciała robią się coraz bardziej zużyte.

Ale wtedy pomyślał o swoim wnuku, wysokim i dobrze zbudowanym chłopaku, który cieszył jego oczy i duszę. Ten chłopak wniósł do zimnych murów zamku Dunford obietnicę lepszego jutra, a w jego życie radość, której nie odczuwał od śmierci Kate. Potrząsnął głową. Jego wnuk był szelmą i buntownikiem, który sprzeciwiał się wszystkiemu nowemu.

Mackinnon uśmiechnął się i odchylił na skórzanym, miękkim fotelu. Bardzo lubił siedzieć w ten właśnie sposób.

Po chwili mocno spał.

Godzinę później Ross stał przy oknie w bibliotece. Kręcił globusem i z roz-targnieniem obserwował, jak Annabella zmierza lekkim krokiem w kierunku powozu, który czekał na nią i kilka innym dam, by zawieźć je wszystkie do miasteczka na zakupy.

Syn woźnicy, sześćo bądź siedmioletni brzdąc, podbiegł do niej z pa-wim piórem w rączce, i dumnie je zademonstrował. Dziewczyna schyliła się i wyszeptwała coś do chłopca, po czym go uściśnęła. Ross zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby to on pokazał jej pawie pióro. Jak zwykle poczuł, że ogar-nia go zniecierpliwienie. Pragnął Annabelli i wiedział, że jest mu ona prze-znaczona. Po przejściu przez próbę, jak określił to jego dziadek. Z jednej strony był przekonany, że ta dziewczyna jest warta każdej próby, jednocze-snie jednak nie mógł się przestać zastanawiać nad tym, jak bardzo ta próba będzie ciężka.

Pragnął tej dziewczyny i to w dodatku bardzo, ale nie na tyle, by dla niej umrzeć. Żadna kobieta nie jest czegoś takiego warta. Patrząc na nią, Ross przypomniał sobie, że Mackinnon powiedział, iż jeszcze nikt nie umarł od tej próby. Modlił się żarliwie o to, by jego dziadek miał rację, albo żeby przynaj-mniej on nie był tym pierwszym.

Annabella zastanawiała się czemu, u licha, zgodziła się towarzyszyć kil-ku goszczącym u księcia paniom w przejażdżce do miasteczka, podczas gdy jej matka wykazała znacznie więcej rozsądku, decydując się na grę w wista. Nie potrzebowała niczego nowego, a teraz, kiedy Huntly wyjechał, nie musiała przed nim uciekać. Lepiej by jej zrobiła dodatkowa godzinka snu, albo i nawet partyjka wista. Ale wtedy przypomniła sobie o wnuku księcia i znalaz-ła powód, dla którego należało jechać do Broadford. Nabrawszy nagłej ochoty na zakupy, uniosła wzrok i dojrzała stojącą przy powozie Maurę.

- Widziałas Caitlin i Kate MacDonald? - zapytała dziewczyna.

- Nie - odparła Annabella. - Nie było ich w korytarzu ani przw głównych schodach. Wiesz może, czy jedzie z nami ktoś jeszcze?

- Tylko nasza czwórka, o ile mi wiadomo, chyba że ktoś zdecyduje się dołączyć do nas w ostatniej chwili.

Słyszając za sobą głosy, Annabella i Maura odwróciły się, by dojrzeć lady MacDonald i jej dwie córki, Kate i Caitlin, śpieszące w ich kierunku.

- Wygląda na to, że lady MacDonald postanowiła pojechać razem z nami rzekła Bella, obserwując jak dama ta pośpiesznie zakłada rękawiczki. Obfito gors falował przy każdym jej oddechu.

Pięć kobiet usadowiło się w powozie, który miał je zawieźć do Broadford. Woźnica machnął batem i powóz ruszył w chwili, gdy Annabella wyjrzała i spostrzegła stojącego w oknie biblioteki Rossa Mackinnona. Gdy ich spojrzenia się skrzyżowały, mężczyzna skinął głową z uznaniem. Dziewczyna szybko odwróciła głowę i zaczęła trzeć małą plamkę na jednej ze swych rękawiczek z kożłęczą skóry.

Lady MacDonald nieustannie narzekała przez całą drogę do Broadford. (Świadczyła, że powóz jest stanowczo zbyt zatłoczony. Annabella pomyślała, że jest w nim wystarczająco miejsca, zważywszy na to, że w środku znajdowało się pięć kobiet, a jedna z nich zabierała tyle miejsca, co normalnie dwie. Ale lady MacDonald nic nie było w stanie ugłaskać, nawet stwierdzenie Annabelli, że wyściełane ozdobną tkaniną siedzenia są bardzo wygodne. Wykrzyknęła, że „nigdy nie jechała powozem, którym by tak rzucało!”.

Co do jednego się zgadzały: miały to samo zdanie o stanie drogi do Broadford, o ile w ogóle można to było nazwać drogą. Bardziej już raczej pasowało określenie „pokryty koleinami trakt”. Ale mijana okolica była naprawdę urocza i Annabella pomyślała, że jej piękna nie potrafiłby oddać żaden obraz ani wiersz. Słowa takie, jak „okazałe” i „zapierające dech w piersiach” wydawały się zbyt proste i łagodne, by opisać góry, które zdawały się wyraść wprost z morza i kierowały się ku niebu.

Powóz podskoczył i zatoczył kolo, przejeżdżając nad całkiem głębokim rowem, po czym znalazł się na dosyć wąskiej, obfitującej w zakręty drodze, która opadała wzdłuż zbocza wzgórze i prowadziła w pobliżu niewielkiego zagajnika.

Raz musieli się zatrzymać na ponad dwadzieścia minut, kiedy to pies pasterski przeprowadzał swoje stado owiec przez drogę.

- Owce to takie urocze, małe stworzenia - stwierdziła Annabella. - Są takie nieśmiałe i tulą się wzajemnie do siebie, jakby się bały w pojedynkę stawić czoło światu.

- Są ohydnyimi bestiami, które robią okropny hałas - zaprotestowała lady MacDonald. - Nie mogę znieść ich widoku.

- Ale przecież kochasz baranię i swoje ciepłe, wełniane szale - rzekła Kate.

W odpowiedzi lady MacDonald tylko prychnęła.

Przez resztę podróży Annabella siedziała bez słowa między Maura i Kate i słuchała, jak matka tej drugiej sapie i narzeka na kurz. Wyglądając przez okno, starała się jak najwięcej dowiedzieć o okolicy, która tak bardzo była różna od krajobrazów angielskich. Tutaj nie było pastwisk o dziwnych kształtach i żywopłotów. Wszystko było najwyraźniej dobrze zaplanowane, a krzaki przycięte nisko jak w ogrodzie. Nie rosły kwiaty głogu ani tarnina, nie widziała żadnych pnących róż, fiołków ani pierwiosnków. Ale za to niebo było wyjątkowo czyste i przejrzyste. Wszędzie, gdzie tylko spojrzała, wyspa Skye wydawała się przyjemna, pełna spokoju i zielona.

Caitlin zasnęła i zaczęła cicho pochrapywać. Lady MacDonald sapała tak głośno, że oczywiście tego nie słyszała, ale Maura i Kate tak i zaczęły się cicho śmiać. Annabella nie była w stanie długo ignorować dwóch chichoczących dziewcząt, między którymi siedziała, a widok głowy Caitlin, kiwającej się na wszystkie strony i odgłos jej chrapania były naprawdę zabawne. A poza tym wszystko takie się wydawało, kiedy się siedziało pomiędzy ludźmi, którzy się śmieją. Trudno było zachować w takiej sytuacji powagę, ale Annabelli jakoś się to udało.

Małe, senne miasteczko Broadford leżało nad samą zatoką, a w oddali wydawały się stać na straży Czerwone Wzgórza i *Beinn na Caillich*. Minęli kilka koszy na homary, które leżały wzdłuż ogrodzenia niedaleko rzeki Broadford. Dwaj młodzi chłopcy stali na jej brzegu i łowili pstrągi i łososie. Rzucali w stronę powozu pełne zaciekawienia spojrzenia, ale odwrócili głowy kiedy dziewczęta do nich pomachały. Chwilę później powóz zatrzymał się przed hotelem.

Po dwugodzinnych zakupach, zaopatrzeniu się w czepki, wełniane szale i wachlarze z kości słoniowej, wszystkie panie zatrzymały się przed drogą powrotną do Dunford w hotelu na herbatę. Gdy wracały, Annabella usiadła przy oknie i przysłuchiwała się, jak Caitlin, Maura i Kate opowiadają historyjki ze swego dzieciństwa. Były to opowieści o dziewczynkach, którym dawano więcej swobody, niż kiedykolwiek miała ona bądź któraś z jej sióstr.

Zamknęła oczy, poddając się rytmicznym ruchom powozu i łagodnym promieniom zaglądającego przez okno słońca i zasnęła. Jakiś czas później obudziła się, kiedy powóz niespodziewanie się zatrzymał, rzucając ją i jej towarzyszkę do przodu.

- Co się stało? - zapytała z jękiem lady MacDonald, odpychając od siebie Kate, która po chwili wróciła na swoje miejsce.

Woznica wychylił się i zawołał coś o pękniętym kole.

- Wspaniale - oświadczyła z przekąsem lady MacDonald. - Ten, kto pierwszy zaproponował dzisiejsze zakupy powinien zostać zastrzelony. I co teraz zrobimy? Będziemy tu siedzieć niczym stado gęsi i czekać na jakiś przejeżdżający wóz, który zabierze nas do Dunford?

- Tak - odparł woznica, podchodząc, by otworzyć drzwi. - To jest często uczęszczana droga. Pewnie szybko pojawi się jakiś wóz.

Dodał jeszcze, że on idzie pieszo do zamku, by przysłać po nie inny powóz.

Pół godziny później Annabella siedziała w pustym powozie, przyglądając się, jak jej towarzyszki wdrapują się na chwiejącą się chłopską furmankę. Nawet gdyby było tam miejsce dla jeszcze jednej osoby, była raczej sceptyczna, jeżeli chodzi o ten akurat środek transportu. Nie wyglądał wystarczająco solidnie, by był w stanie jechać sam, nie mówiąc już o pasażerach.

Obiecując przysłać po nią powóz jak tylko dotrą do Dunford, jej towarzyszki pomachały i zaczęły się od niej oddalać przy akompaniamencie trzeszczących złowieszco kół furmanki. Annabella dosłyszała jeszcze, jak lady MacDonald głośno uskarża się, jak to nie można polegać na budowanych teraz powozach. Wkrótce furmanka wspięła się na wzgórze i znikła jej z oczu.

Dziewczyna siedziała i czekała, jednak po upływie, jak jej się wydawało, dwóch godzin, zrobiło jej się niewygodnie, cała zeszywniała i była wyczerpana siedzeniem w pojeździe, który stoi w miejscu. Uznała, że równie dobrze może pójść do zamku pieszo. Niewiele więcej myśląc, wysiadła z powozu i ruszyła w górę drogi.

Był ciepły i bezwietrzny dzień, a nieba nie zakrywała ani jedna chmura. Pobocza upstrzone były pozostałymi po nocnym deszczu kałużami, ale sama droga była sucha. Gdy Annabella mijała drzewa, przez chwilę zastanawiała się, czy nie zaczekać w ich zapraszającym cieniu, jednak uznała, że czekała już dziś wystarczająco długo.

Po jakimś czasie poczuła intensywny zapach wrzosu. Zdjęła czepek i na nowo zawiązała szeroką, satynową wstążkę, tak że teraz niosła go jak koszyk. Wkrótce Annabella zaczęła zbierać polne kwiaty, które rosły po obu stronach drogi, a z braku lepszego dla nich miejsca użyła swego czepek, który szybko zaczął wyglądać niczym wielobarwna kula.

Zgrzała się, a już szczególnie gorąco było jej w stopy. Przypomniała sobie, jak Ross zaproponował jej tamtej nocy nad brzegiem jeziora zdjęcie bu-

tów. Przez chwilę zastanawiała się nad tym pomysłem, jednak szybko z niego zrezygnowała. Może i szła drogą niczym zwykła pasterka, ale nie miała przy tym zamiaru tak wyglądać.

Dotarła do miejsca, gdzie jedna z dróg skręca w lewo. Pewna, że to właśnie ona wiedzie do Dunford, Annabella ruszyła dalej. Mniej więcej godzinę później droga zaczęła się stawać coraz węższa. Coraz więcej pojawiało się na niej kamieni i wyraźnie było widać, że nie jest zbyt często uczęszczana. I wtedy, gdy dziewczyna zastanawiała się, czy powinna zawrócić, droga urwała się na brzegiem małego stawu, do którego spływała struga roztopiającego się śniegu. Kilka leżących obok spróchniałych belek wskazywało na to, że kiedyś znajdował się tutaj jakiś most, ale to musiało być dawno, dawno temu. W najwęższym miejscu staw nie miał więcej niż sześć, najwyżej osiem stóp szerokości. Porozrzucone w wodzie kamienie były małe i pokryte wodorostami, a więc na pewno bardzo śliskie. Nie mogła przejść po nich na drugą stronę, nawet przy zachowaniu wyjątkowej ostrożności. Obawiała się, że mogłoby się to dla niej zakończyć czymś bardziej nieprzyjemnym niż tylko zamoczenie trzewików.

I właśnie wtedy usłyszała łątowo rozpoznawalny odgłos zbliżającego się konia. Odwróciła się i ujrzała nadjeżdżającego Rossa Mackinnona, który wydawał się dwa razy większy od Edynburga i równie imponujący.

- Widzę, że znudziło ci się czekanie na powóz? - bardziej stwierdził niż spytał, zsuwając się jednocześnie z konia.

Zignorowała to.

- Spotkał pan lady MacDonald i resztę?

- Owszem. Są już bezpieczne w zamku, gdzie i ty mogłabyś być, gdybyś zaczekała cierpliwie w powozie. Czy masz pojęcie, jak długo musiałem cię szukać?

- Pomyślałam, że spotkam tego kogoś, kto po mnie wyjedzie trochę szybciej, jeśli pójdę pieszo.

- I tak by się stało... gdybyś trzymała się głównej drogi. Dlaczego zamieniłaś ją na ten krowi trakt?

- Myślałam, że ta droga prowadzi do Dunford.

- Ona prowadzi donikąd. Ta, o której myślisz, jest milę albo dwie stąd - rzekł.

Odwróciła wzrok.

- Moja matka jest pewnie trochę zaniepokojona.

Ross uśmiechnął się.

- Owszem. Kazała mi na siebie poczekać, aż się przebierze w strój do konnej jazdy, gdyż chciała mi towarzyszyć.

- Jak udało się ją panu przekonać, by pozostała w zamku?

Mężczyzna roześmiał się.

- Nawet nie próbowałem. Wyjechałem zanim zdążyła się przebrać.

- Nie próbował pan? - powtórzyła z przerażeniem.

- Ależ tak, i nie zawahałbym się uczynić tego ponownie.

Annabella poczuła, że wzbiera w niej śmiech i przykryła dłonią usta. Po chwili wyjęła z czepek przywiedły, żółty kwiat i podała go Rossowi.

- Może ją pan udobrucha kwiatami.

- Ten kwiat - rzekł, nie odrywając spojrzenia od jej twarzy - wpędziłby innie w jeszcze większe tarapaty. Jest już zupełnie zwiędnięty. Lepiej je wszystkie wyrzucić.

Przyglądał się jej z uznaniem. Zauważył, że modny, zwisający z jej ramienia czepek wypełniony polnymi kwiatami i pawim piórem zgubionym przez jednego z książęcych ptaków, przechyla się na jedną stronę.

- Chyba już czas - rzekł, podchodząc bliżej - aby wciągnąć cię na grzbiet mego wierzchowca i dostarczyć do Dunford, zanim dziadek i twoja matka wyślą całą okoliczną służbę na poszukiwania.

Annabella wiedziała, że żartuje, jednak w jego słowach zabrzmiała nutka prawdy. Pomyślała o tym, jak się teraz musi martwić jej matka. Spojrzała na swego towarzysza. Było coś niepokojącego w mężczyźnie, który patrzy na kobietę w taki sposób.

- Chyba tak - odparła z roztargnieniem. - Na pewno się o mnie martwi.

Nie chcąc przyjąć do wiadomości faktu, że jest ona zaręczona z innym, Ross uważnie przyglądał się jej delikatnej, dziewczęcej twarzy. Popołudniowe słońce skąpało jej policzki w bursztynowym świetle. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział tak gładkiej skóry, a już na pewno u nikogo, kto miałby więcej niż pięć lat. Annabella miała ciało uwodzicielki, twarz anioła i niewinność dziecka. Nie widział jeszcze, by używała swej niezwykłej urody na własny użytek, a to było naprawdę niewiarygodne, jak na kobietę o takim wyglądzie.

Jednym zwinnym ruchem oderwał ją od ziemi i chwycił na ręce. Zanim zdążyła wyrazić swoje zdumienie, wszedł do wody i zaczął ją przenosić na drugi brzeg stawu.

Przebywanie w męskich ramionach było dla niej czymś nowym i krępującym. W chwili, gdy znaleźli się na drugim brzegu, poprosiła, by postawił ją na ziemi.

- Proszę - powtórzyła, patrząc w oczy Rossa tak błagalnie, że nie był zdolny odmówić jej prośbie.

Postawił ją na trawie, ale nie puścił. Zamiast tego przyciągnął jeszcze bliżej siebie. Przez chwilę delektował się jej bliskością. Jednak ona była nieśmiała, niedoświadczona i sztywna jak deska, a poza tym on wiedział, że musi ją odstawić do zamku.

- Lepiej ruszajmy - rzekł więc niechętnie. - Umiesz jeździć konno?
- Wolałabym iść pieszo.

Ross postanowił jej w takim razie towarzyszyć. Droga była teraz znacznie węższa i zasługiwała raczej na miano krętej ścieżki. W szczelinach między kamieniami zebrała się woda, a ziemia była rozmokła, przez co trzeba było iść powoli i ostrożnie.

- Brudzisz sobie pantofle. Suknię zresztą też.

- I tak są już zniszczone. Czym jest trochę błota po moim wcześniejszym spacerze?

- Tym samym. Myślę, że powinnaś wsiąść na konia. Chodź, podsadzę cię.
- Mówiłam już, że wolę iść. Dlaczego nie zostawi mnie pan w spokoju?

Nie ma pan się już kim opiekować?

- Przez chwilę sprawiał wrażenie, że się zastanawia.

- Nie. Jesteś jedyną, która mi przychodzi do głowy - rzekł wreszcie. - Dżentelmen nie pozwoliłby damie iść, podczas gdy sam znajdowałby się na końskim grzbiecie.

- A skąd pan cokolwiek wie o dżentelmeńskim zachowaniu? - zapytała Annabella. - Jestem zdziwiona tym, że takie określenie w ogóle znajduje się w pańskim słownictwie.

- Och, wiem wszystko o dżentelmenach. No dobrze, nie znaczy to, że przypominam "sobie, bym jakiegokolwiek miał okazję poznać, ale słyszałem o nich. - Ross roześmiał się. - Odpręż się i daj mi szansę. Żaden mężczyzna nie lubi, gdy dziewczyna idzie pieszo. Nawet ubłocona.

Wsunął kciuki za skórzany pasek i dalej swobodnie szedł przy boku swej towarzyszki. W jej pełnych życia oczach zobaczył rozbawienie, które po chwili zmieniło się w zakłopotanie. I pewnie właśnie ono było przyczyną nagłego zaczerwienienia się jej policzków. Aby się na czymś skupić, Annabella wytarła z rękawa płamę z błota.

- Pewnie wyglądam, jakbym się tarzała w pomyjach.

- Pewnego dnia pokażę ci, jak to jest naprawdę się ubrudzić i cieszyć się tym - odparł najbardziej naturalnie w świecie towarzyszący jej mężczyzna.

- Ależ nie pokaże mi pan niczego, gdyż podejmę wszelkie możliwe kroki, by nasze drogi nigdy się już nie skrzyżowały.

- Dlaczego jesteś taka uparta?

- Nie jestem. Nie mam po prostu ochoty mieć z panem więcej do czynienia. A to, jak pan widzi, ogromna różnica.

Jest wielka różnica między nami dwojgiem, jednak to nie oznacza, że nie możemy iść przez życie ramię przy ramieniu. Tak naprawdę to właśnie coś takiego mi się marzy. Iść razem.

Mówi pan o tym tak pompatycznie, jakby opisywał to, co się dzieje, gdy zderzają się ze sobą dwie gwiazdy. Albo raczej kozy.

Ross głośno się roześmiał.

- Pewnie tak. Zastanawiam się, jak bym siebie opisał już po.

- Po? - Odwróciła głowę w jego stronę, a on zauważył, że gdy Annabella jest zirytowana, między jej brwiami pojawiają się przeurocze, pionowe zmarszczki. - Czy my mówimy o tym samym? - zapytała.

- Raczej nie - odparł ze śmiechem. - Gdyby tak było, podejrzewam, że teraz właśnie dostawałbym od ciebie w twarz.

Instynktownie zadrżała, nagle przestraszona i zapragnęła zwinąć się w małą kulkę. Ten mężczyzna jest dla niej zbyt przytłaczający, zbyt surowy i bez ogłady. Bił od niego śmiały i zuchwały blask, zarazem świeży i skandaliczny. I zdecydowanie zbyt groźny. Naprawdę nie знаła tego człowieka i nie miała pojęcia, co mógłby teraz z nią zrobić, podczas gdy są sami na tym pustkowiu. Nigdy nie widziała kogoś tak potężnego, groźnego i wprawiającego ją w zakłopotanie samą tylko obecnością.

- Myślę... zaczęła.

Wtedy Ross delikatnie zasłonił jej usta swoją dłonią.

- Zbyt dużo mówisz - oświadczył. Jego kciuk pieścił kształną i pełną dolną wargę dziewczyny. - Tak piękne usta można wykorzystać w znacznie przyjemniejszy sposób.

Intuicja powiedziała jej, że stąpa teraz po cienkim lodzie. Chciała się odsunąć, ale on był szybszy.

- Nie patrz tak na mnie - rzekł łagodnie. - Nie masz pojęcia, jak takie spojrzenie działa na mężczyznę.

Miał zamiar przysunąć się do niej jeszcze bliżej, po to tylko, by się przekonać, jak daleko się może posunąć, jednak coś w tej dziewczynie wyzwalało w nim to, co najlepsze, wszystko to, co jak sądził, nie istnieje lub ukryte jest tak głęboko, że nigdy nie wydobędzie się na powierzchnię. Czuł się tak, jakby celował ze strzelby w coś tak bezbronnego jak młody jeleń. Nie potrafił pociągnąć za spust bez względu na to, jak bardzo był głodny.

- Pewnie nie - rzekł miękko. - Widzę, że wolisz pozostać w nieświadomości. W każdym razie nie musisz się mnie obawiać. Jestem ostatnią osobą

na ziemi, która chciałyby zrobić ci krzywdę, nawet gdyby miało mnie to kosztować życie.

Coś w jego spojrzeniu wywołało drżenie w ciele Annabelli. Czar prysł, ale dopiero wtedy, gdy nieoczekiwanie poczuła się bardziej pełna życia niż kiedykolwiek wcześniej.

Trudno było sobie wyobrazić - stojąc w jego towarzystwie na środku spokojnego wrzosowiska - że istnieje na świecie coś takiego jak ból, cierpienie i nieszczęście. W tamtym momencie świat wydawał się świeży i nowo stworzony, i, och tak, pełen obietnic. Jedyne, co musiała zrobić, to wyciągnąć rękę i chwycić swoje marzenia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Bywały chwile, kiedy Annabella pamiętała, że jest zaręczona. Innym razem zupełnie o tym nie myślała.

Siedziała właśnie przy toalecie pogrążona w myślach, podczas gdy Betty szcztokowała jej włosy. Czas już był najwyższy, by zejść na śniadanie, jednak prawdę powiedziawszy, nie miała na to zbyt wielkiej ochoty. Zastanawiała się, jak to jest, że to, o czym powinniśmy przez cały czas pamiętać, bardzo szybko ulatuje z naszych myśli. Wyglądało na to, że pamięć żyje własnym życiem i jest przy tym niezwykle uparta. Jakże pragnęła zapomnieć. Gdy tak się działo, czyniło ją to łagodną i słodką, podczas gdy w chwili, kiedy sobie o tym przypominała, robiła się z niej prawdziwa zrzęda. Córce księcia Grenville nie wypadało mieć złego humoru. Ojciec wygłosił już na ten temat niejedno kazanie.

Betty pociągnęła szcztoką tak mocno, że głowa Belli boleśnie odskoczyła do tyłu.

- Au! - Zerwała się z krzesła i spojrzała z niechęcią na dziewczynę.

Sądząc po wyrazie twarzy Betty, nie miała ona humoru ani trochę lepszego od swej pani.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje?

- Nic, psze pani.

Annabella westchnęła i z powrotem usiadła.

- Nie opowiadaj głupstw, Betty. Twoja twarz jest chmurna niczym szkockie niebo. Nigdy nie widziałam cię w takim stanie. Coś musi być nie tak.

- Dziś rano na korytarzu upuściłam tacę i jego miłość to widział.

- I to wszystko?

Stłukłam wszystkie naczynia - jęknęła nieszczęsna dziewczyna. - Czajniczek, dzbanuszek ze śmietaną, filiżanki i nawet cukiernicę.

- Czy moja matka coś ci powiedziała?

- Tak, psze pani - odparła Betty, pociągając nosem. - Powiedziała do jego miłości, że się ze mną policzy.

- O boziu! Wiesz równie dobrze jak ja, że „policzenie” mojej matki to najwyżej kilka uderzeń miotełką do kurzu. A teraz oddaj mi szczotkę. Idź do miski z wodą i przemij twarz. Mogło ci się przytrafić coś znacznie gorszego. Już wcześniej zdarzyło ci się narazić mojej matce i jakoś to przeżyłaś. Ciekawe, co byś zrobiła, gdybyś musiała stawać twarzą w twarz z hrabią Huntlym każdego dnia przez resztę twojego życia.

Betty wybuchła płaczem, a to podziałało przygnębiająco także na jej panią. Po raz kolejny przypominała sobie o czekającym na nią przeznaczeniu.

Kiedy wreszcie zeszała na dół, zachowywała się, jak to określała matka, jak prawdziwa zrzęda.

Spóźniła się na śniadanie i całe jedzenie służba zdążyła już uprzątnąć, więc wspólnie z matką poprosiły o gorącą herbatę i ciasteczka. Księżna spędziła następne pół godziny starając się wzbudzić zainteresowanie swej córki najnowszą modą ślubną prosto z Paryża. Wyglądając przez okno i przypatrując się rozciągającym się w oddali purpurowym wrzosowiskom, Annabella myślała, jak uroczy jest świat za oknem i jak bardzo przypomina pełną życia i radości pannę młodą.

Jak zwykle wspomnienie o ślubie doprowadziło do tego, że natychmiast zapragnęła zmienić temat na przyjemniejszy.

Wczoraj z polowania na kuropatwy wrócił jej ojciec i brat, po czym przez pół nocy opowiadali o swoich wrażeniach Anabelli i księżnej. Zastanowiła się, jak to jest iść na polowanie, po czym uznała, że raczej by się jej to nie spodobało. Potem rozważyła możliwość ustrzelenia Huntly'ego. To była całkiem przyjemna myśl. Bębniąc palcami po stole, zapytała matkę, jak długo jeszcze pozostaną tutaj, w Dunford.

Księżna, która właśnie obficie smarowała marmoladą swój placuszek z jęczmiennej mąki, przerwała na chwilę i popatrzyła na córkę z nieco dziwnym wyrazem twarzy.

- Tydzień, Bello. Od początku taki był nasz plan. Mówiłam ci o tym przynajmniej dziesięć razy.

- Wiem, ale miałam nadzieję, że ty i papa zmienicie zdanie. Bardzo bym chciała, żebyśmy wyjechali szybciej.

- Bello, na miłość boską. Nie możemy przemierzyć biegiem Szkocji, tak jak to mamy w zwyczaju robić w Londynie. Podróżowanie tutaj zabiera więcej czasu, a to oznacza, że musimy chociaż na trochę zatrzymać się w każdym miejscu przeznaczenia przed ponownym wyruszeniem w drogę. Oglądanie

Szkocji to nie oglądanie najnowszych kreacji w salonie modniarskim Madame Toussard.

Annabella wydawała się jeszcze bardziej przygnębiona.

- I tak chciałabym już stąd wyjechać. Rozdzierająco się tutaj nudzę.

Księżna poklepała ją po dłoni.

- Nudzi ci się, ponieważ większość czasu spędzasz pogrążona w najczarniejszych myślach. Dlaczego nie wybierzesz się na spacer? O tej porze na dworze jest naprawdę uroczo.

- Spacer - powtórzyła ze zniecierpliwieniem Bella. - Myślisz, że jest lekarstwem na wszystko. - Wstała z krzesła. - Brednie. Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś zasugerowała spacer umierającemu. - Popatrzyła błagalnie na matkę i wydawało się, że zaraz zacznie jej drżeć dolna warga. - Istnieją rzeczy, których spacer nie jest w stanie wyleczyć, a jedną z nich jest złamane serce - oznajmiła patetycznie i wybiegła z salonu.

Gavin, który właśnie do niego wchodził uskokzył pod ścianę z obawy przed bliskim kontaktem z rozpędzoną furją. Patrzył za Annabella, dopóki nie znikła, po czym wymienił spojrzenia z matką.

- Jeżeli przyszedłeś tutaj towarzysko, usiądź, proszę - rzekła spokojnie księżna, nakładając ostatnią łyżeczkę marmolady. - Jeżeli natomiast chcesz się dowiedzieć, o co chodzi twojej siostrze... nie rób tego. Po drugiej córce przestałam się zastanawiać, co się dzieje w dziewczęcej głowie.

- Dziś mamy czwartek - stwierdził Gavin, uśmiechając się łobuzersko. - Myślę, że czwartek jest dniem, w którym Bella ma zły humor.

- Ostatnio ma taki każdego dnia. Nie rozumiem, jak mogłam przez te wszystkie lata wychowywać córkę po to tylko, by teraz odkryć, że zupełnie jej nie znam - oświadczyła księżna, potrząsając głową. - Gdzież ona się nauczyła takiego nieposłuszeństwa? - zapytała, po czym sama sobie odpowiedziała z nutką rezygnacji: - Od rodziny z mojej strony.

- To nie jest zwykłe nieposłuszeństwo. Ona po prostu nie chce wyjść za Huntly'ego, mammo. Wiesz przecież o tym.

Do jej oczu nabiegły łzy i zaczęła szukać w rękawie chusteczki.

- Oczywiście, że wiem - jęknęła. - Nie mam jedynie pojęcia, co z tym zrobić. Próbowałam już wszystkiego, by zainteresować ją choć trochę zbliżającym się ślubem, jednak nic nie wydaje się do niej docierać. Nigdy nie sądziłam, że będzie się opierać aż tak długo. Jeżeli wkrótce się nie opamięta, sama już nie wiem, co zrobić.

Lady Anne tym wyznaniem zaskoczyła swego syna, ponieważ do tej pory, mimo że serce jej pękało, gdy spoglądała na smutek córki, zawsze starała się wyglądać na pogodną i szczęśliwą.

- Wiesz, niełatwo być matką - płakała. - Nie mam pojęcia, jak Bóg mógł postawić matki na straży szczęścia członków rodziny, zapominając przy tym stworzyć kogoś, kto dbałby o ich dobre samopoczucie.

- Rozmawiałaś z ojcem?

- Wasz ojciec jest dobrym człowiekiem - jęknęła, a z jej oczu trysnęła kolejna fontanna łez - ale czasami wydaje się całkowicie pozbawiony uczuć.

Podczas gdy Gavin wysłuchiwał żalów swej matki, Annabella poszła się na spacer, który tak gorliwie zachwalała księżna. Po godzinie nie mogła powiedzieć, że jest jej wesoło, ale zły humor wydawał się w pewien sposób złagodnieć.

Przez chwilę siedziała na ławeczce ogrodowej, myśląc o domu rodzinnym w Anglii, o pierwiosnkach i lewkoniach, mając wrażenie, że narwała ich ogromny bukiet, a one już nie odrosną. Spacerowała krętą ścieżką, którą z obydwu stron porastała ruta i oset, ale dobiegł ją dochodzący zza żywopłotu zapach męskiego płynu do mycia włosów. Usłyszała chrzęst żwiru na ścieżce i już chciała zerknąć przez szparę między gęsto rosnącymi krzakami, ale zmieniła zdanie. I tak wiedziała, kto jest po drugiej stronie. Wiedziała też, że za kilka jardów obie ścieżki złączą się w jedną, więc zawróciła, nie chcąc, by Ross ją zauważył.

Zatrzymała się przy stajniach i z daleka patrzyła, jak lord Percival i księżę Dunford obserwują wysiłki kilkudniowego źrebaka, próbującego stanąć na jeszcze drżących nogach. Jednak nawet tam czuła się dziwnie wyobcowana.

Gdy odwracała się od padoku, jej uwagę przyciągnęło pole ze stogami siana, na którym pasły się tłusciutkie owce o gęstej, kędzierzawej sierści. Poszła więc w ich stronę. Gdy się do nich zbliżyła, owce popatrzyły z zainteresowaniem, jednak najwidoczniej szybko im się znudziła, gdyż powróciły do skubania resztek trawy. Annabella przeskoczyła lekko przez niewielki stos kamieni, który leżał przy walącym się ogrodzeniu, zastanawiając się, czy zaryzykować i usiąść na będącym w opłakanym stanie murku i zniszczyć suknię, czy też nadal stać. Pograżona w myślach nie usłyszała miarowych kroków, jednak ponownie poczuła zapach płynu do włosów.

- Jeżeli szukasz zbłąkanych owiec, to obawiam się, że te już mają właściciela.

Annabella odwróciła się i spojrzała ze zdziwieniem. Ross zatrzymał się przy niej, stawiając jedną nogę na niskim murku i opierając łokcie na kolanie. Stał blisko, zbyt blisko, i Annabella zastanawiała się, czy słyszy szaleńcze bicie jej serca, które zdawało się rozsadać klatkę piersiową. Chciała coś powiedzieć, cokolwiek, byle tylko przerwać tę pełną napięcia ciszę. Pragnęła

także odwrócić się i uciec. I zrobiłaby to, gdyby przybysz nie skierował na nią swego uważnego spojrzenia.

Uniosł dłoń i jednym palcem musnął jej policzek.

- Nie spotkałem jeszcze nikogo tylko z jednym dołeczkiem.

Przebiegł ją zimny dreszcz. Nie była pewna, czy z powodu jego dotyku, czy też sposobu, w jaki na nią patrzył.

- I nie spotka pan. To nie jest dołek.

- Nie?

- To blizna.

Ujął jej policzek i uniosł głowę do światła, aby uważniej mu się przyjrzeć. Od ucha prawie do ust biegła blada, biała blizna. Ross obejrzał drugi policzek.

- Blizna - powtórzył, zaskoczony, że nie dostrzegł jej wcześniej. - Ale siara.

- Tak. Dość stara.

- Ile miałaś lat?

- Załedwie pięć.

- Zostałaś uderzona?

- Nie.

- Wypadek podczas jazdy konnej?

Kiwnęła głową.

- Przeskakiwałaś przez przeszkodę?

Annabella roześmiała się.

- Nic równie chlubnego. To był kucyk mojej siostry: spasione, łagodne, małe stworzenie z niesformą grzywą i nieustannym apetytem na jabłka.

Jej towarzysz uśmiechnął się.

- Przejazdzka w pojedynkę?

- Nie. - Nawet krótkie, proste słowa były trudne do wymówienia, jako że Annabella czuła dziwną suchość w gardle.

- Zrzucił cię?

Ponownie się zaśmiała.

- Upiera się pan przy wyszukiwaniu sensacji tam, gdzie jej nie ma. A w tym, co się stało, nie ma niczego godnego podziwu. Spadłam. Moja siostra oprowadzała kucyka, na którego grzbiecie siedziałam ja. Działo się to w naszej wiejskiej posiadłości w Maidstone. Nagle pies przestraszył mojego rumaka i pognął on przed siebie, a ja razem z nim. Straciłam równowagę i upadłam. Głową uderzyłam w pług. Ostrze lemiesza przebiło mi policzek.

Zrozumiała wtedy, że powinna była odejść, kiedy wcześniej miała jeszcze taką możliwość. Rossowi udało się jakoś przegnać jej czarne myśli, zapo-

niała nawet o zwykłej nieśmiałości w kontaktach z mężczyznami. Być może powinna oddalić się teraz, ale powiedziała sobie, że już na to za późno. Niezdecydowana pochyliła głowę. Ross wsunął palec pod jej podbródek i jeszcze raz unióśł głowę dziewczyny do światła.

Ponownie przyjrzał się jej twarzy - gładkiej skórze i ledwie widocznej bliźnie. Nie było tam żadnych znaków, które zdradzałyby paskudną, dawną ranę - nic oprócz uroczego dołeczka, który miał ogromną ochotę pocałować.

- Zagoiła się zaskakująco dobrze. Musi to być robota piekielnie dobrego chirurga.

Annabella roześmiała się, a on zwrócił uwagę, że dołek jeszcze się pogłębił.

- To prawda. Mojej babci.

- Babci? To ona zszyła ci twarz?

- Tak. Oświadczyła, że nie ma zamiaru czekać na przybycie z miasta tego starego pijaka, który zmasakruje mi twarz. Później dowiedziałam się od mamy, że babcia wiedziała, iż za bardzo spuchnie, zanim przyjedzie doktor, a była ona doskonałą szwaczką. Podobno miałam najpiękniej zszytą ścięciem krzyżowym szczękę w całej Anglii.

- A teraz - rzekł Ross - masz po prostu najpiękniejszą.

Odwróciła głowę.

- Wolałabym, żeby nie mówił pan takich rzeczy.

- Wszystkie kobiety lubią, kiedy prawi im się komplementy.

Uniosła głowę, zdecydowana stawić mu opór.

- Wszystkie inne kobiety może i tak, ale mnie się to nie podoba.

- Nareszcie samodzielnie doszłaś do jakiegoś wniosku.

Nie wiadomo skąd pojawił się wietrzyk, który poruszył sieczką i słomą, po czym ucichł równie nagle, jak się zjawił. Po drugiej stronie murku między dwiema owcami wynikło najwyraźniej jakieś nieporozumienie, a przy stodole kot zamiauczał tak przeraźliwie, jakby ktoś nastąpił mu na ogon. Jej zmysły wydały się nagle wyjątkowo wyostrzone.

- Nie jesteś dziewczyną, która ma w zwyczaju sama myśleć. Twoje życie musi być przez to okropnie nudne.

- Jedyne, co uważam za nudne, to stanie tutaj i rozmawianie z panem.

Nieoczekiwanie zbliżył się do niej jeszcze bardziej i położył dłonie na jej ramionach. Miała rację. Nie potrafiła myśleć. Gdy stała tak blisko i czuła na swym ciele jego wielkie dłonie, odkryła także, że ledwie jest w stanie oddychać. Tak jak to miała w zwyczaju, Annabella starała się znaleźć wyjście z kłopotliwej ją sytuacji.

Nie ma powodu, pomyślała, aby taka dorosła kobieta trzęsa się niczym wystraszony dzieciak tylko dlatego, że jakiś mężczyzna położył dłonie na jej ramionach.

Tym razem nie pomogło. Wiedziała, że pewnie wygląda jak jakaś owca, stojąc tutaj, rumieniąc się i jękając.

Jednak całe to podniecenie obecne było tylko w jej wnętrzu. Stała w milczeniu i bez ruchu, wiedząc jednocześnie, że musi stawić opór, choćby nawet miał być on symboliczny.

Ten mężczyzna był taki inny, tak dużo bardziej bezpośredni od wszystkich, których poznała do tej pory. Umiał prześlizgiwać się między pułapkami uprzejmości i konwenansów, docierając bezpośrednio do sedna sprawy. Ni-),dy nie spotkała też nikogo, kto mówiłby w tak dziwny sposób, jakby wypowiadał na głos swoje prawdziwe myśli. Myśli były czymś prywatnym, czymś, czym rządziła etykieta i zasady dobrego wychowania, które to z kolei przekształcały je w starannie dobrane, głośno wypowiedane słowa. Ten mężczyzna był prosty. I bezpośredni. I bardzo denerwujący. Zastanawiała się, czy potrafi czytać w jej myślach.

Annabella nie mogła oderwać od niego wzroku: od opalonej twarzy, błysku w jego oczach, ust, które tak łatwo się uśmiechały. Powiedział, że ona nie myśli samodzielnie i zastanowiło ją, jak to możliwe, że tak szybko rozszyfrował jej prawdziwą naturę. Poczowała wstyd, że jej brak charakteru jest aż tak oczywisty.

- Nie ma potrzeby, byś tak intensywnie rozmyślała nad tym, co ci powiedziałem. Nie jest trudno nauczyć się samemu myśleć. To tak jak z wszystkim innym. Musisz chcieć wystarczająco mocno, a potem wyciągnąć rękę i to chwycić. Nikt ci tego nie poda na srebrnej tacy.

- Nie rozmyślałam - odparła krótko.

- A właśnie, że tak. Już wystarczająco się tego naoglądałem. Większość ponurych, zgorzkniałych kobiet zaczyna dokładnie tak jak ty. Twoja twarz zdążyła już przybrać ten charakterystyczny, ściągnięty wyraz. Poczekajmy kilka lat, a twój nos będzie dotykał podbródka.

Annabella nie była w stanie niczego z siebie wydusić. Zaskoczył ją. Zupełnie nie spodziewała się takich słów z jego akurat ust. I właśnie dlatego tak bardzo ją zabolały.

Być może tym, co naprawdę bolało, było to, że znała swą przyszłość, jeszcze zanim on wygłosił swe okrutne proroctwo. Od chwili ogłoszenia jej zaręczyn życie wydawało się równie jałowe i mało obiecujące jak torfowisko. A teraz po to brutalnych i gruboskórnych przypomnieniu o niewesołej przyszłości, o braku charakteru, uznała, że była głupia, ciesząc się jego towa-

rzystwem i myśląc, że jej życie jest zupełnie inne od prawdziwego, bądź też że jest tą samą szczęśliwą dziewczyną, którą była zaledwie kilka miesięcy wcześniej. Wszystko mówiło jej teraz, że nie ma zupełnie po co stać tutaj z tym mężczyzną. Zupełnie.

- Nie chmurz się tak i nie zmocznij mnie przypadkiem - rzekł Ross. - Czy jesteś tak przyzwyczajona do bycia rozpieszczaną i ochranianą, że zalewasz się łzami od razu, gdy ktoś jest z tobą szczerzy?

- Nie płaczę.

- Może i nie, ale założę się, że za chwilę będziesz.

- Mógłby pan przynajmniej poczekać ze swymi oskarżeniami, dopóki ktoś nie jest naprawdę winny.

- Powiedziałem to tylko, żeby cię trochę rozruszać, żeby się przekonać, czy masz w sobie choć odrobinę ikry. Ciężko to stwierdzić, gdyż masz teraz taki zrzedliwy wyraz twarzy.

- Nie jestem zrzęda! - zawołała, zadziwając tym samą siebie. - I nie płaczę, kiedy ktoś jest szczerzy. Podziwiam szczerłość. Za to zdecydowanie nie pochwalam impertynencji i grubiaństwa. To, co pan mówi... Każdy słuchający pana słów pomyślałby, że nie mam rozumu, bądź też kręgosłupa, co nie jest prawdą. Jestem wystarczająco inteligentna, by nie pozwolić na tak rażący brak poszanowania uczuć drugiej osoby. Jeżeli moje zachowanie wydaje się panu dziwne, może to właśnie jest jego powodem. Zaszokował mnie pan, to wszystko.

Ross nie wyglądał jak ktoś, kto choć przez chwilę w to uwierzył.

- Zanim to wszystko się skończy, poczujesz się nie tylko zaszokowana - stwierdził, wbijając w nią wzrok, który przedzierał się przez warstwy udawania i zaprzeczania i docierał prosto do sedna, a tym sednem, o czym oboje wiedzieli, było to, iż on jest mężczyzną, a ona kobietą i że odczuwają wobec siebie więcej niż tylko przelotne zainteresowanie.

Annabella wolałaby znajdować się w tej chwili w każdym innym miejscu, byle nie tutaj, w towarzystwie tego niepokojącego mężczyzny. Dręczył ją wstyd i poczucie upokorzenia. Jak będzie w stanie przyjrzeć się swemu odbiciu w lustrze? Wiedziała, że płonącej policzki. Traciła oddech.

- Nie ma potrzeby stać tutaj i łykać powietrze niczym jaszczurka na gorącym kamieniu - oświadczył Ross. - To niczego nie zmieni, a tylko zniszczy resztę twojego dnia.

Słyszając jego słowa, Annabella wyprostowała ramiona.

- Czy wszyscy w Teksasie mówią tak jak pan?

- Nie wiem. A jak ja mówię?

- No cóż, pańska mowa, poza tym, że dziwaczna, jest... Chodzi mi o to, że to, co pan mówi, nie ma żadnego sensu.

Przez chwilę przyglądał się jej, tak jak by się nad czymś intensywnie zastanawiał, po czym roześmiał się.

- Jak to dobrze, że jestem zaręczona. Nigdy nie pasowalibyśmy do siebie. Jeżeli zdziwiły go jej słowa, nie dał tego po sobie poznać.

- A czemuż to?

- Zbyt mocno się od siebie różnimy.

- W jakim sensie? - Ross uśmiechnął się i obrzucił ją spojrzeniem. - To znaczy poza oczywistymi różnicami, jakie występują pomiędzy mężczyzną i kobietą.

- Wiem, o co panu chodzi. Nie musi pan ryć tych słów w skalę. Nie jestem aż tak tępa. Być może najbardziej odpowiednia byłaby tutaj analogia. Wie pan, jak się uprawia ogród, prawda?

Teraz pokazywał w uśmiechu już wszystkie zęby.

- Chodzi ci o zakopywanie tych wszystkich małych nasionek, które potem przekształcają się w dynie, rzepę i buraki? - zapytał z przesadnym przejęciem.

- Do diabła z panem - odparła Annabella z irytacją. - Nie o takie ogrodnictwo mi chodzi.

- To kontynuuj. Zrobię co w mojej mocy, by podać za tobą myślami.

- Pochodzę ze świata, który dość znacznie różni się od pańskiego. Jestem jak roślina, która jest częścią większej całości. Roślina sadzona w odpowiednim miejscu i czasie. Taka, która stanowić będzie maleńką część uporządkowanego i starannie utrzymywanego ogrodu. Jestem otoczona troską, nawazona, podlewana i otrzymuję odpowiednie dawki słońca. Jestem także regularnie przycinana i chroniona przed żywiołami. Wzrastam, dojrzewam i kwitnę, ale zawsze w obrębie mego ogrodu. Ale pan... Pan jest jak chwast, którego nasionko zostało przywiane z daleka i które samo zaczyna kiełkować, wyrastając ze szczeliny w walącym się murze. Kiedy pan kwitnie, pańskie nasiona są rozwiewane przez wiatr. Nie ma pan domu, tak jak i nie ma pan celu w życiu.

- Może i masz rację, lady Annabelle, ale mam coś, czego ty nie posiadasz. Mam poczucie rzeczywistości, tego, czym jest życie i o co chodzi światu, podczas gdy ty nigdy tak naprawdę nie żyjesz.

- To nieprawda.

- Czyżby?

Panowało między nimi niebezpieczne napięcie.

- Oczywiście.

Nie patrz tak na mnie. Nie wiesz, jak to na mnie działa.

Ależ wiem. Dokładnie tak samo, jak twoje spojrzenie działa na mnie.

- Myślę, że to nieprawda i udowodnię to panu.

To się musi skończyć. Nie może tak dalek być.

Dziwnie znieruchomiała Annabella przyglądała się, jak jej towarzysz zamyka oczy i wciąga głęboko powietrze. Kiedy je otworzył, popatrzył na nią.

- Rozejrzyj się. A potem opowiedz mi, co widzisz.

Popatrzyła na niego z konsternacją. Szybko się rozejrzała.

- Widzę krajobraz.

- Gorzej, niż myślałam - uznał Ross. - Dziewczyno, potrzebujesz pomocy. - Przynął się. - Odwróć się. No, dalej. Nie zrobię ci krzywdy.

- Właśnie to mówi nasz kucharz za każdym razem, kiedy goni kurczaka z toporem za plecami.

Mężczyzna zaśmiał się, a Annabella spojrzała na niego z powątpiewaniem i odwróciła się, czując, jak jego dłonie zakrywają jej oczy.

- A teraz powiedz mi, co przed chwilą zobaczyłaś.

Zobaczyłam ciebie. Tylko ciebie.

- Mówiłam już. Krajobraz.

- Czy mogłabyś nieco bardziej to rozwinąć?

- Czy mógłby się pan wyrażać nieco jaśniej?

Ross roześmiał się.

- Ależ mówię jasno. Poprosiłem cię o opis. Powiedz mi, co zobaczyłaś. Jaki to rodzaj krajobrazu.

- Zobaczyłam szkocki krajobraz. W cholernym świetle dnia.

- Załóżmy, że nigdy nie byłem w Szkocji, a ty mi to opisujesz. Nie możesz powiedzieć, że wygląda jak szkocki krajobraz, skoro nie mam pojęcia, jaki on w ogóle jest. Opisz mi go.

- Wygląda dokładnie tak, jak każdy inny krajobraz. Ziemia jest brązowa i zielona, niebo niebiesko-białe. Są drzewa i woda. Co pan robi? To głupie. Proszę zabrać ręce.

Opuścił je.

- Ty nadal niczego nie widzisz.

- Mówi pan zupełnie bez sensu. Nie rozumiem dlaczego w ogóle tracę czas na rozmowę z panem.

- Ponieważ lubisz mnie bardziej, niż chcesz się do tego przyznać. Ponieważ podoba ci się moje zainteresowanie twoją osobą. Ponieważ wiesz, że nie

chcesz wyjść za Huntly'ego. Ale wystarczy tego - uznał. - Jak by ci się to podobało, Annabello, gdyby ktoś zapytał mnie o twój wygląd, a ja odpowiedziałbym: Wygląda jak każda inna kobieta. Ma włosy, oczy, dwie nogi i tyle samo rąk. Jak sądzisz, czy byłby to adekwatny opis?

Jego słowa były jak uderzenie obuchem, jednak zmusiła się do uśmiechu.

- Mam nadzieję, że zauważyłby pan coś więcej, niż tylko to.

- A właśnie to samo przed chwilą ty zrobiłaś. Pewnego dnia dojdiesz do wniosku, że ziemia nie jest wcale zielona i brązowa, a dookoła znajduje się coś więcej niż drzewa i woda. Nie potrafisz zobaczyć tego w tej chwili, gdyż zostałaś nauczona, by oglądać świat cudzymi oczami, ale pewnego dnia... Pewnego dnia przejrzyś na oczy, a wtedy twoje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Zaczęła coś mówić, ale Ross uciszył ją, kładąc palec na ustach.

- Nic nie mów. Nie teraz. Za wcześnie. Sądzę, że za wcześnie, byś to naprawdę zrozumiała. Przed tobą długa droga, dziewczyno. Nie możesz oczekiwać, że zaczniesz biegać wcześniej niż nauczysz się chodzić. - Zaśmiał się cicho i potarł kciukiem zmarszczkę pomiędzy jej brwiami. - A teraz się nie martw. Mamy czas. Nie musimy się śpieszyć. Z niczym.

Czekał, wyczuwając w jej drobnym ciele napięcie i niezdecydowanie. Czy zaufa mu na tyle, by się odprężyć, czy też czmychnie stąd niczym spłoszony zając? Nachylił się do jej ucha i wyszeptał:

- Wiem, o czym myślisz: ufaj wszystkim, ale zamykaj starannie drzwi. Mam rację?

Annabella roześmiała się, wyraźnie się odprężając.

- Jest pan blisko - przyznała. - Zrobił pan to celowo, prawda?

- Co zrobiłem celowo? - zapytał niewinnie. - Zaproponowałem przyjacielską pogawędkę?

- Słowa takie jak skrupuły i honor nie są nawet obecne w pańskim słownictwie. Przyszedł pan tutaj niczym herbatnik posmarowany z dwóch stron masłem i proszę nawet nie próbować zaprzeczać. Wie pan, że jestem zaręczona, a mimo to celowo zachowuje się wobec mnie w tak bezpośredni sposób.

Proszę, skończ z tym.

Nie mogę.

Jestem zaręczona z innym.

Nie obchodzi mnie to. Nie kochasz go.

Ciebie także nie kocham.

Nie, ale mogłabyś pokochać.

Trzymaj się ode mnie z daleka, słyszysz. Trzymaj się z daleka.

- Jak mógłbym uczynić coś tak nierycerskiego jak zakradanie się niczym posmarowany z obydwu stron herbatnik?

- Mógłby pan. I zrobił pan to.

- No cóż, przyłapałaś mnie. - Uniósł ręce w geście poddania. - Przyznaję się bez bicia - przechylił się, by wyszeptać te słowa do jej ucha. Nie zatrzymał się tam, lecz pocałował delikatną skórę jej policzka, a wszystko to trwało krócej niż mrugnięcie.

- Proszę przestać! - zawołała Annabella, odpychając go. - Nie wychowywano mnie tak, by publicznie okazywać uczucia.

- Nic nie szkodzi, skarbie. Ja też wolałbym to robić na osobności.

Nie było sposobu, by wygrać z tym człowiekiem. Bez sensu było w ogóle próbować. Nic więc na to nie odpowiedziała.

Ross nie chciał zepsuć harmonii, która między nimi zapanowała, więc wziął ją za rękę i powiodł wąską ścieżką wzdłuż kamiennego ogrodzenia. Ciekawiło go, czy ona też to czuje.

Nie musiał się długo zastanawiać. Annabella też zwróciła na to uwagę i to skłoniło ją do przerwania ciszy.

- Dokąd idziemy?

- A gdzie miałybyś ochotę?

- Z powrotem do Anglii - odparła bez zastanowienia.

- Pieszko?

Z najwyższym trudem starała się powstrzymać od śmiechu, ale nieszczerze jej się to udało.

- Poleciałabym nawet na miotle, gdybym dzięki temu mogła się znaleźć z powrotem w domu - oświadczyła.

Ross także się roześmiał.

- Wygląda na to, że zawsze muszę cię prosić o ponowny wybór. Obawiam się, że Anglia nie wchodzi w grę. Co w takim razie powiesz na krótki spacer po terenie należącym do mojego dziadka?

Na jej twarzy momentalnie pojawiło się niezdecydowanie.

- Podejrzewam, że twoja niania bądź też guwernantka nie poinstruowała cię, jak się w takiej sytuacji zachować, nieprawdaż?

Gdy to mówił, pochylił się w jej stronę, a jego ciepły oddech drażnił jej wszystkie zmysły. Ten mężczyzna miał niewiarygodny wprost tupet. Teraz jego wstrętny podbródek spoczywał na jej ramieniu. Cóż za poufałość. Cóż za imperytynencja. Jakimi nieokrzesanymi chuliganami muszą być ci Teksasczycy. Ale pomimo braku ogłady i niedelikatnego zachowania jego niepokojąca bliskość wydawała się wypierać z jej myśli wszelkie zasady dobrego wychowania.

Nic, ale to nic nie przygotowało jej na ten kompletny chaos. Nic w niej nie funkcjonowało właściwie i nic nie znajdowało się na zwykłym miejscu. Jej serce wydawało się być wszędzie tam, gdzie u innych ludzi go nie ma. Bo dlaczego czuła jego walenie w skroniach i w gardle? I co to było za łaskotanie, które wydawało się świadczyć, że właśnie połąknęła flotyllę podekscytowanych motyli?

Z pewnością nie było żadnego stosownego wyjaśnienia tego wszystkiego. Dlaczego szanująca się kobieta miałaby czuć nieśmiałość i zatrwożone podekscytowanie podczas czegoś tak naturalnego jak spacer w samym środku dnia? Zachowywała się jak kapuściana głowa, czując tak ogromne skrępowanie w towarzystwie przedstawiciela przeciwnej płci. Przecież szkolono ją w prowadzeniu uprzejmych konwersacji, także z mężczyznami. Dlaczego więc zachowuje się teraz jak pięcioletnie, niedorozwinięte umysłowo dziecko?

Może głupio to zabrzmiało, ale ten mężczyzna robił teraz użytek ze swego nosa. Właśnie w tej chwili wachał jej szyję. A najgorsze jest to, że jej się to podobało. Na miłość boską! Czy ona już zupełnie postradała zmysły? Oto szła sobie cichutko koło niego i znosiła jego dotyk, podczas gdy doskonale wiedziała, że powinna zaprotestować przeciwko sposobowi, w jaki kładł rękę (albo też nos, jeżeli chodzi o ścisłość) na jej ciele z całkowitym lekceważeniem tego, co wypada, zwłaszcza wobec kobiety zaręczonej. Annabella z całej siły starała się sporządzić w myślach listę powodów, dla których nie powinna przechadzać się po posiadłościach księcia Dunford z tym oto mężczyzną, ale gdy dotarła do punktu czwartego, on ją znowu powachał, a jej wyleciał z głowy punkt pierwszy, drugi i trzeci.

To nie miało żadnego sensu.

Postanowiła dać sobie spokój, nieświadoma tego, że Ross zauważył jej kapitulację. Zapanowało między nimi swego rodzaju zawieszenie broni. Przez jakiś czas szli jedno obok drugiego, nie odzywając się, a jednocześnie czując, że mają sobie tak wiele do powiedzenia.

To on przerwał ciszę.

- Pewnego dnia - zaczął łagodnie - opowiem naszym wnukom o dzisiejszym dniu, a wtedy cofniemy się sami pamięcią i będziemy go wspominać z uśmiechem.

Annabella o mały włos nie przewróciła się o własne nogi. O wszyscy święci. Ledwie poznała tego mężczyznę, a on widzi już wokół nich wianuszek wnuków. Naprawdę musi go unikać. On jest nie tylko szalony, ale także niebezpieczny!

- Czy często upadał pan na głowę w dzieciństwie?

- Raczej nie.
- A z drzew? Z wielu pan spadł?
- Nie przypominam sobie.

Annabella zatrzymała się i popatrzyła z uwagą na swego towarzysza.

- W takim razie jest pan naprawdę szalony.

Ross poklepał ją delikatnie po nosie.

- Na twoim punkcie, dziewczyno. Sądziłem, że wiesz o tym.

Przygotowana była na wszystko oprócz tych słów i spojrzenia, jakim ją obrzucił. Sita jego stów dotarła aż do jej serca i wiedziała, że będzie musiała teraz powziąć wszelkie kroki, byle tylko więcej nie znaleźć się z tym mężczyzną sam na sam.

Ross lekko obejmował jej plecy, a jego dłoń spoczywała na kobiecym biodrze. Matka zawsze ostrzegała Annabelle przed takimi mężczyznami, a ona sama nie była na tyle głupia, by mu na coś takiego pozwolić. Sięgnęła, by podnieść jego dłoń i umieścić ją gdzie indziej, tyle że nie była pewna gdzie, dlatego że gdziekolwiek jej dotykał, siał w niej tym samym spustoszenie.

Nie możesz zostawić tam jego dłoni, przypomniała sobie stanowczo. Ujęła ją więc i na chwilę się zamyśliła. Nigdy wcześniej nie dotykała męskiej dłoni. Nigdy nie miała okazji sprawdzić jej ciężaru i budowy. Co takiego było w tej części ciała, że jej dotyk wywoływał w niej dreszcze? Jakie kryły się w niej tajemnice? Do czego była ona zdolna?

Odsuwając na bok te męczące myśli, Annabella odepchnęła jego rękę jak najdalej i przyśpieszył kroku, mając nadzieję zostawić go w tyle.

Chwilę później dłoń Rossa ponownie znalazła się na jej biodrze.

Odepchnęła ją.

Położył ją z powrotem.

Tym razem nie zareagowała.

Pogłaskał ją kciukiem tuż nad talią. Zignorowała jego zachowanie. Ośmieliło go to nieco i zaczął przesuwac dłoń po jej żebrach, tak jakby były one szczeblami drabiny. Męska dłoń znajdowała się teraz niebezpiecznie blisko jej piersi. Annabella zignorowała także to.

- Dlaczego nie jesteś ani trochę waleczna? - zapytał Ross po kilku minutach niczym niezmaconej ciszy. - Czy ta twoja kochana rodzinka całkowicie zniszczyła twoje poczucie własnej wartości? Doskonale wiesz, że podszedłem do ciebie obficie posmarowany masłem i z konkretnym celem, a mimo to jedyne, na co cię stać to udawane niezadowolenie. Dlaczego nie jesteś ciekawa? Czemu nie pytasz mnie, co mam nadzieję zyskać, dotykając twojego ciała? Dlaczego nie uderzyłaś mnie w twarz ani nie odepchnęłaś na ten

kamienny murek? Gdzie są słowa niezadowolenia, nawet nienawiści, którymi powinnaś mnie teraz obrzucać? Zastanawia mnie, co takiego musiałbym uczynić, żebyś wreszcie zareagowała i stawiała mi czoło.

Annabella nigdy dotąd nie była tak bliska łez. Jednocześnie nigdy nie czuła takiej determinacji, by się nie rozpłakać. Może i nie odpycha go na murek, ale nie pozwoli mu zobaczyć, jak bardzo zraniły ją jego słowa.

- Nie rozumiem, jak ktokolwiek może znieść pańską obecność - rzekła za to. - Czy wypędzono pana z Teksasu? Czy dlatego właśnie znalazł się pan w Szkocji?

- Nie najgorzej - stwierdził Ross. - Oczywiście, jak na osobę początkującą. Brak jednak w twoim głosie przekonania. Czy to jedyne, na co cię stać?

- Jest pan niemożliwą do zniesienia świnią, sir!

- Lepiej, ale i tak musiałas to zepsuć. Szło ci całkiem dobrze, dopóki nie dodałaś tego łagodzącego „sir”. Nie przeklina się mężczyzny tak uprzejmie, moja słodka Annabelle Powinnaś wytargać mnie za uszy albo przynajmniej obrzucić twoim najzimniejszym spojrzeniem. Mogłabyś też w takich sytuacjach zgrzytać zębami albo czymś rzucić. W ten sposób nie miałbym żadnych wątpliwości, jak bardzo mnie nienawidzisz.

- Nie mam w zwyczaju zgrzytać zębami. Nie mam ochoty także rzucić czymkolwiek w obawie, że mogłoby to być coś, co lubię. I co wtedy? Pan byłby równie przykry i nieznośny, a ja stałabym się jeszcze bardziej wściekła z powodu zniszczenia jakiegoś cennego przedmiotu. Obawiam się, że bycie niedołągą jest moim przeznaczeniem - wyjaśniła.

Ross zaśmiał się głośno.

- No ale nie jest tak źle. Jesteś zbyt dobroduszną i życzliwą, by obrzucić kogoś lodowatym spojrzeniem. Masz prześliczne oczy, wiesz?

Bella nie odpowiedziała.

Mężczyzna westchnął i przysunął się bliżej.

-Annabelle? - wyszeptał, ogrzewając swym ciepłym oddechem jej policzek.

Rozchyliła wargi w zdziwieniu. Nie powiedziała ani słowa. Nie poruszyła się ani o cal. Na twarz opadło jej wilgotne pasmo włosów. Z niecierpliwością je odsunęła. Kiedy się wreszcie odezwała, starała się dobierać słowa:

- Gdyby był pan tak uprzejmy i zostawił mnie samą, to resztę przechadzki odbyłabym w samotności. Taki zresztą miałam zamiar, gdy opuszczałam zamek.

Stali przez chwilę w kompletnej ciszy. Cały świat zamarł. Nawet owce na pastwisku najwyraźniej wiedziały, czego się od nich oczekuje, a rosnące w oko-

licy drzewa w bezruchu wyczekiwały mgły, która czołgała się już powoli po rozległych wrzosowiskach. Powietrze było ciężkie, nieruchome i chłodne. Cisza wydawała się złowróżbna, a Annabella poczuła nagły lęk, tak jakby otrzymała od losu szansę wythnienia i nie skorzystała z niej. Niezbyt rozsądna myśl, zwłaszcza że nawet obecny przy niej mężczyzna nie był w stanie zrobić niczego, by ją ocalić.

Jakie to dziwne, że pragnęła opowiedzieć mu o tym niezwykłym, niewytłumaczalnym wrażeniu. Odczuwała także desperacką potrzebę porozmawiania z kimś, kto zrozumiałby jej smutek, że poznała mężczyznę takiego jak wnuk księcia Dunford dopiero teraz, kiedy jest już za późno.

Wracali już do zamku, kiedy dojrzeli zmierzającego w ich kierunku Gavina.

- Do diaska, siostrzyczko. Wszędzie cię szukałem.

Annabella nic na to nie odpowiedziała.

- Trochę potrwa, nim nabierze ochoty na pogawędkę - oświadczył Ross tytułem wyjaśnienia. - Na razie za bardzo pochłaniają użalanie się nad sobą.

- Niech on cię przypadkiem nie zwiedzie - rzuciła chłodno. - Nie jest tak zabawny, za jakiego się uważa.

Gavin uśmiechnął się szeroko do towarzysza swej siostry.

- Przykro mi widzieć, że przyszło ci spacerować z tak niewdzięcznym członkiem rodziny Stewartów. Bella zazwyczaj nie zachowuje się jak jędra.

- To moja wina - odparł Ross. - Obawiam się, że nieco zbyt mocno nastąpiłem jej na odcisk. Pewnie dopiero za kilka dni przejdzie jej rozdrażnienie. Nieprędko doczekam się od niej jakichkolwiek podziękowań.

- Stanie się to tego samego dnia, kiedy piekło zamrznie - oświadczyła Annabella i ruszyła szybkim krokiem w kierunku zamku.

Gavin przyglądał się, jak po chwili jego siostra znika za masywnymi drzwiami.

- Czy tylko dlatego jest nie w sosie?

- Tak sędzę. Głaskałem ją pod włos i wreszcie pokazała pazurki.

- No cóż, jestem przekonany, że szybko jej przejdzie. Annabella nie należy do osób długo chowających urazę.

- Zbyt szybko przebacza - odparł Ross i także skierował się do zamku. Gavin podążył tuż za nim. - Od kiedy twoja siostra jest zaręczona z Huntlym?

- Niewystarczająco długo, by zjednął sobie jej sympatię. Ona nic nie czuje do tego człowieka.

Ross popatrzył na swego rozmówcę z namysłem, po czym otworzył drzwi.

- Winisz ją za to?

- Ani trochę. Och, podejrzewam, że jest zupełnie w porządku na swoim terenie.

- A cóż to za teren?

- Szkocja, podczas gdy ja jestem w Anglii. No i nie jako narzeczony mojej siostry.

- Twoim rodzicom wyraźnie podoba się taka partia. Dlaczego nie wybrali jej jakiegoś Anglika?

- Annabella musi wyjść za Szkota. W kontrakcie ślubnym naszych rodziców napisane jest, że najmłodsza córka musi zostać żoną Szkota.

- Mimo to Huntly nie wydaje mi się najlepszą partią. Jest tak stary, że mógłby być jej ojcem

- Jest ogólnie szanowany.

- Może w kręgach angielskich. Tutaj, w Szkocji, jest nieco inaczej. Nazwisko się liczy, ale znacznie bardziej to, jakim jest się człowiekiem.

Gavin zamyślił się.

- Wydajesz się wykazywać niezwykle zainteresowanie tą sprawą. Dlaczego?

- Mam zamiar ożenić się z twoją siostrą - odparł zwięźle Ross.

Z jakiegoś powodu jej brat nie wyglądał na zaskoczonego.

- Zareczyny są wiążące i nie mogą zostać zerwane, poza rzadkimi przypadkami, kiedy obie strony się na to zgadzają. Jak masz zamiar poradzić sobie z tym?

Znajdowali się teraz w kuchni, która o tej porze była pusta. Ross usiadł za stołem i wyciągnął nogi.

- Byłbym głupcem, gdybym ci powiedział, nieprawdaż?

Gavin uśmiechnął się szeroko.

- Och, nie wiem. Gdybyś mnie przekonał, mógłbym być niezwykle wpływowym sojusznikiem.

- A w gniewie groźnym przeciwnikiem - oświadczył stanowczo Ross.

- To prawda, ale często myślę, że wolałbym już widzieć Annabelle jako starą pannę niż żonę Huntly'ego.

- To wybór z piekła rodem, do którego żadna dziewczyna nie powinna być zmuszona.

- Cóż - odparł Gavin ze śmiechem - być może uda ci się i wtedy nie będzie musiała go dokonywać.

- Może mi się uda. A już na pewno będę się starał.

Gavin usiadł naprzeciwko swego rozmówcy, po czym oparł się o stół i wyszeptał:

- Czy myślisz, że mamy szansę położyć kres tym nieszczęsnym zaręczynom?

Zaskoczony Ross przyjrzał się uważnie mężczyźnie, którego do tej pory uważał za wroga.

- My? - zapytał. - Nie przypominam sobie, byśmy zawierali przymierze. Przyjacielskie oblicze brata Annabelli mówiło samo za siebie.

- Ależ tak - odparł zdecydowanie. - No i co, mamy szansę?

- Oczywiście. Będę próbował tak służyć, jak tylko będę żył.

- Tak długo, jak obaj będziemy żyć - poprawił Gavin. - Wiesz, że będziesz potrzebował sojusznika.

- Byłbym głupcem, odrzucając taką propozycję.

- To dobrze. Jak mówi mój ojciec, język mądrego człowieka znajduje się tuż za jego sercem.

Ross wzruszył ramionami.

- Kto wie? Mówią też, że serce bywa prorokiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gdzie są wszyscy? - zapytała Annabella.

Było w pół do dziewiątej następnego ranka, kiedy zatrzymała się przy drzwiach do jadalni i zobaczyła, że jej matka siedzi sama przy długim, mahoniowym stole. Księżna obserwowała, jak jej córka wchodzi do tego pogodnego pokoju.

Tak naprawdę Annabella nie użyłaby tego właśnie słowa do jego opisanie, było to określenie jej matki. Ona wolałaby raczej nazwać go „optymistycznym”. Cóż, zapewne niektórzy nie zgodziliby się, że pokój może być odbierany w taki właśnie sposób, ale tym akurat się nie przejmowała, gdyż zdarzało się jej być błogo nieświadomą wszelkich konwenansów, a przynajmniej tych duchowych.

To był jej sposób na ucieczkę od niekończących się oczekiwań, z którymi musiała się zmagać przez całe życie, na wymknięcie się konwenansom, zasadom dobrego wychowania i sztywnym wymogom etykiety. Jej życie może i było naszpikowane ograniczeniami, ale na szczęście wolno jej było myśleć, o czym tylko miała ochotę. I stąd wziął się jej zwyczaj przypisywania pokojom cech charakteru. Jadalnia zamku Dunford ze swymi półokrągłymi wnękami i ogromnymi oknami była według niej optymistyczna.

Wzrok Annabelli błędził po ozdobnych tapetach, podczas gdy obcasy jej butów wystukiwały wiadomość na drewnianej podłodze. Urwało się to w chwili, gdy wkroczyła na puszysty, perski dywan.

- To miejsce jest wyludnione niczym grobowiec. Nie wiedziałam, że w tak wielkim domu może być aż tak cicho.

- I bardzo z tego powodu przyjemnie - stwierdziła jej matka.

Annabella uniosła pokrywkę jednej ze srebrnych mis i odsunęła się gwałtownie, gdy znad tradycyjnej szkockiej potrawy, jaką były śledzie w owsiance, uniosła się sycząca para. Przez chwilę wpatrywała się w śledzie, po czym

uznała, że ich wygląd nie jest ani trochę lepszy od zapachu. Przykryła misę z powrotem. Podejrzewała, że nigdy nie przyzwyczai się do niektórych dań, przysmaków dla rdzennych mieszkańców Szkocji.

Z dużo mniejszym entuzjazmem uniosła kolejną pokrywkę i ujrzała maślane bułeczki, które wyglądem nieco przypominały angielskie placuszki z jęczmiennej mąki, ale nie były nawet w połowie tak pyszne. Była jednak głodna, więc wzięła jedną.

- Twój ojciec i Gavin udali się do Edynburga.

Annabella upuściła pieczywo na talerz i odwróciła się do matki.

- Do Edynburga? Sądziłam, że wszyscy tam pojedziemy.

- Twój ojciec uznał, że taka podróż będzie dla nas zbyt pośpieszna i męcząca, i że lepiej będzie, jak sami pojedą konno zamiast powozem. Chyba wiedział, że tutaj będzie nam lepiej.

Dziewczyna uniosła kolejną przykrywkę. Znalazła w niej przyprawione ostro jajka sadzone na posmarowanych masłem tostach, obłożonych sardelami i kaparami.

- Ale ja nie czuję się tutaj dobrze - oświadczyła, nakładając na talerz jedną porcję i z powrotem przykrywając naczynie. - Wolałabym już stąd wyjechać.

Księżna wydawała się nieco poirytowana.

- Annabelle, jestem pełna niepokoju, widząc ciebie tak nastroszoną i niedyscyplinowaną. Miałam nadzieję, że już zdążyłaś się oswoić z myślą o zbliżającym się ślubie.

- Cóż, tak się nie stało, ale nie dlatego czuję się tutaj niedobrze, przynajmniej teraz, kiedy hrabia Huntly wyjechał. - Postawiła talerz na stole i usiadła naprzeciwko matki. - Kiedy stąd wyjedziemy? Chcę już do domu, do Anglii.

Księżna westchnęła i zamieszała herbatę, po czym odłożyła łyżeczkę na delikatny, porcelanowy spodek.

- Wiem, że chcesz, Bello, ale twój ojciec uważa, że będzie lepiej dla ciebie, jeżeli pozostaniesz w Szkocji.

- Na jak długo?

- Obawiam się, że aż do zamażpójścia.

Annabelle natychmiast ogarnęła przeraźliwa tęsknota za domem. Posłała matce posępne spojrzenie.

- A ty? Co ty o tym sądzisz? - zapytała, ale i tak znała odpowiedź. Czują się tak, jakby została opuszczona przez wszystkich, nawet własną matkę.

- Wiesz, że ja chcę, byś wróciła do domu, ale muszę się pogodzić z decyzją twego ojca.

Annabella poczuła jeszcze większe przygnębienie i rozpacz.

- Ale dlaczego? Dlaczego muszę zostać tu aż do samego ślubu? Jaka krzywdę mogłaby mi uczynić ostatnia wizyta w domu rodzinnym?

- Chodzi o to, że Szkocja będzie, to znaczy już jest twoim domem. Powrót do Anglii dałby ci tylko tyle, że jeszcze trudniej byłoby ci stamtąd wyjechać.

Dziewczyna poczuła pod powiekami palące łzy i wiedziała, że gdyby nie obecność matki, popłynęłyby po jej policzkach strumieniami. Nie wrócić do domu? Już nigdy nie zobaczyć Anglii?

- To znaczy mój ślub ma się odbyć tutaj?

- Ojciec uważa, że tak będzie najlepiej. - Widząc, że jej córka jest bliska łez, dodała: - Spróbuj spojrzeć na to z innej, weselszej strony, Bello. W Szkocji jest tak wiele uroczych miejsc, gdzie można się pobrać. Gdybyś chciała, mogłabyś nawet wziąć ślub w tym samym kościele co ja i twój ojciec. Przyjechałaby cała nasza rodzina i przyjaciele z Anglii. Nie byłabyś otoczona samymi obcymi osobami.

Ale tak właśnie się czuła: otoczona obcymi. Nawet jej rodzice wydawali się teraz obcymi ludźmi. A jak inaczej mogła się czuć, skoro wyglądało na to, że wszyscy odwrócili się przeciwko niej? Wzbierał w niej ogromny żal. Przez całe życie robiła co w jej mocy, by być kochającą, posłuszną córką, zawsze starając się zachowywać tak, jak od niej oczekiwano, a nie tak, jak sama tego chciała. I co teraz z tego ma?

Annabella była zraniona i zdezorientowana. Wiedziała, że rodzice bardzo ją kochają, nie miała co do tego żadnych wątpliwości, jednak zawsze chcieli, by spełniała ich oczekiwania. Dlaczego ich akceptacja była dla niej tak ważna? Dlaczego zawsze musiała wyprzeć się części siebie, byle tylko zadowolić innych? Być może teraz już za późno na takie pytania. Zastanawiała się, czy prawdziwa Annabella w ogóle jeszcze istnieje. Czuła się tak, jakby utraciła wszystko: rodziców, dom, nawet siebie samą.

Przez chwilę nie odzywała się ani słowem. Miała dziwną, rozbudzoną świadomość, że z jej życiem jest coś nie tak. Serce zaczęło jej mocniej walić, gdy przypomniała sobie scenę sprzed kilku dni, tak realnie, jakby się działa dokładnie w tej chwili. Rozmawiała z Rossem nad jeziorem, podczas balu. Zapytał ją wtedy:

- *Co jeszcze straciłaś?*

- *Niczego nie straciłam. Zostałam bardzo dobrze wykształcona.*

- *Czyżby?*

- *Tak. Rysuję i maluję i musi pan wiedzieć, że zostałam gruntownie zaznajomiona z zasadami zachowania, które przystoi wysoko urodzonej kobiecie.*

- Czy nigdy się nie odprężasz?

Nagle Annabella poczuła najbardziej palący gniew, jakiego kiedykolwiek doświadczyła. Rodzice zdradzili ją, rzucając na pożarcie wilkom.

- Jakże mocno musicie mnie nienawidzić, skoro robicie mi coś takiego - rzekła, ze wszystkich sił starając się, by zabrzmiało to pewnie i spokojnie.

Księżna wyraźnie nie była przygotowana na tak ostre słowa.

- Ależ Annabelle, jak możesz w ogóle pomyśleć o czymś takim. Wiesz, że ojciec i ja kochamy cię tak samo jak wszystkie nasze córki.

- Ale im pozwoliliście wyjść za Anglików.

- Rozmawialiśmy już o tym, Bello. Wiem, ale nigdy nie zostało to rozwiązane. Nie mogę wyjść za hrabiego Huntly, matko. Proszę, nie każcie mi tego robić. Nigdy nie sprawię wam najmniejszego kłopotu. Nigdy nie poproszę, bym mogła poślubić kogoś innego. Zostanę starą panną. Będę przebywać w moim pokoju do końca życia. Zrobię wszystko. - Przerwała, by zaczerpnąć tchu. - Popłynę do Ameryki.

- Nie musisz załamywać rąk i błagać, Bello. Poślubisz hrabiego Huntly - oświadczyła poirytowana księżna. - To już postanowione. Ja, podobnie jak ty, nic w tej sprawie nie mam do powiedzenia. Twój ojciec zdecydował, że wyjdiesz za Huntly'ego i tak właśnie się stanie.

Annabella uświadomiła sobie daremność dalszych błagań. Wezbrał w niej taki gniew, że zerwała się z krzesła i z furkotem sukni wybiegła z pokoju, by jak najszybciej znaleźć się w swojej sypialni.

Lord Percival wrócił właśnie z przejażdżki konnej, którą odbył w towarzystwie Rossa. Planował, że za kilka dni wróci do swego domu w Anglii, ale na prośbę starego księcia miał jeszcze przez jakiś czas pozostać tutaj. Dopiero dziś rano podjął taką decyzję i szedł właśnie do księcia, by go o niej poinformować, kiedy dojrzał wbiegającą po schodach Annabelle.

Wsunął głowę do jadalni, by zobaczyć, o co to całe zamieszanie, kiedy został prawie zmieciony z drogi przez księżną, która najwyraźniej zamierzała pójść w ślady córki.

- Naprawdę nie wiem, co ostatnio naszło to dziecko - rzekła. - To czyste błogosławieństwo, że mój mąż nie jest świadkiem jej zachowania, ale chyba będę zmuszona powiedzieć mu o wszystkim, co się wydarzyło dzisiejszego ranka. Doprawdy, będę musiała tak zrobić.

Nic mówiąc nic więcej, ruszyła schodami na górę w takim pośpiechu, jakby ktoś podpalił tył jej sukni. Chwilę później Anglik usłyszał trzask drzwi do pokoju Annabelli.

Lord Percival potrząsnął głową. Kobiety. Kto je zrozumie?

Na górze księżna zastanawiała się, jaką powinna podjąć teraz decyzję. Z wielką surowością oświadczyła:

- Na żonę Hioba, nie wiem, co w ciebie wstąpiło, Bello. Zejdiesz teraz na dół i zjesz śniadanie. I przestaniesz jęczeć, zanim się zupełnie rozchorujesz.

Jej córka uniosła zalaną łzami twarz.

- Już nigdy niczego nie zjem. Moją duszę przepełnia zbyt wielki smutek. Księżna zmusiła się do uśmiechu.

- Cóż, nie musisz mieszać w to duszy. Jedzenie zmierza prosto do żołądka. Zejdź ze mną na dół.

- Nie mogę. A poza tym to nawet nie jest przyzwoite angielskie śniadanie.

- Myślałam, że lubisz tosty z jajkiem.

- Czasami tak, ale dzisiaj zdecydowanie nie mam na nie ochoty. Nie mogłabym niczego przełknąć, kiedy dotknęło mnie takie nieszczęście.

- Nieszczęście? - powtórzyła lady Anne, czując, jak uchodzi z niej nieco nagromadzonej pary.

- Tak - odparła Bella. - Najgorsze z możliwych.

- A cóż to za nieszczęście?

- Przekazanie wrogowi przez własnych rodziców. I to na dodatek wtedy, kiedy poznałam kogoś, kto znacznie bardziej mi się podoba.

Księżna osłupiała.

- Annabelle o czym ty, na niebiosy, mówisz? Kogo mogłaś poznać... Nagle spłynęło na nią olśnienie. - O boziu! - jęknęła, potrząsając głową. - To straszne... Och, jak bardzo bym chciała, żeby był tutaj teraz twój ojciec.

Dziewczyna uniosła głowę.

- Cóż, a ja chociaż raz się cieszę, że go nie ma.

Ale księżna już jej nie słuchała. Zbliżyła się do łóżka i z nieobecny wyrazem twarzy pogłaskała córkę po głowie.

- Muszę nad tym wszystkim pomyśleć - oświadczyła. - A ty się postaraj trochę odpocząć. Porozmawiamy później.

Po wyjściu matki Annabella leżała chyba całą wieczność, ale nie miało to sensu. Nie mogła zasnąć. Nie chciała jeść. Leżała jedynie i myślała o lordzie Huntlym i o tym, jak bardzo przypomina on z wyglądu swoje ukochane spaniele. Nie byłoby wiele gorzej, gdyby musiała wyjść za kogoś z nich.

Łaknąc odrobiny samotności, ale nie w obrębie zamkowych murów, i zeszła na dół, by zażyć jednego ze wzmacniających spacerów, tak polecanych przez matkę. Szukając pociechy w ogrodzie, usiadła na zimnej, twardej, ka-

miennej ławce, wokół której rosła kocia mięta i powojnik. Siedziała tak już dobrą godzinę, kiedy dołączyła do niej księżna.

- Wiem, że ci ciężko - zaczęła lady Anne, ujmując dłoń córki - i trudno zrozumieć ci powody naszego postępowania, ale proszę, uwierz mi, kiedy mówię, że bardzo cię kochamy, Bello. Naprawdę. Twój ojciec chce dla ciebie dobrze, tak samo jak i ja. Wiem, że nie zawsze postępujemy właściwie i mogę na naszą obronę rzec tylko to, że długo potem rozmyślałyśmy o naszych błędach. - Widząc niedowierzające spojrzenie na zalanej łzami twarzy swojej córki, księżna dodała: - Prawdopodobnie nie zrozumiesz tego, Annabello, dopóki sama nie będziesz mieć dzieci.

- Nigdy nie będę mieć dzieci, ponieważ nigdy nie wyjdę za męża.

- Wyjdiesz.

- Nie wyjdę. Prędkiej pęknie mi serce. Wiem to.

Lady Anne objęła córkę i pogłaskała jej lśniąco włosy.

- Zawsze byłaś takim rozkosznym dzieckiem, Bello. Takim rozważnym, troskliwym, zawsze starającym się nas zadowolić. Nigdy nie sądziłam, że możesz być nieszczęśliwa.

- Ale jestem. Tak podle się czuję. I nienawidzę tego. Nienawidzę tak właśnie się czuć. Nienawidzę stawania się dorosłym. Nienawidzę myśli o opuszczeniu domu, ale nie chcę zostać tam także przez resztę życia. - Zaciśnęła pięści i uderzyła nimi w swe kolana. - Och, sama nie wiem, czego chcę - oświadczyła, patrząc na matkę. - Ale za to wiem, czego nie chcę.

- A czegoż to, moja droga?

- Nie chcę wychodzić za nikogo. Nigdy. A już na pewno nie chcę mieszkać w Szkocji.

- Wiem. Tak samo się czułam, kiedy byłam w twoim wieku i musiałam opuścić Szkocję, by zamieszkać w tak okropnym miejscu jak Anglia. - Anne uśmiechnęła się do patrzącej na nią z powagą córki. - To prawda - dodała, wycierając chusteczką łzy z policzków Belli. - Powiedziałam memu ojcu, że prędkiej zostanę zakonnica, niż wyjdę za Anglika i zamieszkać w jego kraju.

- A co on na to powiedział?

- Powiedział, że zachowuję się niepoważnie, i że to właśnie ja powinnam wiedzieć, iż prezbiterianki nie mogą zostać zakonnice.

- Więc zamiast tego zostałam męczennicą.

Księżna roześmiała się.

- Ależ skąd. Nauczyłam się kochać twego ojca i to okropne miejsce, które on nazywał swoim domem. Tak samo będzie z tobą. Czas, Bello. Potrzeba ci jedynie czasu.

Coś, czego ona nie ma.

- Czy została już wyznaczona data ślubu?

- Nie. Twój ojciec uważa, że powinnaś spędzić w Szkocji przynajmniej rok przed weselem. To da ci czas na lepsze poznanie lorda Huntly'ego, na zapoznanie się z twoją nową ojczyzną i jej zwyczajami. No i oswoisz się przez ten czas z myślą, że to jest od teraz twój dom.

- Ale gdzie będziemy mieszkać przez cały rok? - zapytała Annabella, zauważając jednocześnie, że jej matka zrobiła się nagle dziwnie niespokojna.

- Matko, chyba nie macie zamiaru mnie tutaj zostawić, prawda? Samą?

Księżna czuła się najwyraźniej nieco winna.

- Nie możemy tutaj już długo zostać. Twój ojciec musi wracać do Anglii, więc pomyślał, że skorzysta z zaproszenia wuja Colina, który zaproponował, byś zamieszkała u niego.

- Rozumiem - rzekła jej córka, czując zbyt wielką rozpacz, by płakać.

Cały świat Annabelli rozpadł się w jednej chwili i leżał teraz w kawałkach koło jej stóp. Czuła się zdradzona i tak, jakby nie pozostał jej już na świecie ani jeden przyjaciel.

Rozumiejąc jej rozpacz, księżna zamyśliła się na moment, po czym jej twarz rozjaśniła się.

- Oczywiście! To ci się będzie znacznie bardziej podobać. - Klasnęła dłońmi. - Co powiesz na to, by zamieszkać u twojej ciotki Mackenzie?

O rety. Kolejni obcy. Tego właśnie jej trzeba.

- Ciotka Mackenzie? Ledwie ją sobie przypominam.

I to była prawda, jako że Una Mackenzie odwiedziła swoją siostrę w Anglii zaledwie raz, kilka lat temu, bo łatwiej było samej Anne jechać częściej do Szkocji niż połowie klanu McCulloch do Anglii.

- Spodoba ci się u Uny i Barry - kontynuowała. - Twoja kuzynka Ailie jest mniej więcej w twoim wieku, może jedynie rok czy dwa młodsza. A Allan jest niewiele starszy. Mieszkają w Wester Ross, niedaleko jeziora Maree. Bello, to jest naprawdę piękna okolica. Jestem pewna, że się w niej po prostu zakochasz.

Pokochałaby nawet pomysł zamieszkania na księżycu, gdyby nie musiała wychodzić za tego Huntly'ego o twarzy spaniela. W tej chwili zupełnie nie dbała o to, dokąd pojedzie, byle tylko było to bardzo daleko od Rossa Mackinnona i lorda Huntly'ego. Rozgoryczona, dołączyła jeszcze do tej dwójki swego ojca.

To mężczyźni byli źródłem kłopotów w jej życiu. Jeżeli chodzi o nią, mogła żadnego nigdy więcej nie spotkać. Z wielką chęcią nie oglądałaby tak-że już nigdy Szkocji.

Szkocja, jej szkoccy krewni, mężczyzna, za którego miała wyjść- wszystko to było dla niej obce. Westchnęła. Małą różnicę sprawiało jej, gdzie będzie musiała przetrwać burzę. Och, gdyby tak móc znaleźć się w Anglii, wrócić do domu i znowu pleść wianki ze stokrotek i mleczy. Ale wszystko to było już dla niej stracone, tak samo jak młoda dziewczyna, którą była jeszcze tak niedawno. Annabella była zbyt przygnębiona, by płakać, by czuć cokolwiek poza gorzkim poczuciem porażki. Ciocia Una czy wuj Colin. Co za różnica. I tak wszystko przepadło.

- Jak uważasz, matko.

Księżna Grenville zerwała się z ławki, a w jej oczach pojawił się błysk podekscytowania.

- Porozmawiam z twoim ojcem zaraz po jego powrocie z Edynburga. Być może wuj Barra Mackenzie zgodziłby się po ciebie przyjechać, albo też Gavin odwiózłby cię osobiście, a potem dołączył do nas w Edynburgu podczas naszej drogi powrotnej do Anglii.

- Gavin - rzekła wolno Annabella. - Nie sądziłam, że on także będzie musiał wyjechać.

- Oczywiście, że tak, kochanie. Musi. Jest przecież naszym jedynym synem i spadkobiercą tytułu. Tak wiele czeka na niego w Anglii. Boję się jednak, że będzie chciał się najpierw wyszumieć, jak większość nowomodnych, młodych arystokratów. - Księżna zauważyła, że nieco zoczyła z tematu, natychmiast się więc poprawiła. - Ale ty się nie martw. Wiesz, że nikomu nie uda się rozdzielić was dwojga na zbyt długo. Zawsze powtarzałam, że ty i Gavin jesteście sobie bardziej bliscy niż bliźnięta. A teraz rozchmurz się. Gavin przyjedzie do ciebie na długo przed ślubem, wcześniej, niż my wszyscy. - Lady Anne wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. - Pójdę teraz i napiszę natychmiast do Uny. Będzie taka szczęśliwa, mogąc ciebie gościć. Oprócz Ailie i Allana wszystkie jej dzieci założyły już własne rodziny. Kiedy ostatnim razem do mnie pisała, użalała się nad utratą dużej rodziny i nad tym, jak bardzo pusty stał się teraz ich dom. - Spojrzała na córkę. - Cóż, pójdę już. W ciągu najbliższych kilku dni mam do wykonania dwutygodniową pracę. Wyślę list do Uny, a potem będziemy musiały zatrudnić szwaczkę. Będziesz potrzebować większej ilości garderoby.

Po co? Więźniowie nie potrzebują wielu ubrań.

Gdy jej matka szła z ogromną energią do zamku, niczym święty z misją do spełnienia, Annabella przeszła się wokół ogrodu, po czym zatrzymała się przy starej fontannie, zbudowanej z szarych kamieni. Stała tam, nasłuchiwała delikatnego szumu wody i rozmyślała o miejscu zwanym Wester Ross.

- Jesteś dziewczyną, którą niełatwo znaleźć - usłyszała za sobą. Zbliżał się do niej Ross Mackinnon, a na jego twarzy igrał ten sam nieprzyjemny uśmiezek, jaki zapamiętała z ich ostatniego spotkania. - Jeśli masz zamiar rzucić się do tego ptasiego kąpieliska, powiedz choć słowo, a ja natychmiast się usunę.

- Warto by było uczynić ten wysiłek - odparła - gdyby to oznaczało, że nie muszę z panem rozmawiać.

- Och - rzucił Ross, a jego oczy zdradzały, jak bardzo cieszy go to spotkanie. - Oboje jednak wiemy, że posłuszna córka księcia Grenville nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego.

- Jeszcze by się pan zdziwił - odpowiedziała z godnością.

Przyjrzał się jej krytycznie.

- Może i tak. W końcu nie jesteś dziewczyną, która rzuca słowa na wiatr. No ale ty nie działasz także pod wpływem impulsu.

- Jest to coś, za co powinien być pan wdzięczny losowi, jako że impuls nakazuje mi teraz dać panu w tę zarozumiałą i pewną siebie twarz.

Mężczyzna dotknął jej policzka. Annabella odepchnęła ciepłą dłoń.

- Jest inny, prawda?

- Nie wiem, o co panu chodzi. Co jest inne?

- Mój dotyk - wyjaśnił uprzejmie. - Nie jest taki sam, nieprawdaz?

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Czy musi pan zawsze mówić tak zagadkowo? Nie jest taki sam jak co?

- Jak dotyk Huntly'ego.

- Pan jest... Szukała w myślach słów. - Bardziej niż nikczemny. - Musiała przyznać, że nie jest to może najbardziej odpowiednie określenie, ale tylko to przychodziło jej teraz do głowy.

A Ross się śmiał.

- Bardziej niż nikczemny? - powtórzył z rozbawieniem. - Czy coś takiego jest w ogóle możliwe?

Na policzkach Annabelli wykwitły rumieńce. Cofnęła się o krok.

- Odpowiedziałam już na to pytanie - odparła z największą godnością, na jaką ją było stać.

Ross ponownie się do niej zbliżył, a ona znowu się cofnęła.

- Byłbym bardziej ostrożny, gdybym był tobą. Jesteś już niepokojąco blisko kompostu. Chociaż właściwie zastanawiam się, jak to by wyglądało: lady Annabella siedząca z tyłkiem w glinie, spleśniałych liściach, mule rzeczonym i gnoju.

- Proszę przestać, słyszy pan? Uważam, że jest pan najbardziej wstrętnym i zasługującym na pogardę człowiekiem - oświadczyła, po czym zamilkła.

- Ależ wcale tak nie sądzisz, czym gorzej dla ciebie. - Zobaczył, że jej oczy robią się ogromne ze strachu i oczekiwania. - Spokojnie, mała. Nie mam zamiaru rzucić się na ciebie tutaj, wśród kwiatów. - Jego uśmiech był leniwy i pewny siebie. Przyjrzał się swej towarzyszce z uznaniem. - Do twarzy ci w tym właśnie odcieniu niebieskiego. Wiesz, chyba po raz pierwszy zobaczyłem dziś, jak twoje piersi unoszą się z irytacją w głęboko wyciętej sukni. - Ross zignorował jej pełne urazy spojrzenie. - Ale jeśli mam być szczerzy, bardzo mi się ten widok podoba. - Roześmiał się, gdy Annabella usiłowała się zasłonić. - Krzyżowanie ramion na twoim... przodzie... nie przynosi oczekiwanego przez ciebie skutku. Jedyne, co udało ci się osiągnąć, to unieść wszystko nieco wyżej.

- Oooch! - zawołała z wściekłością. - Czy pan już nigdy nie przestanie? Co trzeba zrobić, żeby pan wreszcie zamilkł? - Chwyliła skraj sukni i wymięła natręta.

- Znam jeden pewny sposób - odparł, wyciągając rękę, by ją zatrzymać. - Całowane usta na ogół milczą.

- W takim razie jakoś zniosę pańską gadatliwość, dziękuję bardzo. Nawet tak kompletnie pozbawioną ogłady. - Annabella popatrzyła z oburzeniem najpierw na ściskającą jej ramię męską dłoń, a po chwili na uśmiechniętą twarz prześladowcy. - Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak pan, ktoś, kto tak bardzo by mnie prowokował.

Puścił jej ramię.

- Wiesz, może to być częściowo twoją winą. Usuń paliwo, a nie będzie płomienia. - Roześmiał się i pieszczotliwie pogłaskał ją po policzku. - Dobrze by było, gdybyś pamiętała, dziewczyno, że nie ugasi się ognia, dolewając do niego oliwy.

Popatrzyła na Rossa, który się właśnie do niej uśmiechał i wbrew sobie odpowiedziała tym samym, czując, że jej irytacja topi się szybciej niż łojowa świeczka.

Już po raz drugi tego dnia westchnęła z poczuciem porażki.

- Pan jest okropny, wie pan o tym?

- Tak mówią.

- Dlaczego przeniósł mnie pan wtedy przez strumień, kiedy mogłam pojechać na pańskim koniu?

- Wolałem cię nieść.

- Ale dlaczego?

- Powiedzmy, że zobaczyłem kobietę, dla której nie żał brodzić w wodzie - odparł, przyglądając jej się uważnie.

W blasku słońca jej skóra przybrała odcień bladych róż i była świeża niczym czerwcowy poranek. Całym swoim ciałem wdychał jej zapach. Pachniała świeżymi truskawkami. Boże, tak bardzo pragnął tej kobiety, pragnął jej każdą najmniejszą cząstką siebie.

Annabella zauważyła sposób, w jaki na nią patrzy.

- To się nigdy nie uda - powiedziała dziwnie łagodnie. - Marnuje pan tylko czas, bardzo przy tym narażając siebie i mnie.

- W takim razie może powinniśmy wykorzystać okazję.

- Obawiam się, że ta opcja także nie wchodzi w rachubę - odparła, przypominając sobie niedawną rozmowę z matką.

- Czy mogę mieć nadzieję, iż obecny w twojej wypowiedzi smutek oznacza, że ty także żałujesz tego, co mogłoby się stać? - Ross przyciągnął ją do siebie, przyciskając usta do czubka jej głowy.

- Mam tylko nadzieję, że to się nie stanie.

- Nie mów tak, słodka Annabelle - poprosił, śmiejąc się cicho. - Nawet o tym nie myśl. - Puścił ją, ale nadal trzymał jej ramię. - Zapomnij o nonsensownym pomysle poślubienia tego psiarza i ucieknij razem ze mną.

- Czy pan oszalał?

Zaśmiał się głośno.

- Pewnie tak.

Odepchnęła go od siebie.

- W porządku - rzekł jowialnie. - Zapomnij o tym, co powiedziałem. Nie mam zamiaru przerzucać cię przez ramię i uprowadzić niczym jakiś zbój. - Jego żywe niebieskie oczy stały się nagle łagodne niczym wiosenny wietrzyk. Spojrzał na nią leniwie. - Jestem człowiekiem cierpliwym. Umieć czekać.

- Jeżeli o mnie chodzi, to może to trwać do dnia Sądu Ostatecznego.

- Ty się trzęsiesz. I głos także ci drży. Jest ci zimno?

- Nie. Po prostu irytuje mnie pan. Zawsze tak się czuję, kiedy pan znajduje się w pobliżu.

- Mógłbym temu zaradzić... gdybyś mi pozwoliła.

- Nie, tylko by pan wszystko pogorszył. To znaczy... chciałam powiedzieć... Dlaczego nie zostawi mnie pan wreszcie w spokoju?

- Nie potrafię - odparł, biorąc ją w ramiona i przytulając do swojej szerokiej klatki piersiowej.

- Również dobrze może pan się poddać - rzekła Annabella stłumionym i niepewnym głosem. - Jestem inteligentniejsza, niż pan myśli. Wiem doskonale, o co panu chodzi. Nie uda się panu mnie uwieść.

W takim razie nie masz się o co martwić, prawda? - Usta Rossa były teraz w jej włosach i całowały miękkie, otaczające twarz pasma. - Jesteś odporna na coś takiego, nieprawdaż? Taka silna. Tak zdecydowana stawiać opór. Nie podziała na ciebie nic, co bym zrobił, czyż nie? - Jego oddech był ciepły, a dotyk miękkich ust delikatny, gdy zataczały powolne kółka na zmarszczonym czole, wzdłuż prostego nosa, by na końcu delikatnie musnąć jej zaskoczone usta. - To - wyszeptał - jest coś, czego prawie nie zauważasz.

Otoczył dłońmi jej talię i jeszcze mocniej przycisnął do swego ciała.

Annabella była całkowicie zdezorientowana. Na tak wiele pytań, które miała na temat męskiej anatomii, nagle została udzielona odpowiedź. Na nic była jej teoria, że jest silną kobietą i potrafi stawiać opór wszystkiemu. Ten mężczyzna doprowadzał jej ciało do drżenia, a jej determinacja nagle się rozwiewała.

Nie wiedziała niczego o intymności, ale czerpała wyraźne wskazówki z miejsc, gdzie jej krew pulsowała tak szybko. Było jej gorąco. Było jej zimno. Pragnęła powiedzieć „tak”. W głowie miała ciągle „nie”. Musi to przetrwać. Natychmiast. Odezwała się więc słabym głosem:

- Przestań. Jeszcze trochę. - I usłyszała cichy śmiech Rossa.

- Jesteś pewna, że chcesz, bym to zrobił? - wyszeptał, trącając ją nosem.

Po chwili męskie usta pokazały jeszcze jeden sposób całowania. Annabella miała zamknięte oczy, ale wszystko zdawało się eksplodować kolorami. Wydawało jej się, że jest lekka jak piórko, poczuła mrowienie w całym ciele. Czuła, że unosi się w powietrze, na tyle wysoko, by dotknąć gwiazd.

Ross ledwie był świadom małych, kobiecych dłoni, które odpychały jego klatkę piersiową.

- O co ci chodzi?

Przez chwilę myślał, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Skłamałam - przyznała wreszcie cichutko.

Jego radosny śmiech rozległ się w całym ogrodzie. Ujął jej twarz w swe dłonie i obdarzył niezwykle gorącym i długim pocałunkiem.

- Wykorzystujesz mnie - zaprotestowała Annabella, gdy wreszcie odezwał jej usta od swoich.

- Tak, a mam zamiar wykorzystać jeszcze bardziej - oświadczył z powagą, po czym ją puścił.

Chwilę później nadal była w ogrodzie. Ale już zupełnie sama.

Następnego ranka Ross siedział właśnie w bibliotece razem z Percym, kiedy dołączył do nich stary książę. Jego białe, sztywne jak drut brwi były radośnie uniesione.

- Nawiasem mówiąc wierzę, że nadeszła pora, byś zabrał chłopaka do Edynburga, Percy.

- Tak sądzisz? - zapytał Ross. Myśląc tylko o Annabelli, uważał, że jest na to zdecydowanie za wcześnie. Potrzebował nieco więcej czasu, który mógłby z nią spędzić.

- Rozumiem, że postanowiłeś nam nie towarzyszyć? - lord Percival bardziej stwierdził niż zapytał.

Księżę opadł na skórzany fotel, który zaskrzypiał pod jego ciężarem.

- Jestem za bardzo roztargniony na siedzenie na końskim grzbiecie. Zapomniałbym jeszcze gdzie jestem i runąłbym na ziemię.

- No a powóz?

- Ta moja przeklęta noga jest zbyt sztywna, bym mógł siedzieć w powozie dłużej niż pół godziny - odparł, klepiąc się po dokuczającej kończynie. - Nawet teraz zaczyna mi już drętwieć.

- Przedstawiasz nader przekonujące argumenty - oświadczył jego przyjaciel. - Wątpię jednak, by były prawdziwymi powodami.

Mackinnon zaśmiał się głośno.

- Masz rację. Nie są. Prawda jest taka, że nie mam ochoty jechać do Edynburga. Mam dość unitarian, wigów, Amerykanów, pośredników, bankierów, prawników i kwakrowskiej arystokracji. Jestem już starym człowiekiem i spodziewam się spędzić resztę moich dni tutaj, rozpieszczany przez ciebie, Percy, i podtrzymywany na duchu przez mego wnuka. No i otoczony jego opieką. To jest właśnie okrężny sposób przekazania wam, że ja wypisuję się z waszej wycieczki.

Ross odrzucił głowę do tyłu i szczerze się roześmiał.

- A więc jesteś gotowy na przekazanie pałeczki swemu spadkobiercy - stwierdził Percy.

- Tak jest. Z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ale podejrzewam, że najpierw będzie musiał zobaczyć kawałek Szkocji, no i po raz ostatni się zabawić, a nie ma lepszego na to miejsca niż Edynburg.

- Mógłbym go zabrać do Anglii.

- A po co? - parsknął Mackinnon. - Anglicy mają słabe głowy. Jeżeli chłopak ma się nauczyć pić, zrobi to tutaj, w domu, na porządnej szkockiej ziemi, delektując się najlepszą szkocką whisky.

Słyszając wzmiankę o domu, Ross uświadomił sobie, że chociaż do tej pory nie uważał tej starej, szarej fortecy za swój dom, tak naprawdę zdążyła się nim stać. Łączyło go z nią poczucie przynależności, którego nigdy nie odczuwał w Teksasie. Może dlatego był jedynym z braci Mackinnonów, który nigdzie nie potrafił zagrać miejsca.

- Kiedy wyjeżdżamy? - spytał Percy.
- Za mniej więcej tydzień - odparł energicznie książę. - A teraz poprzyjmy nasze słowa szklaneczką dobrej whisky.

Ross przyłączył się do dziadka i Percy'ego, przez chwilę wpatrując się w szarzejący świat za oknem, w bezkresne zielone wzgórza, które kolorem przypominały mu oczy Annabelli.

Annabella. Nie potrafił wyrzucić z myśli tego imienia. Właśnie zaczynał zdobywać jej względy. Nie był jeszcze gotowy, by ją zostawić. Zastanawiał się nad jakimiś logicznymi wymówkami opóźnienia wyjazdu do Edynburga, jednak nic nie przychodziło mu do głowy. Żałował, że nie spędził z nią więcej czasu, kiedy to mógłby sprawić, by zaufała i pogodziła się z samą sobą. Wpatrywał się w szarość za oknem i słuchał, jak dziadek i Percy planują mu życie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Księżna Grenville wyjrzała przez okno do ogrodu i zaraz tego pożałowała.

- Co się tam u licha wyprawia? - rzekła do siebie z niepokojem, pozwalając opaść ciężkim, ozdobionym chwostami zasłonom. Odwróciła się ze zmartwionym wyrazem twarzy. Zaczęła przemierzać nerwowo pokój, zerkając przy tym w stronę okna. - Och, Bello, Bello, Bello. Dziecko, co ty najlepszego wyprawiasz? A co ja mam teraz zrobić? Jakże bym chciała, aby był tutaj Alisdair. - Z furkotem jedwabnych hałek chodziła po swojej sypialni tam i z powrotem, wytracona z równowagi sceną, której stała się mimowolnym świadkiem zaledwie kilka chwil wcześniej.

Matka Annabelli była kobietą niezwykle przyzwoitą i obyczajną, która dla swoich dzieci pragnęła wszystkiego, co najlepsze, jednak nie miała zamiaru tolerować jawnego i skandalicznego lekceważenia zasad przyzwoitości i dobrego wychowania. To, co przed chwilą ujrzała, było tego jaskrawym przejawem, jako że Annabella doskonale wiedziała, czego się od niej oczekuje jako od kobiety zaręczonej i jednocześnie Stewartówny. Ani jedna, ani druga w żadnym wypadku nie powinna zadawać się z szelmą tak przystojnym jak wnuk Lachlana. Pomyślała o Alisdairze, starając się powziąć najwłaściwszą w tej sytuacji decyzję.

Wiedziała, że mąż po powrocie nie będzie tolerował u swojej córki takiego zachowania i udzieli jej niezwykle ostrej reprimendy. Lady Anne załamała ręce. Bywały dni, a dzisiejszy zaliczał się do nich z całą pewnością, kiedy dosłownie opadała z sił. Nie miała pojęcia, co teraz zrobić. Naprawdę nie było jej łatwo. Serce żony nakazywało jej udać się do Annabelli i powiedzieć jej o swym odkryciu, po czym zamknąć ją w pokoju aż do powrotu męża, który uporałby się z całą tą nieprzyjemną sprawą.

Jednak serce matki nawoływało do zatuszowania wybryku swego dziecka, na ile tylko będzie to możliwe. Oczywiście, będzie musiała powiedzieć

o tym Alisdairowi, ale być może byłoby lepiej, gdyby do tego czasu ulokowała Annabelle w domu swej siostry. Czyniąc to, mogłaby zrelacjonować całą sprawę mężowi, a następnie poinformować go, że sama już się zdażyła o wszystko w należyty sposób zatroszczyć.

Ale to właśnie serce kobiety tak dobrze rozumiało uczucia córki. Księżna dobrze pamiętała, jak to jest być młodym i jeżeli nawet nie zakochanym, to na pewno zauroczonym. Miała wzgląd i na to, jak bardzo przystojny jest ten przeklęty wnuk Mackinnona. Jeśli miałyby powiedzieć o jakimś mężczyźnie, że wygląda tak, jakby potrafił uwieść kobietę i pozwolił jej sądzić, że to wszystko jest jej pomysłem, był nim z pewnością Ross Mackinnon. Nie, jej kobiecie serce nie może winić Belli w najmniejszym nawet stopniu.

Zatroskana księżna Grenville usiadła na swym ogromnym łożku, rozmyślając, co powinna teraz uczynić. Na szali był spokój całej rodziny, ale także przyszłość i szczęście jej córki.

Godzinę później nie była o wiele mądrzejsza, ale dowiedziała się jednego: serce kobiety i matki znacznie się różni od serca żony. Wreszcie modląc się w myślach o wskazówki, podjęła decyzję.

Modliła się przez całą drogę do pokoju Annelli, przypominając przy tym Bogu, że wszystko byłoby dużo prostsze, gdyby zdusił uczucie córki w zarodku i nie dopuścił do jego zakwitnięcia. Ale nawet wtedy doskonale zdawała sobie sprawę, że jeżeli młoda kobieta się uprze, by się zakochać w bohaterze, nikt ani nic nie jest jej w stanie od tego odwieść.

Księżnę niezwykle zdziwiło, że gdy wmaszerowała do pokoju córki i wyrzuciła z siebie, co widziała w ogrodzie, Annabella jedynie się w nią wpatrywała. Chociaż właściwie można to było uznać za odpowiedź, jako że spojrzenie potrafi czasami wyrazić znacznie więcej niż słowa. A ona patrzyła tak, jakby została zbezczeszczona, jakby ktoś wtargnął do jej pokoju i bezceremonialnie zdarł z niej ubranie.

I tak właśnie się czuła. Zbezczeszczona. Popatrzyła na matkę, która wyglądała tak, jakby została wcześniej porządnie wykrochmalona i wyprasowana. Dziewczyna zdecydowanie nie była teraz w nastroju na wysłuchiwanie jednego z matczynych kazań.

- Nie musisz patrzeć na mnie tak, jakbym szperała w twoim pamiętniku - oświadczyła lekko poirytowana księżna. - Przyjaciół czy wróg, jestem tutaj, by ci pomóc. Znalazłaś się w niezłych tarapatach, młoda damo, i coś trzeba będzie w związku z tym zrobić. Wkrótce wrócą Gavin i twój ojciec, a ja sądzę, że najlepiej będzie, gdy rozwiążemy ten problem przed ich przyjazdem.

- Co masz więc zamiar zrobić? Usmażyć mnie w oliwie? Tak naprawdę wcale się nie prosiłam o awanse wnuka księcia Dunford. - Annabella nie uważała, by sprawa przedstawiała się choć w połowie tak źle, jak to widziała jej matka.

Ale księżna nastawiła się już na wykład i wygłosiła go - o tym, jak to młoda dama, zwłaszcza zaręczona, nie powinna prowadzić się po ogrodzie z mężczyzną, który pozwalał sobie na zbyt wiele.

- Ależ matko, on sobie nie pozwalał, a przynajmniej nie tak, jak sądzisz.

- Annabello, mój umysł może i nie funkcjonuje tak dobrze jak kiedyś, ale wzrok wciąż mam doskonały. - Jej matka ponownie załamała ręce. - Do licha. Dla twojego ojca i tak nie będzie to stanowiło żadnej różnicy. Wiesz dobrze, że ma w zwyczaju najpierw karać, a dopiero potem zadawać pytania.

Księżna podeszła do ogromnej szafy i wyjęła z niej walizę podróżną swej córki.

- Co robisz?

- Ocalam ci życie, a przynajmniej twoją reputację. Zabieram cię do ciotki Uny - odparła twardo księżna Grenville, po czym dodała nie bez pewnej satysfakcji: - Sama. Sądzę, że znacznie lepiej będzie, jeśli przed powrotem ojca znikniesz stąd.

Annabella obserwowała, jak matka wpatruje się w walizę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- Kiedy wyjeżdżamy?

- Jutro o brzasku - odpowiedziała zdecydowanie księżna. - Pozwoliłam już sobie porozmawiać z jego miłością, a on uprzejmie zaofiarował swój powóz, który zabierze nas do Broadford. Stamtąd przedostaniemy się łodzią do Kyle. Jego miłość posiada tam kolejny powóz, który także oddał do naszej dyspozycji.

Ale Annabella już jej nie słuchała. W pamięci utkwily jej poprzednie słowa matki. Czy powiedziała o wszystkim księciu Dunford? Temu samemu księciu, który jest dziadkiem Rossa Mackinnona? Dziewczynę przeraziła ta myśl.

- Matko, nie powiedziałaś chyba Mackinnonowi...

- Nie, nie zrobiłam tego. Za kogo mnie masz? Za kapuścianą głowę? Nawiasem mówiąc, nie pojmuję, dlaczego przypominasz przerażoną owcę, ciągniętą na strzyżenie. Śmiem twierdzić, że wizyta u twojej ciotki nie jest tym samym co zamknięcie w londyńskim Tower. Powinnaś podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, moja panno, że zgodziłam się być kozłem ofiarnym i sama powiedzieć o wszystkim ojcu. I za to, że odsyłam cię do Wester

Ross. Czy choć przyszło ci do głowy, że gdybyś została tutaj, coś o wiele gorszego mogłoby cię spotkać z rąk tego... tego... tego książęcego wnuka?

Annabella przyglądała się, jak jej matka rzuca walizę na łóżko i nerwowo mocuje się z paskami.

- Co gorszego, matko?

Jeszcze miesiąc wcześniej z różnych powodów takie pytanie nie przeszłoby jej przez usta.

Księżna w odpowiedzi podeszła do szafy i zaczęła wyciągać z niej ubrania i pakować, tak jakby mogła umieścić między nimi niewygodne pytanie swej córki i usunąć je z zasięgu wzroku. Rozglądała się po pomieszczeniu z nieszczęśliwym wyrazem twarzy, jakby szukała najbliższego wyjścia.

- Mężczyzna jego pokroju jest bardzo doświadczony w tego typu sprawach...

- Jakich sprawach?

- Oj, normalnych, Bello. W Londynie spotkałam wielu mężczyzn takich jak lord Mackinnon. Takich, którzy za wszelką dążą do przyjemności.

- Jakiej przyjemności? Czy mogłabyś mówić nieco jaśniej? Sądzę, że potrafię zrozumieć zasady zalotów.

- Uczono cię ich, to prawda, ale na nieszczęście młode i niedoświadczone dziewczęta mają zwyczaj uciekania przed lisem, szukając jednocześnie schronienia w ramionach wilka. - Przez chwilę wpatrywała się w Bellę, chcąc najwyraźniej sprawdzić, ile jej córka z tego wszystkiego rozumie. Sądząc po jej minie, próba wyjaśnienia całkowicie się nie powiodła. - Drogie dziecko, nie jestem chodzącą skarbnicą wiedzy, ale wiem, że kobieta wykazuje tendencję do przełykania wszystkiego, zwłaszcza jeżeli jest to przyprawione pochlebstwem.

Widząc twarz matki, Annabella zastanowiła się, jak to jest, że pytania nigdy nie wydają się tak krępujące, jak odpowiedzi. Dotarło do niej także, że najwyraźniej jękająca się i wyłamująca palce matka wie o tych sprawach niewiele więcej niż ona sama.

- Mówię ci o tym jedynie dlatego - ciągnęła zakłopotana księżna - że niedługo masz wyjść za mąż. Ważne jest, byś pamiętała, że zaręczyny na wiele sposobów przywiązały cię do twego przyszłego męża. A po ślubie twoje ciało będzie musiało być do jego dyspozycji, tak jak on to uzna za stosowne.

- Do dyspozycji? - powtórzyła Annabella z przerażeniem.

- Nie mówię o morderstwie, dziecko. Staram się po prostu uświadomić ci, w jaki sposób nasza uroczna królowa Wiktoria i jej przystojny Albert zapewnili sobie tak pokaźną gromadkę dzieci. Kiedy wyjdiesz za mąż, wtedy

wszystko zrozumiesz. Nie ma nic wspanialszego niż dzielić wszystko z ukochanym mężem, popierać jego zamiary i być wybraną na jego towarzyszkę w radości i cierpieniu. Nic dziwnego, że kobiecie czasem ciężko zdecydować, co jest ważniejsze: skromność czy też wdzięczność.

- No cóż, ja tam nie miałabym żadnych problemów z wyborem - oświadczyła Bella. - Nie chcę mieć nic wspólnego ani z jednym, ani z drugim

Chciało jej się wymiotować. W żadnym wypadku nie potrafiła sobie wyobrazić siebie jako towarzyszki radości lorda Huntly'ego. A jeżeli chodzi o skromność - z tym akurat nie miałaby żadnego problemu. Im więcej ubrań, tym lepiej. Kilka warstw. Z ogromną ilością maleńkich guzików.

Księżna wzięła do ręki kilka bawełnianych halek, strząsnęła je, złożyła i dołożyła do walizy.

- Tak czy inaczej, Bello, dużo lepiej by ci zrobiło, gdybyś więcej czasu spędziła na haftowaniu, a nie na usychaniu z tęsknoty za lordem Mackinnonem. - Rzuciła córce spojrzenie. - Przecież lord Huntly nie wygląda tak najgorzej, prawda?

- Nie, jest całkiem przystojnym mężczyzną - odparła zgodnie z prawdą Annabella.

- Tak, raczej tak - potwierdziła po namyśle jej matka. - Gdyby tylko udało się go przekonać do pozbycia się tego okropnego płaszcza w kolorze zgniłej zieleni. Naprawdę. Dużo bardziej pasowałaby do niego zieleń butelkowa, albo nawet papuzi niebieski, który tak podoba się ostatnio londyńskim dandysom. Być może uda się to, jako że po ślubie to ty będziesz jego główną ozdobą.

Annabella poczuła, jak wzbiera w niej nowy żal. Nie chciała być główną ozdobą lorda Huntly'ego. Nie chciała być niczyją ozdobą. Jeżeli kobieta musi już nią być, to dlaczego nie jedyną? Główna ozdoba. Dobre sobie.

Przez następną godzinę, podczas gdy jej matka z zapałem pakowała ubrania i jednocześnie udzielała córce niezliczonej ilości upomnień, ona wyglądała tęsknie przez okno. Zaledwie wczoraj stała na widocznym stąd kamiennym moście i wpatrywała się w przepływający poniżej szemrzący strumyk. A teraz jakby całe wieki dzieliły ją od tamtej chwili.

Jej życie w pewien sposób podobne było do tego właśnie strumienia. Biegło ustalonym torem, po czym znikało w ciemności. Wróciła myślami do dzieciństwa, do czasów, kiedy jej czas należał do niej. Przeżywała wtedy wiosnę swego życia. Zadrżała, uświadamiając sobie, że teraz w jej życiu nastaje długa, ciemna i mroźna zima.

Następnego ranka świat spowijała gęsta, biała jak mleko mgła. Było wilgotno, zimno i ponuro.

Czując się równie fatalnie, Bella wspięła się za matką do powozu. MacKinnon wyszedł, by się z nimi pożegnać. Uczynił to także Percy. Ale jedyna osoba, którą najbardziej miała nadzieję ujrzeć, była o dziwo nieobecna. Czując przez to jeszcze większe przygnębienie, dziewczyna rozsiadła się w powozie i nastawiła na długą, długą podróż.

Powóz zmierzał na północ drogą prowadzącą do Kishorn, która tak naprawdę ani trochę nie przypominała prawdziwej drogi. Po obu jej stronach rosło niezliczenie wiele drzew: osiki, jarzębiny, wiązy górskie, czeremcha, wierzby - wszystkie poprzetykane krzakami dzikich róż. Ten widok podobałby się Annabelli znacznie bardziej, gdyby zza chmur wyjrzało słońce.

Powóz z mozołem wspaniał się po wyjątkowo stromym zboczu wzgórza, zbliżając się do Applecross. Była to góra tak potężna i majestatyczna, że Bella poczuła się stworzeniem małym i nic nie znaczącym.

- O, święty Patryku - przeżegnała się księżna, a knykcie jej dłoni były białe od kurczowego przytrzymywania się wzorzystego obicia siedzeń.- Nie przypominam sobie, bym powiedziała woźnicy, że mam ochotę wzbijać się w powietrze razem z orłami. - Wychyliła głowę przez okno i z jękiem natychmiast ją schowała. - Nigdy w życiu nie przebywałam na takiej wysokości.

Annabella, która wcześniej obiecała sobie, że przez całą podróż nie odezwie się ani słowem, uznałaby widok przerażonej twarzy matki za śmieszny, gdyby oczywiście była w odpowiednim nastroju. Zdecydowała się jednak przerwać milczenie po przekartkowaniu spoczywającej na jej kolanach niewielkiej książeczki i znalezieniu tego, czego szukała.

- W moim przewodniku jest napisane, że przejeżdżamy właśnie przez tereny łęgowe ptaka *ptarmigan*, zwanego potocznie białą pardwą.

- Tereny łęgowe, powiadasz? Hmm... - Księżna z westchnieniem oparła się o miękkie siedzenie. - Mam doprawdy nadzieję, że droga w dół nie jest tak fatalna jak ta pod górę. Wszystkie te nagłe zakręty źle oddziałują na mój organizm.

Obie jednak zapomniały zwrócić na to uwagę, gdyż całkowicie pochłonał je widok wyspy Skye, zbyt imponujący i jednocześnie dziki, by były w stanie zauważyć cokolwiek innego. Kiedy powóz na chwilę się zatrzymał, Annabella zdążyła dojrzeć trzy jelenie, zbiegające po górskim zboczu.

- Są przeurocze! - zawołała do woźnicy.

- To prawda, panienko, ale jeszcze bardziej zachwycający jest widok żyjących w tych okolicach dzikich kotów. Są tak wyniosłe i nieuchwytnie niczym piękna kobieta i mają niezwykle zielone oczy. Takie jak panienka.

- Och, tak bardzo chciałabym zobaczyć choć jednego. Sądzi pan, że może nam się to udać?

- Wątpię w to, panienko. Są bardzo płochliwe i nieśmiałe.

Gdy powóz ruszył, Dziewczyna cofnęła głowę.

- Co jeszcze jest napisane w tym twoim przewodniku? - zapytała księżna.

- O jakich terenach?

- Wester Ross - odparła matka z nutką rozdrażnienia w głosie. - Przecież lam właśnie jedziemy i to miejsce powinno cię najbardziej interesować.

Annabella ponownie otworzyła swoją książeczkę i przyjrzała się matce.

- Wiesz, dziwi mnie, że ty, będąc przecież Szkotką, nie wiesz wszystkiego, co jest tutaj napisane.

- Pamiętaj, że byłam bardzo młoda, kiedy wychodziłam za męża, i od tamtej pory nie mieszkam w Szkocji. Poza tym mój dom rodzinny znajdował się niedaleko jeziora Awe. Tylko mężczyźni z mojej rodziny zapuszczali się aż tutaj. Aż do mojej pierwszej wizyty uważałam, że Wester Ross jest surową krainą zamglonych krajobrazów, czyli z całą pewnością nie miejscem, w które miałyby się ochotę udać dama.

- Cieszę się, że dzięki tej wizycie zmieniłaś zdanie.

- Nie zmieniłam. To jest istotnie surowa kraina, ale przy tym niezwykle piękna.

Annabella zaczęła czytać na głos o miejscach, które polecano damom. Księżna zaznaczyła natychmiast, że nie ma zamiaru pozwalać gdziekolwiek się zatrzymywać i w ten sposób przedłużać ich podróży.

- Mimo to lubię słuchać o tych wszystkich miejscach - dodała na koniec.

W odpowiedzi na ostatnią uwagę jej córka kiwnęła głową i zamknęła oczy. Myślała o tym, jak bardzo jej życie zmieniło się w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Oto była zaręczona z mężczyzną bez mała w wieku jej ojca, zmuszona do zamieszkania w dziwnym, obcym kraju, a teraz niczym bagaż przewozi się ją do domu ciotki i wuja, ludzi tak właściwie obcych. Życie bywa takie dziwne. Jednego dnia obfituje w pachnące róże, a następnego w końskie łajno.

Godzinę później dotarli do zajazdu w Applecross, który następnego ranka opuścili. Ciągle padało, gdy wsiadały na łódź, i przez to przeprawa na drugi brzeg była wyjątkowo powolna i przygnębiająca. Księżna jednak uparła się, że dotrą do domu jej siostry przed nocą. Za każdym razem, gdy woźnica proponował krótki postój i odpoczynek, stukała parasolką w dach powozu i oświadczała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Naprzód, mój dobry człowieku. Naprzód.

W takich chwilach Bella wierzyła bez zastrzeżeń, że jej matka jest Szkotką z krwi i kości. Była dobrą towarzyszką podróży. Jej upór niewątpliwie się opłacił, jako że było nadal jasno, gdy powóz zaczął się zbliżać do szemrzącego, niewielkiego strumienia, pierwszego, który, jak zauważyła Annabella, zmierzał bezpośrednio do Atlantyku. Wzgórza zrobiły się dziwnie wysokie - były nagie, skaliste i prawie pozbawione roślinności, może poza kilkoma zeterminowanymi kępami wrzosów. Nawet ptaki wydawały się unikać tej okolicy. Do doliny zakradał się półmrok i dziewczyna poszukała wzrokiem pasterskich ognisk, do których zdążyła się już przyzwyczaić od przyjazdu do Szkocji. Tutaj nie dojrzała żadnego. To było naprawdę posępne miejsce: dolina cieni i śmierci.

Po chwili rozpostarł się przed ich oczami raj: gładka, czysta woda i małeńkie, zielone wysepki. Bella otworzyła przewodnik, by dowiedzieć się, jak brzmi nazwa góry, która rzuca ogromny cień na jezioro: Ben Slioch.

- Brzmi niczym jakieś biblijne imię - stwierdziła. - Ben Slioch.

- Slioch - powtórzyła jej matka. - Nie pamiętam, co to znaczy w języku gaelic. Chyba strzała.

- Dzida - poprawiła Bella. - Mój przewodnik mówi, że jest to góra częściowo zbudowana z piaskowca. - Jezioro Maree - wyszeptła do siebie, gdy powóz przybliżał się do lśniącej tafli wody.

Po obu stronach rozciągały się pola, na których uprawiano kukurydzę i ziemniaki, a w oddali widoczne było jakieś pół tuzina niewielkich zagród.

- Widzisz, tam jest już łódź pełna ludzi - rzekła Bella.

Księżna wyjrzała i poleciła woźnicy zatrzymać się.

- To przyjęcie weselne - wyjaśniła, a jej słowa prawie zagłuszyły dźwięki kobzy, które brzmiały nieco zbyt melancholijnie jak na taką, bądź co bądź, szczęśliwą uroczystość.

Woźnica podszedł do nich i powiedział, że będą się musiały przeprawić przez jezioro łodzią, gdyż nie ma możliwości, by naokoło przejechał powóz.

- Po drugiej stronie załatwiłem już paniom inny środek transportu - dodał.

Gdy ich bagaże były ładowane na łódź, Bella słuchała przez moment, co drugi przewoźnik mówi do gości weselnych. Nie rozumiała tego oczywiście, jako że używał języka gaelic, ale słuchała, gdyż podobał jej się sam rytm i intonacja.

- Żałuję, że w większości zapomniałam tego języka - rzekła księżna, podchodząc do córki. - Opowiada im historię tego jeziora. Związana jest z nim

oczywiście legenda. Na jednej z wysp znajdują się ruiny starego klasztoru, a pochowani tam są nordycki książę i księżniczka, których życie zakończyło się tragicznie. Widzisz tę małą wyspę, o tam? - Pokazała palcem, a Bella przytaknęła. - Mówi się, że najbardziej nawet krzepki Szkot dwa razy pomyśli, zanim się tam uda. Ta wyspa nawiedzana jest ponoć przez czarownice, widma i wszystkie inne ziemskie i wodne stwory znane człowiekowi. - Księżna zamilkła, nasłuchując z uwagą dawno nie słyszanej mowy, która tak bardzo spodobała się Annabelli. - Mówi coś o tej wyspie, że na jej środku znajduje się niewielkie jeziorko, a z kolei na jego środku kolejna maleńka wysepka. Na niej rośnie drzewo, gdzie trzyma straż królowa czarodziejek. - Słuchała jeszcze przez chwilę ze zmarszczonym czołem. Po chwili wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. - Poddaję się. Mówi za szybko jak dla mnie, a mój gaelic jest już zbyt zaniedbany. - Wyprostowała się i zamknęła oczy. - To przypomina mi tylko, jak wiele zdażyłam zapomnieć. - Kiedy jej matka ponownie otworzyła oczy, Bella zobaczyła, że błyszczą z determinacją. - Mam zamiar zaopatrzyć się w kilka książek w tym języku, by zabrać je ze sobą do Anglii - oświadczyła księżna. - Powinno mnie się zbic szpicrutą za to, że pozwoliłam, by tak wiele umknęło z mojej pamięci. - Uśmiechnęła się słabo i poklepała córkę po ręce. - Spróbuj nieco odpocząć. Powinniśmy dotrzeć do ciotki Uny za niecałe dwie godziny.

Bella zrobiła tak, jak jej powiedziała matka, a w chwili, gdy zamknęła oczy, jej myśli pomknęły do Rossa Mackinnona. Zastanawiała się, co on teraz robi i czy w ogóle zauważył jej nieobecność.

Ross zauważył i nie był w związku z tym zbyt szczęśliwy.

- Wyjechała! - zawołał. - Co masz na myśli mówiąc, że wyjechała? Wyjechała dokąd? Z kim?

Lord Percival mrugał przy każdym wymawianym, a właściwie wykrzykiwanym przez Rossa słowie.

- Proszę... Oszczędź mnie, chłopcze. Niewiele brakuje, by popękały mi bębenki w uszach.

- Doprowadzę do czegoś znacznie gorszego, jeżeli nie powiesz mi, co się tutaj dzieje!

- Mówiłem ci już. Księżna Grenville i Annabella wyjechały wczesnym rankiem, kiedy ty jeździłeś konno. Przebywały tutaj znacznie dłużej, niż było to początkowo planowane, i uznały, że czas na powrót do wcześniejszych ustaleń.

Spojrzał na swego dziadka.

- Czy miałeś z tym coś wspólnego?
- Nic poza tym, że użyczyłem im powozu. -Mackinnon uniósł brwi. - Wolałbyś może, bym im kazał iść pieszo?

Ross nieco się odprężył.

- Coś mi tutaj śmierdzi i mam zamiar dowiedzieć się co.
- O co ci chodzi? - zapytał Percy.
- O to, że sądzę, iż wy dwaj wiecie więcej, niż mi mówicie.
- Wiemy jedynie tyle, że księżna poprosiła twego dziadka o przewóz. Uznała najwyraźniej, że zachowa dla siebie miejsce ich przeznaczenia. Szkot lubi swoją prywatność i szanuje to samo u innych, Ross. Tak naprawdę nic nam było do tego, dokąd się wybierają.

Ross zmierzył spojrzeniem swego dziadka.

- Nie sądzę, byś uzyskała jakieś odpowiedzi, bocząc się i robiąc srogie miny, chłopcze - oświadczył Mackinnon.

Percy nie dał jego wnukowi szansy na odpowiedź.

- Przedwczesny wyjazd pań Grenville nastąpił niedługo przed rozpoczęciem naszej wyprawy. Nawet gdyby tutaj pozostały, ty wyjechałbyś za kilka dni i tyle.

- Mogły dać mi szansę pożegnania się z nimi.

- Może i tak by się stało, gdybyś był wcześniej skłonny patrzeć na tę dziewczynę inaczej niż wzrokiem filozofa... albo metodysty - stwierdził Mackinnon, klepiąc wnuka po plecach, i zaniósł się z Percym głośnym śmiechem.

To tylko jeszcze bardziej rozzłościło Rossa. Widząc to, jego dziadek rzekł:

- Nic nie możesz z tym zrobić, chłopcze. Musisz myśleć o swojej przyszłości, a czyniąc to, nie możesz uganiać się za jakąś panienką. Czasami trzeba otrzymać twardą lekcję.

- To znaczy? - gniew jego wnuka nieco zelżał.

- Najpierw sprawy najważniejsze. Człowiek nie jest w stanie jednocześnie stać i siedzieć - wyjaśnił Mackinnon.

- A czemuż u diabła nie?

Tym razem odpowiedział mu Percy:

- Jak powiedział kiedyś Blake: „Jeśli uda ci się zatrzymać chwilę, zanim będzie dojrzała, z pewnością będziesz ronił łzy żalu”.

- Zapomniałeś jeszcze o dalszym ciągu: „Ale jeśli pozwolisz uciec tej chwili, nie przestaniesz ich ronić już nigdy”.

Percy uniósł brwi i popatrzył na księcia.

- Ten chłopak ma doskonałą pamięć - stwierdził.

- Tylko kiedy jest mu to na rękę - odparł Mackinnon.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Seaforth.

Wyglądający wśród nocnych ciemności niczym latarnia morska, wskazująca wędrowcom drogę. Seaforth. Posiadłość, w swej okazałości niczym bardzo bliska krewna wielkopańskiego zamku.

Było już ciemno, kiedy tam dotarły. Ciemniej niż ciemno, kiedy powóz minął ostatnie cienie drzew i wynurzył się na otwartą przestrzeń, którą stanowiła biegnąca wśród smaganych wiatrem wrzosowisk droga. Seaforth. Annabella poczuła, jak serce wali jej wyczekująco. Wszyscy byli zmęczeni: konie, woźnica, księżna i oczywiście ona. Gdy wysiadła z powozu, nogi prawie odmówiły jej posłuszeństwa po tak długim przebywaniu w jednej pozycji.

Stojąc przed ogromnym domem, nie zwracała jednak uwagi na zmęczenie. Tak naprawdę czuła jedynie ukłucie rozczarowania, że zamiast środka nocy nie jest teraz jasne popołudnie, gdyż pragnęła zobaczyć posiadłość wujostwa w całej okazałości. Na tle nieba rysowały się iglice i wieżyczki.

Chwilę później podeszła z matką do drzwi. Ujmując wielką kołatkę - ciężką, mosiężną obręcz wystającą z paszczy lwa - księżna zapukała trzy razy. Dźwięk ten rozległ się echem po całym domu, po czym wrócił do nich. W kilku dzielonych kamiennymi słupkami oknach pojawiło się światło. Po dłuższej chwili masywne drzwi uchyliły się nieco, ale ktokolwiek je otworzył, pozostawał dla nich niewidoczny.

Annabella zadrzała i zerknęła przez szparę w drzwiach. Korytarz oświetlał dwunastoramienny kandelabr, który stał na marmurowym stoliku na środku pomieszczenia. Po szybach i ścianach tańczyły niepokojące cienie. Na suficie widać było wyrzeźbione herby, sztandary i chorągwie, dziwne bestie i ptaki.

W drzwiach pojawiła się głowa.

- Czy to dom hrabiego Seaforth? - zapytała księżna.

- *Don-faighneachd ort!* - odpowiedziała właścicielka głowy. - Do diabła z wami!

Drzwi zamknęły się z hukiem tuż przed nosem zaskoczonych księżnej.

Lady Anne z każdą chwilą stawała się coraz bardziej poirytowana. Jeszcze raz zapukała, tym razem robiąc użytek ze swej parasolki.

Po chwili drzwi ponownie się uchyliły i ukazała się w nich ta sama siwa głowa.

- Do diabła z waszą uprzejmością - oświadczyła pośpiesznie księżna, zanim kobieta zdążyła znowu zamknąć potężne drzwi. Bella zauważyła, że tym razem matka nie wystawiała swego nosa na niebezpieczeństwo i nie podchodziła zbyt blisko.

Stojąc za plecami matki, przyjrzała się kobiecie, najwyraźniej gospodyni: była tęga i rumiana, miała długie siwe warkoczki i jasnoniebieskie oczy, które w innych okolicznościach można by uznać za wesołe. Jednak teraz nie było nic wesołego w tej kobiecie odzianej w szary szlafrok i w krzywo nałożonym nocnym czepku. Trzymając w górze lampę, by lepiej przyjrzeć się gościom, powitała ich serdecznie:

- Czego chcecie?

- Chciałabym zobaczyć się z hrabią Seaforth i jego żoną.

- He, pewnie, że chcecie. A czy jest jakiś powód, dla którego przychodzicie tutaj w środku nocy i prosicie o to?

- Owszem, jest - sapnęła księżna. - Ale na pewno nie jest to twoja sprawa. A teraz proszę przestać stać tutaj niczym marmurowy posąg i pójść poinformować jego lordowską mość, że jego szwagierka, księżna Grenville, stoi przed drzwiami jego domu i zamarza, podczas gdy gburowata gospodyni ją przesłuchuje.

Kobieta zmierzyła księżną od stóp do głów surowym wzrokiem.

- Jego szwagierka, mówi pani?

- Dobra kobieto - lady Anne szturchnęła gospodynię parasolką. - Jestem siostrą lady Seaforth i zaczynam już tracić cierpliwość. Bądź tak miła i zrób to, o co cię proszę i zawołaj hrabiego i moją siostrę, w przeciwnym wypadku sama pójde ich poszukać, wyciągając ich przy okazji z łóżek, jeśli zajdzie taka potrzeba. - Nie mówiąc ani słowa więcej, księżna odwróciła się do córki. - Chodź, Bello. - Chwyciła ją za rękę i wepchnęła na korytarz tuż przed nosem wyjątkowo upartej gospodyni. - Na miłość boską. Jeszcze nigdy nie spotkało mnie coś takiego. Gdzie się podziały twoje maniery, dobra kobieto?

- Proszę nie oczekiwać, że będę się kłaniać do ziemi na widok dwójki intruzów w środku nocy. Równie dobrze mogliby to być Cyganie albo złodzieje.

- Czyżby? A często spotyka się Cyganów bądź złodziei ubranych tak jak my?

- Och! Nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. To całkiem możliwe - odparła gospodyni, po raz kolejny lustrując gości. - Jeżeli są oczywiście dobrzy w żebraniu bądź okradaniu, wasza miłość.

Księżna wyminęła ją i oświadczyła wyraźnie:

- Posłuchaj, moja kochana. Rusz, że się wreszcie i powiedz mojej siostrze, że chcę się z nią zobaczyć. Natychmiast, jeśli łaska.

Ani trochę nie przestraszona groźnym spojrzeniem księżnej, gospodyni zapytała stanowczo:

- Czy hrabina spodziewa się pań?

W opinii Annabelli ta niezłomna kobieta była albo najodważniejszą, albo też najgłupszą osobą, jaką kiedykolwiek spotkała. Wreszcie ruszyła na górę, mamrocząc coś przy tym do siebie. Kilka miesięcy temu tego rodzaju zachowanie zdumiałoby Annabelle, ale od przyjazdu do tego kraju i poznaniu tujejszych ludzi zaczynała rozumieć, że gospodyni nie stara się być nieuprzejma. Jest po prostu Szkotką i tyle.

Kilka minut później ze schodów zbiegła z piskiem Una Mackenzie i objęła swą siostrę. Tuż za nią pojawił się jej mąż: rudowłosa, potężny mężczyzna o kpiącym wyrazie twarzy. Obrzucił spojrzeniem obejmujące się siostry, po czym skierował lampę na stojącą z boku Annabelle.

Dziewczyna zamrugała w jasnym świetle, gdy nagle wszystko stało się zamazane. Wszystko oprócz twarzy wuja. Była to twarz, która stanowi inspirację poetów, wyzwanie dla malarzy, twarz, o której tworzy się legendy, bądź też która pojawia się w koszmarach sennych. Natychmiastową reakcją dziewczyny była chęć ucieczki. Zbyt przerażona, by to uczynić, posłała mu błady uśmiech i zrobiła krok do tyłu. Mężczyzna chrząknął i odwrócił się w stronę sióstr, które zdążyły się już od siebie oderwać i teraz rozprawały o czymś, żywo przy tym gestykułując.

- Zwiastujące śmierć zjawy i krewni to jedyne istoty, które w środku nocy potrafią obudzić człowieka z głębokiego snu - rzekł, gdy szwagierka objęła go z, jak uznała Annabella, ogromną sympatią.

- Och! - odparła księżna. - Nie mów mi, że nie jesteś ani odrobinę zadowolony, że to ja, a nie zjawa.

Z otwartymi ustami Bella wpatrywała się w swoją matkę. Jeszcze nigdy nie słyszała, by mówiła ona z tak silnym szkockim akcentem. Według niej matka nie musiała się o nic martwić. Jej mowa ani trochę nie zatraciła swej oryginalnej śpiewności.

- Nie wiem, czy jesteś zjawą, czy też nie. To nigdy nie zostało udowodnione - odparł poważnie hrabia.

- Barra, nie cieszysz się, że mnie widzisz? - zapytała lady Anne.

- Odpowiem na to pytanie, gdy mi powiesz, dlaczego tutaj przybyłaś.

- Przywiozłam do was Annabelle.

- Kogo?

- Moją córkę, Annabelle.

- To zastraszone i niewinne stworzenie z ogromnymi oczami?

- Jeżeli mówisz o młodej, stojącej za tobą kobiecie, to tak - odparła księżna, przyglądając się z namysłem córce. - Chociaż nigdy do tej pory nie uważałam jej za zastraszoną.

- Ta dziewczyna jest bojaźliwa niczym polna mysz - stwierdził, odwracając się i ujmując wielką dłonią podbródek Belli i kierując jej twarz w stronę światła. - Nie ma za grosz odwagi. Angielka do szpiku kości.

Księżna wciąż uważnie jej się przyglądała.

- Cóż, nigdy o tym nie myślałam, ale może i masz rację, mimo że kilka razy zdarzyło mi się podejrzewać, że coś na podobę odwagi czai się w jej ciele... Zwłaszcza ostatnimi czasy - oświadczyła, po czym ponownie się zamysliła.

Dziewczyna czuła na sobie jeszcze przez chwilę bezlitosne spojrzenie wuja. Po chwili ją puścił.

- Może. - Było to wszystko, co Barra Mackenzie miał na ten temat do powiedzenia.

Wtedy właśnie Bella zrozumiała, czym jest ta słynna szkocka zwięzłość.

Godzinę później leżała już w łóżku i przyglądała się, jak jej matka także przygotowuje się do snu.

- Wuj Barra jest naprawdę onieśmielającym człowiekiem - stwierdziła. - Nigdy nie spotkałam także nikogo, kto byłby aż tak drobiazgowy. Doprawdy pod jego spojrzeniem poczułam się, jakbym była rozbierana na części i lustrwana niczym przepłacony kawałek baraniny.

Księżna roześmiała się.

- Och, Barra zachowuje się czasami onieśmielająco, to prawda, ale jest najlepszym człowiekiem, jaki chodzi po tej ziemi. Jest doskonałym farmerem, dobrym i kochającym ojcem rodziny, rozważnym i uczciwym aż do przesady.

- Farmerem? Ten dom mało przypomina posiadłość zwykłego farmera.

- Nie powiedziałałam, że jest zwykłym farmerem. Uprawianie roli i hodowla zwierząt, jeżeli tylko czyni się to mądrze i z odpowiednim poświęce-

niem, może się okazać zajęciem niezwykle dochodowym. Nie zapominaj, że nasz ksiązę małżonek jest także farmerem.

- To znaczy wuj jest farmerem - dżentelmenem?
- Tak, i jak na szkockie standardy całkiem zamożnym.

Annabella zmarszczyła czoło.

- Ciągle uważam, że bardziej nadawałby się na strażnika więziennego. Księżna kolejny raz roześmiała się.
- Na miłość boską, Bello. Cóż to za niedorzeczna myśl.
- Ostatnio wszystkie moje myśli są niedorzeczne.

Lady Anne wspięła się na wysokie łożo.

- Cóż, spróbuj pomyśleć o czymś przyjemnym, kochanie, i cieszymy się wspólnie spędzonym czasem. Jutro Una każe rozpakować nasze bagaże, a ja przeniosę się do innego pokoju. Później możemy więc już nie mieć dla siebie tyle czasu.

Następnego ranka Annabella zasnęła i kiedy weszła do jadalni, było już po śniadaniu.

- Idź do kuchni i powiedz kucharce, by coś ci dała. U nas zawsze na wolnym ogniu gotuje się kocioł z owsianką. Możesz zjeść ją sobie ze śledziami - zaproponowała ciotka Una.

Poszła więc tam, nie po owsiankę i śledzie, ale w nadziei otrzymania suchego tostu i filiżanki herbaty. Kucharka, krzepka kobieta ze starannie zaplecionymi warkoczami owiniętym wokół głowy, okazała się na szczęście pokrewną duszą, gdyż tylko raz wspomniała o owsiance i śledziach.

- Jeżeli nie miałyby pani nic przeciwko, to filiżanka herbaty i suchy tost w zupełności mi wystarczą.

Annabella siedziała właśnie przy stole i popijała herbatę, kiedy do kuchni wszedł jej potężny wuj.

- Widzę, że masz odwagę cokolwiek jeść? - zapytał przyjaźnie. - Na twoim miejscu zachowywałbym większą ostrożność. Persefonie zdarzyło się skubnąć kilka zaledwie owoców granatu i przypieczętowała tym swoje przeznaczenie.

Jeżeli starał się ją onieśmielić, to mu się udało, jako że Bella zachłysnęła się suchym tostem i kaszlała, dopóki kucharce nie zrobiło się jej żal i nie poklepała jej energicznie po plecach. Hrabia potrząsnął głową i zamknął nogą drzwi. Podszedł do imbryka i nalał sobie filiżankę herbaty, cały czas przyglądając się swej młodej krewniaczce.

Pochłonęła tost w trzech kęsach, a herbatę wypija dwoma haustami, parząc sobie usta. Gdy Barra zbliżył się do stołu, Annabella zerwała się na równe nogi.

- Nie musisz uciekać niczym przerażona polna mysz - rzekł uspokajająco wuj. - Nie pożeram nikogo powyżej piętnastego roku życia. - Kucharka zachichotała, a hrabia Seaforth kontynuował: - Niech mnie diabli, dziewczyno, ale przypominasz mi wrzeciono. Czy ty w ogóle jesz?

Bella uniosła głowę.

- Oczywiście - odparła z godnością.

Barra roześmiał się.

- Przydałoby ci się trochę więcej ciała, słonko. Może wtedy nie miałybyś wciąż tak przestraszonego wyrazu twarzy. Przybierz na wadze kilka kilo, a razem z tym przybędzie ci pewnie trochę ikry.

Kucharka zakaszłała i mruknęła coś w języku gaelic:

- *Cha deanar seabhag de 'n chalamhan.*

Barra przez chwilę mierzył wzrokiem siostrzenicę swej żony, po czym odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno.

- Niech mnie kule biją, ale masz rację.

- Co ona powiedziała? - chciała wiedzieć Bella.

- Powiedziała, że z latawca nigdy nie narodzi się jastrząb.

Dziewczyna chciała odrzec, że od zawsze żywi szczególną sympatię do chłopskich banałów, ale nie zrobiła tego. Nie dlatego, że się bała, jak sobie powtarzała w duchu, ale dlatego, że nauczono ją szacunku dla starszych. Tak, o to właśnie chodziło - szacunek wobec starszych od niej.

Kucharka powiedziała coś jeszcze w swoim języku, a dziewczyna zapomniała o strachu i dobrym wychowaniu.

- Nie jest uprzejmym rozmawianie w obcym języku w towarzystwie osób, które go nie rozumieją - oświadczyła.

Ciemne, błyszczące oczy hrabiego rozszerzyły się nieco bardziej, gdy na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Hej, ta panienska ma jednak w sobie nieco ikry, ukrytej pod tymi wszystkimi warstwami angielskiego puddingu.

- Nie trzeba ikry, by zrozumieć, kiedy ktoś jest celowo nieuprzejmy.

- Milcz, dziewczyno, albo zaknebluję ci usta.

Annabella wybiegła z kuchni. Gonił ją głośny śmiech wuja. Idąc długim korytarzem, modliła się cicho o nieco więcej wewnętrznej siły niż ta, którą dobry Bóg dał jej do tej pory. Może i było to wystarczające dla damy w Anglii, ale na pewno nie w tej okropnej Szkocji.

Resztę popołudnia spędziła w samotności, zwiedzając ogromną posiadłość i schodząc z drogi wujowi. Mgła się podniosła i przez okna wdzierają się do środka promienie słońca, poprawiając tym samym jej nastrój. Gdzie-

kolwiek spojrzała, widziała urzekająco piękne tapety i po mistrzowsku namalowane obrazy. Każde pomieszczenie w tym domu wypełniały francuskie i angielskie, najdoskonalszego gatunku meble. Uznała, że jest to najokazalsza wiejska posiadłość, w jakiej kiedykolwiek zdarzyło jej się przebywać.

Podczas gdy ona zwiedzała dom wujostwa, jej matka zmierzała w kierunku biblioteki. A w czasie, gdy Bella znajdowała się już na zewnątrz i przechadzała się otoczonymi zielonymi krzewami ścieżkami i przyglądała klombom, księżna zatopiona była w rozmowie ze szwagrem.

Hrabia Seaforth spojrział z ukosa na siostrę swojej żony.

- Co masz na myśli, mówiąc, że jest zaręczona z hrabią Huntly? - zapytał, nie przejmując się tym, że mówi bez żadnych osłonek. - Czy aż tak bardzo chcieliście pozbyć się tej dziewczyny, że wydajecie ją za największego głupca w szkockich górach?

- Nie chcieliśmy pozbyć się Belli. Dlaczegoż zresztą miałoby tak być? Zawsze była dla nas prawdziwym skarbem, damą w każdym calu. A poza tym skąd mogliśmy wiedzieć, że jest on głupcem? Alisdair tak bardzo się starał, by znaleźć dla naszej córki odpowiednią partię, że nawet nie przyszło mu do głowy, iż człowiek z takimi listami uwierzytelniającymi może być także głupcem - odpowiedziała z oburzeniem księżna Grenville.

Barra nie był mężczyzną, który się daje łatwo zbić z tropu.

- A co z tobą? Przecież zawsze tak dobrze potrafiłaś oceniać ludzkie charaktery, Anne. O ile oczywiście mnie pamięć nie myli.

- Jestem przekonana, że twoja pamięć działa bez zarzutu.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Na tyle dobrze, bym wciąż pamiętał, że nie kryłaś się ze swoimi uczuciami i obiekcjami wobec mnie jako kandydata do ręki twojej siostry.

- Tak było tylko na początku - odparła Anne - i przypomnij sobie, że przekonałam się do ciebie... po jakimś czasie.

- A tak - zgodził się Barra. - Po jakimś czasie.

Spojrziała na niego uważnie i uśmiechnęła się.

- Podejrzewam, że jeszcze bardziej mnie za to lubisz. Nie należysz do mężczyzn, którzy podziwiają kobiety, które bez problemu dają sobą manipulować, bądź też nie wyrażają głośno swych myśli. A teraz wróćmy do kwestii Huntly'ego. Nigdy nie uznałam go za głupca, ponieważ nie miałam okazji go poznać przed dokonaniem wszystkich ustaleń.

- A więc doprowadziliście do zaręczyn waszej dziewczyny i przywieźliście ją do Szkocji, by poznała wybranego przez was głupca. No a kiedy macie ją zamiar zabrać do domu?

- Nie zrobimy tego. Alisdair uważa, że będzie dla niej najlepiej, jeżeli pozostanie w Szkocji. Sądzi, że nie wracając do Anglii, szybciej się przystosuje do życia w jej nowej ojczyźnie.

Barra ściągnął brwi w prawie prostą kreskę i z namysłem wpatrywał się w czubki swych butów.

- Hmm. Może i ma rację. - Popatrzył na szwagierkę. - A celem waszej wizyty w Seaforth jest przedstawienie jej nieznanym do tej pory krewnym?

- Nie. - Księżna wyjaśniła, że Alisdair i Gavin są teraz w Edynburgu i opowiedziała o tym, co zobaczyła z okna swojej sypialni w zamku Dunford. - Więc pomyślałam, że najlepiej będzie, gdy ją stamtąd zabiorę, i to bezzwłocznie - rzekła na koniec.

- Z dała od Dunford - powtórzył - i od księżęcego wnuka. Niekoniecznie w tej kolejności.

- No cóż, tak - przyznała księżna. - Czy można mnie winić?

- Nie twierdzą, że cię winię, czy też nie. Nie widziałem na oczy chłopaka, od którego tak ją odciągasz. Być może twoja córka ma więcej charakteru, niż po sobie pokazuje. Zaręczona z jednym, klejącą się do innego i w tajemnicy wywieziona do zamku szatańskiego krewnego. Brzmi niczym ustęp z greckiej tragedii. - Barra potrząsnął głową. - A więc chodzi o wnuka Mackinnona. Pięknie. A powiedz mi jeszcze, jak stary książę zapatruje się na to, co się dzieje pomiędzy jego wnukiem a waszą dziewczyną?

- Kto wie? - Anne wstała i zaczęła przemierzać bibliotekę tam i z powrotem. - Nie mam pojęcia. Przepada za Bellą... I za swoim wnukiem także. Pewnie patrzyłby na to życzliwym okiem, gdyby tylko nie była zaręczona. - Zatrzymała się. - Znasz księcia Dunford?

- A owszem. Kiedyś ocalił mi życie, bardzo dawno temu, i nigdy nie miałem okazji spłacić długu.

- Trudno spłacić dług tego rodzaju. Ludzkie życie nie jest tanie.

- Nie - odparł Barra. - To prawda. - Wyrżał przez okno i dojrzał spacerującą po sosnowym zagajniku Annabelle. Przez chwilę przyglądał się jej kruczoczarnym włosom, lśniącym w popołudniowym słońcu. Czuł w sobie nakaz, by pomóc księciu i spłacić tym samym dług, jednak z drugiej strony odzywało się w nim poczucie więzów rodzinnych. To drugie wygrało, jednak ledwie o włos. Kiedy wreszcie się odezwał, jego słowa znacznie różniły się od w jego myśli. - Nie winię Huntly'ego za pragnienie takiej partii. Bella to bardzo nadobna panienka. Ale stanowczo zbyt dystygowana i piękna jak dla niego.

- Zeszłej nocy mówiłeś, że jest nieśmiała i brak jej kręgosłupa. Dzisiaj twierdzisz, że jest nadobna i dystygowana. Czyżbyś zmienił o niej zdanie?

- Nie. Nadal zbyt łatwo jest wprawić ją w onieśmienie.
- Nie przepadasz więc za nią?
- Wprost przeciwnie. Lubię tę dziewczynę. Jako chłopiec zawsze miałem słabość do zabłąkanych kociąt. Wiele ich znosiłem do domu i ukrywałem pod łóżkiem.

- Hm, to do ciebie w ogóle niepodobne, Barra.
- Och! Ugodziłaś moje serce sztyletem - odparł hrabia i roześmiał się.
- Co z nimi robiłeś? Wrzucałeś do jeziora, przywiązując im wcześniej kamienie do szyi?

- Ależ skąd. Karmiłem je, a potem wypuszczałem na wolność, kiedy potrafiły się już same o siebie zatroszczyć.

- Cóż, nie jestem w stanie zrobić tego samego z Bellą.

- Aleja tak.

- Jest już nieco za duża na nauki, a poza tym za późno, by starać się zrobić z niej dziewczynę ze szkockich gór. Zbyt wiele lat była dystygowaną damą.

- Nie byłbym tego taki pewny - zaprotestował Barra. - Szkocka krew zawsze wypływa na wierzch. Jak śmietana. Możliwe, że tego właśnie potrzeba tej dziewczynie.

Chwilę później otworzył drzwi do ogrodu. Bella ujrzała, jak matka i wuj idą w jej kierunku. Zakłęła w duchu. Nie miała w tej chwili ochoty na czyjekolwiek towarzystwo. Chciała jakiś czas pobyć zupełnie sama. Czy ten brutal, jej wuj, ma jakiegokolwiek manieri? Czy szanuje coś takiego jak prywatność i potrzebę odrobiny samotności? Zauważyła, że ma zmarszczone czoło. Spojrzała na niego z niechęcią i uniosła podbródek, zdecydowana nie poddać się temu gruboskórnemu, źle wychowanemu krewnemu, tej najczarniejszej owcy w jej rodzinie. Po chwili w powietrzu rozległ się jego tubalny śmiech. Zaskakujący. Nieoczekiwany. Głośny. I krótki.

Już miała ratować się ucieczką, kiedy zatrzymał ją jego głos:

- I co powiesz? Czy nie przeraża cię ani trochę myśl o małżeństwie z hrabią Huntlym?

Annabella zatrzymała się i posłała mu surowe spojrzenie.

- Przeraża mnie nieco historia, którą słyszałam o Seaforth, wuju. Dowiedziałam się, że nocą błąka się tutaj duch kobiety, odziany w różowe giezło i dźwigający pod pachą swą głowę. Czy to prawda? Widział ją wuj?

Barra szczerze się roześmiał.

- Jeżeli nie masz mi nic na ten temat do powiedzenia, nie będę więcej o to pytał. Chciałem tylko wiedzieć, czy cieszy cię ta partia, ale dojrzałem odpowiedź w tych twoich oczach dzikiego kota.

Księżna Grenville przyjrzała się swej córce.

- Wiesz, Barra, myślę, że masz rację. Ona naprawdę ma kocie oczy, prawda?

- Ano ma - odparł hrabia. - To dobry znak.

Annabella, przypominając sobie, co o płochliwych, dzikich kotach mówił woźnica, przyjęła jego słowa jako komplement. Nie uśmiechnęła się, ale przynajmniej nieco się rozchmurzyła.

Pani Barrie, gospodyni, podeszła do drzwi i poprosiła księżną na umówioną wcześniej herbatę z siostrą.

Gdy Anne znikła za drzwiami, Barra rzekł:

- Nigdy nie widziałem dziewczyny o tak zielonych oczach.

Bella uznała, że lubi wuja. Dzisiaj, gdy stał wśród krzewów i w świetle ciepłego, popołudniowego słońca, nie wydawał się już tak onieśmielający. Ucieszyło ją też to, że najwyraźniej darzy on Huntly'ego taką samą miłością jak i ona.

- Widzę, że nie przepada wuj za moim narzeczonym - bardziej stwierdziła, niż zapytała.

- Nie mów tego za mnie, dziewczyno. Nie chciałbym widzieć żadnej z moich córek przy ołtarzu razem z nim, ale to nie powinno ciebie interesować.

- Wzruszył ramionami. - Nie zwracaj tym sobie pięknej główki.

- Ależ mnie to obchodzi - zaprotestowała nieco bezradnie. - Nie mam ochoty wychodzić za lorda Huntly'ego, ale nikt mnie nie zapytał o zdanie.

- Twój ojciec uważa najwyraźniej, że nie musi się z tobą konsultować przy podejmowaniu tego typu decyzji.

- Od dnia, w którym ogłoszono zaręczyny, nie mogę znaleźć nikogo, kto by chciał ze mną o tym porozmawiać. Widzę, że źle oceniłam wuja, biorąc go za człowieka, który udziela szczerych odpowiedzi.

Kiedy się roześmiał, wydawało się, że drży cała ziemia.

- A ja źle oceniłem ciebie, uznając, że jesteś dziewczyną bez kręgosłupa i odwagi.

- Obawiam się, wuju, że twój pierwszy osąd był trafny. Moja odwaga praktycznie nie istnieje. I obawiam się także, że w moim kręgosłupie jest więcej galaretki niż kości.

- No cóż, jeżeli będzie ci bardzo źle, daj tylko znać swemu wujowi, a on natychmiast zrobi najazd na zamek Huntly'ego i zabierze cię z powrotem do Seaforth.

- Nie opowiadaj jej głupstw, Barra. Wiesz, że od dobrych pięćdziesięciu lat nie było w Szkocji żadnego najazdu. I wiem, że niezwykle irytuje cię przyjęcie tego do wiadomości.

Oboje podnieśli głowy i ujrzeli stojącą w drzwiach Unę.

Barra uśmiechnął się do żony, a Annabella poczuła ukłucie zazdrości i jednocześnie tęsknoty. Mężczyzna taki jak Huntly nigdy nie będzie patrzył na nią w taki właśnie sposób.

- Owszem - odparł spokojnie hrabia. - Ale historia lubi się powtarzać.

- Gdzie jest Anne? - zapytała Una.

- Najprawdopodobniej właśnie cię szuka. Pani Barrie poprosiła ją na herbatę - wyjaśnił Barra.

Ciotka cofnęła się do domu, a Bella zapytała:

- Czy wszystkie problemy rozwiązuje wuj tak szybko?

- Od czasu do czasu.

- A widzi wuj jakieś dla mnie?

- Rozwiązanie?

- Proste bądź też nie - odparła z nadzieją w głosie. - Byle tylko było to jakieś rozwiązanie.

- Nie byłbym dobrym chrześcijaninem, gdybym odpowiedział przecząco. Zawsze pozostaje modlitwa.

- To akurat wiem. Pytam o to, czy wuj widzi jakieś realne wyjście? - upierała się. Jego oczy spowaźniały.

- Nie.

- Więc powinnam pozbyć się nadziei i pójść do ołtarza bezwolnie niczym owca prowadzona na rzeź?

Przez chwilę nic nie odpowiadał.

- Zrobisz tak, jak uważasz, niezależnie od tego, co ja o tym myślę - odzwał się wreszcie.

Nie takiej odpowiedzi, oczekiwała, ale przynajmniej była konkretna, szczerza i bliska jej własnych odczuć. Od jakiegoś czasu doświadczała dziwnych uczuć, które mogła nazwać buntowniczymi, jako że pozostawały w opozycji do życzeń jej ojca. Zastanowiła się, czy powinna ciągnąć ten temat z tym swoim dziwnym krewnym. Nie rozumiała, dlaczego odczuwa z nim taką więź, skoro ledwie się znają.

- Czy znał wuj kogoś, komu udało się uniknąć małżeństwa mimo uprzedniego podpisania kontraktu zaręczynowego? - zapytała z nadzieją.

- Owszem, jednak wkładanie ręki do kosza ze żmijami wydaje się nieco zbyt okrutne.

W drzwiach pojawiła się pani Barrie, i zaczęła iść w jej kierunku.

- Podejrzewam, że w takim razie jestem skazana na to małżeństwo - rzekła, oglądając się na swego wuja.

Barra w odpowiedzi spojrzął jej w oczy i lekko się uśmiechnął.

- Ufam, że samej uda ci się znaleźć rozwiązanie - odrzekł. - Nie mam specjalnej ochoty mieć Huntly'ego za krewnego. Jeżeli chodzi o jakąkolwiek pomoc z mojej strony, proszę bardzo, o ile tylko nie będę zmuszony działać przeciwko księciu Grenville.

Dotarło wtedy do niej, że on nie tylko ją rozumie, ale także żywi podobne uczucia. Poczowała dziwną więź z tym swoim spostrzegawczym wujem.

- Księżna Grenville pragnie, by wypić panienka herbatę z nią i swoją ciotką - oznajmiła pani Barrie.

- W takim razie lepiej będzie, jak pójdziesz. Twoja matka jest osobą, z której zdaniem zdecydowanie trzeba się liczyć - stwierdził żartobliwie hrabia Seaforth.

Pani Barrie najwyraźniej nie ufała Belli, gdyż spojrzała na nią surowo i dodała:

- Zaprowadzę panienkę.

Spotkanie trwało ponad godzinę i większość czasu dziewczyna przysłuchiwała się rozmowie matki i ciotki Uny. Rozprawiły o pięciu starszych synach Uny i Barry, którzy się już ożenili. Annabella przypomniała sobie, że w domu pozostała jeszcze dwójka młodszego kuzynostwa, mniej więcej w jej wieku. W tym samym czasie pomyślała o nich najwyraźniej także księżna.

- Gdzie się podziewają Ailie i Allan? - spytała z ciekawością.

- Od dwóch tygodni są u siostry Barry. Lorna niedawno urodziła chłopczyka, a jej mąż Willy leży w łóżku z kontuzją pleców. Wysłałam Ailie i Alana, by trochę tam pomogli. Mają wrócić dziś albo jutro.

Po wypiciu herbaty Annabella przeprosiła panie i wyszła, pozostawiając siostry pogrążone w pasjonującej je obie rozmowie.

Pojechała na przejażdżkę dwukółką, która oczywiście się zepsuła, a ona musiała wracać do Seaforth pieszo. Sześć mil w delikatnych bucikach, o, to trochę za dużo jak na jeden dzień. Wieczorem strasznie bolały ją stopy, a kiedy zrzuciła w swoim pokoju buty, ujrzała powód tych cierpień. Całe stopy pokrywały pęcherze. Właśnie zaczęła je moczyc w misce z naparem z ziół, którą przyniosła jej wiecznie nachmurzona pani Barrie, kiedy usłyszała przerywanie pukanie do okna. Starąła się je zignorować, lecz po kilku minutach poddała się i przekuściła przez pokój, odsunęła rygiel i otworzyła okno. Wzięta ze stolika przy łóżku lampkę, uniosła ją i wyjrzała.

Z drzewa stojącego trzy albo cztery stopy od jej okna wpatrywała się w nią gniewnie rudowłosa dziewczyna mniej więcej w jej wieku. Siedziała dość ryzykownie na jednej z gałęzi.

- Co robisz na tym drzewie w środku nocy? - zapytała Bella.
- Przyszłam do ciebie z wizytą, choć muszę przyznać, że jesteś zbyt tępa, by się tobą przejmować. Czy z łaski swojej przestaniesz się na mnie gapić z tym głupkowskim wyrazem twarzy i zaoferujesz mi pomocną dłoń?

- Kim jesteś?

- Twoją kuzynką Ailie, ty ośła głowo. A teraz szybko podaj mi rękę, bo zaraz zlecę.

Przytrzymała się mocniej grubej gałęzi, a drugą dłoń wyciągnęła tak, by mogła jej dosięgnąć Bella, która nie namyślając się dłużej, zrobiła to, o co ją proszono, a właściwie rozkazywano. Chwilę później jej kuzynka postawiła stopę na listwie okiennej i oderwała się od drzewa. Wpadła przez okno z takim impetem, że obie runęły na podłogę jak długie.

Już po chwili Ailie zerwała się na równe nogi, przyglądając się kuzynce.

- Czy masz zamiar leżeć tak jak przerażona owca, czy też się wreszcie podniesiesz?

Chwyając wyciągniętą ku niej dłoń, Annabella powoli wstała, myśląc jednocześnie o tym, co przed chwilą usłyszała.

- Jesteś moją kuzynką Ailie?

- Przecież już to mówiłam, no nie?

Bella przytaknęła, myśląc o tym, że jej kuzynka nie jest dystygowaną, dobrze wychowaną damą, taką jak ciocia Una. Ailie była najwyraźniej nieodrodną córką Barry. Ta dziewczyna była w pewien dziki sposób ładna - ładna i jednocześnie zaniedbana. Jej suknia, mimo że nowa i modnie skrojona, była zmiętoszona i w kilku miejscach rozdarta. Twarz, jakkolwiek urocza, miała nieco ciemniejszą cerę, niż nakazywała moda. Najwyraźniej nie była zakrywana kapeluszami, co można było poznać po piegach na jej lekko zadartym nosie.

Ailie obeszła pokój, przeglądając rzeczy gościa, otwierając jej kasetkę z biżuterią i rzucając okiem na list, który leżał na stole.

- Kim jest Gwen?

Bella chwyciła arkusz papieru i odwróciła go na drugą stronę.

- Przyjaciółką. Czyżbyś miała coś przeciwko temu?

- Ależ skąd. Czemuż miałoby mnie obchodzić to, że posiadasz przyjaciółkę, chociaż tak właściwie to jestem tym nieco zaskoczona. Nie jesteś osobą zbyt przyjacielską, wiesz?

- A ty najwyraźniej tak. Co tutaj robisz?

- Przyszłam, by cię poznać.

- Nie mogłaś użyć do tego celu drzwi?

- Nie o tej porze. Może i wybrałam trochę niekonwencjonalną drogę, ale gdyby ojciec przyłapał mnie w korytarzu na przekradaniu się do ciebie, ręką przywiązałyby mnie do koła tortur. - Wzięła do ręki lustro ze srebrną rączką i przejrzała się w nim. - Niedaleko naszego domu jest dawny loch w niezmiennym stanie. Wiedziałaś o tym?

- Nie.

- W takim razie już wiesz. Mamy też wydrążoną w skale studnię.

- Jak miło.

Ailie wypatrzyła na toaletce patere z wiśniami. Wsunęła do ust dwa owoce, po czym wypluła pestki na dłoń i wyrzuciła je przez okno.

- Mam nadzieję, że wyrosną z nich drzewa. Uważam, że to grzech marnować tak doskonałe pestki, a ty?

- O tak - odparła lekko Bella. - Ja swoje także zawsze wypluwam przez okno.

- Jesteś bardzo dziwna, wiesz o tym?

- W takim razie nie powinniśmy mieć problemów z dogadywaniem się, ponieważ ja ciebie także uważam za dziwną.

- Och, liczę na to, że się zaprzyjaźnimy. - Ailie podeszła do otwartego kufra. - Co robisz? Rozpakowujesz się? W takim razie pomogę ci. - Z pełnym życzliwością zapałem nowo poznana kuzynka zaczęła po kolei wyciągać wszystko z kufra. - Gdyby okoliczności były nieco inne, może i bym do ciebie nie przyszła, ale widzisz, tutaj poza mną jest tylko mój brat Allan, a najbliższa posiadłość, w której mieszka dziewczyna w moim wieku, jest jakieś dwadzieścia pięć mil stąd. Oczywiście, moja matka i służba to kobiety, ale z nimi nie wolno mi się bratać, a mimo że mama jest najsłodsza istotą pod słońcem, trochę trudno uczynić z matki swoją najlepszą przyjaciółką. Chodzi mi o to, że nie można zdradzić jej wszystkich tajemnic w obawie, że powie ojcu. Rozumiesz to, prawda?

Bella przytaknęła z konsternacją, gdyż tak naprawdę z tyrady swej kuzynki nie rozumiała ani słowa.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Księżna Grenville nie zatrzymała się w Seaforth na długo. Po dwóch tygodniach, w środku nocy przybyli z Edynburga ojciec Belli i Gavin. Wkrótce potem wszystkie nadzieje Annabelli legły w gruzach.

Wszystko zaczęło się zupełnie niewinnie dzień wcześniej, kiedy to piękny, złoty, puszysty kot Ailie, MacBeth, uczynił coś, czego nie zrobiłby żaden szanujący się kocur. Okocił się.

Całe dwa dni dziewczęta poświęciły na spożytkowanie kosza muszelek, które Ailie zbierała minionego lata. Planowały ozdobić nimi pudełeczka stojące na toaletkach, poduszki i puzderka na świecidełka. Na początek posegregowały wszystkie muszelki według wielkości, kształtu i koloru, układając je starannie w rozłożone na podłodze kupki.

Annabella pierwsza weszła do pokoju i natychmiast zaczęła nakładać klej na coś, co wkrótce miało się stać ozdobioną muszelkami doniczką. Właśnie zaczęła je przymocowywać, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wpadła jak burza Ailie.

- Stała się rzecz straszliwa, Bello! - zawołała. - Chodź szybko! MacBeth ma kocięta!

Jej kuzynka bezzwłocznie oderwała się od pracy i pośpieszyła do stodoły, gdzie MacBeth leżał w stercie siana, tam gdzie zazwyczaj dojono krowy. Wzięła na ręce jedno ślepe, kwilące kociątko.

- Sądziłam, że on po prostu utył! - jęknęła Ailie.

- Bo tak było - odezwał się jakiś głos. - Tyle że nie od jedzenia.

Annabella obejrzała się i ujrzała młodego, niewiele od siebie starszego chłopaka, Wyszedł właśnie ze stajni, prowadząc za uzdę lśniącego siwka.

- Och, Allanie, czy to twój nowy wałach? Wybierasz się na przejażdżkę? - zapytała Ailie, obchodząc konia i oglądając go ze wszystkich stron.

- Tak. Piękny, prawda? - Popatrzył na Belle. - Nie uważasz, że powinnaś przedstawić mnie naszej kuzynce? Ty jesteś Annabella, prawda?

- Tak - odparła, myśląc o tym, jak bardzo przypomina jej Gavina.
- Jeździsz konno?
- Owszem, chociaż od czasu, kiedy przybyłam do Szkocji, nie miałam ku temu okazji.

- W takim razie wezmę cię wkrótce ze sobą - obiecał, odwracając się z powrotem do swego siwka.

Dziewczęta obserwowały, jak Allan wsiada na konia i odjeżdża, po czym z powrotem skupiły uwagę na kocieciach.

- Nadal nie wiem, jak to możliwe, że MacBeth ma kociaki - oświadczyła wciąż zaskoczona Ailie.

- Myślę, że teraz będziesz musiała zmienić mu imię na Lady MacBeth.

- Pójdę do kuchni podzielić się tą wiadomością z kucharką. Chcesz może iść ze mną?

- Nie, zostanę tu jeszcze przez chwilę, a potem wrócę do moich muszelek.

Obejrawszy uważnie wszystkie siedem kociąt, Annabella ostrożnie odłożyła ostatnie z nich i właśnie miała wyjść, kiedy w drzwiach pojawił się ogromny, budzący niepokój cień. Dziewczyna podniosła głowę i ujrzała stojącego na progu wuja. Właściwie zdążyła go już polubić, jednak nadal potrafił przerazić ją jednym, odpowiednio groźnym spojrzeniem.

- O, to wuj - odezwała się, a w jej głosie słychać było zdziwienie.

Czuła się raczej nieswojo, gdy wuj Barra lustrował ją swym świdrującym spojrzeniem.

- Chyba nie myślisz, że mógłby się tu zjawić jakiś młodzieniec?

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

- Zaskoczył mnie wuj, to wszystko.

- Zaskoczona panienka jest już w połowie zdobyta - odparł. - Przyjdź, mała, do mego gabinetu, gdyż chcę z tobą porozmawiać.

Pod Annabella ugięły się nogi. Oficjalne wezwanie do Barry Mackenzie nie wróżyło absolutnie niczego dobrego.

- Ale... Ale...

- Nie stój tak i nie jękać się. Gdybym chciał ci zrobić krzywdę, kazałbym ci przyjść przed śniadaniem do dawnego lochu. A teraz chodź.

- To znaczy mam iść tak od razu? - wykrztusiła.

- Nie proszę cię teraz, byś przyszła jutro. I kiedy wzywam kogoś, nie mam zwyczaju udzielać jednocześnie odpowiedzi na milion pytań. Wyjaśniłem już, dlaczego cię szukałem - odrzekł. - Jeśli zdecydujesz się przyjść, czekam w gabinecie.

Hrabia Seaforth oszczędł równie imponująco, jak się pojawił. „Czekam w gabinecie”. Nie były to słowa, po których miałyby się ochotę bić rekordy w biegu od stodoły do domu. Annabella walczyła z pokusą ukrycia się tutaj razem z kociakami do końca dnia.

Gdy dotarła do gabinetu, była już nie na żarty przerażona. Ostrożna niczym ulicznica w konfesjonale, otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka. Zastanowiła się, czy mądrze robi, jednak za późno już było na tego typu wątpliwości. Kątem oka dostrzegła w dłoni wuja wielki nóż, którego ostrze było prawie tak długie jak jej ramię.

Barra bez słowa rzucił niebezpiecznym przedmiotem, a ten ze świstem przeleciał przez pokój i wbił się aż po rękojeść w serce słomianej kukły. Z duszą na ramieniu dziewczyna odważyła się spojrzeć na wuja.

- Nie ma nic równie niesmacznego jak ugotowane jajko z twardą skorupką i papkowatym środkiem - oświadczył. - Zanim ty zdążyłaś stać się oczkiem w głowie swego tatusia, ja zdobyłem więcej blizn na sumieniu niż ty masz włosów na głowie. Pamiętaj, że jakkolwiek bardzo byłbym zadowolony widząc, że masz kręgosłup, to nie bawią mnie marne pokazy odwagi. Siadaj.

W ułamku sekundy znalazła się na stojącym po przeciwnej stronie biurka krześle, szaleńczo się przy tym zastanawiając: co ja takiego zrobiłam? I komu? Co mi zrobi za to, co uczyniłam, a o czym nie wiem?

Wzięła głęboki, pokrzepiający oddech.

- Wiedziałybym, jak się zachowywać, gdybym poznała powód, dla którego się tutaj znalazłam.

- Sądzisz, że masz do tego prawo, tak?

- Jeśli mam ponieść konsekwencje, to oczywiście, że tak.

- Już lepiej - stwierdził. - Powinno się być albo bezpośrednim, albo się w ogóle nie odzywać. Zdrowy rozsądek plus odrobina odwagi, oto co każdy powinien posiadać. Widzę, że uczysz się przewycięzać twój tchórzliwy nawyk niezdecydowania.

- Możliwe, że wuj też byłby tchórzem, gdyby był mojego wzrostu i w dodatku kobietą.

- Skamlanie i pojękiwanie jest ogólnie mało efektywnym narzędziem. Każdy głupiec potrafi wyrwać włosy z ucha martwego lwa. Mądrość jest narzędziem kobiety, a siła mężczyzny zbytnio do niej nie pasuje. Trzymaj głowę wysoko, dziewczyno, i zachowuj szacunek wobec samej siebie. - Odchylił się w fotelu. - Nie bądź taka niepocieszona. To nie jest aż tak trudne, jak by się mogło wydawać.

- Nie wezwał mnie wuj dlatego, że coś przeszkrobałam? - zapytała Annabella, czując wyraźną ulgę.

Barra uniósł brwi.

- A czemu pytasz? Czyżbyś naprawdę coś zbroiła?

- Nic, czym mogłabym sobie zasłużyć na burę.

- W takim razie przejdźmy do rzeczy. Twój ojciec jest już w drodze do Seaforth i ma zamiar zabrać cię z powrotem do Anglii i osadził pod strażą w wysokiej wieży.

- W Saltwood nie ma wieży.

- Nie czepiaj się, proszę, szczegółów. Chciałem tym podkreślić, jak bardzo poważna sprawa wzywa go tutaj.

- Wszystko, co wzywa mojego ojca, jest poważne. Jeżeli przy tym się śpieszy, to, sprawa jest bardzo poważna. Bardzo się jednak cieszę, że zabiera mnie do domu.

- Mam zamiar mu to wyperswadować.

- To znaczy chce mnie wuj zatrzymać tutaj? W Szkocji?

- Tak.

Annabella poczuła, jak boleśnie ściska jej się serce. Walcząc ze łzami, rzekła:

- Czy będzie impertynencją, gdy zapytam dlaczego?

Barra roześmiał się.

- Dlatego, że moim celem jest udzielenie ci pomocy, mała, a pomoc ta będzie najbardziej efektywna, gdy pozostaniesz u nas.

- Jeżeli ojciec podjął już decyzję, nic jej nie będzie w stanie zmienić, wuju. Mogę za to ręczyć.

- Zmieni, kiedy powiem mu o moim odkryciu, że jego najmłodsza córka planuje poślubić w tajemnicy...

Dziewczyna zerwała się z krzesła.

- Co takiego?

- ... kogoś, kto, o ile mi dobrze wiadomo, już trzy razy prosił o twoją rękę, czyli markiza Tukesbury.

- Za nic w świecie bym go nie poślubiła. Nawet go nie lubię.

- Ty to wiesz, a twój ojciec?

- Też będzie wiedział, gdy mu o tym powiem.

- Siadaj, dziewczyno, zanim cię uduszę.

Annabella opadła na krzesło.

- A teraz posłuchaj - ciągnął Barra. - Możesz zaprzeczać, ale zdajesz sobie oczywiście sprawę z tego, że znając twoją niechęć do ślubu z Huntlym,

twój ojciec byłby głupcem, gdyby nie uwierzył, że staniesz przed ołtarzem z pierwszym młodym, przystojnym Anglikiem, który się napatoczy, a nie z mężczyzną wybranym dla ciebie przez niego.

- Tyle że ja naprawdę nie znoszę markiza Tukesbury.

- Jest to fakt mający doprawdy niewielkie znaczenie.

- Ojciec zna mnie lepiej, niż wuj sądzi. Nie uwierzy w to - oświadczyła z przekonaniem. - Wie, że jestem zbyt wielkim tchórzem, by się mu sprzeciwić.

- Nie byłbym tego taki pewny - stwierdził Barra Mackenzie, po czym uśmiechnął się. - A teraz biegnij. Twoja pierwsza lekcja jest wciąż ciepła niczym świeże mleko. Daj jej szansę na okrzepnięcie i schłodzenie się.

Kiedy Annabella została nazajutrz wezwana do biblioteki, czekał tam na nią jej ukochany brat i bardziej niż rozgniewany ojciec, a także matka, ciotka i wuj. Gdy ich wszystkich ujrzała, jej pierwszą myślą była natychmiastowa ucieczka najbliższymi drzwiami i biegnięcie, dopóki nie umrze z wyczerpania albo nie wpadnie do morza, zależnie od tego, co wydarzy się szybciej.

Kolejną myślą było postanowienie, że skoro nie ma pojęcia, co powiedzieć na swoją obronę, w ogóle nie będzie się odzywać.

Podczas gdy księżna wyjaśniała, co dojrzała ze swego okna w zamku Dunford, Annabelle pochłaniała rozmyślanie o tym, jak zareaguje jej ojciec i jakie powźmie w związku z tym kroki. I że na pewno nie będą one dla niej przyjemne.

- Tak więc uznałam podczas twojej nieobecności, że najlepiej będzie rozdzielić tych dwoje, zanim zostanie wyrządzona wielka szkoda - oświadczyła na koniec lady Anne, wyraźnie z siebie zadowolona.

Kiedy odezwał się książę Grenville, jego głos drżał z gniewu:

- Wybrałaś najlepsze w takich okolicznościach wyjście, moja droga. Już więcej nie zaniedbam moich obowiązków wobec Belli i nie będę tak miękki. Zostaną podjęte wszelkie kroki, by aż do wesela nie miała żadnej sposobności do wyrządzenia szkody. Bello, przestań patrzeć na mnie, tak jakbym rozkazał smażyć cię w gorącym oleju. Postanowiłem, że pozostaniesz w odosobnieniu tutaj, w Seaforth, aż do dnia twego ślubu.

Jej zaskoczone spojrzenie powędrowało w kierunku wuja Barry, którego uwagę przykuło właśnie coś za oknem. Zmusiła się, by ponownie spojrzeć na ojca.

- Ale...

- Oszczędź swojej energii i nawet nie próbuj błagać. Podjąłem już decyzję i kropka. Twoja matka, Gavin i ja jutro wyjeżdżamy do Saltwood. Twój

wuj wspaniałomyślnie zaofiarował się, że będzie trzymał nad tobą pieczę. Staraj się zachowywać godnie i odpowiednio aż do naszego powrotu.

- A kiedy to nastąpi?

- Jakiś tydzień przed weselem.

- A Gavin nie mógłby...

- Twój brat jest potrzebny w domu, Bello. Nie ma czasu, by bawić się w niańkę. Powinnaś o tym wiedzieć.

- Ale papo...

Książę Grenville popatrzył na swoją córkę - córkę, która nie sprawiała mu żadnych kłopotów. To znaczy do niedawna. Westchnął ze znużeniem.

- Trzeba cię mocniej trzymać w ryzach, Bello, ale nie chciałbym, by za-brzmiało to okrutnie albo jak jakaś kara. Znasz swoje miejsce i powinnaś wiedzieć, że ja pragnę tylko twojego dobra. Nie popychałbym cię do tego małżeństwa, gdyby nie warunek twego dziadka.

Z biblioteki, Annabella poszła prosto do stodoły, gdzie usiadła na odwróconym wiadrze. Trzymała na kolanach jednego kociaka. Właśnie miała oddać go jego matce, kiedy znalazł ją Gavin. Posłał jej ciepły uśmiech i kazał się nie martwić.

Popatrzyła na niego z niechęcią.

- Wątpię, by twój głos był choć w połowie tak radosny, gdybyś to ty miał tutaj zostać.

Gavin roześmiał się i potargał jej włosy, po czym nazwał dzieciakiem.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś wiedziała, co czeka mnie w Anglii. Obawiam się, że moje beztróskie dni skończyły się na dobre. Czasami zastanawiam się, czy warto tak się męczyć i kontrolować po to tylko, by odziedziczyć tytuł. Moje życie jest w pewien sposób jeszcze bardziej ograniczone restrykcjami niż twoje.

Annabella wiedziała o tym i wiedziała także, że w głębi duszy Gavin nie ma zbyt wielkiej ochoty zostać w przyszłości księciem. Nie miał nic przeciwko temu, ale to wszystko. Poczuła się jeszcze gorzej, gdy uświadomiła sobie, że mimo własnych kłopotów jej brat zawsze w jej towarzystwie starał się uśmiechać i podnosić ją na duchu.

- Nie wiem, kiedy znowu cię zobaczę - rzekła żalem, a głos jej zadrżał. - Do wesela zostało jeszcze tak dużo czasu. Cały rok.

Gavin uniósł brwi.

- Chciałabyś je w takim razie przyśpieszyć?

- Nie, ale poważnie bym to rozważyła, gdybym dzięki temu miała cię wcześniej zobaczyć.

- Wrócę przed weselem. Ojciec mi to obiecał.
Jej nastrój minimalnie, ale jednak się poprawił.

Nazajutrz wcześniej rano stała przy jednym z potężnych kamiennych lwów, które znajdowały się po obu stronach głównych drzwi, i po raz ostatni patrzyła na swoją rodzinę. Jej oczy błyszczały, jednak była zdecydowana za nic nie pokazać im łez. Przez całe życie walczyła, by być córką, którą ojciec by kochał i byłby z niej dumny i co jej to dało? Karę. Wygnanie. Niechciane małżeństwo. Starła się spojrzeć z dystansem na swoje przeszłe życie i zrozumieć, co poszło nie tak, ale niczym kroki na wodzie wszystko wydawało się niknąć, tak samo jak jej życie w Anglii.

Starła się przywołać szczęśliwe, pełne radości wspomnienia z dzieciństwa, ale żadne nie chciało pojawić się w jej głowie. Annabella nie miała takich wspomnień. Nie znaczy to, że czuła się wykorzystywana bądź odrzucona, gdyż wiedziała, że rodzice na swój sposób bardzo ją kochają. Po prostu nie czuła się ukochaną córką, a tego właśnie pragnęła ponad wszystko, tego i bycia docenianą. Czuła się niczym jedna z lalek w pokoju dzieciennym. Była jedną z wielu uroczych zabawek, których się prawie nie zauważało, więc spędziła dzieciństwo stojąc na półce, zdejmowana okazjonalnie i pokazywana przyjaciołom i krewnym, otrząpiewana z kurzu, ubierana w nową, piękną sukienkę, po czym z powrotem odstawiana.

A teraz została wyrzucona z pokoju dzieciennego i nieczule sprzedana domokrażcy, który zaoferował najwyższą cenę. Z Gavinem rzecz się miała zupełnie inaczej. On był długo wyczekiwany i jedynym synem, podczas gdy Bella była nikim więcej, niż szóstą, najmłodszą córką.

W tym czasie Barra Mackenzie bacznie obserwował swoją młodą krewniaczkę, przypominając sobie niedawną rozmowę z jej ojcem.

- Ta dziewczyna wygląda na niezwykle posłuszną i spokojną.

- Tylko dlatego - odpowiedział natychmiast Alisdair - że tak ją urabia-no, niczym winorośl, a nie dlatego że jest taka z natury.

- A jaka jest w takim razie z natury?

- Dzika niczym poganin bez dyscypliny i samokontroli. Mówię ci, Barra, że to naprawdę nie było łatwe. Bellę trzeba było trzymać krócej, niż wszystkie pozostałe dzieci razem wzięte. Zanim skończyła dwa lata, wiedziałem, że wyrasta z niej mała jędrza. Była uparta jak osioł i zawsze chciała postawić na swoim. Tylko silną ręką można ją było od tego powstrzymać. Uwierz mi, że to nie było łatwe, chociaż nie mogę stwierdzić, że bym był wyjątkowo zadowolony z rezultatów. Wyrosła na dziewczynę, która wiecznie trzyma nos w książkach i jest nieco zbyt inteligentna i wykształcona, jak na kobietę, jak

sądze. W każdym razie była trudnym dzieckiem. Jeżeli teraz jest miękka, to tylko dlatego, że została do tego zmuszona.

Tak jak i do tego małżeństwa, pomyślał Barra.

Gdy tak wuj i ciotka Mackenzie stali razem z Annabellą i przyglądali się, jak elegancki powóz w kolorze kości słoniowej z księciem i księżną w środku oddala się krętą drogą w tumanach kurzu, Barra objął ramieniem Unę i westchnął głośno. Przygnębiona siostrzenica jego żony zdażyła już skryć się w domu.

- Przebywanie z tą dziewczyną wyjdzie Ailie na dobre. Na pewno będzie dla niej lepszym towarzystwem niż tylko Allan - stwierdził.

Lady Seaforth posłała mężowi sceptyczne spojrzenie.

- Dziwnie jesteś zadowolony z takiego obrotu sprawy. Przysięgłabym, że nie byłeś zachwycony, że Bella pozostanie pod twoją opieką.

- Hmm. - To była cała odpowiedź Barry.

Z uśmiechem przypomniał sobie, co się przytrafiło wczoraj Belli i jego córce.

Ailie wprosiła się, by spędzić noc w pokoju Belli, i właśnie zdażyła się rozebrać i siedziała na łóżku razem z kuzynką, przyglądając się, jak ta pisze coś w swoim zeszycie, kiedy zostały wezwane do pokoju zajmowanego przez rodziców Belli, po drugiej stronie korytarza.

Siedząc *en chemise*, dziewczęta w tym samym czasie zerwały się z łóżka i sięgnęły po swoje ubrania. W tym całym zamieszaniu przewróciły *pot de chambre* i zanim zdażyły zawołać kogoś na pomoc, cała zawartość rozlała się i wypłynęła pod drzwiami i dotarła aż do drzwi naprzeciwko. Kiedy ksiązę Grenville otworzył drzwi, by zbadać przyczynę, dla której jego córka i jej kuzynka nie zjawiały się, natychmiast wszedł w nią kapciem.

Uśmiechając się do siebie, Barra potrząsnął głową. Mógł się temu sprzeciwić i doprowadzić do odjazdu dziewczyny razem z jej rodzicami, ale nie miał w zwyczaju obierać najprostszej drogi. Zaskoczył więc swoją żonę i zgodził się, by jej siostrzenica zamieszkała u nich aż do wesela, odbywszy wcześniej męską rozmowę z Alisdaiem.

Czymże była jedna dodatkowa blizna na jego sumieniu?

Miesiąc po przybyciu do Edynburga Ross i lord Percival opuścili to miasto, obierając za cel podróży Dunford, jednak nie w prostej linii. Ross, który wciąż liżał rany po nagłym wyjeździe Annabelli i jej matki, nie był jeszcze gotowy na powrót do Dunford i na spotkanie z dziadkiem. Dręczyła go niezachwiana pewność, że stary ksiązę miał coś wspólnego z tą nieoczekiwaną decyzją księżnej. Czas, powtarzał sobie w myślach. To właśnie jest mu potrzebne. Więcej czasu z dala od Dunford i dziadka.

Był nieco na niego zirytowany, jednak wiedział też, że ten stary człowiek nie będzie żył wiecznie. Nie chciał, by jego gniew doprowadził do przedwczesnej śmierci dziadka. Zrobi po prostu to samo co w ciągu ostatnich kilku lat. Będzie wędrował z miejsca na miejsce, pijąc i uganiając się za łatwymi kobietami, aż wyrzuci tę piękność o skórze koloru kości słoniowej ze swoich myśli i lędzwi. Percy'emu powiedział, że chce po prostu poznać lepiej Szkocję. I po części była to prawda.

Z Edynburga udali się do Aberdeen, potem do Inverness, a następnie do Ullapool. Tam uznał, że Szkocję poznał już w stopniu wystarczającym.

- Człowiek nie może tak bez końca pić i się łąjdaczyć, Percy.

Anglik w odpowiedzi jedynie uniósł dwuznacznie brwi.

Ross roześmiał się.

- Wiem, o czym myślisz, ale to prawda. Jestem kompletnie wykończony, niczym jakiś starzec.

- Masz pewność, że jesteś gotowy do powrotu, czy też musisz jedynie odpocząć?

- Nie, jestem gotowy. Nawet picie i łąjdaczenie się może wreszcie doprowadzić do... - Przerwał i spojrzał na swego towarzysza. - Jakie jest to słowo, które mi uleciało z pamięci?

- Przesyt.

- Racja. Nawet picie i łąjdaczenie się może wreszcie doprowadzić do przesytu. A teraz już jedźmy. Nigdy nie byłem aż tak skonany. Zadowolenie tylu kobiet to naprawdę ciężka praca.

Percy nic nie odpowiedział. Nie był w stanie. Zbyt głośno się śmiał.

Cztery dni później Barra Mackenzie siedział w gabinecie i czytał list od swego kuzyna Robbiego Frasera, mieszkającego w Ullapool.

Pozwoliłem sobie zaproponować mojemu staremu przyjacielowi lordowi Percivalowi i jego podopiecznemu, by zatrzymali się w Seaforth w czasie ich podróży na południe. Pamiętasz może, z Percym zaprzyjaźniłem się, kiedy wspólnie tak ciężko pracowaliśmy nad zniesieniem prawa upraw. Jestem przekonany, że go polubisz. Mimo że nie jest farmerem, bardzo ciebie przypomina - to dobry człowiek, który ochoczo ciągnie swój własny pług.

Powinni przybyć do was we wtorek, czwartego. Wiem, że przyjmiesz ich z taką samą uprzejmością i gościnnością, jaką miałem okazję poznać podczas mojej ostatniej wizyty w Seaforth. Och, kiedy tylko sobie przypomnę te jajka, zimną zapiekankę z cielęciny, gorącego łososia spożywanego pod gołym nie-

bem na tych twoich sielankowych polach, wszystko przyprawione porządną szklanicą whisky.

Z tego wszystkiego prawie zapomniałem podać ci nazwisko podopiecznego lorda Percivala — młodego człowieka, który przyszedł na świat w Ameryce, ale na ile go zdążyłem poznać, jest Szkotem do szpiku kości. To wnuk starego księcia ze Skye i zwie się Ross Mackinnon.

Ross Mackinnon. Och i jeszcze raz och! Barra słyszał to nazwisko wystarczająco wiele razy, by natychmiast się zaniepokoić. I wtedy go olśniło. Czwarte go. To przecież dzisiaj. Natychmiast posłał po Unę i jednocześnie nakazał dziewczętom udać się do domku rybackiego, który znajdował się niecałą milę od głównego domu.

- Wysłać je do domku rybackiego? - powtórzyła Una, patrząc dziwnie na swego męża. - Zwariowałaś, człowieku? Wątpię, by Annabella choć raz w życiu łowiła ryby, a oboje wiemy, że i Ailie nie przepada za tym zajęciem.

- Nie wysyłam ich tam na połów, skarbie. Spodziewamy się gości i chcę po prostu pozbyć się przynęty.

Barra rozpoznał gniewny ruch głowy swej żony i uściśnął ją pojednawczo.

- Wiem, że nie widzisz w tym żadnego sensu, ale teraz sprawą nadrzędną jest pośpiech. Nie mam czasu na wyjaśnianie, poza tym, że niejaki Ross Mackinnon jest w drodze do naszego domu, a dziewczyna musi stąd zniknąć. Przynajmniej do czasu, aż wyrobię sobie na jego temat zdanie. Nie mamy czasu, by zaplanować cokolwiek innego. Będziesz musiała im to jakoś wytłumaczyć.

- Ale co ja mam im powiedzieć? Nie są już dziećmi. I wiesz, że nigdy nie byłam dobra w kłamaniu.

Barra ucałował czubek jej głowy.

- Tak, kochana, wiem, ale nic na to teraz nie poradzę. - Klepnął ją w siedzenie. - A teraz zmykaj. Czekają nas sporo pracy. Będziemy mieli gości na kolacji.

Una ruszyła do drzwi, ale na chwilę się zawahała.

- Lubisz Bellę, prawda?

- Owszem, lubię to dziewczę - przyznał. - Gdyby było inaczej, nie zwracałbym sobie i tobie głowy chowaniem jej, dopóki się nie przekonam, czy ten Mackinnon jest choć trochę lepszy od głupca Huntly'ego.

Una uśmiechnęła się do męża.

- Nawet po tych wszystkich latach nadal cię kocham, lordzie Mackenzie - rzekła.

- Aha. Zawsze uważałem cię za mądrą dziewczynę.

Barra patrzył jak oddala się kobieta, która od trzydziestu lat jest jego żoną. Nawet po tych wszystkich latach? Potrząsnął głową, a na jego twarzy pojawił się leniwy uśmiech. Tak do końca to nigdy nie zrozumiał swojej dziewczyny.

Nawet po tych wszystkich latach.

Niedługo później Una weszła do domku rybackiego, który był niczym więcej, jak starą chatą, wiele lat temu używaną przez zagrodników, a potem porzuconą. Barra, który nie znosił, by się cokolwiek marnowało, zaanektował ją na domek rybacki. Una, której spodobał się ten pomysł, postanowiła zająć się jego urządzeniem i tym, by jego wnętrze miało domowy wystrój. Kiedy skończyła, oświadczyła, że jest to domek dla lalek, którego nigdy nie miała.

Barra gderał trochę, że „każdy mężczyzna, który pozwala żonie urządzić jego domek rybacki, powinien na zawsze wyrzec się whisky”.

Ale kiedy ujrzał efekt, musiał przyznać, że tym razem Una przeszła samą siebie, gdyż mały, czarny domek był przytulny i wygodny niczym para ukończonych starych kapci, nieco już przetartych na piętach.

Jęcząc pod ciężarem ogromnego wiklinowego koszyka, Una otworzyła masywne, dębowe drzwi i natychmiast otuliło ją ciepło opalanej kuchni. Z wysiłkiem postawiła kosz na długim, wysokim stole, zbitym z prostych, nieoszlifowanych desek.

- Proszę- oświadczyła, spoglądając przy tym na towarzyszące jej dziewczęta.

- Czy to wszystko jest dla nas? - zapytała jej córka.

- Owszem. Powinno wystarczyć wam jedzenia na cały tydzień.

- Raczej na rok - poprawiła Ailie. - Chyba że się spodziewasz, iż przez cały czas będziemy jedynie jeść.

Una rozejrzała się po osobliwej, małej kuchni i usiadła na jednej ze stojącej po jej obu stronach drewnianych ław.

- Jest tak, jak myślałam - stwierdziła. - Dobrze wam tutaj będzie. To miejsce jest ciepłe niczym gorący tost. Żadnych przeciągów.

Kuchnia zajmowała część większego z dwóch pomieszczeń w tym małym domku. Mniejsze było sypialnią. Być może częścią jego uroku było właśnie połączenie kuchni i salonu - choć „salon” to może nieco zbyt szumne określenie. Tuż przy kominku ustawiono dwa wielkie fotele z podniszczonymi obiciami. Zasiadły w nich Ailie i Annabella, czekając, jak domyśliła się Una, na jej wyjście. Ale jej się nie śpieszyło. Sporo czasu minęło, odkąd zaglądała tu ostatnio i teraz czuła, jak zapraszające ramiona tego domku ciasno ją obejmują. Już zdążyła zapomnieć, jak tutaj jest uroczo.

Było to miejsce, w którym można było być szczęśliwym, głośno śpiewać, bawić się i świętować.

Una wydała z siebie pełne satysfakcji westchnienie.

- Niesamowicie lubię to miejsce. Chcecie, bym z wami została?

- Nie, nie chcemy - odpowiedziała Ailie, wstając z krzesła i podchodząc do matki. - A poza tym wiesz, że papa nawet nie chciałby o tym słyszeć. - Ujęła dłoń siedzącej. - Pozwól, że pomogę ci wstać.

Unie wydawało się nigdzie nie śpieszyć. Ailie rzuciła kuzynce błagalne spojrzenie.

- Ciociu, czy nie musisz już być w domu, by stawić czoło tym dwóm? - zapytała niewinnie Bella.

- O rety, oczywiście! Prawie o tym zapomniałam. Siedzę sobie i podziwiam własne dzieło, podczas gdy będziemy mieć gości na kolacji. - Pośpieszyła do drzwi, gdzie jeszcze raz się odwróciła. - To naprawdę cudowne miejsce. Bawcie się dobrze, dziewczęta.

- Tak jest, mamó.

Drzwi się zamknęły i Ailie popatrzyła na swoją towarzyszkę.

- Uwierzyłaś w historię, którą powiedziała nam mama?

- Jaką historię?

- O ograch. Tych obłąkanych deprawatorów dziewic.

- Oczywiście. A czemu miałabym nie wierzyć?

- Och, sama nie wiem. Cóż, do diaska! Jeszcze nigdy nie widziałam, jak to ujęła mama „obłąkanego, zepsutego do szpiku kości deprawatora młodych dziewic”, a chciałabym przynajmniej wiedzieć, jak taki ktoś wygląda. A ty?

Jej kuzynka energicznie potrząsnęła głową.

-Nie.

Później tego wieczoru, przynajmniej godzinę po zjedzeniu kolacji, która składała się z zimnej baraniny i ziemniaków, dziewczęta położyły się do łóżek i usiłowały zasnąć, jednak żadnej to się nie udawało. Wreszcie Ailie wydała pełne tęsknoty westchnienie.

- Zastanawiam się, czy oni są młodzi. I muszą być, rzecz jasna, przystojni.

-Kto?

- Ci deprawatorzy dziewic oczywiście. A kóżby inny?

- Długo musiałaś o nich rozmyślać - stwierdziła Bella. Po chwili, zastanowiwszy się głębiej nad słowami kuzynki, dodała z ciekawością: - Dlaczego muszą być przystojni?

- Dlatego, że żadna dziewczica przy zdrowych zmysłach nie odda się brzydkiemu mężczyźnie.

- No tak - odparła Bella zastanawiając się jednocześnie nad tym, co powiedziała Ailie.

Sądząc po dochodzących z jej łóżka odgłosach, jej kuzynka nadal miała problemy z zaśnięciem. Jej łóżko zatrzeszczało, a dziewczyna szepnęła:

- Jesteś pewna, że nie chcesz iść i tylko raz na nich spojrzeć? - W jej głosie, smutnie tęsknym, obecna była odrobina nadziei. - Tylko jeden, jedyny raz? Mogłybyśmy zakraść się pod okno i...

- Cóż to za grzeszny pomysł. Czy zdajesz sobie sprawę, jaki wybuchłby skandal, gdybyśmy zostały przyłapanie? A teraz przestań już wydziwiać i spróbuj zasnąć. Igrasz z ogniem, Ailie, i doskonale o tym wiesz.

- A co w tym złego? Mówisz jak stara matrona. A my jesteśmy młode. To właśnie czas, by być wolnym niczym słońce. Tak mówi mój papa. Mówi, że tylko raz jest się młodym, i że powinno się ten czas jak najlepiej wykorzystać. On i mama często opowiadają o figlach, które płatali, kiedy byli młodzi. - Ailie coś tam jeszcze mówiła, ale Bella nie słuchała.

Mówisz jak stara matrona.

A najsmutniejsze w jej słowach jest to, że są boleśnie bliskie prawdy. Nie wiedziała, czy mówi jak stara matrona, czy też nie, ale z pewnością czuła się staro. I to nawet bardzo. I to nie Ailie jej to uświadomiła, ale Ross Mackinnon. To on zasiał w niej ziarno świadomości, a ona zapragnęła choć czasem odezwać się sama za siebie, spojrzeć na świat własnymi oczami. Powinna znienawidzić go za to, że rozbudził w niej pragnienie czegoś, co jest poza jej zasięgiem. Ale nie potrafiła.

- Czemu jesteś dla siebie taka surowa? - zapytała Ailie po chwili ciszy. - Nigdy nie pozwolono ci na bycie prawdziwie wolną, prawda?

Było to pytanie, ale Bella wiedziała, że kuzynka nie oczekuje odpowiedzi, gdyż już ją znała. Coś w sposobie, w jaki wypowiedziała słowo „wolna” sprawiło, że poczuła zazdrość. Starła się wyrzucić to słowo i uczucie ze świadomości, ale nie była w stanie.

Stało się coś dziwnego. Im bardziej pragnęła o nim zapomnieć, tym silniej trzymało się jej pamięci. Zaczęła zadawać sobie w myślach pytania. Kim była ta osoba wewnątrz niej, ten ponury i bezgłośny sędzia, który tak ją prześladował? Popatrzyła na kuzynkę. Siedząca na brzegu łóżka Ailie wyglądała niezwykle świeżo i radośnie. W jej oczach migotało życie i witalność, a na ramiona opadały pukle gęstych, rudokasztanowych włosów. Nie mogła się przestać zastanawiać, jak to możliwe, by młoda dziewczyna wyglądała na tak wolną i nie ograniczoną żadnymi konwenansami.

A jej nie zamykała się buzia.

- Gdy tylko przekradniemy się do domu... - Resztę zdania stanowił tak niezwykle barwny opis tego, co mogłyby wtedy zrobić, że nie wystarczyłoby na to wszystko jednej krótkiej nocy.

Anabella nigdy potem nie była pewna, czy to było jej własne pragnienie, czy też zwyczajne poddanie się paplaninie Ailie, ale usiadła wreszcie na łóżku i oświadczyła:

- No dobrze, przekradnijmy się do domu i sprawdźmy, jak wyglądają ci deprawatorzy dziewic. - Po krótkim namyśle dodała: - Ale musimy uważać, by się za bardzo nie zbliżyć.

- Masz rację. Nie możesz przecież iść do ołtarza, jeśli nie jesteś dziewicą - zgodziła się Ailie, gdy obie w pośpiechu wciągały na siebie ubrania.

Gdyby Bella miała nieco więcej czasu, trybiki w jej głowie może by i zaskoczyły, ale córka Barry Mackenzie nie słynęła z cierpliwości. Zdażyła już zdjąć z kołka przy drzwiach dwa czarne płaszcze i podawała jeden kuzynce.

Żaden angielski szpieg nie zamaskowałby się lepiej i nie przekradłby się równie ukradkowo jak Ailie i Annabella. Narzuciły na głowy kaptury i wymknęły się z domku. Zdecydowanie szybkim krokiem nadchodziło ochłodzenie, gdyż noc była naprawdę zimna. Rankiem trawa będzie na pewno pokryta szronem.

Kuzynki pośpiesznie przemykały się w ciemności w stronę domu.

- Pośpiesz się, Bello. Nawet jeżeli teraz są młodzi, z pewnością będą zgrybiałymi starcami do czasu, kiedy tam dotrzemy.

Bella ciaśniej otuliła się płaszczem i wpatrywała się w coraz bliższe światła Seaforth i ciemną sylwetkę towarzyszek.

- Czy pokazują się tu w okolicy jakieś dzikie koty?

- Czasami, ale najczęściej przebywają znacznie wyżej, poza rzadkimi przypadkami.

Bella miała tylko nadzieję, że dzisiejsza noc nie jest tym rzadkim przypadkiem. Zbliżyły się do stajni i powozowni.

- Przejdźmy tędy - zarządziła Ailie, otwierając drzwi do stajni. - Będzie bliżej... i cieplej. - Minęły kilka boksów, w których zaciekawione konie wyciągały szyje, by dojrzeć, kto to się zjawił o tak późnej porze. Nagle się zatrzymała. - Spójrz! - rzekła, wskazując na potężnego, czarnego wierzchowca.

Annabella przyjrzała się uważnie zwierzęciu.

- Jest piękny.

- Tak. Ale nie jest to nasz koń. - Zanim Bella zdażyła cokolwiek rzec, dodała: - I ten też nie. - Jej towarzyszka popatrzyła we wskazanym kierunku, gdzie stał wspaniały gniadosz z delikatnym łbem Araba.

- Pewnie należą do deprawatorów - wyszeptała do ucha kuzynki.

Ailie poklepała pysk gnidosza.

- Pomyśl tylko. Oto klepiemy konie najbardziej nikczemnych rozpustników w Szkocji.

Bella, która starała się zrozumieć, co w tym takiego wspaniałego, zapytała sceptycznie:

- Gdzie usłyszałaś, że są najbardziej nikczemnymi napastnikami w Szkocji?

- Już nie pamiętam. Ale jestem pewna, że to słyszałam.

- Albo wymyśliłaś sobie. No chodź już.

Kiedy dotarły do domu, światła paliły się w kilku pomieszczeniach.

- Sprawdźmy najpierw w jadalni - zarządziła Bella. - Kolacja może się jeszcze nie skończyła.

Ale jedno spojrzenie przez okno wystarczyło, by stwierdzić, że przebywa tam jedynie stary lokaj, Dugal, i sprzątająca ze stołu kucharka Sibeal.

- Pokój muzyczny - rzuciła Ailie, ale po chwili okazało się, że w jego oknach jest ciemno.

- Gabinet twego papy. Jest w nim jasno.

Zbliżyły się do okna, ale było zdecydowanie za wysoko, by dziewczęta mogły przez nie cokolwiek dojrzeć.

- Wracamy do stajni - oświadczyła Bella. - Weźmiemy stamtąd stojak na siodła i staniemy na nim.

Kilka minut później siodła zostały bezceremonialnie zrzucone na ziemię, a kuzynki zaciągnęły stojak pod okno w gabinecie.

- Jestem wyższa - oceniła Ailie. - Wejdę pierwsza i ci pomogę.

Bella, właśnie się wspinała, kiedy jej kuzynka zbliżyła twarz do okna i najwyraźniej spodobało jej się to, co zobaczyła, gdyż chwilę później przysunęła się jeszcze bliżej i rozpląszczyła nos na zimnej szybie.

- To jest właśnie ktoś - wyszeptła z satysfakcją - kogo nazywam prawdziwym mężczyzną.

Z żarłocznym pośpiechem Bella zbliżyła twarz do okna i doszła do takiego samego wniosku. Gwałtownie wciągnęła powietrze. Nie wierząc własnym oczom poszła śladem Ailie i przycisnęła nos do szyby.

Ross Mackinnon właśnie przechylał szklaneczkę whisky.

Widok tak przystojnego mężczyzny sprawił, że zapomniały na chwilę, gdzie się właśnie znajdują i na czym stoją. Gdy niecierpliwie przycisnęły nosy do szyby, stojak pod ich stopami zachwiały się i przez chwilę kołysał się niepewnie, po czym przewrócił się a z nim obie kuzynki, które się stały płataniną nóg, rąk i płaszczy.

Ross usłyszał jakieś poruszenie za oknem. Być może dlatego, że stał najbliżej, ale najprawdopodobniej przypomniała o sobie jego przeszłość, kiedy

to niejednokrotnie wskakując jakiejś kobiecie do łóżka, musiał jednocześnie nasłuchiwać, co się dzieje dookoła. I właśnie dobry słuch nieraz go ocalił, Szybkie spojrzenie na Barrę powiedziało mu, że gospodarz niczego nie słyszał, a jeśli nawet, to nie dał tego po sobie poznać.

To pewnie pies pasterski, powiedział do siebie w myślach, zbliżając się jednocześnie do okna. Podniósł szklanę do ust i przełknął kolejny łyk, dostrzegając, że jakaś odziana w płaszcz postać biegnie przez podwórze i znika w cieniu, rzucając przez stajnię. To musiała być kobieta. Jego ciekawość stała się jeszcze większa. Dopił whisky i ziewnął. Barra uśmiechnął się i zaczął przeproszać za tak długie przetrzymywanie Rossa i lorda Percivala.

Percy nie miał jeszcze zbytnej ochoty na pójście spać, więc jego podopieczny w pojedynkę udał się do swego pokoju. Chwilę później wydostał się przez okno na dwór i przecinając podwórze zbliżył się do stajni. Widząc, że drzwi na ich drugim końcu są otwarte, nie tracił czasu na przeszukiwanie zagród, tylko ruszył prosto w ich stronę. Zdażył akurat dojrzeć, jak postać w płaszczu biegnie zarośniętą trawą ścieżką między dwoma rzędami żywopłotu. Chowając się w cieniu drzew, Ross podążał za tajemniczą postacią, szybko jednak stracił ją z oczu. Chwilę później dotarł do niewielkiego domku, na końcu ścieżki. Paliło się w nim światło, a z komina wydobywał się leniwy obłok dymu.

W pierwszym odruchu chciał zawrócić. Przeszedł już nawet kilka kroków, ale jednak się zatrzymał. Odwracając się, by jeszcze raz przyjrzeć się domkowi, przez chwilę się zastanawiał, po czym potrząsnął głową i ruszył dalej. Zbity z tropu ponownie się zatrzymał. Czuł, że coś go tu przyciąga. Wreszcie zawrócił. Nie podszedł jednak do drzwi, lecz do oświetlonego okna. Być może było to schronienie dziewczki, która utrzymywała się z zaspokajania potrzeb pracujących na rozległej posiadłości Mackenziego mężczyzn. Ross zawsze miał talent do znajdowania kobiet. Może to właśnie dziewczki teraz potrzebował - takiej, która pomogłaby mu wyrzucić z myśli tę czarnowłosą piękność. Tak, dziewczka bardzo by się teraz przydała.

Jednak to nie ją ujrzały jego oczy.

Annabella.

Zamrugnął, ale kiedy przyjrzał się ponownie, ona nadal tam była. Annabella, niewinna istota, stała teraz w obszytej koronką bieliźnie i rozmawiała z inną dziewczyną, która właśnie zakładała przez głowę koszulę nocną.

Ta druga powiedziała coś do niej, po czym wyszła z pokoju. Ross zapatrzył się w tę cudowną istotę. Annabelle z prześladującymi go co noc oczami, zielonymi niczym szkockie wzgórza. Annabelle o różowej cerze i pewności siebie chrząszcza, któremu zdarzyło się wpaść do kałamarza. Uśmiechnął się do siebie.

Ostatni raz widział ją w ogrodzie przy zamku Dunford. Zostawił ją tam stać, delikatną niczym motyl, w ciepłych promieniach słońca.

Spodziewał się oczywiście, że kiedyś spotka ją ponownie, wyglądającą podobnie, tak jak wtedy w ogrodzie. Nie przypuszczał nawet, że będzie wtedy stała przy łóżku i rozbierała się. I wtedy zastanowiło go to: dlaczego do diaska rozbiera się tutaj, a nie w głównej posiadłości?

Nagle na jego przystojnej twarzy pojawił się domyślny uśmiech. Jakikolwiek był związek Annabelli z Barra Mackenzie, sprytny Szkot niewątpliwie wiedział, co się zdarzyło między nimi. Czy to właśnie dlatego wywieziono ją z Dunford? Nie miał co do tego pewności, ale już wkrótce pozna odpowiedź. Jedno było pewne: bez względu na to, jak bardzo jest sympatyczny, Barra Mackenzie to szczwany lis.

W chwili, gdy jej towarzyszka wyszła z pokoju, Annabella zaczęła rozpiąć koszulę. Ross poczuł się wtedy jak najpodlejszy zboczeniec na całym świecie. Nawet w swojej dekadentckiej przeszłości nigdy nie musiał się uciekać do podglądania przez okno półnagich kobiet. Ale naprawdę w żaden sposób nie mógł teraz oderwać od niej spojrzenia. Na ramionach i piersiach dziewczyny rozsypały się czarne, długie włosy. Obserwował, jak bierze do rąk koszulę nocną i marszczy czoło na widok rzędu maleńkich guzików, po czym siada na łóżku i zaczyna jeden po drugim rozpinąć.

Gdy uporała się już ze wszystkimi, Annabella założyła koszulę, i dopiero wtedy ściągnęła pantaloney. Chwilę później wróciła druga dziewczyna z dwiema szklankami mleka. Usiadły na łóżku i zaczęły rozmawiać, prawie stykając się głowami. Ross przez chwilę uważnie przyglądał się towarzyszce Annabelli. Były mniej więcej w tym samym wieku, ale ich zachowanie nie wskazywało na to, by była pokojówką.

Jutro, pomyślał. Jutro się dowie, kim ona jest. Co więcej, coś wymyśli, by spotkać się ze swoją Annabella sam na sam. Będzie zaskoczona, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Podobnie jak Barra Mackenzie, kiedy się o wszystkim dowie. Ale będzie warto, bez względu na to, jak bardzo wściekły będzie Barra. Ta dziewczyna jest mu przeznaczona. I coś mu mówiło, że ona także o tym wie. Nic innego się nie liczyło.

Jutro.

Jutro ją zobaczy. Jutro ona także będzie szczęśliwa, gdy się z nim spotka.

Jego myślami zawładnęły sposoby, którymi ona pokaże mu, jak bardzo za nim tęskniła. Zamknął oczy, nasłuchując jej gorącego głosu, który przywoływał go do siebie... coraz bliżej... i bliżej... Znał swoją dziewczynę. Rzuci mu się w ramiona w chwili, gdy go zobaczy.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Rozbiła mu na głowie dzbanek z wodą.

Zaledwie kilka minut wcześniej Annabella szła do studni, niosąc ze sobą pusty gliniany dzbanek, który wcisnęła jej Ailie razem z poleceniem napełnienia go wodą.

Studnia w Seaforth nie stała sobie ot tak, na zewnątrz, lecz w miniaturowym domku. Ale było to miejsce przygotowujące o gęsią skórę: zimne, ciemne i przejmująco wilgotne. Gdy Bella weszła do ciemnego wnętrza, przywitał ją stęchły odór wilgotnego drewna. Wokół krokwi rozciągały się pajęczyny i dziewczyna była pewna, że mieszkają tu także nietoperze. Błyskawicznie napełniła dzbanek, pragnąc jak najszybciej opuścić to mało przyjemne miejsce.

Trochę niepewnie się czuła tak daleko od głównej posiadłości. Dzisiejszego ranka Ailie nazwała ją „przesadną gęsią” za to, że tak bardzo się przejęła historiami o duchach, które opowiadały sobie w nocy aż do pierwszych oznak świtu.

Ross, widząc, jak wchodzi do środka, postanowił poczekać na nią pod drzewem na ławce, która stała tuż przy ścieżce. Spiesząc się do domku, Annabella nie zwróciła uwagi na to, że na częściowo zakrytej zaroślami ławce ktoś siedzi. Gdy go mijała, mężczyzna pomyślał, że widzi go, ale celowo ignoruje i oświadczył:

- Zrób choćby jeszcze jeden krok, a ja zabiorę ci więcej niż tylko trochę czasu.

Dopiero teraz dziewczyna zauważyła postać wyłaniającą się z cienia pobliskich drzew. Wydała z siebie zdławiony okrzyk i odwróciła się. Nie rozpoznała tego głosu i z przerażeniem rozbiła na głowie Rossa gliniany dzbanek z wodą.

Po zdumionej twarzy Rossa spływały strumyczki lodowatej wody.

- Jeżeli w taki sposób witasz starych przyjaciół, doprawdy żal mi niezmiernie twych wrogów.

- Och! - zawołała Bella. - Do diabła z tobą, Rossie Mackinnon! Nie wiedziałam, że to ty.

- Sam nie wiem, czy powinienem być niezadowolony, czy też czuć ulgę. Czy to oznacza, że cieszy cię mój widok?

Zignorowała to pytanie.

- Co tutaj robisz?

- Przyszedłem się z tobą zobaczyć.

- Nie jestem pewna, czy dobrze to wszystko rozumiem. Moja matka przywozi mnie tutaj, by mnie od ciebie odseparować, a ty się raptem pojawiaasz. Mój wuj mnie ukrywa, a ty mnie i tak odnajdujesz. - Popatrzyła na niego z konsternacją. - Dlaczego tak naprawdę tutaj przyjechałeś? Czy to mnie szukałeś? Tylko mnie? Naprawdę? Nie wierzę ci.

Kiedy Ross popatrzył na gibką, ciemnowłosą dziewczynę w połyskującej szaro-srebrzystej sukni, która wydawała się utkana z promieni księżycowych, zapomniał, co chciał właśnie powiedzieć i wpatrywał się z napięciem w jej skupioną twarz i błyszczące oczy, które spoglądały na niego tak ufnie. Jego gniew i irytacja zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

- Nieważne, dlaczego tu jestem - odezwał się wreszcie. - Muszę trochę wysuszyć głowę, zanim przymarzną mi do niej włosy. Dziwną pogodę mają tutaj w lecie. Pewnie w tej swojej uroczej kryjówce nie masz niczego, czego mógłbym do tego celu użyć, prawda?

- Może i mam - odparła z lekką podejrzliwością.

Zaskoczyła go ta szybka odpowiedź. Uśmiechnął się. Ta mała zaczynała się robić zuchwałą. Zastanowiło go, jak daleko potrafi się posunąć.

- Pozwól, ślicznotko, że coś ci powiem. Dosłownie przed chwilą robiłaś wszystko, co w twojej mocy, by roztrzaskać mi głowę, dodatkowo wylewając na nią galon lodowatej wody. Teraz moje ubrania są mokre i powoli przymarzają mi do ciała. W głowę jest mi tak zimno, że drętwieją mi myśli i zaczynam mieć ochotę cię udusić. Innymi słowy, jeżeli nie postarasz się choć trochę, by naprawić wyrządzoną mi przed chwilą krzywdę, mogę zapomnieć o tym, że jestem dżentelmenem, a ty damą i zrobić coś, co wywoła trzepot nie tylko twoich rzęs. Czy wyrażam się wystarczająco jasno?

Chyba nawet nieco zbyt jasno. Miał zamiar jedynie sprawdzić, jak bardzo okaże się odważna, ale natychmiast zrozumiał, że przeholował. Annabella bardzo się starała okazać mu lekceważenie, ale jej wargi były blade, a dolna drżała, zwiastując łzy.

Ale ona była zbyt dumna, by się rozpłakać, nawet gdyby miała przygryźć zdradliwą wargę do krwi.

Mając nadzieję uspić jej obawy i jak najszybciej wziąć w ramiona, Ross uśmiechnął się i wyciągnął do niej ręce. Ale uśmiech był zbyt słaby i nastąpił za szybko po wcześniejszych ostrych słowach. Annabella rzuciła mu mordercze spojrzenie, minęła go bez słowa i pobiegła do domku.

Zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi, ale nie zasunęła skobla wystarczająco mocno. Kilka sekund później Ross stanął przed nią przy kominku. Odwracając się do niego twarzą, dziewczyna z całej siły starała się nie kulnąć.

- Czyżbyś rozglądała się za większą ilością wody? - rzucił od niechcienia.

Annabelli wydało się, że słyszy w jego głosie nutki wesołości. Jednak nie ułatwiał niczego tym swoim spojrzeniem. Zrobił krok w jej stronę.

- Cofnijmy się i zobaczymy, czy uda nam się wszystko załatwić spokojnie - zaproponował przyjaźnie. - Jestem właśnie na porannej przejażdżce, kiedy dostrzegam przyczynę moich zbyt wielu bezsennych nocy, która biegnie przez las tak, jakby jej diabeł deptał po piętach. Zsiadam z konia i podchodzę bliżej, po czym zauważam, że osoba ta jest zajęta. Będąc dżentelmenem, cierpliwie na nią czekam, ale ona kompletnie mnie ignoruje. Wreszcie odzywam się do niej. Następne, co pamiętam, to lodowatą wodę spływającą po mojej głowie. - Popatrzył na nią, na jej twarz, szyję, piersi. - Co tutaj robisz, urocza Annabelle, i, co ważniejsze, dlaczego jesteś tutaj, a nie w głównej posiadłości?

Dziewczyna zerknęła na tłący się ogień i odwróciła się, by dołożyć do kominka niewielki pniak.

- Zdziwiał mnie, jak to niektórzy ludzie wykazują rażący brak poszanowania dla prywatności innych. Powinno być oczywistym, że jestem tutaj, ponieważ mam ochotę być sama.

- Patrz na mnie, kiedy mówisz - polecił i w odpowiedzi został obdarzony niechętnym spojrzeniem. - Tyle że ty nie jesteś tutaj sama. Kim jest ta druga dziewczyna?

Annabella zbladła, ale zdążyła już uznać, że najlepiej będzie, gdy od razu wyzna mu prawdę. Była przekonana, że i tak się jej dowie, nie przebijając przy tym w środkach.

- To Ailie - rzekła więc.

- A kim jest ta Ailie? - zapytał. - Pokojówką? Nową przyjaciółką? A może odnalezioną po latach siostrą?

- Kuzynką. Niedawno poznaną.

- Dzieciak Barry Mackenzie?

Przytaknęła.

- Jego najmłodsza córka.

- A kim jest dla ciebie Mackenzie? I jeśli powiesz, że wujem, to przysięgam, że cię uduszę...

- Ale to naprawdę mój wuj. Jest mężem ciotki Uny, siostry mojej matki.

- Patrzcie, patrzcie, niespodziankom nie ma końca. - Ross gładko zmienił temat. - Dlaczego tamtego dnia wyjechałaś bez żadnego pożegnania?

I znowu prawda wydawała się najlepszym wyjściem. Annabella wyprostowała się i uniosła głowę, zmuszając się, by patrzeć mu w oczy. Drzemał w nich dzisiaj głęboko ukryty gniew, którego nie widziała od dnia, w którym wpadł jak burza na salę taneczną, by się rozmówić ze swym dziadkiem. Miała jednak przeczucie, że bez względu na to, jak bardzo będzie zdenerwowany, nigdy nie straci nad sobą kontroli i nigdy, przenigdy nie zrobi jej krzywdy, choćby tylko dlatego, że jest kobietą.

- Moja matka zobaczyła nas w ogrodzie. Uznała, że najlepiej będzie, gdy przywiezie mnie tutaj, bym zamieszkała u ciotki Uny, dopóki ojciec nie wróci z Edynburga i nie zdecyduje, co ze mną zrobić.

- I co, wrócił?

- Tak. Przyjechał i pojechał.

- Bez ciebie, jak widzę.

- Beze mnie.

- Dlaczego? Co go przekonało, by pozostawić cię tutaj?

Wyjaśniła, że ojciec postanowił, że ona ma tutaj zostać aż do wesela. Nie wspomniała o swojej rozmowie z wujem Barra.

- Drań - określił go krótko Ross. - Już wystarczająco nieludzkie jest doprowadzenie do zaręczyn swej córki z kimś takim jak Huntly, nie mówiąc już o tak jawnym lekceważeniu. - Jego spojrzenie było twarde. - Na miłość boską, może i jest twoim ojcem, ale jest także w każdym calu draniem.

- Mój ojciec nie jest draniem. Jest po prostu człowiekiem sprawiedliwym i uczciwym, który uznał, że robi to, co będzie dla mnie najlepsze. Nie miał pojęcia, że ja tak bardzo... - Zająknęła się, ale szybko odzyskała równowagę. - Że zapałam tak wielką antypatią do mego narzeczonego. - Starła się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Śmiem stwierdzić, że nie jestem pierwszą kobietą, która znalazła się w takim kłopotliwym położeniu, i z pewnością nie ostatnią.

Z mężczyzną takim jak on, no cóż, zawsze wiedziałyby, na czym stoi. Czuła, jak słabnie jej determinacja, by się mu oprzeć. Zaręczyny z hrabią Huntlym stanowiły najlepszy powód, by rzucić się w ramiona Rossa.

Zaledwie zeszłej nocy leżała w ramionach tego mężczyzny, a przynajmniej tak się działo w jej snach, i ochoczo przyjęła go do swego pustego, osamotnionego serca, mając nadzieję, że jego zainteresowanie zakwitnie i roz-

winie się niczym silne drzewo. Ale razem z nadejściem świtu pojawiły się pierwsze promienie rzeczywistości i okrutnej prawdy, że nie ma ona kontroli nad swym życiem, że zależy ono od widzimisię jej ojca. Wszelkie więc nadzieje znikły razem z nocnymi ciemnościami. Obudziła się wiedząc, że dzisiaj zobaczy Rossa Mackinnona.

Przeznaczenie było dla niej niezwykle łaskawe. A może na odwrót? Annabella miała problem z podjęciem decyzji. Łaskawe, gdyż jeszcze raz skrzyżowało ich ścieżki, ale wprost przeciwnie, jeżeli miało ponownie ich rozdzielić. Nie była aż tak naiwna, by sądzić, że Ross przyjechał tu specjalnie za nią. Z pewnością jest on jednym z mężczyzn, którzy zatrzymali się u wujostwa z kilkudniową wizytą, jednym z „deprawatorów dziewic”, jak to określiła ciotka Una i doprawdy trudno było o bardziej trafny opis.

Mało brakowało, a uśmiechnęłaby się, przypominając sobie, jak to Ailie stwierdziła, że deprawatorzy muszą być przystojni, bo żadna kobieta nie chce, by jej cnota została odebrana przez brzydkiego mężczyznę. Jakże wielką miała rację. Belli nie przychodził do głowy żaden mężczyzna bardziej przystojny i bardziej godny szacunku niż ten oto, stojący przed nią Ross Mackinnon. Zadrzała, przypominając sobie, że w chwili podpisania kontraktu zaręczynowego ten przywilej został zarezerwowany dla Huntly'ego.

To twoje dziewictwo, powiedziała do siebie w myślach. Sama zdecyduj, komu chcesz je oddać.

Bella spodziewała się, że zaraz trafi ją piorun za tak bluźniercze, pozbawione szacunku myśli, graniczące ze świętokradztwem. Ale zamiast tego najwyraźniej otworzyły jej się oczy. Przypomniała sobie słowa Ailie: „Nie możesz przecież iść do ołtarza, jeżeli nie jesteś dziewicą”.

I o to właśnie chodzi.

Ten przystojny, młody mężczyzna stał przed nią i okazywał jej zainteresowanie, a ona miała zamiar zrobić wszystko, by stało się ono jeszcze większe. Przypomniała sobie, że ma poślubić tego Huntly'ego z piekła rodem. To była prawdopodobnie najgorsza rzecz, jaka mogła jej się przytrafić. Jakąż więc szkodę mogła wyrządzić, próbując odwrócić bieg wydarzeń? Najgorsze, co się mogło zdarzyć, gdyby jej się nie udało, to małżeństwo z Huntlym, a to przecież było pewne i bez próby. Kiedy sięgnie się dna, niżej spaść już nie da. Gdyby oddała się temu mężczyźnie i pozwoliła Huntly'emu dowiedzieć się o tym, mogłoby to doprowadzić do zerwania zaręczyn.

Może także do końca życia być upokorzoną starą panną.

W porządku. Co było gorsze? Upokorzona żona czy upokorzona stara panna? Annabella pomyślała o sposobie, w jaki Huntly łąsił się do swych

spanieli, karmiąc je czekoladkami i całując ich pyski. Przez moment wyobraża sobie, że to nie psa karmi, ale ją. Poczowała mdłości. Stara panna byłaby przynajmniej wolna i nie musiała oglądać jego twarzy.

Przyszło jej do głowy, że stojący koło niej mężczyzna może, ale tylko może się w niej zakocha i to rozwiąże wszystkie jej problemy. Ale kiedy uważniej mu się przyjrzała, uznała, że okazywane jej zainteresowanie, uprzejmość i rycerskość są bardzo odległe od czegoś tak wzniosłego i wspaniałego jak miłość.

W jego oczach widziała jedynie wyraźne zainteresowanie. Ogarnęło ją zniechęcenie. Przyszedł do niej dzisiejszego ranka tylko dlatego, że była w pobliżu. To wszystko. Nic nie sugerowało, że zmieni się w oddanego kochanka i towarzysza życia. Lubił się po prostu bawić w kotka i myszkę.

Spojrzała na niego z uwagą, a jej twarz była otwarta i szczerza.

- Czy przyszedłeś tutaj po to, by mnie uwieść?

Ross jakby otrzymał porządny cios w brzuch. Po raz pierwszy w życiu naprawdę go zatkało.

- Myślałem, by cię zabrać na ryby. Teraz widzę, że byłoby to dla ciebie ogromnym rozczarowaniem. Pomimo że twój pomysł ma niewątpliwie masę zalet, dziś możesz czuć się bezpieczna.

Twarz Annabelli zrobiła się śmiertelnie biała. Poczowała niewyobrazalny wstyd i upokorzenie. Uniosła głowę i wyprostowała się. Rozegrała to wszystko w sposób najgorszy z możliwych.

Ryby? Dobry Boże, to było zdecydowanie zbyt upokarzające, by znaleźć na to właściwe słowa.

Ross przyglądał się, jak dziewczyna toczy ze sobą walkę o odzyskanie samokontroli i wygrywa. Stała teraz przed nim, wyglądając w każdym calu królewsko i jednocześnie smutno, nawet ubrana była odpowiednio w szarą suknię.

- Błagam o wybaczenie za mój prostactki i wulgarny wybuch. Wiem, że pewnie przez niego zaniemowiłeś - rzekła.

- Możesz powiedzieć to jeszcze raz. Wiem jedno: jesteś zmienna jak marcowa pogoda.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, wołałabym teraz zostać sama.

- Mam, do diabła.

Annabella uniosła głowę jeszcze wyżej. Głupia była uważając go za dżentelmena, który nie wykorzysta okazji i będzie traktował ją z szacunkiem. Jakże się myliła.

- Proszę, wyjdź.

- Ani mi się śni.
- Nie powinieneś tutaj być. Wpadnę w prawdziwe tarapaty, kiedy dowie się o tym wuj Barra.

Ross przybrał niewinny wyraz twarzy.

- Nie robię niczego złego.
- Wystarczająco niewłaściwa jest sama twoja obecność tutaj. Nie zapraszałam cię.

- W takim razie zrób to. Oboje będziemy wtedy szczęśliwi niczym dwa wieprze z głowami w wiadrach z pomjami.

Jej zielone oczy otworzyły się szeroko.

- Dwa wieprze... Co? - Była oszołomiona, jak zresztą często w jego obecności. - Machnęła lekceważąco ręką. - Och, nieważne. Choć to wydaje się niemożliwe, twoja mowa jest jeszcze dziwniejsza niż wygląd. - Przyłożyła palce do skroni. - Odkąd wyjechałam z Anglii, nic nie jest tak, jak powinno. Wszystko jest takie mylące. Niczego już nie jestem pewna.

- W takim razie jest nas dwoje.

- Nie powiedziałaś mi, dlaczego się tutaj zjawiłeś.

- Powiedziałem. Chciałem cię zabrać na ryby.

- Nie chcę iść na ryby.

- A dlaczego?

- Nienawidzę łowienia ryb.

- Annabelle, a czy ty kiedykolwiek to robiłaś?

Rozejrzała się, jakby sprawdzała, czy w pobliżu jest ktoś jeszcze, kto mógłby usłyszeć jej odpowiedź.

-Nie.

- Skąd w takim razie masz pewność, że tego nienawidzisz?

-Wiem i już.

Ross nic na to nie odpowiedział, tylko oparł się plecami o ścianę i patrzył z kamienną twarzą. Był bez kapelusza, a na sobie miał ubrania, do których żywił najwyraźniej bardzo gorące uczucia: skórzane spodnie, niebieską koszulę, zniszczone buty i szeroki pas z rewolwerem. Wreszcie się odezwał:

- Jesteś pewna, że nie chcesz iść ze mną na ryby?

- Absolutnie. Jestem całkowicie pewna.

- Aż tak bardzo? Cóż, sprytne to z twojej strony - uśmiechnął się, po czym oderwał się od ściany i zbliżył do dziewczyny. - I tak nie jestem najlepszym wędkarzem na świecie.

Ujął jej brodę. Poczwała gorąco jego rąk, a ich spojrzenia się skrzyżowały.

- Uwieść cię... Do diabła, Annabello, co cię skłoniło do zadania takiego pytania? Dlaczego sądziłaś, że przyszedłem tutaj, by cię uwieść? Chyba nie uważasz, że cnota jest jedyną cenną rzeczą, jaką posiadasz, i że przyjemność, jaką możesz ofiarować mężczyźnie w łóżku, jest twoją wyłączną zaletą. - Ross potrząsnął głową. - Czy zrobiłem bądź powiedziałem coś, co kazałoby ci myśleć, że mam wobec ciebie nieczyste zamiary?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

- No? Zrobiłem? Odpowiedz mi, do cholery. Chcę wiedzieć, co się dzieje w tej twojej uroczej główce. Nie, nie odwracaj jej. Chcę poznać odpowiedź, i to natychmiast. A więc dlaczego tak powiedziałaś?

- Ponieważ chciałam, byś odebrał mi dziewictwo - wyrzuciła wreszcie z siebie te słowa.

- Co takiego?

- Och, nieważne. I tak teraz nie ma to już znaczenia. W chwili, gdy wypowiadałam te słowa, rozumiałam, że ty tego nie zrobisz. Zwłaszcza teraz, kiedy zobaczyłeś, cóż za beznadziejna ofiara ze mnie.

Odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem, po czym przyciągnął ją do siebie i z czułością oparł podbródek na jej głowie.

- Moja śliczna, czy jeszcze nie wiesz, że właśnie kiedy jesteś ze mną tak bardzo szczerą, dociera do mnie, że nie będę umiał bez ciebie żyć?

Oczy Annabelli zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej okrągłe.

- Czy to znaczy, że zdecydowałeś się odebrać mi dziewictwo?

- A czy jest jeszcze co odbierać?

Skrzywiła się, słysząc jego słowa.

- Wystarczyłoby proste tak albo nie - odparła sztywno. - Nie pora na pytania retoryczne.

Przyglądał się dumnej i jednocześnie rozczulającej młodej kobiecie. Wiedział, dlaczego Annabella zapytała go o coś takiego. Albo pogodziła się z myślą, że stanie przed ołtarzem z Huntlym i chciała przez jedną wspaniałą noc zobaczyć, jak to będzie pomiędzy nimi dwojgiem, albo też wpadła na desperacki pomysł, by skłonić go do pozbawienia jej dziewictwa, by mogła później oznajmić to Huntly'emu i doprowadzić dzięki temu do zerwania zaręczyn.

Żaden z powodów nie przypadł mu do gustu.

- Nie - rzekł miękko, pieszcząc jednocześnie delikatną skórę na jej karku. - Jeżeli dzięki temu poczujesz się lepiej, to wiedz, że nie uważam, byś naprawdę tak myślała. Sądzę, że jesteś wytrącona z równowagi, rozczarowana, zraniona i rozżalona. Jesteś jak tonący, który się chwyta najmniejszych nawet gałązek.

Miał rację i myśl o upokorzeniu, na jakie wystawiła się bez namysłu, to było więcej, niż mogła znieść. Z jej oczu spłynęły dwie ogromne łzy.

- Widzisz - ciągnął Ross, ocierając je kciukiem. - Znam cię lepiej, niż myślisz. Jesteś kobietą zbyt dobrą, uczciwą i honorową na tego rodzaju gierki. I nie jesteś na tyle naiwna, by nie myśleć przy tym o ryzyku i konsekwencjach dla siebie i tych, których kochasz.

Annabella starała się wyrwać, ale on mocno ją trzymał.

- Spokojnie, nie musisz teraz uciekać. Mówią, że prawda boli, i pewnie mają rację, chociaż wydaje się niesprawiedliwe to, że można zawrócić kobiecie w głowie pochlebstwem, podczas gdy słowa prawdy wywołują jedynie jej gniew i żal.

- Nie jestem zła - odparła, ocierając rękawem łzy. - Jeżeli już musisz wiedzieć, to przepełnia mnie wstyd.

- Dlaczego? Czy z powodu tego, o co mnie poprosiłaś?

- Nie, ponieważ miałaś rację. Nie jestem kobietą tego pokroju. Naprawdę myślę o konsekwencjach. Nie chcę przynieść wstydu ani sobie ani mojej rodzinie, a wygląda na to, że tak właśnie się stało.

Jej dolna warga zadrżała po prostu uroczo i Ross jeszcze nigdy nie pragnął pocałować kobiety tak bardzo, jak w tej właśnie chwili. Ale teraz to on pomyślał o konsekwencjach.

- Już nigdy nie spojrzę ci prosto w oczy - jęknęła i skryła twarz na jego klatce piersiowej.

- Dlaczego? Czyżbym był aż tak brzydki? - zapytał z powagą.

Odsunęła się, a jej twarz była mokra od łez.

- Nie... m...myśl... s... sobie...że... mo... możesz... mnie... ro... rozśmieszyć - zaszlochała.

- Nigdy nie poniżyłbym się aż tak bardzo - odparł, starając się nie roześmiać. - Niech odetną mi język... Smaż mnie w oleju... Wyrw mi wątrobę i nakarmia nią...

- Sępy - dokończyła Bella, po czym uderzyła go lekko w ramię.

- Bingo - rzekł, podając jej chusteczkę.

Wydmuchnęła nos.

- Czy ty nigdy nie potrafisz być poważny?

Wyglądało na to, że melancholia pozbawiła ją poczucia humoru. Przypomniał sobie dzień, w którym zobaczył ją po raz pierwszy, kiedy zachowywała się jak księżniczka nie odczuwająca bólu ani wstydu. Nawet wtedy coś ją do niej ciągnęło i czuł, że cokolwiek się zdarzy między nimi już nigdy nie spotka nikogo podobnego do niej. Nie rozumiał tego. Nie rozumiał dlaczego.

Ktoś stworzył zasady, których ona musiała przestrzegać i które przynosiły korzyść wyłącznie jego autorowi. Dlaczego musiała cierpieć, by zadowolić swoją rodzinę? Ross pomyślał o jej życiu i o tym, że nie ma ona nad nim żadnej kontroli, jak to trzymano ją w ryzach, po czym formowano niczym ciasto, by pasowała do wybranego dla niej przeznaczenia, a było nim poślu-bienie człowieka, który zostanie dla niej wybrany.

Poznał jej rodzinę i miał już w miarę dokładny obraz tego, jak wyglądał jej życie, zanim pojawił się w nim on. Rodzina ją kochała, to było pewne, ale była to miłość bardzo egoistyczna i wymagająca.

Annabella zadrżała i Ross popatrzył w oczy koloru najczystszej zieleni. Jej twarz była blada, jedynie na policzkach trochę się rumieniła. Usta miała czerwone, miękkie i wprost stworzone do pocałunków.

- Nie smuć się, dziewczyno. Wkrótce o tym zapomnisz.

Potrząsnęła głową.

- Jutro wszystko będzie wyglądać dużo lepiej. Zobaczysz.

- Nie - odparła ze znużeniem. - Tym razem moja bezmyślność zaprowa-dziła mnie nieco za daleko.

Wyglądał na przyjemnie zdziwionego.

- Czy twój charakter jest aż tak słaby, że nie zniesie jednego małego nieporozumienia?

- Może to nie mój charakter tak mnie trapi.

Ross już się nie uśmiechał.

- A co? Co cię martwi i sprawia, że jesteś taka smutna?

Jak mogła mu odpowiedzieć? Co powinna powiedzieć? Że jego obecność napełniają nadzieją? I że kradnie ją rzeczywistość? Że spędzany w jego towarzystwie czas mija tak szybko i że jest go tak mało? Nie, w żadnym wypadku nie mogła mu tego wyznać, więc wybrała milczenie.

Popatrzyli na siebie i wszystko inne wydawał się powoli rozplýwać. Nie było teraz między nimi żadnych barier ani okrutnej rzeczywistości, żadnych dziwnych wyroków przeznaczenia. Byli po prostu mężczyzną i kobietą, którzy spotkali się, a potem zostali rozdzieleni, nie znając nawet przyczyny takiego stanu rzeczy.

Wyczuwając jej skrzępowanie i smutek, Ross dotknął delikatnie policzka dziewczyny.

- Nie trać nadziei - rzekł miękko. - Znajdziemy jakieś wyjście. Zobaczysz.

Jego dłoń była ciepła i uspokajająca. Annabella odwróciła głowę i pocałowała ją, słysząc jednocześnie, jak z jego płuc głośno ulatuje powietrze.

- Ja już ją straciłam - rzekła smutnym głosem. - Moja sprawa była przegrana od samego początku.

- Nie bądź taka szybka w przewidywaniu najgorszego. Czy nie ma w tobie ani odrobiny wiary?

- Nie - odparła. - Już nie. - Po chwili dodała: - Dlaczego tak się upierasz, skoro wiesz równie dobrze jak ja, że to wszystko nie ma sensu? Dlaczego ja, a nie jakaś inna?

- Czyżbyś dopominała się o komplementy? - zapytał. - Lubię cię, Annabelle i podoba mi się twoja świeżość. Mam silne przeczucie, że jest jakiś powód i mam zamiar zrobić wszystko co w mojej mocy, by doprowadzić to do końca. Jeszcze nigdy niczego tak bardzo nie pragnęłam. Potrafię być bardzo zdeterminowana, jeśli tylko mam odpowiednią motywację. Coś nas do siebie przyciągnęło i nie mam zamiaru tego zmarnować. Nie odwróciłbym się teraz nawet wtedy, gdyby na drodze stała mi setka Huntlych.

Annabelli zaschło w gardle. Spodziewała się z jego strony kpiny, gniewu, obojętności, a nawet litości. Jakoś by potrafiła sobie z tym poradzić. Ale ze zrozumieniem? Ciepłem? Jego przekonaniem, że są pokrewnymi duszami? To wszystko za bardzo przypominało jej o tym, czego pragnęła, a czego nigdy nie będzie mogła mieć.

Wezbrał w niej ogromny smutek. Nie mogła na niego patrzeć, na sposób, w jaki opiera się o belkę, a kciuk ma wsunięty za szlufkę spodni. Tak była pogrążona w myślach, że zaskoczył ją dźwięk jego głosu.

- Aniołku, nie smuć się tak. To, o co w desperacji mnie poprosiłaś, i tak nastąpi. Nie miej co do tego żadnych wątpliwości. Ale kiedy to się już stanie, powodem nie będzie twoje poszukiwanie odpowiedzi bądź też sposobu na uniknięcie niechcianego małżeństwa. Nie jesteś bezwolną ofiarą i kiedy ty i ja będziemy się kochać, ja nie będę brał, a ty nie będziesz dawać, ponieważ obiecuję ci, moja damo, że razem będziemy czerpać z tego przyjemność.

Męskie ramiona ciasno ją obejęły i przyciągnęły tak blisko, że słyszała bicie jego serca.

- Prawdziwa miłość długo dojrzewa, maleńka. Nie rozwinie się, dopóki nie zostanie zaszczepiona z krzewem równie wartościowym. A kiedy już zapuści korzenie, wtedy zakwitnie i na zawsze pozostanie zielona i świeża. - Musnął ustami czubek jej głowy. - Może i rodziców dostałaś od losu, ale towarzysza życia możesz sobie na szczęście wybrać sama.

Nie miała jednak czasu zastanowić się nad słowami Rossa, gdyż w chwili, gdy dotknął wargami jej ust, świat zawirował, po czym nagle znierucho-

miał. Jak długo marzyła o tej chwili i jak często ją sobie wyobrażała... A teraz oto działo się to wszystko naprawdę.

Annabellą zachwiała się i oparła jeszcze mocniej o męskie ciało. To była zachęta, której on tak bardzo potrzebował.

- Taka smutna, mała dziewczynka - wyszeptał. - Taka piękna, smutna dziewczynka. - Przesunął dłońmi po jej plecach. Była tak szczupła, że czuł każdą najmniejszą kosteczkę. - Jesteś niewiele większa od wróbla - stwierdził.

- Dziękuję ci bardzo - odparła, odsuwając się, by na niego spojrzeć.

Ross zaśmiał się cicho i ponownie zamknął ją objęciach.

- Jesteś bardzo piękna, wiesz o tym? - Zaśmiał się ponownie. - Oczywiście, że wiesz. Jestem pewny, że wszyscy londyńscy kawalerzy byli tobą oczarowani. Pewnie doprowadziłaś do tego, że awanturowali się bardziej niż aligatory w wyschniętym jeziorze po to tylko, by z tobą zatańczyć.

Aligatory w wyschniętym jeziorze? Czy tam, skąd pochodzi, tak właśnie brzmią słowa pocieszenia?

Przytulił ją jeszcze mocniej. Tak naprawdę nigdy nie było prawdziwego okazywania uczuć pomiędzy Annabellą i jej ojcem bądź Gavinem, który mimo że bardzo ją kochał, był zbyt młody i żył w zbytnim pośpiechu, by zauważyć coś takiego jak potrzeba uściśnięcia od czasu do czasu swej małej siostry. Jej matka i siostry naturalnie ją przytulały, ale to nie było przecież to samo.

Objęcia mężczyzny były czymś zupełnie różnym. Dawały pociechę i pewność, której nie otrzymałaby od żadnej innej kobiety. Bella zapragnęła pozostać w nich na zawsze.

Gdyby to tylko było możliwe.

Ross odsunął się nieco i przyjrzał się jej z czułością.

- Na niebiosa, jesteś delikatniejsza niż nos śmy i całego mnie w środku poruszasz. Czuję się, jakbym połknął gniazdo szerszeni.

Delikatniejsza niż nos śmy? Skąd on bierze te wszystkie porównania? Czy kiedykolwiek dotykał nosa śmy? Albo czy go widział? Czy śmy mają w ogóle nosy?

- Annabelle, czy masz zamiar przysparzać mi kłopotów, czy też poddać się swojej wolnej naturze i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi? Innymi słowy, czy będziesz ze mną współpracować?

- Współpracować? Co masz przez to na myśli?

- Czy pozwolisz mi się do ciebie zalecać w należyty sposób?

- Nie - odparła i roześmiała się. - Obawiam się, że trochę już na to za późno. Nie zaleca się do kobiety zaręczonej. Zwłaszcza kiedy jest zaręczona z innym mężczyzną.

- Nie przypominaj mi, proszę, o tym - odparł poważnie. - Doprowadza mnie to do białej gorączki, a- nie chcę być teraz zły, zwłaszcza kiedy jestem razem z tobą.

- Muszę przyznać, że to niezwykle - oświadczyła. - A nawet dziwne.

- To znaczy?

Uniosła rękę.

- Sposób, w jaki wszystko się tutaj dzieje. Wydajesz się mną zainteresowany...

- Wydaję się? Posłuchaj, ślicznotko, nie wydaję się. Jestem zainteresowany i już. Kiedy mężczyzna zbliża się piorunem do kobiety, widzisz wtedy, że ma poważne zamiary. Jeżeli tego jeszcze nie wiesz, to poważne zamiary oznaczają więcej niż zainteresowanie.

- Nie próbuj zbić mnie z tropu. Mówisz, że jesteś mną zainteresowany, a kiedy ja proponuję ci siebie, ty bez namysłu odmawiasz. W następnej chwili mówisz, że wspomnienie o tym, że jestem zaręczona, doprowadza cię do szału. To wszystko nie ma żadnego sensu.

- Bo naprawdę doprowadza mnie do szału.

- I znowu zaczynasz. Jeżeli mnie nie chcesz, dlaczego ma to dla ciebie znaczenie?

- Nie chcę ciebie? A teraz posłuchaj mnie. Nie chcę cię? Skąd przyszedł ci do głowy tak idiotyczny pomysł? Dobry Boże. Czy nie wiesz, że poślubiłbym cię nawet teraz, gdybym tylko miał taką możliwość?

- Poślubił mnie? Jak możesz mówić coś równie absurdalnego. Nie kochasz mnie. Prawie mnie nie znasz.

Ross dojrzał jej drwiące spojrzenie i dotarły do niego ostre słowa. Zaciśnął dłonie na jej ramionach i poważnie spojrzał w oczy.

- Nasza miłość dopiero kiełkuje, skarbie. Czas pokaże, czy została dobrze zasiana. Nie możesz poganiać miłości, tak samo jak nie jesteś w stanie jej stłumić.

-Ale...

- Annabelle, czy zamkniesz wreszcie buzię?

- Dlaczego?

- Żebyś mnie mogła pocałować - wyjaśnił.

- Hmm, nie wiem - odparła. - Mężczyźni lubią przesadnie skromne, cnotliwe kobiety. Powiedziała mi o tym moja matka. Kobieta, która jest tak bezwstydną, by całować mężczyznę... Ja...

Nie czekał, aż skończy, ale zaczął obsypywać pocałunkami jej szyję. Bella westchnęła i zmieniła pozycję, tak by miał łatwiejszy dostęp.

- To właśnie lubią mężczyźni - wyszeptał. - Dziewczynę, która w pełni współpracuje.

- Współpraca? Czy właśnie nie od tego rozpoczęła się ta rozmowa? Myślę, że kręcimy się w kółko.

- Czyż nie tym właśnie jest miłość? Nigdy niekończącym się kołem?

Zanim którekolwiek z nich zdążyła dodać coś jeszcze, drzwi się otworzyły i weszła Ailie. Bella wydała z siebie mało elegancki pisk i odskoczyła od obejmującego ją mężczyzny. Zanim zdołała zebrać myśli i przedstawić mu swoją kuzynkę, ta przemaszerowała przez pomieszczenie i zatrzymała się tuż przed Rossem.

- Jesteś jednym z tych dekadentkich deprawatorów dziewic, prawda? - zapytała.

- Nie mów mi, że jesteś następną ochotniczką - odparł z udawaną rezygnacją. - Dwie propozycje jednego dnia. To mi wygląda na rekord.

Jego słowa zaintrygowały Ailie.

- Dwie propozycje? - zapytała z zainteresowaniem, odwracając się w stronę kuzynki. - A kto złożył pierwszą?

- Do jasnej Anielki! - zawołała Bella. - Czy już nie można nikomu ufać?

Ailie stała jak wmurowana.

- To znaczy, że to prawda? Ofiarowałeś się temu deprawatorowi?

- To nie było tak - jęknęła nieszczęsna dziewczyna.

Jednak Ailie nie zwracała na nią uwagi. Zbyt zajęta była lustrowaniem Rossa od góry do dołu.

- Nie mogę uwierzyć, że ofiarowałeś mu się... Nie znaczy to, że cię winię - dodała. Zerknęła na Bellę. - To po prostu nie w twoim stylu.

- Bo to nie jest w moim stylu - odparła rozgorączkowana Annabella. - W każdym razie to był przecież twój pomysł.

- Mój pomysł? - Ailie wpatrywała się w nią w osłupieniu, nie pojmując jak jej kuzynce w ogóle przyszło do głowy, że coś takiego może być jej pomysłem, choć musi teraz przyznać, że wcale nie takim najgorszym. Jednak powoli zaczęło do niej docierać, o co chodzi. - Ach, to.

Ross obserwował, jak twarz dziewczyny mieni się trzema odcieniami czerwieni, po czym robi się purpurowa.

- Chyba wpakowałam się tutaj bez pukania - bąknęła - i przerwałam coś...

Annabella westchnęła.

- Niczego nie przerwałam.

Ailie miała czelność to kwestionować.

- Naprawdę?

- Odrzucił moją propozycję. Bez namysłu.

Zaskoczenie Ailie skierowane było teraz ku Rossowi.

- Naprawdę? - Potrząsnęła głową z rozczarowaniem. - W takim razie nie może być pan dekadencją deprawatorem dziewicy.

- Nie jestem dekadencją... Do diabła! Co wy z tymi deprawatorami? To nie było tak. I ja nie odrzuciłem jej propozycji. A przynajmniej nie bez namysłu. - Odwrócił się do Belli. - Mam zamiar skorzystać z tej propozycji w przyszłości. Inaczej mówiąc, zachowałem ją w formie kuponu.

Ailie potrzebowała chwili, by przetrawić te słowa, ale Bella zrozumiała je od razu.

- Kupon? - zawołała. - Tak jak w sklepie? - Ponownie się do niego zbliżyła. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była aż tak wściekła. Jak śmiała obrazić ją w ten sposób, i to w dodatku w obecności jej kuzynki! - Czy naprawdę uważasz, że moja propozycja może zostać przyjęta zależnie od twojego kaprysu, niczym jakiś... jakiś los na loterii? Nawet ta idiotyczna dyskusja dotyczy mnie, a nie ciebie. I moją decyzją jest, kiedy i czy w ogóle ponowię tę propozycję. O czym dziewictwie w końcu rozmawiamy?

- Pewnie, do diaska, że nie o moim.

- Nawet nie próbuj być dowcipny. Nie jesteś.

- No, może i nie, ale na pewno jestem szczęściarzem.

- Jeszcze zobaczymy - oświadczyła ostrzegawczo. - Jeszcze zobaczymy.

A Ross i Ailie zobaczyli coś, czego nie widzieli nigdy wcześniej. Miła dziewczyna na ich oczach zmieniała się w prawdziwą jędę.

Przytulna mała kuchnia była dobrze wyposażona i - co ważniejsze - wszystko było na wyciągnięcie ręki. To bardzo w tej właśnie chwili Annabelli odpowiadało. Chwyliła pierwszą z brzegu rzecz, którą okazały się szczypce do cukru, i rzuciła nimi w Rossa. A on się roześmiał i uchylił.

Dziewczyna poczuła, jak zalewają krew. Krew gorąca jak lava.

Potem w ruch poszła mosiężna podstawka pod garnki, cynowa tarka, następnie tasak do warzyw, drewniany tłuczek do ziemniaków, chochla do zup, cukiernica. Z tej ostatniej spadło przykrycie i wszędzie rozsypał się cukier.

Ross przestał już się śmiać. Uznał, że Annabella naprawdę jest wściekła. Bez chwili przerwy rzucała czym popadnie.

Ailie otrzępywała się z cukru, ale ona śmiała się do rozpuku. Znalazła schronienie w wiodących do sypialni drzwiach i zeszła z drogi furii.

- Wynocha i jeszcze raz wynocha! - wrzasnęła Annabella.

- Co cię tak wyprowadziło z równowagi? - zapytał Ross, zręcznie się uchylając przed kolejnym przedmiotem. - Co ja takiego zrobiłem?

- Wynoś się stąd i nigdy nie wracaj! - zawołała, chwytając z maśelnicy tłuczek i ciskając nim niczym dyskiem. W ślad za nim poszłaby i maśelnica, gdyby nie to, że wypełniona była mlekiem. Nie miała pojęcia, czym w takim razie rzuciła, ale Ailie miała na wszystko bardzo dobry widok:

- Maselnica, pięć klamerek, dwie łyżeczki, trzy wiązki zapałek... nie, cztery. - Kiedy Bella dotknęła żelaznego kociołka na ryby, Ailie przestała wyliczać, a Ross dał nura za drzwi.

Na szczęście dla niego kociołek był dla niej za ciężki.

- Ja tu jeszcze wrócę! - zawołał.

- Będę czekać z niecierpliwością! - odrzyknęła, otwierając drzwi i rzucając za nim wałkiem do ciasta, który trafił go między łopatki.

- Psiakrew - mruknął do siebie, kierując się w stronę drzew. - Ta kobieta potrafiłaby nauczyć strzałę fruwać.

Będzie tego żałować, pomyślał. Gdy tylko ochłonie i pomyśli o tym, co zrobiła, będzie tego żałować.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Annabella jeszcze nigdy nie była tak ożywiona i zadowolona z siebie. Wpadła w szał. Wyraziła swój gniew. Wreszcie czuła się wolna.

Wczoraj dała wielkiego susa i wyzwoliła się od wszelkich ograniczeń. Dziś nadal podróżowała w rozpędzie po tamtym susie. Nie pamiętała, by kiedykolwiek zachowywała się w taki sposób. Była z siebie cudownie zadowolona.

Nic nigdy nie wzmocniło jej tak jak świadomość, że nareszcie stanęła twarzą w twarz z niewygodną sytuacją i zaryzykowała, by być sobą. Zrozumiała, że do tej pory nie dane jej było żyć pełnią życia. Teraz widziała to wyraźnie.

Pragnienie skoczenia ku wolności drzemało w niej od zawsze, jednak Annabelle uczono, by zawsze najpierw patrzyła, a skakała tylko i wyłącznie po dokładnym przeanalizowaniu sytuacji. A jednak po rozważeniu wszystkich za i przeciw i zaznajomieniu się z możliwym niebezpieczeństwem, zawsze chowała się za bezpieczną zasłonką tego, co już znała: wybierała posłuszeństwo. Chociaż raz w życiu się przełamała i położyła wszystko na jedną szalę. Choć raz zareagowała nie według zasad dobrego wychowania, nakazów kościoła czy poleceń i oczekiwań jej rodziców. Była sobą i zrobiła coś, na co miała ochotę.

I bardzo dobrze się z tym czuła.

Nie było powodu, by ona i Ailie pozostawały dłużej w domku rybackim, skoro deprawator zdążył już odkryć miejsce ich pobytu. Tyle że dziewczęta bardzo polubiły to przytulne, oryginalne miejsce i całą winą za ich powrót do domu obarczały Rossa Mackinnona.

Przez następne dwa lub trzy dni wszystko całkiem dobrze się układało, a w domu regularnie rozbrzmiewał tubalny śmiech Barry. Wyglądało na to, że między nim a Rossem i Percym bardzo szybko nawiązała się przyjaźń,

jako że cała trójka razem z Allanem ciągle gdzieś razem wychodziła: polowali, łowili ryby, grali w golfa, bądź też siedzieli przy ognisku ze szklaneczką whisky albo drambuie i opowiadali sobie różne historie.

Bardzo szybko kilka dni, które Ross i Percy początkowo planowali tutaj spędzić, przerodziły się w tydzień.

- Twój wuj zaprosił ich, by pozostali u nas jeszcze przez jakiś czas - dowiedziała się Annabella pewnego popołudnia od ciotki.

Una siedziała właśnie przed ogromnym krosnem, a jej siostrzenica przysiadła obok i obserwowała pracę jej zręcznych rąk. Pomagała także nawijać przędzę na specjalnie wygięte belki. Zastanowiła się, co planuje wuj Barra.

Bella spędzała z ciotką tutaj, w pokoju tkackim, codziennie godzinę albo dwie, najpierw się tylko przyglądając, a potem także samej próbując tej prostej tylko na pierwszy rzut oka sztuki.

- Wuj najwyraźniej polubił ich towarzystwo - stwierdziła. - Czy dlatego zaproponował im, by dłużej u nas zostali?

- Pewnie tak, a także, jak sądzę, z kilku innych powodów. Wiesz, jak mężczyźni lubią ze sobą rozmawiać. Spędzili cały ranek w gabinecie Barry, przekopując się przez magazyny o rolnictwie i dyskutując o hodowli zwierząt i tym podobnych. Powiedz mi, jak ktoś może rozmawiać o krowach i świniach przez bite cztery godziny? Od niepamiętnych czasów jesteśmy właścicielami sporego stadka krów rasy Ayrshire, jednak teraz Barra bez przerwy opowiada o kupnie krów rasy Jersey i Guernsey. Powiedziałam mu: „Nasze krowy zapewniają nam wystarczającą ilość dobrego mleka. Po co nam inne?”. Ale wątpię, by moja opinia powstrzymała w nim chęć pójścia z postępem. Mam przecucie, że następnej wiosny na naszych pastwiskach ujrzymy krowy rasy Jersey i tej drugiej, po same wymiona zanurzone w jaskrach.

Przez okno wpadły promienie popołudniowego słońca i zatrzymały się na twarzy Belli. Una roześmiała się.

- Jesienią słońce już tak nie będzie świecić. - Zamilkła na chwilę i wyjrzała przez okno. - Mgła się podniosła i zrobiło się naprawdę ładnie. Dlaczego nie poszukasz Ailie i nie pójdziecie zażyć trochę świeżego powietrza? Uważam, że jesteś zdecydowanie zbyt blada, Bello. Słońce nada twoim policzkom trochę kolorów.

- Matka zawsze mówiła, że dama nigdy nie powinna wystawiać twarzy do słońca - odparła dziewczyna.

- Akurat! Trochę słońca jeszcze nikomu nie zaszkodziło. - Una zamyśliła się. - Zastanawia mnie, skąd twoja mama bierze takie pomysły? Z pewnością jako dziecko była zupełnie innego zdania. W całej Szkocji nie było bar-

dziej potarganej i ubłoconej dziewczynki. - Westchnęła. - Nieważne. Biegnij teraz i naciesz się godzinką w słońcu. - Odwróciła się do siostrzenicy i ujęła jej dłoń. - Młodość trwa bardzo krótko, Bello. Staraj się więc wykorzystać ten czas jak najlepiej. Nie trać wolności, udając starszą, niż jesteś. I tak zbyt szybko się zestarzejesz. Każdego dnia żyj w taki sposób, jakby miał być twoim ostatnim. Nie czyni sobie wyrzutów za wczoraj ani obietnic na jutro: Jutro należy do Boga. Jak mówią w Turcji, dzisiejsze jajko jest lepsze niż jutrzejsza kura.

Annabella roześmiała się i uściśnęła ciotkę.

- Czy kiedykolwiek byłeś w Turcji?

- Nie, ale byłam zakochana. Wiem, przez co przechodzisz, skarbie.

Dziewczyna popatrzyła na ciotkę, mając nadzieję z jej twarzy wyczytać, o co jej w tym momencie chodzi, ale się nie udało. Una Mackenzie z wyglądu była bardzo podobna do swej siostry. Zawsze wyprostowana i sztywna, ale przystępna, a jej oczy były nieco jaśniejsze od oczu Anne i mieszkało w nich znacznie więcej zrozumienia. Było tak, jakby jej matka została przekształcona w bardziej delikatną i współczującą kobietę, która miała prawie identyczny wygląd. Annabella rozumiała, co je tak bardzo mimo to różni. Księżna Grenville nie wyglądała jak matka. Przypominała piękną lalkę, którą się stawia na półce i nigdy nie pozwala się nią bawić, podczas gdy ciotka Una była lalką zrzucałą ze schodów i często przytulaną. Kiedyś była piękna i doskonale wykonana, tak jak i tamta, jednak czas i zużycie zrobiło swoje i pokryło ją patyną, która pochodzi jedynie od kochających rąk.

Prawdziwe i spełnione życie wyrzeźbiło zmarszczki na jej twarzy. I praca, taka jak robienie serów, frywolitek, tkanie i setki innych domowych czynności, które Una wykonywała z prawdziwą przyjemnością, nie zważając na to, że niszczy sobie dłoń. Bella prawie się uśmiechnęła, przypominając sobie swoje pierwsze spędzone tutaj dni i zdumienie jej matki.

- Uno! - zawołała wtedy do swojej siostry. - Na miłość boską, nie rozumiem, dlaczego sama się tym zajmujesz, skoro masz tak liczną służbę. Żadna arystokratka nie doi samodzielnie krów i nie pierze bielizny pościelowej. Dlaczego więc ty się upierasz, by coś takiego robić?

- Ponieważ to lubię. Czuję się dzięki temu spełniona.

- Spełniona? - powtórzyła ze zdumieniem księżna. - Moja kochana Uno. Jest doprawdy coś nie w porządku z kobietą, która musi nabawić się pęcherzy na dłoniach, by poczuć się spełnioną.

W odpowiedzi Una jedynie się roześmiała.

Annabella ciągle się uśmiechała, kiedy jej ciotka przeciągnęła się, nadal patrząc w okno.

- Gdybym nie wiedziała, że jest już bliżej do jesieni, przysięgłabym, że mamy wiosnę. Spójrz tylko na słońce. Jest złote i dojrzałe niczym bochen chleba. A teraz idź już. Będziesz jeszcze miała wiele okazji, by się nauczyć tkąć. W przyszłym tygodniu pokażę ci, jak się robi koronki.

Schodząc na dół, Bella myślała o tym, jak odmienne jest teraz jej życie. Gotowa by nazwać siebie szczęśliwą, gdyby nad jej głową nie wisała bez przerwy ciemna chmura niepewności, związanej z jej przyszłością. Jednak teraz odsunęła od siebie wszystkie nieprzyjemne myśli.

- Dzień dobry, panienko.

- Dzień dobry - odparła, machając ręką do starego kamerdynera.

Pamiętała, jak jeszcze niedawno odzywał się do niej tylko wtedy, gdy ona zrobiła to pierwsza. Wiele się zmieniło od dnia jej przyjazdu. I nikogo to nie dziwiło bardziej niż ją samą.

Od czasu przyjazdu do Seaforth poczucie niezależności, które zauważała tutaj u wszystkich, udzieliło się także jej.

Nie miała wcześniej pojęcia, że tak wiele pracy trzeba włożyć w prowadzenie domu, ani że trzeba być zwinnym niczym pstrąg, by móc ją wykonać. Prowadzenie domu to niełatwe zadanie. Na przykład pranie. To była czynność, która wymagała prawdziwej siły.

Na początku pobytu Annabelli w Seaforth, Ailie nakłoniła ją do pójścia do pralni. Oczywiście w poniedziałek.

- Pranie zawsze jest robione w poniedziałek - oświadczyła Ailie.

- Dlaczego?

- Mama mówi, że to dlatego, iż na niedzielę gotujemy zawsze mnóstwo dziczyzny, tak że wystarcza i na następny dzień. W ten sposób kucharka nie musi tracić tyle czasu w kuchni i może pomóc w praniu.

Annabella rozejrzała się po ogromnym pomieszczeniu. Niewątpliwie pranie nie było prostą sprawą, gdyż uwijało się przy nim kilka kobiet. Wszędzie porożstawiane były kosze z posortowanymi ubraniami. Bride, praczka, mocniej zabrudzone rzeczy gotowała w kotle, podczas gdy Dorcas, jej pomocnica, prała delikatniejsze ubrania w wanience. Ku przerażeniu Annabelli praktykowano tutaj odrażający zwyczaj wybielania lnianej pościeli poprzez moczenie jej w moczu, który zawierał amoniak. Tak jej przynajmniej powiedziano.

Widząc jej przerażone spojrzenie, Ailie rzekła:

- To ludzki moc, Bello. - Tak jakby to czyniło jakąś różnicę. - Niektórzy używają do tego celu świńskiej gnojówki. Nie miej tak przerażonego wyrazu twarzy. Później wszystko i tak się płucze w czystej wodzie. Mama mówi, że w Anglii robi się tak samo. Tak właściwie to Anglicy...

Bella nie miała ochoty usłyszeć reszty.

Pranie było dopiero początkiem. Następnego ranka Ailie obudziła ją o świacie i zagnała do kuchni, w której panowała już niezła krzątanina, jako że wtorek był oficjalnie dniem gotowania. Kuchenne palenisko wykładano torfem, a nad nim zawieszano kocioł, który napełniano składnikami na szkocką zupę mięsno-warzywną: szyjką cielęcą, jęczmieniem, rzepą, porem, grochem, kapustą i marchwią. W całym pomieszczeniu roznosił się zapach drożdży. Na stole leżał rząd uformowanych bochenków chleba.

Ailie przyjęła pomoc Annabelli przy nacinaniu bochenków na krzyż.

- Aby przegnać szatana - oświadczyła tonem doświadczonej gospodyni.

Wkładało się je potem do paleniska, przykrywało odwróconą brytfanką i obkładało tłącym się torfem. Podczas gdy chleb się piekł, zabierano się za wyrabianie ciasta na jęczmienne bułeczki.

Kuchnia była naprawdę cudownym miejscem, także w inne dni. Spiżarnia była prawdziwą skarbnicą najprzeróżniejszych produktów. Z jaką przyjemnością zdejmowało się pokrywkę z garnka i patrzyło na jego zawartość: mąkę, groch, suszone owoce, cukier, z których to składników w Anglii przyrządzano najpyszniejsze puree groszkowe.

Annabella zapisała sobie w pamięci, by zapytać, w jaki sposób używa się tego tutaj, ale bardzo wątpiła, czy w formie puree. Półki pełne były także jajek, serów i masła.

W ciągu następnego tygodnia Bella spędziła większość czasu w kuchni, obserwując, w jaki sposób produkty się soli, suszy i pekuje. Za każdym razem, kiedy tam przychodziła, siadała na małym taborecie niedaleko stołu na wypieki. Podczas gdy kucharka, która miała na imię Sibeal, przygotowywała takie potrawy jak gotowane pęciny (czyli golenie od krowy), szkockie zraziki bądź przepyszną zupę krabową, Annabella zdobywała informacje na temat znaczenia ziół, zarówno w sztuce kulinarnej, jak i medycynie.

Nos Belli często tkwił w czarnej lakierowanej puszcze na przyprawy lub też w kredensie, gdy uczyła się rozpoznawać aromatyczne jagody, pączki, korę, owoce, korzenie lub nasiona roślin z gorących krajów, o których uczyła ją kiedyś jej guwernantka, krajach, które dopiero teraz stały się dla niej realne dzięki tym wszystkim zapachom.

- Szkoda, że nie można nadawać atramentowi zapachu tych przypraw - rzekła Bella pewnego popołudnia do kucharki.

Kobieta posłała jej zdziwione spojrzenie.

- A dlaczego atrament miałby pachnieć? - zapytała.

- Tak żeby można było poczuć przyprawy, kiedy się czyta o tych wszystkich miejscach - wyjaśniła Bella.

Zamek taki jak Seaforth był wspianiałym miejscem dla kogoś, kto całe życie spędził pod ciągłą kontrolą. Tutaj, w tej wielkiej, starej fortecy, nie istniały żadne zakazy, a na każde pytanie można było uzyskać odpowiedź. Służba i goście zaakceptowali obecność młodej Angielki o smutnych oczach, jej ciekawość i niekończące się pytania. Polubili także jej pochwały, otwarty zachwyt, inteligentne uwagi i sugestie. Wkrótce z niecierpliwością nasłuchiwali jej melodyjnego śmiechu bądź rytmu jej dziwacznej, brytyjskiej mowy. Zartowali sobie ze śmiesznego dla nich akcentu i podziwiali jej łagodność, otwartość, dobre serce i poczucie humoru, a także umiejętność śmiania się z samej siebie.

A kiedy nie było jej w pobliżu, szeptali do siebie o tym, co to za rodzina tak okropnie traktowała biedne dziewczę, krępując ją ciasno zakazami i zasadami niczym mumię, a potem zaręczając z mężczyzną tak starym, że mógłby być jej ojcem. Nic dziwnego, że ta panienska miała smutne oczy.

Wyszedszy z tkalni, Annabella ruszyła na poszukiwanie kuzynki. Znalazła ją w kuchni.

- Właśnie cię szukałam. Wyglądałaś na dwór, Ailie? Jest słonecznie i ciepło - rzekła pogodnie.

Allan także akurat był w kuchni i pochylał się właśnie nad miską zupy. Drażnił się jednocześnie z Malai, ładną blondyneczką, która pomagała przy pieczeniu.

- Och, Malai, moja dziewczyno. Co powiesz na to, byśmy ty i ja poszli do stodoły na małe przytulanko?

Malai trzymała w ręku drewniany wałek i wyglądała tak, jakby nie mogła się zdecydować, czy dalej wałkować ciasto, czy też rzucić nim w Allana.

- Nie wiem, dlaczego pan sądzi, że pójde z nim do stodoły.

- Wiem, jak bardzo ci się to podobało ostatnim razem - odparł chłopak, mrugając w tym czasie do Annabelli.

Malai widocznie uznała, że słowo jest lepszą bronią niż wałek, gdyż powróciła do ciasta i oświadczyła ze spokojem:

- Pańska pamięć jest jeszcze krótsza niż pańska kuśka, jeżeli pan tak sądzi.

Gdy cała kuchnia aż zagrzmiała od śmiechu, dziewczęta uznały, że pora na ewakuację.

- Chodź - rzekła Ailie do Belli. - Powiedziałam kucharce, że pójdziemy do studni i przyniesiemy trochę wody.

Przypominając sobie swoją ostatnią wyprawę do studni, Annabella zdrzała.

- Nie lubię tego miejsca. Pełno w nim pajaków.

- Tamta studnia nie jest zbyt często używana. Na co dzień chodzimy do innej, znacznie bliżej - wyjaśniła Ailie.

Kiedy dotarły do studni, Annabella obracała korbę, podczas gdy jej towarzyszka kierowała drewnianą beczką. Zastanowiła się, co by powiedzieli jej rodzice, gdyby zobaczyli, że wykonuje tak proste, przeznaczone dla służby czynności.

- Użyjemy kabłąka - zdecydowała Ailie, przytwierdzając do niego dwa wiadra. - A teraz wejdź do środka. I uważaj na suknię.

I właśnie wtedy pojawił się Ross Mackinnon. Siedział na końskim grzbiecie i wyglądał smakowicie jak świeżo upieczony chleb.

Uklonił się i rzekł ze śmiechem:

- Nie opuszczaj spódnicę na sam mój widok.

- Jakie to dziwne - odparła Annabella. - Wyglądasz dokładnie na mężczyznę, który wywołuje w kobiecie chęć obciągnięcia sukni.

- Obciągnąć, unieść, to nie ma znaczenia. Tak długo, jak noszą ją dama ma nogi tak kształtne jak twoje.

Annabella ruszyła naprzód w takim pośpiechu, że w duchu podziękowała kuzynce za kabłąk, bo dzięki niemu wiadra nie obijały się o jej nogi. Ani razu nie obejrzała się, by sprawdzić, czy Ross bądź Ailie idą za nią. Ta druga dotrzymywała jej kroku i tuż za nią weszła do kuchni.

- Jego z tobą nie ma, prawda? - spytała Bella.

- Nie. Kiedy ostatni raz go widziałam, wyglądało na to, że ze śmiechu zaraz spadnie z konia.

- Chodź. Chciałabym dokończyć przymarszczanie tego fartucha.

- Sama idź. Mama chce, bym pomogła jej w tkaniu.

Annabella zabrała fartuch i nici i poszła z tym wszystkim do biblioteki, najwspanialszego pomieszczenia w Seaforth, jej ulubionego.

Półki wypełniały powieści, sztuki i magazyny na czas wolny, a także książki wymagające większego skupienia. Można tu było spędzić całe tygodnie i mimo to nie zdążyć zapoznać się ze wszystkim. Poza obrazami i meblami, biblioteka wypełniona była także różnego rodzaju gramami, teczkami ze szytymi i zabawkami edukacyjnymi, jako że Szkoci byli od zawsze doskonałymi wynalazcami.

Słońce powoli zachodziło, więc Annabella podeszła bliżej okna i zapaliła stojącą na okrągłym stoliku lampę. Przy stole stał cudowny, stary fotel. Było to jej ulubione miejsce. Oparła nogi na podnóżku, rozłożyła materiał na kolanach i zaczęła zszywać upięte poprzedniego dnia fałdy. Pracowała nad tym ponad godzinę. W tym czasie do biblioteki zajrzała pokojówka, by napalić w wypełnionym torfem kominku, od którego momentalnie zaczęło bić ciepło.

W pewnym momencie powieki zrobiły się takie ciężkie... ciężkie. Zapadła w drzemkę.

Miała wspaniały sen, mimo że jego początek wcale na to nie wskazywał. Przetrzymano ją w niewoli w wysokiej, kamiennej wieży w ponurym, ciemnym zamku. Została porwana ze swego domu, białego zamku, i uwięziona tutaj przez złego księcia, który zawsze ubierał się na czarno. Szlochała z tęsknoty za utraconą miłością, czerwonym księciem. Bała się, że już go nigdy nie zobaczy. Ale wtedy on się pojawił, wdzierając się do środka z szablą w dłoni.

Czerwony książę z wyglądu bardzo przypominał Rossa Mackinnona i dzięki temu wydawał się jeszcze bardziej atrakcyjny. Porwał ją w ramiona i pocałował. Całował ją, dopóki wszystko wokół nie zaczęło wirować, szybciej i szybciej. Wreszcie zaczęła się bać, że jej serce zatrzyma się z tego wszystkiego. Przycisnęła dłoń do piersi.

Otworzyła oczy i przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wpatrując się w rzucane przez lampę światło, zauważyła za nią jakąś postać, niewyraźną i zaciemnioną. Ponownie zamruła i potarła oczy. Zamazana postać zaczęła się robić coraz wyraźniejsza. W fotelu naprzeciwko niej siedział wygodnie Ross Mackinnon. Na jego kolanach leżała otwarta książka.

- Uśmiechałeś się. Musiałeś mieć niezwykle przyjemny sen. Czy ja byłem w nim obecny?

- Tak - odparła, już rozbudzona. - Śniła mi się wiejska zagroda. Ty byłeś wieprzem.

Roześmiał się.

- Bardzo się zmieniłaś, wiesz?

- Czyżby? A w jakim sensie?

- Jesteś teraz piękniejsza, spokojniejsza, bardziej ludzka. A tak przy okazji, to naprawdę podobają mi się twoje piegi.

- Dziękuję. Jestem pewna, że moja matka zemdleje, kiedy je zobaczy. Przez miesiąc będzie obkładać mi całą twarz plasterkami cytryny. Matki potrafią być takie denerwujące.

- Annabelle, zakochałem się w tobie.

Patrzył na nią niepewnie, a jej serce zabiło mocniej. Poczuli, jak wzbięra w niej ogromna nadzieja i jednocześnie bolesny strach. Desperacko pragnęła do niego podejść, uklęknąć przy nim i położyć głowę na jego kolanach i poczuć, jak gładzi ją po głowie. To pragnienie wzmagało się z każdym uderzeniem jej serca.

- To niemożliwe.

- Owszem, możliwe. Pytanie tylko, co mamy zamiar w związku z tym zrobić.

- Dyskusja na ten temat byłaby nieroztropna i bezsensowna. Nie jestem wolna, by kochać ani wyjść za mąż.

Ross zerwał się z fotela. Uderzył nią w ścianę, a ciszę przecięło jego głośne przekleństwo. Po kilku minutach odwrócił się w jej stronę. Stał przy kominku sztywno wyprostowany, a na jego twarzy malowało się cierpienie. Wziął z pobliskiego stolika szachową figurkę i uważnie jej się przyjrzał.

- Jak to jest być pionkiem?

Annabella zerwała się z fotela, a materiał opadł na podłogę.

- Nie masz prawa rozmawiać ze mną w taki sposób - rzuciła. - Nie jesteś taki sprytny, jak myślisz. Mówisz o pionkach. Powinieneś wszystko o nich wiedzieć, jako że sam nie jesteś w stanie posunąć się naprzód więcej niż o jedno pole. Wątpię, byś kiedykolwiek doszedł do ósmego rzędu.

Odwróciła się na pięcie i dumnie wymaszerowała z biblioteki. Przepętniał ją gniew. Wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie i w chwili, gdy znalazła się w swoim pokoju, głośno zatrzęsęła za sobą drzwi.

Kilka sekund później Ross otworzył je jednym silnym kopniakiem.

- Czy postradałeś resztki rozumu? Co ty sobie wyobrażasz? To moja sypialnia, ty durniu. Nie możesz tutaj wchodzić.

- Mylisz się. Już wszedłem. I nie wyjdę, dopóki raz na zawsze nie załatwimy tej kwestii.

- Czy ty oszalałeś? - Przekrzywiła głowę na jedną stronę. - Jakiej kwestii?

- Tej.

Ross zatrzęsął kopniakiem drzwi, a Annabella zaczęła się cofać. W trzech susach był przy niej i wziął ją w ramiona z taką siłą, że straciła dech w płucach. Zanim zdążyła otworzyć usta, on przechylił głowę i dotknął ich swoimi. To nie był delikatny pocałunek, który tak dobrze pamiętała.

Zbyt długo już tłumił pożądanie. Wystarczył dotyk jej delikatnego ciała, by o sobie przypomniało. Gorączkowo przecesał palcami jej włosy, tak że przytrzymujące je spinki upadły na podłogę, a na ramionach Annabelli rozsypały się długie, jedwabiste pukle. Pocałował ją z jeszcze większą namiętnością. Niczym ślepiec przesunął dłońmi po jej ciele, dotykając, czując i ucząc się każdego jego fragmentu. Dotknął wszystkich miejsc, o których marzył od tak dawna, uczynił to, o czym do tej pory jedynie snił. Ta dziewczyna była jego. Każdy fragment jej ciała. Każdy oddech. Każdy ozdabiający jej nos pieg.

I jej usta. Dobry Boże, co za usta. Człowiek może stracić zmysły od samego ich całowania.

Annabella popatrzyła na twarz, która stała się jej tak droga i zauważyła na niej nagły smutek. Gdyby tylko pozwolił na to los, nigdy nie miałyby dosyć oglądania tej twarzy. Powiedział, że ją kocha, a ona z całego serca pragnęła, by była to prawda. Tak wiele mogła się o nim nauczyć, tak wiele pokochać. Był szalenie przystojny, jego twarz wzbudzała respekt, ale kiedy się uśmiechał, rozpromieniał ją chłopięcy urok. Taki uśmiech kobiety w Londynie nazywały niszczycielskim i zgubnym.

Zgubny uśmiech.

Podobał jej się ten uśmiech. Zresztą w tym mężczyźnie podobało jej się absolutnie wszystko.

Ross wyczuł najwyraźniej, że Annabella chce go od siebie odepchnąć, gdyż jeszcze mocniej przycisnął swe usta do jej warg, uciszając tym samym wszelkie słowa ewentualnego protestu. Otumaniona namiętnością i pragnieniem, wiedziała, że to nie może posunąć się dalej, dlatego po prostu, że tak nie wolno. Później czułaby się jeszcze bardziej smutna i nieszczęśliwa. To by nie było uczciwe. Dla nich obojga zresztą. Odepchnięcie Rossa w takim momencie było najtrudniejszą rzeczą, jaką jej kiedykolwiek przyszło zrobić. Zebrała się w sobie i wyrwała z jego objęć, po czym otarła usta wierzchem dłoni.

- Wyjdź stąd - rzekła bez tchu.

- Czy moje pocałunki są ci aż tak niemiłe, że musisz usuwać wszelki po nich ślad?

Annabelle zaskoczył gniew i ból w jego niebieskich oczach. Ten mężczyzna zawsze wydawał się tak twardy, kontrolujący sytuację i pewny siebie, a teraz okazało się, że to tylko maska.

- Co się stało? Umiesz mówić? A może zaniemówiłaś po tym, jak pozwoliłaś, by mężczyzna otworzył przed tobą swoje serce i wyznał miłość? - zapytał kpiąco Ross głosem, który przepełniała wściekłość. - Czy świadomość, że mężczyzna pragnie cię tak bardzo, że nie potrafi rozsądnie myśleć, daje ci siłę? - Chwycił ją za ramiona. - Powiedz mi - zażądał, potrząsając nią.

Annabella nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Zbyt zabolęła ją to, co przed chwilą usłyszała. Jediną możliwą odpowiedzią była ta bez użycia słów. Objęła ramionami jego szyję, wspięła się na palce i delikatnie pocałowała go w usta.

Ross wzdrygnął się, jakby został postrzelony.

- Niech cię diabli - rzekł. - Niech cię wszyscy diabli! - Starał się odebrać ją od siebie.

- Nie! - zawołała, obejmując go jeszcze mocniej. - Ross, przytul mnie. Proszę... Proszę, przytul mnie i nigdy nie pozwól odejść.

Bolał ją uścisk jego rąk, gdy nadal próbował się od niej uwolnić. Mimo to wczepiła się w niego mocno i nie puszczała, a po jej twarzy spływały łzy desperacji. Chwyliła dłońmi jego głowę i pociągnęła ją w dół. Pocałowała go, niepewnie, bez doświadczenia, ale czule i ze zrozumieniem. W chwili, gdy jej język dotknął męskich ust, Ross zamarł. Poprzez warstwy swoich i jego ubrań poczuła, jak napinają się wszystkie jego mięśnie. Z jękiem otoczyła ją ramionami i z ogromną siłą przycisnęła do siebie. Jego wargi zamknęły się na jej ustach, śmiało pytając, prosząc i poszukując.

Odpowiedziała mu jękiem własnej namiętności i pożądania. W taki właśnie sposób wyobrażała sobie prawdziwy pocałunek.

Jedynym pragnieniem Rossa było zanieść ją teraz do łóżka i kochać się z nią tak długo, dopóki piekło nie zamrznie.

Z ogromnym wysiłkiem oderwał się od miękkiego, kobiecego ciała. Z trudem łapał powietrze.

Pragnął jej aż do bólu.

Ale nie mógł jej mieć. Nie teraz. Nie tutaj. Nie w ten sposób. Ujął jej słodką twarz i kciukami otarł ostatnie ślady łez.

- Jak ktoś może być tak piękny, tak rozczulający, że ma się ochotę odgryźć sobie rękę? - Pocałowała ją delikatnie i czule objął. - Pozwól mi tylko poprzytulać cię przez chwilę, zanim pozwolę ci odejść - wyszeptał

Ktoś zapukał do drzwi.

- Bella? - To była Ailie. - Jesteś tam?

Dziewczyna z przerażeniem popatrzyła na Rossa, nie mając pojęcia, co zrobić. Był w jej pokoju, w miejscu, gdzie w żadnym wypadku być nie powinien.

- Tak, jestem - odparła drżącym głosem.

- Otwórz w takim razie, tępa głowo!

Biorąc głęboki, oddech, Annabella przeszła przez pokój i otworzyła ciężkie, drewniane drzwi. Tak była przygotowana na pouczający wykład, że od razu oświadczyła:

- Zanim pochopnie wyciągniesz wnioski, posłuchaj moich wyjaśnień.

Ailie przyjrzała się jej ze zdziwieniem.

- O czym ty mówisz? Jakich wyjaśnień? - Przechyliła głowę. - Bello, czy chcesz może porozmawiać z moją mamą?

- Nie. Trochę na to za późno - odparła i odwróciła się.

Nie mogła wydobyć z siebie głosu, gdy ujrzała, że Rossa nie ma w jej pokoju. Pragnęła krzyczeć ze szczęścia. Musiał wydostać się przez okno i był na tyle kochany, że je za sobą zamknął.

- Czyżbyś oddała Rossowi swoje dziewictwo? - Ailie wyrzuciła z siebie z ponurym wyrazem twarzy.

- Nie - odpowiedziała jej kuzynka. - Znacznie gorzej.

- Gorzej? - powtórzyła ze zdziwieniem Ailie. - Nikt mi nigdy nie wspominał o tym, że może być coś gorszego. - Chwyliła za ramię Annabelle i pociągnęła w stronę łóżka, po czym pchnęła ją, by usiadła. Sama przysunęła stojący przed toaletką fotel, usiadła z pośpiechem naprzeciwko i oświadczyła: - W porządku. A teraz opowiedz wszystko Ailie.

Powiedziała to tak poważnie, w sposób tak do niej niepodobny, że Annabella nie mogła się powstrzymać. Pisnęła, po czym opadła na łóżko, śmiejąc się tak, jakby już nigdy nie miała przestać.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Annabella niewiele spała tej nocy.

Myśli o Rossie nie dawały jej zasnąć jeszcze długo po tym, jak cała służba poszła już do łóżek. Do pokoju zaczynało powoli wpełzać różowawo-szare światło brzasku, kiedy wreszcie udało jej się zapaść w niespokojny sen. Wydawało się jej, że śpi zaledwie od kilku minut, kiedy ktoś gwałtownie nią potrząsnął.

- Bello! Och! Obudź się wreszcie! Śpisz jak zabita.

- Bo tak właśnie się czuję - odparowała, naciągając na głowę kołdrę. - Odejdź i daj mi spać.

- Spać? Już wpół do jedenastej, a my mamy ważne zadanie.

Otworzyła ostrożnie jedno oko.

- Jakie zadanie? Jeżeli chodzi ci o czyszczenie koryta dla świń albo szorowanie kuchennej podłogi, to ja się na to nie piszę.

- Pół godziny temu otrzymaliśmy wiadomość od Pedaira MacBrieve'a. Natychmiast potrzebuje naszej pomocy.

Bella otworzyła drugie oko.

- Nigdy nie słyszałam takiego nazwiska.

- Oczywiście, że słyszałaś. Przecież przed chwilą ci je powiedziałam.

Annabella właśnie miała zamiar odpowiedzieć, że chodziło jej o okres nieco dłuższy, niż minuta, jednak Ailie wyglądała tak groźnie, że zdołałaby przestraszyć zarówno królową Wiktorię, jak i Marynarkę Królewską, więc zmieniła zdanie.

- Kim jest Pedair MacBrieve? - zapytała niechętnie.

- Farmerem, który mieszka niedaleko nas. Przysłał wiadomość, że przy drzwiach jego domu zagnieżdżył się rój pszczół.

- I posłał po nas? - zapytała ironicznie.

- Oczywiście. Wiesz przecież, że mama i ja hodujemy pszczoły. Często otrzymujemy takie wezwania, kiedy tylko ktoś odkryje jakiś rój.

- Jak cudownie. Zostałyśmy wyciągnięte z łóżka, by poradzić sobie z wściekłym rojem pszczoł. Nie mogę wprost wyrazić, jak wielką czuję ulgę. Zaczynałam się już bać, że nakazano nam zbierać rzęsy krewetek podczas przyływu. - Siadając na łóżku, Annabella zapytała: - Co się robi z rojem pszczoł? Poza tym, że można zostać pogryzionym na śmierć. Zabija się je?

- Cały rój? Skądże. Są na to zbyt cenne. A teraz wstawaj. - Ailie zaczęła wyciągać z szafy ubrania. - Przyniesiemy je ze sobą do domu.

Bella ponownie zanurkowała pod kołdrę.

- Idź sama - oświadczyła stłumionym głosem. - Nie czuję się zbyt dobrze. Ailie roześmiała się.

- Nie wiedziałam, że moja kuzynka jest tchórzem, ale czegoż można oczekiwać po Angielce.

Annabella wystawiła głowę spod kołdry.

- My, Anglicy, nie jesteśmy tchórzami. Jesteśmy po prostu rozsądni. A to kolosalna różnica.

- W porządku - odparła Ailie. - W takim razie bądź rozsądna. Rusz się wreszcie z tego łóżka. Musimy się pośpieszyć.

Godzinę później odziane w długie płaszcze, rękawice, kapelusze i woalki przybyły do domu Pedaira MacBrieve'a. Tak jak mówił, przy tylnych drzwiach jego domku zwiisał kipiący rój pszczoł, wielki niczym bochenek.

Annabelle na ten widok ogarnęło przerażenie.

Jej kuzynka nie bała się ani trochę.

- Tutaj - oznajmiła, otwierając drewniane pudełko, które przyniosła z domu. - Włożymy je tutaj.

Prościej powiedzieć niż wykonać.

- A jak masz zamiar to zrobić? Kazać pszczołom wskoczyć do pudła i zatrzasnąć wieko?

- O, wy ludzie malej wiary. Trzymaj wieko - nakazała Ailie, podając jej kuzynce. - Ja wezmę pszczoły.

To była najrozsądniejsza rzecz, jaką Bella usłyszała tego dnia. Przytrzymała wieko, podczas gdy jej kuzynka podniosła z ziemi suchą gałąź i razem z pudełkiem zbliżyła się do gniazda pszczoł.

- Chodź, staniesz obok i przygotuj się, by podać mi wieko od razu, gdy dam ci znać.

Annabella zbliżyła się z ociąganiem.

- Jeżeli zostanę pokąsana... choćby przez jedną malutką pszczołę...

- Nie zostaniesz. - Ailie jednym, pewnym ruchem strąciła gniazdo do pudełka. Odrzuciła gałąź. - Podaj mi wieko. - Bella ochoczo wykonała jej

polecenie i przezornie się odsunęła. Kuzynka przykryła pudełko i oświadczyła: - No i po robocie. Cóż za przemiły rój. Dziękujemy, panie MacBrieve. Odwracając się, rzekła: - I co? Jak teraz siebie nazwiesz?

- *Ancora imparo* - odparła, wzruszając przy tym ramionami. - Uczę się - dodała, widząc, że tej akurat sentencji Aile nie ma w swoim repertuarze. - Powiedział to Michał Anioł.

W drodze do domu spytała:

- Jak to możliwe, że nie zostałam pogryziona?

- Pszczoły w gnieździe są prawie zawsze niegroźne. Najczęściej są tak opite nektarem, że nie zrobią żadnej krzywdy, choćby nawet i chciały.

Kiedy dotarły do Seaforth, poszły prosto do niewielkiej pasieki. Annabella, która z każdą minutą stawała się coraz odważniejsza, zgłosiła się nawet na ochotnika, by włożyć pszczoły do ula. Zrobiła to, nie doznawszy żadnego ukąszenia i była niesłychanie z siebie zadowolona, kiedy przykryły ul płótnem, po czym położyły na nim gliniane naczynie.

Jedna z pszczół musiała jednak zbłądzić, gdyż kiedy Bella zdejmowała rękawice, poczuła na nadgarstku ukłucie. Z piskiem odegnała owada.

- Teraz to już nic nie da - oświadczył Allan, przeskakując przez płot i podchodząc do dziewcząt. - Zostawiła już w tobie swoje żądło. Pokaż - ujął dłoń kuzynki. - Może uda mi się je wyciągnąć.

Gdy wreszcie tego dokonał, wokół ugryzienia zdażyła się już pojawić czerwona obwódka, która wydawała się gorąca jak ogień.

- Idź do kuchni i powiedz Sibeal, by ci zrobiła okład - poradził. - Dziewczęta miały już odejść, kiedy Allan chwycił siostrę za ramię. - Ty idziesz ze mną - oznajmił tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- A dlaczego? - spytała Ailie. - Co ja takiego zrobiłam?

- Pani MacGinnis ma trójkę chorych dzieci, a jej mąż leży kontuzjowany w łóżku. Mama kazała zawieźć jej trochę jedzenia i mleka. Chce, żebyś pojechała ze mną, by sprawdzić, czy nie trzeba posłać po doktora.

- Ale Annabella...

- Nie umrze od ukąszenia pszczoły - zapewnił. - Chodź, Panno Wiecznie Zajęta. Zostawiłem na drodze furmankę, zaraz za ogrodzeniem.

Po przejściu kilku kroków Allan się zatrzymał.

- Idź sama, Ailie. Ja muszę zapytać o coś Belli. - Siostra chciała zaprotestować, ale nie dał jej dojść do słowa. - No idź już. Przecież i tak ci o tym później powiem.

Gdy tylko się oddaliła, chłopak podszedł do Annabelli.

- Czy znasz człowieka, który nazywa się Fionn Alpin? - zapytał.

Przez chwilę się zastanawiała.

- Nie, na pewno nie.

- Czy kiedykolwiek słyszałaś to nazwisko?

- Na pewno nie, a nie jest to nazwisko spotykane często, przynajmniej w naszych stronach, więc zapamiętałabym, gdybym je wcześniej usłyszała.

Allan skinął głową i zaczął odchodzić.

- A dlaczego pytasz? Kim jest Fionn Alpin?

- Nie jestem pewny. Zatrzymał mnie dziś na drodze, kiedy jeździłem sobie na moim siwku. Chciał wiedzieć, czy jestem z Seaforth. Z jakiegoś powodu powiedziałem mu, że nie. Wtedy zaczął mi zadawać mnóstwo pytań.

- Jakich pytań?

- W większości dotyczyły ciebie i Mackinnona.

- Mówiłeś już o tym wujowi?

- Nie, ale mam taki zamiar.

Wzruszyła ramionami.

- To pewnie ktoś, kogo zatrudnił mój ojciec, by miał mnie na oku - stwierdziła. - *Chce mieć pewność, że nie odfrunę w siną dal.*

Obserwowała, jak jej kuzyn odchodzi i ujrzała, że Ailie nie poszła do wozu, ale czekała na niego w połowie drogi. Allan dogonił ją, po czym razem zaczęli biec w kierunku ogrodzenia. Ailie była pierwsza. Pośpiesznie uniosła spódnicę, po czym przedostała się na drugą stronę, nie czyniąc sobie przy tym najwyraźniej żadnej krzywdy. Koń parsknął i wóz zaczął się powoli oddalać. Annabella odwróciła się z zamiarem wrócenia się do Seaforth. Przeszła kawałek, po czym się zatrzymała i odwróciła. Nigdy wcześniej nie przeskakiwała przez ogrodzenie, ale sądząc po Ailie, nie było to chyba zbyt trudne. Jakoś dziwnie ją to kusiło.

Szybko się przekonała, że nie jest to wcale takie proste. Uniosła spódnicę w taki sam sposób jak Ailie i zmierzyła wzrokiem mur, który był prawie tak wysoki, jak ona sama. Kamienie były czarno-szare i szorstkie, a pomiędzy szczelin wyrastały duże paprocie. Orlice, o ile dobrze pamiętała. Pod jej stopami szeleściły suche liście. Oparła jedną stopę na wystającym kamieniu, chwyciła się krawędzi muru i podciągnęła. Chwilę potrwało, nim znalazła miejsce na drugą stopę i powoli wspięła się na samą górę, obcierając sobie przy tym łokieć i ramię.

Usiadła na murze i przekonała się, że w tej pozycji ma się o wiele lepszy widok na świat. Kręty, kamienny murek wyraźnie oddzielał od siebie lawendowe wrzosowiska i pełne kamieni i rozpadlin pole. Annabella dojrzała w od dali otoczone trzcinami, niewielkie jezioro i pełne melancholia wrzosowi-

ska, pośrodku którego wiała się wąska ścieżka, a w oddali widoczny był jeszcze wóz Ailie i Allana.

Spomiędzy krzaków przypatrywał jej się brązowy zając. Na niebieskim, szkockim niebie samotny orzeł zataczał łuk. Jakże pięknym, choć niegościnnym miejscem jest Szkocja. To kraina, jakiej nie znajdzie się nigdzie indziej, ojczyzna ludzi, których życia uczy surowa przyroda.

Jakie to zabawne. Oto siedzi sobie na murze i zamiast martwić się, jak zejść na dół, nie skręcając przy tym karku, zaczyna rozmyślać o Szkocji. I właśnie na tym kamiennym murku uświadomiła sobie, jak bardzo oczarowała ją ta wszechmocna i skomplikowana kraina. Szkocja była zarazem buntownicza i budząca współczucie, posłuszna i wyzywająca. Była taka, jaką pragnęła być ona sama.

Do jej uszu dobiegło szczekanie Benniego, psa pasterskiego. Przebiegał przez zarośla po drugiej stronie drogi. Bennie podbiegł do murku i dwa razy zaszczekał, po czym odwrócił się i pobiegł z powrotem w stronę zarośli. Bella zastanawiała się właśnie, o co mu chodzi, kiedy w krzakach coś zaszeleściło, po czym rozsunęły się i jej pełnym zdumienia oczom ukazał się powód dziwnego zachowania psa. Ross Mackinnon wyglądał na równie zdziwionego, jak ona.

Odgadła, że był na polowaniu, gdyż miał ze sobą strzelbę, a przez ramię przrzucił sobie torbę na zestrzelone ptactwo. Jak zwykle był bez kapelusza, a wiatr zwiewał mu włosy na oczy. Jak zwykle też na jego widok Annabelli zaschło w gardle.

Ross przyjrzał się jej z nieśpiesznie i ze spokojem. Nie był przecież głupcem, a tylko głupiec nie starałby się nasycić oczu takim widokiem. A miał na co popatrzeć. Osobom pruderyjnym jej widok wydałby się skandaliczny. Z jego punktu widzenia był po prostu zabawny. Annabella wierciła się, starając się opuścić spódnice, by zakryła przynajmniej pantalony i halki, ale skutek był taki, że jeszcze bardziej odkryła nogi.

- Mógłbyś przestać się gapić jak sroka w gnat i pomóc mi zejść?

- Mógłbym - odparł - i zrobię to, ale najpierw chcę poznać odpowiedzi na kilka pytań. Co tutaj robisz?

- Podziwiam krajobraz.

Uśmiechnął się, ale z tej odległości Bella nie potrafiła dojrzeć, czy szyderczo. Chwilę później przejechał przez drogę i stanął przed nią. Wtedy uznała, że z niej nie kpi.

- Nikogo z tobą nie ma?

- Owszem, z wyjątkiem ciebie i Benniego.

- A gdzie się podział twój cień?

- Masz na myśli Ailie?

Skinał głową.

- Musiała pojechać... z Allanem.

- To znaczy zostawili cię tutaj?

- Tak... To znaczy nie. Nie wspięłam się na górę, dopóki nie... - Pociągnęła ponownie za spódnicę. - Przystaniesz się tak na mnie gapić?

-Jak?

- Jakbyś uważał, że jestem pasztecikiem, w którym chcesz zatopić zęby.

Ross roześmiał się.

- Nie wiem dlaczego, ale zdrowy rozsądek mi podpowiada, bym pozostawił to stwierdzenie bez odpowiedzi.

- Uważam, że jeśli naprawdę miałbyś coś takiego jak zdrowy rozsądek, nakazałby ci on pomóc damie w niebezpieczeństwie.

- Jesteś w niebezpieczeństwie?

- Nie bezpośrednio... a przynajmniej jeszcze nie, ale wkrótce mogę się znaleźć, gdyż moje położenie nie jest, jak widzisz, najszybsze.

- Jak się tutaj dostałaś?

- Wspięłam się.

- W takim razie zjeżdż na dół.

- Mogę spaść.

- Wątpię, ale nawet gdyby, to liście zamortyzują twój upadek. - Widząc jej spojrzenie, Ross się zaśmiał. - Kiedy będzie już po wszystkim, będziesz się cieszyć, że zrobiłaś to sama. No dalej. Spróbuj.

-Jak?

- Nie można nauczyć wysiadującej kury kwokać - oświadczył stanowczo. - Pewne rzeczy trzeba wypraktykować samemu. No, rusz się, jestem pewny, że dasz sobie świetnie radę.

Annabella nie była tego wcale taka pewna, ale znała go już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że będzie tak stał nawet cały dzień, jeśli przynajmniej nie spróbuje zejść bez jego pomocy. Jaki więc miała wybór? Kamienie były zimne nawet przez warstwy ubrań, a poza tym siedzenie na murku nie było znowu takie wygodne. No i nie tak zabawne, jak początkowo sądziła.

Jej pierwsze podejście nie należało do udanych. Chwilę wisała z nogami nad ziemią, po czym z jękiem desperacji podciągnęła się z powrotem.

- Spróbuj jeszcze raz - poradził Ross, a Annabella zapragnęła go udusić.

Opuściła nogi najniżej, jak się dało i znalazła wreszcie oparcie dla jednej z nich. Dalej poszło jak z płatką. Kiedy już znalazła się na ziemi, odwróciła się i pomaszerowała w stronę wąskiej ścieżki wiodącej do Seaforth. Ross ruszył pośpiesznie za nią. Dziewczyna z całej siły starała się go ignorować,

ale nie bardzo jej to wychodziło. Odgarniając z twarzy zabłąkany kosmyk, poczuła, że Ross ujmuje jej dłoń. Z bijącym sercem spozjrzała mu w oczy. Długie palce pieściły jej dłoń, a kciuk pocierał delikatnie czerwoną pręgę na nadgarstku.

- Co ci się stało? - spytał.

- Użądliła mnie pszczoła.

- A tutaj? - przejechał palcem po długim, czerwonym zadrapaniu na ramieniu i łokciu.

- Wspinałam się na mur.

- Czy kiedy byłeś małą dziewczynką, to twoja mama całowała takie miejsca, żeby się szybciej zagoiły?

- Nie. A dlaczegoż miałyby tak robić? Całowanie rany nic przecież nie daje. Roześmiał się.

- A właśnie, że się mylisz. To dużo daje. A nawet bardzo dużo. Pozwól, że ci pokażę.

Powiódł ją do znajdującego się tuż obok niewielkiego zagajnika i pociągnął za sobą na miękką, letnią trawę. Ujął jej dłonie i delikatnie pocałował.

Te pocałunki miały jeszcze większą moc niż te w usta. W odpowiedzi jej całe ciało zdrząło, jakby wachlowały je skrzydła setek motyli. Jeszcze przez chwilę Ross pieścił jej dłonie, po czym oplótł nimi swoją szyję i pchnął delikatnie Annabelle, tak że położyła się na zapraszającej, pachnącej trawie. Leżała bezwładna pod ciężarem jego ciała, a jej serce biło dziko, przepełnione radosnym oczekiwaniem.

Popatrzył na nią z zachwytem. Nawet jej włosy wydawały się bez skazy, otaczając miękkimi puklami ramiona i piersi. Ogromne oczy i uchylone usta doprowadzały go do szaleństwa. Pragnął skosztować ich ponownie, całować, dopóki jej pożądanie nie będzie równie dzikie jak jego.

Opuścił głowę i zrobił dokładnie to, o czym marzył. Dotknął jej ust i całował ją, dopóki jego dłoń nie dowiedziała się, jaki jest kształt jej piersi. Na twarzy Annabelli malowało się pożądanie, ale nawet wtedy Ross dojrzał czający się w jej oczach smutek.

Pragnął odpędzić ten smutek swoją miłością, jednak wiedział, że są w jej życiu problemy, które tylko ona sama może rozwiązać. Wiedział, że jedyne, co może uczynić, to zapewnić ją o swym uczuciu. Ale czy to wystarczy? Modlił się, by tak właśnie było. Tylko to mógł jej zaferować.

Dłonie Rossa zbłądziły pod jej suknię i ochoczo obnażyły jej doskonałe piersi. Pocałował ją z nagłym, nieokiełznanym głodem, czując jednocześnie, że jej pragnienie jest równie ogromne. Jęknął. Nie przerywając pocałunku,

pieścił jej piersi, gładził kciukami brodawki, czując ich natychmiastowy odzew. Po chwili miejsce dłoni zajęły usta. Annabella gwałtownie wciągnęła powietrze i poruszyła się, próbując przysunąć się do niego jeszcze bliżej.

- Słodka, słodka... masz najładniejszą skórę. Pragnę otulić się nią i nigdy już nie wstać. Weź mnie. Otocz mnie sobą. Kocham cię. Zawsze będę cię kochał - wyszeptał chrapliwie, coraz bardziej się zatracając.

Desperacko pragnąc połączenia ich ciał w jedno, Ross zignorował ostrzegawcze sygnały, które rozlegały się bez przerwy w jego głowie. Przesunął dłoń wzdłuż jej sukni, po czym wsunął pod nią dłoń, dotykając uda i gładkiej skóry brzucha. Ciało dotykało nagiego ciała. Nie było między nimi żadnej bariery. Wsunął dłoń między jej nogi, a ona z jękiem się otworzyła, ciepła, słodka i zapraszająca. Jego pocałunki stały się jeszcze bardziej zachłanne.

- Pragnę cię - wyszeptał. - Ty będziesz musiała to przerwać, ponieważ ja nie jestem w stanie. Nie teraz. To wszystko zaszło za daleko.

Annabella czuła się dziwnie podekscytowana, lekkomyślna, dzika i wolna. Ross był tutaj przy niej i był cały jej. Mogła go bez przeszkód całować i dotykać. Nic nie mogło w tym przeszkodzić. Nic jej teraz nie powstrzyma.

Kochała go, była tego pewna. Jego miłość była czymś, czego nigdy nie będzie mogła mieć, nie w pełni. Ale może mieć ją teraz. Może sprawić, że w jej pamięci pozostanie chwila, którą będzie wspominać wtedy, gdy już go straci. Nie mogła go winić, gdyż sama pragnęła równie mocno tego, co się stanie. Wina leżała w równym stopniu po jej stronie. A poza tym nie robiło to i tak już żadnej różnicy, gdyż, jak powiedział Ross, było już zbyt późno, by przestać.

- Proszę, Ross. - To była jej jedyna odpowiedź. - Proszę.

Przytulił się do niej całym swym napiętym ciałem. Jak zwykle w jego ruchach nie było pośpiechu, tylko powolna pewność siebie i swego postępowania. Znał jej ciało lepiej niż ona sama, wiedział, gdzie jej dotykać, by otworzyła się niczym liść paproci, gdzie gładzić, by topiła się z pożądania. Jego powolne ruchy, pewność i oddanie doprowadzało Annabelle do szaleństwa. Palec Rossa znajdował się teraz w jej wnętrzu, zataczając kółka, gładząc i przygotowując na jego przyjęcie. Dobry Boże, czy jego cierpliwość nie zna końca? Poczwała, jak jej ciało sztywnieje z pragnienia. Chwilę później mężczyzna znalazł się między jej nogami, całując dziką słodycz jej ust, a ona uniosła biodra. Wsunął się ostrożnie do jej środka, po czym opuszczał się powoli na łokciach i wchodził coraz głębiej.

- O Boże! - wychrypiał. - A więc to właśnie jest niebo.

W odpowiedzi gwałtownie wciągnęła powietrze. Ból, którego się spodziewała, był niewiele większy od tego, który towarzyszył wcześniejszemu

użądleniu przez pszczołę. Następująca po nim rozkosz była więcej niż jego zadośćuczynieniem. Otoczyła ramionami szyję Rossa, czując, że jego skóra jest gorąca i wilgotna.

Nie chciała leżeć tylko na plecach i pozwalać mu brać, czuła potrzebę bycia z nim jednością. Pragnęła być dla niego partnerką. Jego ruchy były teraz pewniejsze i szybsze, a ona zaakceptowała jego pośpiech, aż poczuła w środku dziwne gorąco, które wzrastało i rozlewało się po całym ciele.

Niczym postrzępiona błyskawica, która przecina nocne niebo, jej ciało przeszło drżenie. Wiedziała, wiedziała, wiedziała o tym przez cały ten czas. Już na zawsze ta chwila, ten mężczyzna, to połączenie będzie należało do niej. Nie żałowała, a jej duszę przepełniała radość. Bóg nie zechce może obdarować ją wszechświatem, ale pozwolił przynajmniej dotknąć gwiazd.

Przez długą chwilę Ross trzymał ją w ramionach. Oboje milczeli, tak jakby nie chcieli zepsuć doskonałej harmonii między nimi.

- Żałujesz? - spytała wreszcie.

- Nie. Może najwyżej, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. - Przeturlała się na niego i ukryła twarz na jego szyi. - Och, Ross, co my teraz zrobimy?

Przytulił ją mocno i pogłaskał.

- Nie wiem, ale coś wymyślę - odparł. - Nie wyjdiesz za Huntly'ego. To wiem na pewno.

- Jak mogę tego nie zrobić? Nie mogę przynieść wstydu mojej rodzinie. - W głosie Annabelli pobrzmiwała rozpacz. - Nie mogę ich upokorzyć, rzucając im w twarz wszystkim, co jest dla nich ważne.

- Wiem - odrzekł miękko Ross. - To wszechobecne poczucie sprawiedliwości, twoja akceptacja dla tego, co jest właściwe, to wszystko tak bardzo w tobie kocham. Nie martw się. Musi być jakieś wyjście. Jakiś sposób, bym to ja mógł wziąć na siebie całą winę.

Annabella uniosła dłonie i przyciągnęła go do siebie. Chwilę później uniósł głowę.

- Wygląda na to, że okoliczności zawsze się sprzysięgają przeciwko mnie. - Pocałował ją ponownie, bardzo delikatnie. - A nad tobą najwyraźniej czuwa cały legion aniołów. Czy inaczej usłyszałbym teraz, o ile się nie mylę, skrzypienie kół, które jest zwiastunem przedwczesnego i zupełnie nie w porę powrotu twojej kuzynki?

Pocałował ją jeszcze raz, a ona się temu poddała. Ross miał rację, musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Musi. Nagle powróciły do niej jego słowa: Musi być jakieś wyjście. Jakiś sposób, bym to ja mógł wziąć na siebie całą winę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Utracić coś, zanim się miało szansę naprawdę to mieć, było zarazem okrutne i niesprawiedliwe. Ale czy jej życie było kiedykolwiek inne?

Następnego ranka przybył list z Dunford. Mackinnon napisał, że ostatnio nie czuje się zbyt dobrze, ale chociaż że jego zdrowie nie jest jeszcze takie najgorsze, myśli, że nadszedł czas, by rozpocząć powoli proces przekazywania Rossowi tytułu książęcego i przywództwa klanu Mackinnon.

Pragnę przekazać ci moje wszystkie interesy, także nadzór nad wyrobem drambuie. Możesz powiedzieć temu wiecznie zatroskanemu Anglikowi, który jest bardziej dokuczliwy niż doglądająca swego kurczaka kwoka, i stara się podołać niełatwemu zadaniu przekształcenia buntownika i powsinogi w zachowującego się właściwie Szkota, że czas, którego wyczekiwał, nadszedł. Wszystkie dokumenty zostały już przygotowane i twoja obecność w Dunford jest niezbędna.

Przyszły książę Dunford i wiecznie zatroskany Anglik wyruszyli tego popołudnia do domu. Krótco przed odjazdem Ross znalazł Annabelle w niewielkim pomieszczeniu tuż przy kuchni, które ona i Ailie zaanektowały dla siebie i dla swoich projektów. Tego dnia zapakowały girlandy i wieńce z jęczmienia i laleczki z kolb kukurydzy, które przygotowały na Niedzielę Dożynkową, i zaczęły szykować bożonarodzeniowe dekoracje. Już od przeszło miesiąca kuzynki zbierały różne świecidełka i błyskotki, orzechy, wstążki, pióra, jagody, świeczki, wiecznie zielone gałązki i skrawki różnokolorowych materiałów, które miały zamiar wykorzystać przy robieniu ozdób na choinkę, a także girland i wieńców do powieszenia w całym domu.

Wcześniej tego ranka Ailie pojechała z Allanem do wdowy McCracken, by przywieźć od niej pawie pióra, jako że w Seaforth nie hodowano tych

ptaków o bajecznie kolorowych ogonach. W ostatniej chwili Annabella zdecydowała, że zostanie i ufarbuje w tym czasie wcześniej zebrane gęsie pióra na czerwono, żółto i zielono lub na jakikolwiek inny kolor, który uda jej się uzyskać ze zmieszania tych trzech barw. To było bardzo czasochłonne zajęcie, wymagające wielu misek do mieszania farb, a także ogromnej ilości piór, posegregowanych wcześniej według rozmiaru i kształtu.

Pochylała się właśnie nad nimi z poplamionymi farbą palcami. Do jej sukni i włosów przyklejały się pióra. Ross wszedł do niewielkiego pokoiku, a przeciąg natychmiast zaczął rozwiewać delikatny puch.

- Zamykaj drzwi, szybko - poleciła dziewczyna, odwracając się i zauważając, że stoi tuż za nią. - Ach, to ty - dodała z oczami rozszerzonymi zdziwieniem. - Myślałam, że to Ailie.

Ross rozejrzał się po pomieszczeniu, po czym wyciągnął dłoń i zdjął z jej włosów pióro, a następnie strząsnął z jej długich rzęs inny puszek. Annabella popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. Bez słowa wziął ją w ramiona i tulił przez chwilę, nie gotowy jeszcze, by powiedzieć, że przyszedł, by się pożegnać.

Stali tak razem, wtuleni w siebie i wdychający swój zapach. Wreszcie ją puścił i zrobił krok do tyłu. Kiedy się odezwał, jego głos był poważny:

- Dziadek przysłał list, w którym mnie prosi, bym wrócił do Dunford. Percy i ja za chwilę ruszamy w drogę.

Westchnął ciężko, wpatrując się w stojącą przed nim drobną i pełną dumy postać. Nie mógł się przestać zastanawiać, o czym ona teraz myśli. Fartuch Annabelli poplamiony był różnobarwną farbą, jej włosy pokrywały pióra, ale nigdy jeszcze nie wyglądała równie uroczo. W jej sylwetce obecny był spokój, którego wcześniej u niej nie widział. Ujął jej dłoń i podniósł do ust, uśmiechając się na widok pomalowanych na zielono i czerwono palców. Ucałował je jeden po drugim.

- Każdy pocałunek to sto powodów, dla których nie chcę wyjeżdżać - wyszeptał, biorąc ją w ramiona i mocno przytulając. Nie było to jednak szczególnie rozsądne. Jej ciało było zbyt uległe i zbyt bliskie. I zbyt mocno jej pragnął. - Annabella - szepnął chrapliwie.

Popatrzyła na niego z uchylonymi ustami, a Ross był w tym momencie zgubiony. Zakrył jej usta namiętym pocałunkiem. Jego dłoń odnalazła kształtną pierś i dziewczyna westchnęła, odrzucając jednocześnie do tyłu głowę. Całował teraz jej szyję, rozpinając przy tym guziki przy koszuli, po czym wsunął pod nią dłoń i objął gorącą pierś. Opuścił niżej głowę i dotknął ustami nabrzmiałej brodawki, drugą pieszcząc w tym samym czasie palcem.

Cierpiąc katusze pożądania, Annabella przyciągnęła jego głowę jeszcze bliżej swej piersi, jęcząc głośno, kiedy męska dłoń zbłądziła pod jej suknię, pieszcząc gładką skórę ud. Wsunął dłoń pod cienki materiał jej pantalonów. Dotykając wilgotnego ciała, wiedział, że ona pragnie go równie mocno jak on jej.

Do jego uszu dotarł pełen niepokoju jęk.

- Co się stało, najdroższa?

- Drzwi, Ross. Nie ma w nich klucza. W każdej chwili ktoś może tutaj wejść.

To wystarczyło, by ostudzić jego zmysły. Widział, że Annabella mimo pożądania czuje się skrępowana i onieśmielona. Ross zamknął oczy, odetchnął głęboko i czekał, aż uspokoi się szaleńcze bicie jego serca.

- Najdroższa, wybacz mi... Jesteś tak doskonała... Każda najmniejsza część ciebie jest mi tak droga.

Przytulił ją mocno i zamknął oczy. Przez kilka minut stali w bezruchu. Wreszcie z westchnieniem Ross ją puścił, poprawił jej suknię i zapiął guziki przy koszuli.

Popatrzył z miłością i czułością w zielone oczy, na różaną cerę i delikatny, tak mu drogi uśmiech. W jego sercu wymieszała się podziw, miłość i konsternacja. Chciał powiedzieć coś inteligentnego, zapewnić ją o swych uczuciach, jednak wyglądało na to, że wyleciały mu z głowy wszystkie odpowiednie słowa. Rzekł więc tylko:

- Cieszę się, że się uśmiechasz. Powiedz mi dlaczego.

- Myślałam właśnie o piórach - odparła Annabella.

- O piórach? - powtórzył, nie kryjąc zdziwienia.

Dziewczyna zaśmiała się cicho, wspięła na palce i pocałowała go.

- O piórach - potwierdziła. - I o tym, co powiem Ailie, kiedy wyfruną spod mojej sukni, kiedy wieczorem będziemy się rozbierać.

- Albo z pantalonów - dodał z szerokim uśmiechem.

I właśnie ten uśmiech musiał przelać czarę, gdyż Bella nagle spoważniała.

- Och, Ross - szepnęła, odwracając głowę. - Tak żałuję, że musisz jechać. Dopiero co zdążyliśmy siebie odnaleźć. To takie niesprawiedliwe.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie, przypatrując się jej.

Dziewczyna odnalazła w jego twarzy, w jego oczach te same uczucia, które mieszały w niej.

- Wrócisz - rzekła z prostotą.

- Bądź pewna - odparł. - A gdy tylko będzie to możliwe, ruszę do ciebie szybciej niż oparzony kot.

Uśmiechnęła się.

- Pewnie nie mogłabym prosić o nic szybszego.

- Nie - odparł. - To już najszybciej, jak się da. - Przytulił ją i patrzył ponad jej głową. - To zabawne, jak się to wszystko ułożyło. Odziedziczenie książęcego tytułu oznacza, że muszę cię opuścić. Wiem, że to konieczne, ale szkoda, że to już. To zbyt wcześnie... Zbyt szybko po... - Urwał i pocałował ją w czoło. - Chcę, byś wiedziała, że jest to jedyne, co może zmusić mnie do wyjazdu, jedyny powód, dla którego cię teraz opuszczam. Wiem, co...

Annabella położyła palec na jego ustach.

- Nie musisz się o to martwić - rzekła miękko. - Nie czuję się wykorzystana i porzucona, Ross. Znam cię już wystarczająco dobrze i ufam ci.

Objął ją jeszcze mocniej i pocałował.

- Nie zasługuję na ciebie - wyszeptał.

Roześmiała się.

- Ależ tak, zasługujesz.

Ross odsunął się i uśmiechnął.

- Jeżeli tak właśnie czujesz, to jestem bardzo szczęśliwy. - Pocałował ją szybko. - Pamiętaj - dodał. - Cokolwiek będę musiał zrobić, cokolwiek poświęcić, uczynię to. Nic mnie nie powstrzyma przed posiadaniem ciebie. Nic.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- I woja panienska ma towarzystwo podczas swego pobytu u Barry Mackenziego - oświadczył Fionn Alpin.

Hrabia Huntly odstawił szklaneczkę z niedopitą brandy.

- Płacę ci, i to niezłą sumkę, jeśli mi wolno zauważyć, za dostarczanie mi ważnych informacji, a nie plotek o mojej narzeczonej i jej pogaduszkach przy popołudniowej herbatce.

- Proszę mi wybaczyć, wasza lordowska mość. Widocznie mylnie uznałem informację o zalotniku za ważną. - Fionn odwrócił się w stronę drzwi.

- Chwileczkę. - Huntly nakarmił spaniela czekoladką ze srebrnej tacy i zapatrzył się w ogień w kominku. - Siadaj i powiedz mi, co wiesz.

W miarę opowieści Fionna twarz lorda Huntly' ego stawała się coraz bardziej napięta. To napięcie szybko przekształciło się we wściekłość. Ta dziewczyna robiła z niego głupca i miał ochotę ją udusić, ale nie dał tego po sobie poznać. Kiedy mężczyzna skończył, Huntly kiwnął głową.

- Wystarczy. Od tej chwili ja się tym zajmę. Przed wyjściem możesz rozliczyć się z moim sekretarzem.

Kiedy Fionn wyszedł, Huntly zastanowił się, co powinien zrobić w takiej sytuacji. Znalazł się w pułapce. Bardzo nie lubił tego uczucia. Nie obchodziła go ta mała od Stewartów, ale jej fortuna tak, i to bardzo. Nie mógł ryzykować małżeństwa z nią przez konfrontację i nie mógł utracić jej posagu, odwołując ślub. Jedyne, co mu w takiej sytuacji pozostało, to powiadomić jej ojca i mieć nadzieję, że taka interwencja będzie wystarczająca i odpowiednio szybka.

Jeszcze tego wieczoru napisał list, powierzył go swemu najszybszemu posłańcowi i nakazał sobie uzbroić się w cierpliwość.

Tydzień później książę Grenville stał odwrócony tyłem do kominka i uważnie obserwował twarz swego syna.

- Nie wiem, czy wysłanie cię tam przyniesie jakąkolwiek korzyść - oświadczył. - Sądziłem, że znam moją córkę, ale teraz niczego już nie jestem pewien. Już nie potrafię przewidzieć reakcji Annabelli.

- Proszę, pozwól mi jechać. Bella mnie posłucha - zapewnił Gavin. - Jestem przekonany, że tak właśnie się stanie. Wiesz przecież, jak bardzo bliscy zawsze sobie byliśmy.

- Uważasz, że poradzisz sobie z tą delikatną sprawą? - spytał z powątpiewaniem książę.

Chłopak uśmiechnął się szeroko.

- Gdybym nie potrafił, nie byłbym godny być twoim spadkobiercą.

- Będziesz musiał być twardy, Gavinie. Wiem, że to może być dla ciebie trudne. Pamiętaj, to wszystko dla jej dobra. Twoja siostra musi natychmiast zostać przywołana do rozsądku. Huntly jest wściekły i wcale mu się nie dziwię. Musisz zrobić wszystko, co w twojej mocy, by ten cały Ross Mackinnon trzymał się od niej tak daleko, jak to tylko możliwe.

Gavin skinął głową, patrząc jednocześnie na kodeks prawa szkockiego, który leżał otwarty na biurku ojca.

Książę stanął za biurkiem.

- Wyślę list do jego dziadka, a także do Colina. A ten jest dla wuja Barry. Oddaj mu go od razu, gdy dotrzesz do Seaforth. - Podał synowi kopertę i usiadł. - I jeszcze jedno. Przyspieszyłem datę ślubu. Twoja matka i ja przyjedziemy do Szkocji za niecały miesiąc. Przekaż Annabelli, że data ślubu została przesunięta na dwudziestego pierwszego grudnia.

Gavin siedział na brzegu ojcowskiego biurka i machał nogą, bawiąc się jednocześnie srebrnym nożem do papieru.

- To za niecałe sześć tygodni - rzekł, odkładając nóż na miejsce.

- Gdyby to tylko było możliwe, ustaliłbym nawet wcześniejszą datę - odpowiedział mu ojciec. Uniósł głowę, gdy stojący na kominku zegar wybił pełną godzinę. - Jeżeli masz zamiar zdążyć na tę łódź, lepiej już jedź. Nie zapomnij ucałować na pożegnanie matki. Ona się ciągle martwi, że coś ci się stanie. Zeszłej nocy znowu miała jeden z tych swoich snów.

Gavin roześmiał się.

- Matka zawsze się martwi, a nic mi się do tej pory nie przytrafiło. Ale oczywiście pójdę się z nią pożegnać.

Książę Grenville patrzył, jak jego syn opuszcza gabinet i przypomniał sobie dzień jego narodzin. To był trudny poród i do teraz prześladowało go wspomnienie pełnych bólu krzyków Anne. Nigdy nie zapomni, jak godziny się wlokły, tak jakby wszystkie zegary się zatrzymały i czas już nie istniał.

Wokół jego szyi zaciskała się pętla strachu. Pamiętał agonię, jaką było czekanie.

I wtedy doktor Bradford wpuścił go do jej pokoju i w jego ramionach spoczął ich syn. Anne wyciągnęła rękę i uchwyciła się męzowskiej poły, mówiąc, że ona umrze.

- Obiecuj mi, że kiedy ja odejdę, będziesz na niego uważał - poprosiła z płonącymi oczami, a jej czoło lśniło od potu.

- Obiecuję - odpowiedział, odciągając po chwili doktora na bok.

- Księżna majaczy - wyjaśnił doktor Bradford. - To był ciężki poród, ale teraz nic jej już nie grozi. To pewnie te krople, jakie jej dałem na uśmierzanie bólu. Musiały jej trochę pomieszać w głowie. Z pańską żoną i synem wszystko będzie dobrze.

Wiele dni później, kiedy Anne czuła się już lepiej, powróciła do tej kwestii:

- Nie rozumiem tego, Alisdairze. Wiem, że umierałam. Ogarnęło mnie to straszliwe przeczucie zbliżającej się śmierci. Płakałam, ponieważ mi oznajmiono, że zostaną zabrana od mego syna.

- Doktor Bradford powiedział, że to wszystko wina kropli, które ci zaaplikował. To one pomieszały ci w głowie. Teraz już wszystko jest dobrze, zarówno z tobą, jak i z dzieckiem.

Księżę Grenville odchylił się w fotelu, zastanawiając się, dlaczego jego myśli pobiegły w tym właśnie kierunku, kiedy tak wiele innych spraw domagało się jego natychmiastowej uwagi. Wziął do ręki srebrny nóż do papieru, którym zaledwie kilka minut temu bawił się Gavin. Otworzył szufladę i wrzucił go do środka.

Gavin. Tak bardzo pochłaniały go myśli o Annabelli, że pozwolił synowi odejść właściwie bez pożegnania. Zatrzasnął szufladę i pośpiesznie wyszedł z gabinetu.

- Mój syn - rzekł do lokaja, zbliżywszy się do głównych drzwi. - Gdzie on jest? Czy jest jeszcze w domu?

- Przykro mi, wasza miłość. Pański syn przed chwilą odjechał.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Annabella siedziała w salonie, kiedy w drzwiach pojawił się Gavin. Upuściła szydełkowany obrus i zerwała się z fotela.

- Gavin! Nareszcie przyjechałeś! - zawołała, idąc w jego kierunku i domyślając się z wyrazu jego twarzy, że nie jest to wizyta czysto towarzyska. - Nie miałam pojęcia, że *zjawisz się teraz* w Seaforth.

- Bello, co się dzieje? Ojciec jest wściekły. Matka musiała się położyć do łóżka. A ja zostałam wysłany do Szkocji z misją przywrócenia rozsądku mojej uroczej, ale lekkomyślnej siostrzyczce.

- A o co dokładnie ci chodzi?

- Za późno na udawanie niewinności. Huntly wywęszył, że Mackinnon dotrzymuje ci tutaj towarzystwa, i bezzwłocznie doniósł o tym naszemu ojcu. A ojciec napisał z kolei do wuja Barry. Muszę przyznać, że wpakowałam się w niezłe tarapaty. Mam tylko nadzieję, że uda się wszystko naprawić, nie płacąc przy tym zbyt wysokiej ceny. Siedzisz na kotle, który za chwilę zacznie wrzeć, i możliwe, że wybuchnie nam wszystkim w twarz.

- Czego oczekuje ode mnie ojciec?

- Na początek musimy odprawić stąd Mackinnona i wymóc na nim obietnicę, że będzie się trzymał od ciebie z daleka... bardzo daleka.

- Rossa tutaj nie ma - odparła Annabella. - Wkrótce minie miesiąc, jak wyjechał do Dunford.

- Przynajmniej jeden problem sam się rozwiązał.

Twarz dziewczyny była blada, a usta drżały.

- Czy Huntly tutaj przyjedzie?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo, jednak wcale by mnie to nie zdziwiło. Ten mężczyzna nie słynie z łagodnego charakteru. Mam jednak nadzieję, że pozostanie w swoim zamku.

- Nie mogę za niego wyjść. - Uff. Nareszcie to z siebie wydusiła.

- Co takiego?

Powiedział to takim tonem, jakby mu właśnie oznajmiła, że ma zamiar iść na najbliższe nabożeństwo golusienka jak ją pan Bóg stworzył.

Gavin popatrzył na uroczą postać w szmaragdowozielonej, aksamitnej sukni i dodał.

- Nie staraj się mnie zabić samym swym spojrzeniem. To nie był mój pomysł. Przybyłem tutaj jedynie jako emisariusz ojca. Namówiłem go, żeby wysłał właśnie mnie, bo potrafię przemówić ci do rozsądku.

- W takim razie bardzo mi przykro, ale całą tę drogę przebyłeś na daremnie. Powiedziałam już to wcześniej i powtórzę jeszcze raz, aż wreszcie ktoś mi uwierzy. Nie wyjdę za lorda Huntly'ego.

- A co masz w takim razie zamiar zrobić? Czy pomyślałaś o skandalu?

- Tak, myślałam o nim. Myślałam także, by choć raz być panią swego losu.

- Dobry pomysł, ale mało praktyczny. Siedemnastoletnia dziewczyna...

- Osiemnastoletnia. W zeszłym tygodniu miałam urodziny. Ciocia Una wyprawiła mi wspaniałe przyjęcie. Szkoda, że cię tutaj nie było, Gavinie. To było moje pierwsze przyjęcie urodzinowe bez ciebie.

- Przykro mi, kociątko. Byłbym, gdybym tylko mógł. Wiesz o tym.

- Wiem.

Zaczął przemierzać pokój.

- Siedemnaście czy osiemnaście, niewielka różnica. Jesteś związana kontraktem narzeczeńskim. Wiesz, że to dokument wiążący, prawda?

- Wiem, ale jestem pewna, że gdybyśmy porozmawiali z Huntlym, gdyby wytłumaczyło mu się, że kocham kogoś innego, że...

- Kochasz kogoś innego? - przerwał jej brat. Chciał coś powiedzieć, ale zmienił zamiar. Zmarszczył czoło. - Och, Bello. Nie oddałaś się chyba Mac-kinnonowi, prawda?

- A jeśli?

- Psiakrew! - Gavin uderzył pięścią w stół. - Jest gorzej, niż sądził ojciec. Znacznie gorzej.

Annabella miała sceptyczny wyraz twarzy.

- Chciałabym wiedzieć, dlaczego jest gorzej, skoro nie jestem jeszcze żoną Huntly'ego. Wtedy dopiero mogłoby być gorzej!

- Cóż, nie jesteś niczyją żoną. Ale potrzebujesz tego jak diabli. - Potrząsnął głową. - To jest najgorsza...

- Nie jest.

- Jest i powiem ci zaraz dlaczego. Kiedy Huntly podpisywał wszystkie dokumenty, ty byłaś dziewczicą. Teraz nią nie jesteś. To wszystko zmienia.

- Huntly o tym nie wie.
- Ale wkrótce się dowie.
- Nie, chyba że ty mu powiesz.

Gavin popatrzył na nią tak, jakby miała nie po kolei w głowie.

- Huntly może i jest draniem, ale na pewno nie idiotą. Wiedziałyby o tym nawet człowiek niedorozwinięty umysłowo.

Policzki Annabelli zrobiły się purpurowe. Chciała napluć sobie w twarz. Idiotka! Oczywiście, że będzie wiedział. Co ona sobie wyobrażała?

Gavin w milczeniu przemierzał pokój. Po dłuższej chwili podszedł do siostry i uściśnął ją uspokajająco.

- Nie bądź taka zszapczona. To nie koniec świata. A poza tym jestem przecież twoim bratem, Bello. Może jakoś nam się uda to wszystko rozwiązać.

- Rozwiązać? To znaczy tak, bym nadal miała wyjść za Huntly'ego?

- Na to właśnie liczę. Pierwsze, co muszę zrobić, to...

- Gavin - przerwała bratu, tak przygnębiona, że zachciało jej się płakać.

- Nie wyjdę za niego. Nie wyjdę i koniec.

Chłopak zaczął ponownie przemierzać salon.

- Wiem, że tego nie chcesz, Bello. Gdybym był w stanie zrobić cokolwiek, uczyniłbym to. I uwierz mi lub nie, ale lubię tego Mackinnona. O wiele chętniej jako swego szwagra widziałbym jego, a nie Huntly'ego. - Zatrzymał się i spojrzał na siostrę. - Ponad wszystko pragnę twojego szczęścia. Oddałbym za ciebie życie, wiesz o tym.

Annabella wybuchła płaczem. Jej brat przeszedł przez salon i wziął ją w ramiona.

- Och, Gavinie, co ja mam teraz zrobić? Jestem taka nieszczęśliwa. Kocham Rossa. Jest wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłam. On jest... - Ukryła twarz w jego marynarce, nie będąc w stanie dodać niczego więcej. Zresztą czy robiło to jakąś różnicę?

Nie miała pojęcia, jak długo płakała, ani jak długo Gavin w swojej nieskończonej cierpliwości i z pełnym miłości zrozumieniem obejmował ją, pozwalając zmoczyć swoją koszulę i marynarkę.

Wreszcie nie wytrzymał. Oglądanie zalanej łzami twarzy siostry - to było zbyt wiele.

- Co mógłbym zrobić? - zapytał. - Nie mogę znieść tego, że jesteś tak nieszczęśliwa. Bardziej niż gniewu ojca boję się tego, co uczyniłoby ci to małżeństwo.

Pocałował siostrę w czubek głowy, a do jej nosa przyłożył chusteczkę i kazał jej dmuchać, tak jak to robił często w dzieciństwie.

Kochany, słodki Gavin. Nigdy jej nie zawiódł. Zawsze był przy niej, kiedy go potrzebowała.

- Otrzyj oczy, Bello - rzekł pokrzepiająco. - I spróbuj się uspokoić. Nie wszystko stracone, a przynajmniej jeszcze nie. Pojadę do Huntly'ego i zobaczę, czy zgodzi się na unieważnienie kontraktu. Jeżeli ma choć odrobinę honoru, nie będzie chciał żony, która nie chce z kolei jego. Żaden mężczyzna by tego nie chciał.

Annabella zarzuciła ręce na jego szyję.

- Dziękuję ci, Gavinie. Wiedziałam, że mnie nie zawiedziesz. Nigdy tego nie zrobiłeś. I nigdy nie przestanę ci za to dziękować. Będę to robić do końca mojego życia.

- Będziesz musiała na chwilę przestać albo nigdy nie uda mi się stąd wyjechać - rzekł, śmiejąc się i całując ją w policzek, uwalniając się jednocześnie z jej objęć. - Lepiej już ruszę w drogę. Podziękujesz mi, kiedy wrócę.

- Ju ż jedziesz?

Skinął głową.

- Jak tylko porozmawiam z wujem.

- Ale jest ciemno, a poza tym wuja nie ma w Seaforth. Pojechał do Ullapool z Allanem.

- W takim razie wyruszę, nie czekając na niego. Jeżeli wróci przede mną, powiedz mu, że zostawiłem dla niego list od naszego ojca. Ale przekaż mu też, by nie robił niczego, dopóki nie wrócę.

Nie mówiąc nic więcej, zniknął za drzwiami.

- Co ja zrobię bez ciebie? - wyszeptęła, opadając ze zmęczeniem na fotel. - Co ja zrobię?

Dwa dni później Gavin dotarł do zamku Mercat, posiadłości hrabiego Huntly. Stał właśnie przed kominkiem. Gospodarz siedział niedaleko w skórzanym fotelu.

Hrabia przywołał do nogi swoje psy i słuchał tego, co ma mu do powiedzenia brat narzeczonej. Kiedy ten skończył, zmierzył go kąpiącym wzrokiem.

- Jakie to wzruszające. Wydajesz się być doskonałym orędownikiem swojej siostrzyczki. Szkoda tylko, że przebyłeś całą tę drogę na marne. Zawarłem porozumienie z twoim ojcem. - Jego głos był tylko pozornie spokojny. - Będę rozmawiał z nim, a nie z jego szczeniakiem. - Podniósł z biurka list. - Wiesz, zastanawiam się, dlaczego tak naprawdę tutaj przyjechałeś. Ten list otrzymałem od twego ojca zaledwie wczoraj. Jest całkiem uspokajający.

Różni się także zupełnie od tego, co przed chwilą usłyszałem. Zastanawiam się, kto cię przysłał.

- Zostałem przysłany przez mego ojca i działałem w jego imieniu - odparł Gavin. - Czy pańskie milczenie mam uznać za zgodę?

- Jedyną moją zgodą jest ta oficjalna. Warunki kontraktu pozostaną niezmienione. Nie mam zamiaru się wycofać. Ślub odbędzie się zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Wiadomość o wyraźnej skłonności Annabelli do wnuka Mackinnona jest dla mnie bardzo niemiła. Mackinnon i ja od dawna nie żyjemy do siebie sympatii, że tak powiem, a wtrącanie się jego wnuka w moje sprawy przywołuje jedynie stare i gorzkie wspomnienia, które lepiej by było, gdyby pozostały w ukryciu.

- Nie mam nic wspólnego z pańską dawną, klanową wojną ani z pańskimi przeciwnikami. Troszczę się tylko i wyłącznie o moją siostrę.

- Przestań, Larrimore. Czyżbyś był większym głupcem, niż myślałem?

- Tak jak już powiedziałem, obchodzi mnie tylko Annabella.

- W takim razie pozwól, że udzielę ci pewnej rady. Być może powinienes zacząć się także choć odrobinę martwić o siebie i o własną skórę.

- A dlaczego? Jestem przecież jedynie mediatorem.

- Wplątujesz się w to bardziej, niż to sobie uświadamiasz.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie mówię w tej chwili o twojej siostrze, mimo że ta dziewczyna odgrywa oczywiście ogromną rolę. Ale o to nie musisz się martwić.

Huntly wstał z fotela, podczas gdy Gavin odparł:

- Sądziłem, że będzie miał pan więcej honoru i wycofa się z tego małżeństwa. Na pewno nie szlachetne pobudki skłaniają mężczyznę do poślubienia kobiety, która nie chce za niego wyjść.

Hrabia uśmiechnął się drwiąco.

- Nie uda ci się mnie sprowokować, bym dobrowolnie zrezygnował z tego, co moje. Jestem wystarczająco stary, by rozpoznać coś aż tak oczywistego. Możesz myśleć sobie, co tylko chcesz. To i tak nie zmieni mojej decyzji. Nawet nie ma sensu próbować. Zawieź taką wiadomość swojej siostrze albo temu łajdakowi Mackinnonowi. Zrobisz, jak ci będzie wygodniej. Powiedz im, że ja, w przeciwieństwie do nich, nie cofam raz danego słowa.

- Przekażę tę wiadomość, chociaż naprawdę nie sędzę, by tak się to wszystko zakończyło.

- Skoro już mowa o przekazywaniu wiadomości, to powiedz swojej siostrzyczce jeszcze jedno. Jeżeli będzie się dalej zachowywać jak dziewczka, będę zmuszony tak właśnie ją traktować.

Przez chwilę Gavin po prostu stał i wpatrywał się w niego. Kiedy się wreszcie odezwał, widać było, że uważnie dobiera słowa i stara się mówić jak najwyraźniej:

- Ma pan moje słowo, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by przekonać mego ojca do zerwania kontraktu. Jeżeli nie jest to prawnie możliwe, zapewniam pana obiecać, że kiedy o tym wszystkim usłyszysz, drastycznie zredukuję jej posag. Dostanie pan moją siostrę, ale na pewno nie fortunę, która miała stać się pańską własnością.

- Wynos' się! - zawołał Huntly, a żyły na jego szyi wyraźnie nabrzmiały. Twarz pociemniała mu z wściekłości. - Wynos' się! - powtórzył. Tym razem zabrzmiało to nieco piskliwie.

Gość wyszedł, a hrabia stał bez ruchu, dopóki w pokoju nie pojawił się Fionn Alpin.

- Wygląda pan tak, jakby bardzo potrzebował kilku szklaneczek brandy - rzekł, obrzucając Huntly'ego uważnym spojrzeniem. - Czego chciał Larrimore?

- Kłopotów. Wygląda na to, że Mackinnon mnie załatwił. Nasza anielska przyszła panna młoda nie jest tak niewinna, jak by można przypuszczać.

- Przyjechał, by to panu powiedzieć?

- Nie musiał niczego mówić. Widziałem to w jego oczach.

- I znowu Mackinnonowie. Wygląda na to, że zatoczył pan pełne koło - zauważył Fionn. - Najpierw ciotka, a teraz jej bratanek.

- Nie mieszaj w to Flory.

- Dlaczego? Od lat ma pan z księciem na pieńku, a ja doprawdy nie rozumiem dlaczego.

- W takim razie pozwól, że cię oświecę. Wiesz, że byłem zakochany w jego córce, Florze.

- Tak. Wiem też, że się powiesiła i że nienawidzi pan jej ojca. Ale nie widzę w tym żadnego sensu.

Huntly nalał sobie pełną szklaneczkę brandy.

- Kochałem Florę, ale nie mogłem jej poślubić. Musiałem ożenić się z dziewczyną z pokaźniejszym posagiem. Po weselu poszedłem do niej. Poszedłem podczas mojej cholernej nocy poślubnej, by jej wyjaśnić, że to niczego między nami nie zmienia. Powiedziałem jej, że ją kocham i że nadal chcę się z nią spotykać. Wpadła w szał, zaczęła mnie wyzywać, bić, rzucać różnymi przedmiotami. Starłem się ją uspokoić, przemówić do rozsądku, ale ciągle ze mną walczyła, zachowując się coraz bardziej dziko. Próbowałem się z nią kochać. Odpychała mnie, ale ja byłem bardzo uparty...

- A więc to był pan? - W głosie Fionna pojawiło się zdumienie i zrozumienie. - To pan ją zgwałcił?

- Nie sądziłem... Nie wiedziałem, co robię... co zrobiłem. Coś poszło nie tak. Coś pękło w mojej głowie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zrobiłem, dopóki nie zobaczyłem tej całej krwi. Myślałem, że Flora nie żyje, więc uciekłem.

- A ona wolała się zabić niż powiedzieć, kto ją zgwałcił.

- Zabiła się, ponieważ jej ojciec się dowiedział, że się spodziewa dziecka. Mojego dziecka. Nie wiedziałem, że jest ze mną w ciąży, ani że jej ojciec się o tym dowiedział, dopóki ten łajdak mi o tym nie powiedział. Za jej śmierć obwiniął siebie. Nastraszył ją, że odbierze jej dziecko i odeśle daleko, gdzie już nigdy nie będzie mogła zobaczyć jego ani mnie, jeżeli jeszcze kiedykolwiek się ze mną spotka. Dlatego właśnie tak ze mną walczyła tamtej nocy. To właśnie ta groźba była powodem, dla którego mnie odepchnęła.

- Więc się zabiła, by położyć temu kres.

- Tak, a ja już nie pozwolę odebrać sobie Mackinnonowi kolejnej dziewczyny. Nigdy.

Po wypiciu jeszcze jednej szklaneczki francuskiej brandy, która miała uspokoić jego nerwy, Huntly kazał osiodłać swego konia.

- Gdzie się pan wybiera o tak późnej porze? - zapytał z niepokojem Fionn.

- Mam do załatwienia w Edynburgu sprawę niecierpiącą zwłoki - odparł, po czym dodał, ścisząc głos: - Zaraz po tym, jak zabiję markiza Larri-more.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Ze wszystkich stron otaczał go półmrok, gdy przemierzał smagane wiatrem wrzosowisko, pozostawiwszy za sobą drzewa i ich cienie.

W powietrzu unosił się drażniący zapach soli. Bolały go nogi. Całe ciało zaczynała ogarniać pozbawiająca resztek energii senność. Koń zarżał. Wszędzie dookoła rozlegały się dziwne dźwięki i Ross miał wrażenie, jakby znalazł się nagle w złowieszczym śnie, z którego nie ma już przebudzenia.

Wreszcie je dojrzał: wieżyczki Seaforth, ciemne i milczące, otulone wirującą mgłą, które przyzywały go do siebie niczym groźni wartownicy.

Ciężar spoczywał nieruchomo na jego nogach. Zaczynało go ogarniać odrętwienie, ale wiedział, że już blisko. Kiedy dotarł do głównych drzwi, Ross zsunął się z konia. Po chwili miał w ramionach bezwładne ciało.

Znalazłszy się przy drzwiach, mężczyzna je kopnął. Raz. Drugi. Otworzyły się za trzecim razem. Z wnętrza sączył się długi snop żółtawego światła.

Potykaçąc się, wszedł do środka.

Annabella, już w nocnej koszuli, szczotkowała włosy w swoim pokoju, kiedy usłyszała na dole jakieś zamieszanie. Ktoś zaczął krzyżeć. Upuściła szczotkę i była już w połowie schodów, kiedy zobaczyła stojącego na korytarzu Rossa, w którego ramionach spoczywało zakrwawione ciało jej brata.

Nie. Nie Gavin... proszę, nie Gavin. Ale to był Gavin, i nie zmieniłoby tego żadne zaprzeczanie. Jej pełne przerażenia spojrzenie nie było w stanie się oderwać od widoku krwi brata, pokrywającej niczym dowód winy przód koszuli i spodni Rossa.

Kochała tego mężczyznę, kochała go, a on zabił jej brata. Nie, nie Ross. Ross nie mógłby tego zrobić. Ross by tego nie zrobił. Popatrzyła na ciało Gavina. On nie żyje. Nie żyje... Nie żyje... Nawet wtedy nie dopuszczała do siebie myśli, że Ross mógłby zrobić coś takiego.

Nie Ross ze śmiejącymi się oczami i delikatnymi dłońmi. Nie mężczyzna, który kochał się z nią tak delikatnie i czule. Nie, krzyczało w niej wszystko. Nie, proszę, nie! Ale po chwili przypomniała sobie ostatnie słowa Rossa przed jego odjazdem: „Cokolwiek będę musiał zrobić, cokolwiek poświęcić, uczynię to. Nic mnie nie powstrzyma przed posiadaniem ciebie. Nic”.

Nie morderstwo, pragnęła zawołać. Och, najdroższy Boże. Nie to. Nie morderstwo jej brata. Ale słowa nie chciały jej przejść przez gardło. I wtedy z zakamarków pamięci wyłonił się jasny koń, galopujący bez jeźdźca.

Powietrze przeszło głośnie zawodzenie samotnej, udręczonej duszy. Stawało się coraz głośniejsze i głośniejsze, po czym przeszło w ostry, mrozący krew w żyłach krzyk. A potem zapadła cisza.

Wtedy dopiero Annabellą zdała sobie sprawę, że ten krzyk wydobywał się z jej gardła.

- O mój Boże! - zawołała, zbiegając po schodach. - On jest ranny. - Podbiegła do nich, widząc, że wszędzie jest krew Gavina. - Czy to coś poważnego? - zapytała gorączkowo. - Czy został ciężko zraniony?

- On nie żyje - rzekł cicho Ross. - Ugodzono go nożem w plecy.

Jej twarz była bez wyrazu, oczy nieprzytomne.

- Nie - zaprotestowała, odgarniając włosy z zimnej, bladej twarzy brata. - On żyje. Zanieś go na górę. Opatrzę jego ranę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

Barra chwycił ją za ramiona i mocno potrząsnął.

- Gavin nie żyje Annabelle Nie wypieraj się tego, co widzą twoje oczy, dziewczyno. On nie żyje.

Una położyła dłoń na ramieniu męża.

- Nie, kochany. Nie rób...

- Musi sobie uświadomić prawdę. Nie dojdzie do siebie, dopóki tego nie zrobi. - Ponownie potrząsnął Annabellą. - Powiedz to, dziewczyno. Powiedz mi, że Gavin nie żyje.

- Nie! - zawołała, wrywając się z uścisku Barry. Na granicy hysterii, objęła się ramionami i powtarzała monotonicznie: - On nie może być martwy. On nie może być martwy. - Jej głos przeszedł powoli w ochrypły szept.

Podeszła do niej Una, ale ona odepchnęła ją od siebie.

- To mój brat. On nie może być martwy. Nie może.

Powoli osuwając się na podłogę, poczuła, jak cały świat wiruje i wciąga ją w siebie ogromna, czarna próżnia.

- Allan - polecił Barra. - Jedź po doktora. I wyślij wiadomość do Londynu, do wuja Alisdaira.

- Doktora? - Ailie podniosła zalaną łzami twarz. - Skoro Gavin nie żyje, do czego potrzebny jest doktor?

- Gavin został zamordowany. Doktor musi przyjść i obejrzeć ciało. A teraz pomóż matce zaprowadzić Annabelle na górę.

Barra odwrócił się do Rossa.

- Jak to się stało? Gdzie go znalazłeś?

- Na drodze niedaleko stąd - odparł.

- Czy był już nieżywy, kiedy go znalazłeś?

- Tak, ale niezbyt długo. Jego ciało było jeszcze ciepłe. - Potrząsnął głową, patrząc bezradnie na Barrę. - Dlaczego ktoś mógł pragnąć jego śmierci? To nie był napad rabunkowy. Ma przy sobie mnóstwo pieniędzy.

Mackenzie również potrząsnął głową, po czym potarł oczy.

- Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkich chodzi. W tych okolicach Gavin był praktycznie zupełnie nieznan.

- Cóż, ktoś musiał go znać na tyle dobrze, by pragnąć jego śmierci.

- Ano tak - zgodził się Barra. - Ktoś musiał.

Annabella leżała na łóżku. Jej dłonie były zimne niczym lód. Czoło miała wilgotne. Raz po raz na nowo przeżywała swój dawny sen. Cztery konie. Trzech jeźdźców. Śmierć.

Długo tak leżała, nie mogąc zasnąć, a jej oczy czujnie wpatrywały się w ciemność. Ciało skostniało jej z zimna, lecz nie dbała o to. Przeraziłwie bolała ją głowa. Była jednak wdzięczna za to losowi, gdyż choć trochę zagłuszało to ból po śmierci Gavina, ból świadomości, że Ross go zabił, ból, który odczuwała wiedząc, że to wszystko z jej powodu.

Gavin.

Gavin zawsze przy niej był. Jego obecność była czymś oczywistym. A teraz go nie ma. Ten jedyny raz ją zawiódł. Jej brat. Jej ukochany brat. A teraz już go nie ma. Był martwy. Jej życie było skończone. Widziała to niezwykle wyraźnie. Odgrodziła się już od bólu. Ból. Nie mógł jej dosięgnąć. Nie widziała, co się dzieje wokół niej, widziała jedynie przeszłość. Widziała Gavina jako chłopca, który huśtał ją na drzewie na tyłach zamku Saltwood, a w uszach wibrował jego radosny śmiech. Widziała, jak ojciec daje swemu synowi pierwszego kucyka na siódme urodziny i jak Gavin zabierają potem na przejażdżkę.

Ojciec. On będzie mnie nienawidził. Tak, jak sama siebie nienawidzę.

Zobaczyła swoją matkę, która jej nie znienawidzi, jednak nigdy nie będzie jej w stanie tego wybaczyć. A siostry? Czy znienawidzają tak jak ojciec, czy też po prostu odwrócą się do niej plecami?

Do sypialni weszła Una z kubkiem gorącego bulionu. Annabella odwróciła się twarzą do ściany. Ciotka odsunęła włosy z jej twarzy i przykryła kołdrą, po czym cicho zamknęła za sobą drzwi. Powróciły myśli o Gavinie. Bella starała się je odepchnąć. Nie chciała o nim myśleć. To za bardzo bolało. Doprowadzało ją do szaleństwa.

Ból, który odczuwała wiedząc, że on leży gdzieś w kamiennej, martwej ciszy był nie do zniesienia. Gavin był zimny. Leżał na czymś twardym i zimnym. Musiała mu jakoś pomóc. Nie mogła pozwolić, by było mu zimno. Zerwała się z łóżka i świat zawirował wokół niej. Zamknęła oczy i osunęła się na podłogę. Leżała na zimnej posadzce, zbyt nieszczęśliwa, by płakać, i błagała Boga, by pozwolił jej umrzeć.

Dopiero trzeciego dnia wypijała szklanekę mleka i zjadła trzy łyżki zupy i to tylko dlatego, że Una ją przekonała, iż musi coś zjeść, jeżeli chce wziąć udział w pogrzebie.

Ciotka obmyła jej twarz i pomogła założyć czarną, jedwabną suknię. Razem z Ailie związały rząd maleńkich guziczków na jej plecach. Zaprowadziły ją do lustra i zaczęły szczotkować włosy. Annabella spojrzała na swoje odbicie i zobaczyła bladą twarz i ogromne oczy.

- Dziewka! - zawołała i rzuciła w lustro flakonem z perfumami.

Zeszła na dół i siedziała przy ciele brata w bibliotece, od ósmej rano aż do wpół do czwartej, kiedy przyszli, by je zabrać. Jechała w powozie tuż za nim i nie spuszczała wzroku z trumny. Była tak osłabiona, że musiano jej pomóc wsiąść z powozu.

Po pogrzebie położyła się do łóżka, otrzymawszy wcześniej krople na sen. Podczas kolejnych kilku dni żyła we własnym świecie, do którego nikt nie miał wstępu. Nawet Ross. Nie reagowała na jego obecność, nawet mrugnięciem oka nie pokazywała, że go zauważa.

Rozumiała wszystko, co on do niej mówi, jednak jej serce przepeśniał żal i poczucie winy. Nie mogła myśleć, że to wszystko przez nią. Że to cena, która musiała zostać zapłacona za jej nieposłuszeństwo. Gdyby tylko posłuchała go tamtego dnia. Gdyby tylko nie była taka uparta.

Ale była. A teraz Gavin nie żył. Śmierć była czymś tak ostatecznym. Tak ostatecznym jak koniec miłości, którą dzieliła z Rossem. To nie było tak, że już go nie kochała - nic nie mogło tego przerwać, nawet świadomość, że to on zabił jej brata. Nienawidziła go. Pragnęła jego śmierci. Ale i tak go kochała.

Trzy dni po pogrzebie Ross odnalazł Barrę w jego gabinecie. Troska o Bellę doprowadzała go do szaleństwa.

- Wiem, że nie chcesz opuszczać jej w takiej chwili - rzeki Barra, wysłuchwaszy go. - Jednak tak będzie najlepiej dla wszystkich. Wkrótce zjawią się tutaj jej rodzice. Nie trzeba, by wybuchła wtedy kolejna beczka z prochem.

Ross opuścił Seaforth. Annabella odmówiła pożegnania się z nim. W następnym tygodniu otrzymali wiadomość, że jej rodzice nie przyjadą. Ojciec napisał, że księżna od usłyszenia wieści o śmierci Gavina nie opuszcza sypialni.

Twój brat został już pochowany i mój przyjazd niczego nie zmieni, a matka nie jest w stanie odbyć teraz takiej podróży. Nie martw się o nią. Jest silna. Schudła, jednak lekarz uważa, że to wszystko z powodu żalu po stracie jednego syna. Gavin był jasnym promykiem w życiu nas wszystkich i będzie go nam bardzo brakowało. Wiem, że ze wszystkich moich dzieci wy dwoje byliście sobie najbardziej bliscy. Mój żal jest tym większy, iż wiem, że ty także bardzo cierpisz. Nie mogę powiedzieć, byś mądrze się zachowała, Annabelle, ale takie nie potępiam cię za twe uczucia, przez pamięć o twoim bracie, gdyż wiem, że nie chciałby on, by jego śmierć stała się przyczyną niezgody między nami. Ponieważ on by ci wybaczył, ja mogę tylko uczynić to samo. Ale naprawdę uważam, że najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz w Seaforth, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Lord Huntly nadal chce się z tobą ożenić, jednak rozumie, że ślub musi zostać przełożony, aż do zakończenia okresu żałoby po Gavinie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Ross przebywał w Dunford od trzech tygodni, kiedy został aresztowany. Przyszli po niego w środku nocy, dobijając się do drzwi zamku i żądając jego wydania. Pod strażą został przewieziony do Edynburga, by czekać tam na proces za zabójstwo markiza Larrimore.

Tamtego dnia padał deszcz. Annabella karmiła kurczaki, kiedy Allan przybył do domu z wiadomością o aresztowaniu Rossa Mackinnona. Gdy o tym usłyszała, upuściła wiadro z karmą dla kur i rozpłakała się, a łzy mieszały się ze strugami deszczu.

Zaledwie wczoraj otrzymała od niego list, w którym napisał jej to, czego nie chciała wysłuchać, kiedy jeszcze tutaj był. Pisał, że nie zabił Gavina, ale te słowa nie zaskoczyły jej wcale. Annabella zrozumiała to w chwili, gdy wreszcie zaczęła do siebie dochodzić. Ross nie mógłby zabić jej brata. Wczoraj przeczytała jego słowa, którymi zapewniał ją o swojej niewinności, a dzisiaj usłyszała o jego aresztowaniu.

Niektórym ludziom nigdy nie było dane zaznać szczęścia.

Być może ona była właśnie jedną z nich.

Wieść o aresztowaniu na nowo przywołała pełne bólu pytania. To Ross odnalazł ciało Gavina, to on przyniósł je do domu, to jego ubranie poplamione było krwią jej brata. Istniała jednak także kwestia motywu. Co Ross pragnąłby uzyskać, zabijając Gavina?

- Nie uważają, że to morderstwo na tle rabunkowym, dziewczyno, ale zbrodnia w afekcie - wyjaśnił jej wuj Barra. - Jego kieszenie były pełne pieniędzy. Motywem nie był rabunek. Przepytywano Huntly'ego, który potwierdził, że Gavin był u niego, oświadczając mu, że przybył jedynie po to, by cię ułagodzić.

Annabella zbladła.

- Co też wuj mówi?

- Mówię, dziewczyno, że Huntly przysiągł, iż Gavin mu powiedział, że nie miał zamiaru prosić go o wycofanie się z kontraktu zaręczynowego. Przysiągł też, że twój brat pragnął tego małżeństwa jak nikt inny, i że jedynie udawał, iż jest po twojej stronie po to tylko, byś siedziała cicho aż do ślubu, którego data, tak przy okazji, została przesunięta na dwudziestego pierwszego grudnia. Czy Gavin powiedział ci o tym?

- Nie.

- Ślub przyspieszono, dziewczyno. Twój ojciec napisał mi o tym w liście, który przesłał przez Gavina.

- Dlaczego wuj mi o tym nie powiedział?

- Ponieważ mi przekazałaś, że Gavin nie kazał niczego robić, dopóki nie wróci. Czułem, że najlepiej będzie, jeżeli treść listu zachowam na razie dla siebie.

- Nic mnie to nie obchodzi. To nie ma znaczenia. Nie wierzę w ani jedno słowo Huntly'ego. Znam mojego brata. Gavin taki nie był. Nigdy by nie grał ze mną w żadne gierki. Nigdy.

- Musisz jednak przyznać, że taka wersja byłaby niezwykle po myśli Huntly'ego, prawda?

- W jakim sensie?

- Powiedzmy, tylko i wyłącznie w drodze porównania, że Gavin nie miał zamiaru prosić Huntly'ego o wycofanie się. Jedzie do hrabiego, mówi mu o wcześniejszej dacie ślubu. Wyjeżdża. Po drodze do domu spotyka Rossa Mackinnona. Rozmawiają. Gavin daje mu do zrozumienia, że trzyma stronę Huntly'ego. Jeżeli wspomina także o wcześniejszym ślubie, jeszcze silniej oddziałuje to na Rossa. Kłóć się. Ross godzi go nożem.

- W plecy? - zawołała Annabella, zrywając się z fotela. - Gdyby Ross kogokolwiek zabił, na pewno nie pchnąłby go nożem w plecy. Wiem, że nie zabiłby nikogo w tak tchórzliwy sposób. Wiem to. I nigdy nie zabiłby mego brata.

- Ja też to wiem. Ale Mackinnon jest w tych stronach obcy. Huntly jest ogólnie szanowany...

- Jedynie w niektórych kręgach - przypomniała z naciskiem.

- Jedynie w niektórych kręgach - powtórzył Barra - ale na nieszczęście w tych wpływowych. Huntly to szczywany lis. Postanowił pozbyć się Mackinnona. Czuję to w kościach.

- Dlaczego chciały to zrobić?

- Dlatego, że Ross wystawił go na pośmiewisko, zabierając mu sprzed nosa kobietę, z którą miał się ożenić. Pała teraz żądzą zemsty. Zdażył już zdobyć dowód na to, że Mackinnon jest poszukiwany w Teksasie. Sprawy Rossa nie wyglądają zbyt dobrze, dziewczyno.

- Poszukiwany? Za co?

Barra zbladł.

- Zostawmy to, skarbie.

- Za co, wuju? Mam prawo wiedzieć.

Mężczyzna westchnął.

- Wygląda na to, że chłopak uwiódł dziewczynę i obiecał się z nią ożenić, po czym wyjechał z kraju. Ale zawsze istnieją przecież dwie wersje - dodał Barra, ale Bella nie słuchała jego dalszych słów.

Dobry Boże. Czy ją także wystrychnął na dudka?

Serce nie chciało w to uwierzyć, ale umysł był bardziej przenikliwy. Zbyt wiele dowodów nazbierało się przeciwko Rossowi, a jej nie przychodziło do głowy nic w jego obronie, poza tym tylko, że go kocha.

Trzęsły się jej dłonie, a twarz była biała jak płótno. Odwróciła się i popatrzyła na wuja.

- Co mu zrobią, jeśli... jeśli zostanie uznany za winnego?

- Powieszą go.

Część jej umysłu nie zgadzała się przyjąć tego do wiadomości. Inna pełna była wątpliwości. Przez chwilę dziewczyna miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Gavin nie żyje. Został zamordowany. I Ross za to zapłaci. Powieszą go. Nie będzie go już na tym świecie. Przystanie istnieć tak samo jak jej zamordowany brat. Pozostanie jedynie w ciemnych, pełnych cieni zakamarkach jej myśli. Umrze, a ona go już nigdy nie zobaczy.

Tak jak Gavina.

Już nigdy nie poczuje dotyku jego dłoni, nie usłyszy jego szeptu. Nie będzie śmiechu i przekomarzania się.

Annabella popatrzyła na wuja, po czym ruszyła do drzwi. Tam się zatrzymała.

- Być może puszczą go wolno - rzekła. - Może Ross znajdzie sposób, by ocalić własną skórę.

- Może. Czy masz zamiar się z nim zobaczyć?

- Nie.

- Dlaczego? Czy w takim razie wierzysz w jego winę?

- Nie... ja... ja nie wiem. Niczego już nie jestem pewna. Wiem jedynie, że mój brat nie żyje, i że ktoś go zamordował. Do tej pory jedynie Ross miał jakiś motyw.

- Uważasz, że Huntly go nie miał?

- A cóż mogło nim być?

-Ty-

- Ja? - odparła z niedowierzaniem. - Ja? - Roześmiała się kpiąco. - Dlaczego miałby zabić z mojego powodu? I tak już do niego należałam.

- Może. Może na papierze. Ale sercem, dziewczyno, zawsze będziesz należeć do Rossa Mackinnona.

- O czym ty mówisz, wuju?

- Mówię, żebyś za bardzo się nie pośpieszyła, potępiając tego chłopaka.

- Myślałam, że wuj jest przekonany o jego winie.

- Przedstawiłem ci jedynie suche fakty. A fakty nie czynią od razu człowieka winnym.

Annabella wróciła do biurka wuja i usiadła w stojącym naprzeciwko fotelu.

- W porządku. Zatrzymajmy się na chwilę przy tym. Wspomniał wuj, że Huntly mógł mieć powód, by zabić Gavina, i że tym powodem jestem ja. Nie bardzo to rozumiem.

- A co, jeśli Gavin pojechał do Huntly'ego, tak jak ci to obiecał? Co, jeśli poprosił go o wycofanie się z kontraktu? Co, jeśli Huntly odmówił?

- Co, jeśli Gavin się rozzłościł i powiedział mu, że ślub i tak zostanie odwołany? - dokończyła Bella.

- Właśnie - rzekł Barra. - Co, jeśli Gavin wyjechał po tym stwierdzeniu?

- Huntly mógł kazać go zabić.

- Albo mógł sam jechać za nim i to zrobić. Wiemy, że pojechał tamtej nocy do Edynburga. Mógł zabić Gavina wcześniej. Twój brat został ugodzony w plecy. Nie zapominaj o tym. To mi śmierdzi Huntlym. Osobiście uważam go za tchórza.

W ciągu kilku następnych tygodni Annabella starała się pozbierać części swego życia, które roztrzaskało się, tak jak wiadro z karmą dla kur, którą trzymała tamtego, deszczowego dnia. Znowu więcej czasu zaczęła spędzać w kuchni albo też przesiadywała w salonie razem z Ailie i Uną, robiąc koronki bądź szydełkując. Za wszelką cenę chciała mieć zajęte ręce, jednak szybko się przekonała, że w takich przypadkach umysł i tak pozostaje beczynny. A wtedy powracały wciąż te same myśli.

Często analizowała niedawną rozmowę z wujem. A jeżeli miał rację? Co, jeśli wplątany jest w to Huntly? Nie miała co do tego pewności i być może nigdy nie będzie miała. Wiedziała jednak jedno. Ross jest niewinny. Gotowa była ręczyć za to własnym życiem. Annabelle dręczyło poczucie winy, że choć przez chwilę w to wątpiła.

Postanowiła pojechać do Edynburga, by się z nim zobaczyć. I wtedy pomyślała o jego dziadku. Staremu księciu musi być bardzo ciężko. Ale jest

z nim Percy. On nie wróci teraz do Anglii, bez względu na to, jak bardzo czas będzie go naglił. Kocha Mackinnona. Kocha go tak samo, jak ja.

- Jadę do Dunford - oznajmiła następnego ranka.
- Czy mogę jechać z tobą? - zapytała Ailie.
- Nie - odparł Barra. - Jest to coś, co Bella musi zrobić sama.

Było już dobrze po północy, kiedy dwa dni później dotarła do Dunford, jednak książę nie spał, a przynajmniej tak sądziła, gdyż w jego gabinecie nadal paliło się światło.

Kiedy zaspany Robert otworzył drzwi, Annabella w pośpiechu weszła do środka, zamiatając suknią podłogę.

- Czy jego miłość jest w swoim gabinecie?
- Tak, panienko.
- Dziękuję, Robercie. Czy mógłbyś kazać wynieść moje rzeczy z powozu i zanieść je do mojego dawnego pokoju?
- Tak, panienko. - Mężczyzna obserwował, jak odchodzi. - Panienko? Zatrzymała się i popatrzyła na niego.
- Tak?

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Dobrze, że panienka wróciła. Stary książę jest załamany. Może panience uda się go jakoś pocieszyć.
- Postaram się, Robercie - odparła. - Po to właśnie przyjechałam.

Ruszyła pośpiesznie do gabinetu księcia i delikatnie zapukała. Nikt nie odpowiedział, więc Annabella otworzyła drzwi i weszła do środka. Mackinnon siedział w fotelu za biurkiem z głową na piersiach. Podchodząc bliżej, zauważyła, że w dłoni trzyma pióro. Przyjrawszy się jeszcze uważniej dojrzała, że pisał list do swego prawnika w Edynburgu. W jej oczach zakręciły się łzy. Wyciągnęła dłoń i wyjęła z jego palców pióro.

Książę sapnął i zmienił pozycję, jednocześnie powoli otwierając oczy.

- Przyjechałaś - szepnął. - Wiedziałem, że to zrobisz.

W Szkocji na dobre zagościła zima. Boże Narodzenie nadeszło i minęło. Ale nawet niesprzyjająca pogoda nie mogła im przeszkodzić. Percy i Mackinnon regularnie jeździli do Edynburga na rozmowy z prawnikiem. Zatrudniali detektywów i za każdym razem wracali bez wielkiej nadziei. Annabella zostawała wtedy w Dunford na prośbę Rossa. Napisał o tym do dziadka.

Nie przywoźcie jej do Edynburga. Ze mną jest niewesoło. Nie chcę, by musiała cierpieć, oglądając mnie w takim stanie. Powiedz jej. Powiedz, by za-

pamiętała mnie takim, jakim byłem tego dnia, kiedy szedłem na polowanie. Ona będzie wiedziała, o co mi chodzi.

Nastał marzec, tak wietrzny i burzliwy, jakby sama Matka Natura wpadła we wściekłość. Nie wiadomo, czy to z powodu kapryśnej pogody, czy też nie mogąc znieść dłuższej rozłąki z Rossem, Annabella postanowiła towarzyszyć księciu i Percy'emu w ich następnej wyprawie do Edynburga. Nie mogła pozwolić mu odejść, nie widząc się z nim po raz ostatni.

Cztery dni po podjęciu decyzji znalazła się w Edynburgu.

Dopiero po dwóch dniach pozwolono jej zobaczyć się z Rossem i długie, nerwowe czekanie wreszcie się skończyło. Czekająca teraz na niego w czarnej sukni z tafty, jako że nadal była w żałobie po Gavinie, jednak na ramiona narzuciła szal w kratę, która była symbolem klanu Mackinnonów.

Zaledwie godzinę wcześniej opuściła kancelarię prawnika księcia, lorda Braxtona. Spędzili tam większą część ranka, dyskutując o jego wcześniejszym spotkaniu z adwokatem. Sprawa Rossa będzie rozpatrywana w Sądzie Najwyższym, wyrok będzie ostateczny i odwołanie się od niego nie będzie możliwe. Słowa prawnika nadal rozbrzmiewały w jej głowie.

A teraz była tutaj, gdzie trzymają Rossa. Czekająca. Pomieszczenie było małe, ciasne i duszne. Podeszła do okna, by je otworzyć, i wtedy dostrzegła kraty. Nie mogła znieść myśli, że Ross ogląda je każdego dnia i każdej nocy. Pośpiesznie odwróciła się od okna. Piętnastu przysięgłych zadecyduje o jego winie bądź niewinności. Piętnastu ludzi, którzy są w stanie zwykłą większością postanowić, czy Ross ma żyć czy umrzeć.

Drzwi otworzyły się i wprowadzono go do środka. Jedynymi meblami w tym niewielkim pomieszczeniu był mały stół i dwa krzesła.

- Piętnaście minut - oświadczył strażnik, po czym wyszedł, zamykając za sobą ciężkie drzwi.

Wyglądał tak samo, ale był wyraźnie wyczerpany. Szczuplejszy, bledszy i tak bardzo zmęczony. Jego twarz wyżłobiły bruzdy po nieskończonej ilości łez. Jednak błysk i duch walki nadal były obecne w oczach ukochanego mężczyzny, tak jak to zapamiętała. Zamiast ulubionych skórzanych spodni i niebieskiej koszuli miał na sobie szare, więzienne ubranie.

W chwili gdy wszedł do środka natychmiast zobaczyła, jak tłumi w sobie uczucia. Kochał ją, jednak wiedziała, że zrobi wszystko, by nie dać tego po sobie poznać.

Popatrzył na szal Mackinnonów udrapowany na jej ramionach. Na jego twarzy pojawił się tęskny uśmiech.

- Kiedyś nie założyłabyś tego szala - rzekł miękko.
- Uśmiechnęła się do niego.
- A ciebie nie obchodziłoby, czy to zrobiłam, czy też nie.
- Jego twarz sposepniała.
- Nie chciałem, byś oglądała mnie w takim stanie. Byłoby łatwiej dla cie... dla nas, gdybyś nie przyjechała. To niezbyt mądra decyzja. Gdybyś to przemyślała, nie przyjechałabyś.
- Powiedziałeś mi kiedyś, że człowiek, który wszystko planuje i dokładnie rozważa, ma bardzo mało cennych wspomnień.
 - Wspomnienia, tak? Czy po nie właśnie przyjechałaś?
 - Och, Ross - rzekła Annabella, podchodząc do niego szybko i obejmując go w pasie. - Przyjechałam tutaj dlatego, że cię kocham. Wiesz przecież o tym.
- Przycisnęła twarz do jego piersi i zamknęła oczy, udając przez chwilę, że jest szczęśliwa, i że wszystko inne jest jedynie złym snem. Pragnęła, by chwila ta trwała wiecznie.
- Kochana Annabelle, nie jestem czysty. Zostawisz mi swój słodki zapach, a zabierzesz ze sobą mój smród - wyszeptał.
 - No i co z tego? Nie obchodzi mnie nic poza tym, że jestem teraz z tobą. Musiałam cię zobaczyć. Chciałam się przekonać, czy rzeczywiście jesteś mi tak drogi, jak pamięć o tobie. Chciałam tak wiele ci powiedzieć. Tyle że teraz... Teraz, kiedy już jestem z tobą, wszystkie te słowa uleciały z mojej pamięci. - Poczwała w oczach piekące łzy.
 - Wiem - odparł, całując jej włosy. - Wiem.
- Ross nie powiedział niczego więcej. Przez chwilę był szczęśliwy, że może ją trzymać w ramionach, by mogła się wypłakać za nich oboje. Jedyne pocieszenie, jakie mógł jej ofiarować, to kołysanie w ramionach niczym najcenniejszy skarb w jego życiu.
- Kiedy szloch przekształcił się w urywany płacz, Ross uniósł jej podbródek, po czym, jakby to była najbardziej naturalna rzecz pod słońcem, delikatnie ją pocałował. To nie był pocałunek pełen namiętności, taki, którym można było nakarmić głód. To był zwykły pocałunek, pełen współczucia, zrozumienia i miłości.
- Nie zabiłem Gavina - rzekł po chwili.
 - Wiem - odpowiedziała powoli Annabella. Przyglądała się jego twarzy.
- Och, Ross. Dlaczego to powiedziałeś? Dlaczego w ogóle pomyślałeś, że musisz mi to mówić? Nie wierzyłeś, że ja o tym wiem?
- Nie chciałem, byś się zastanawiała całymi latami po tym, jak... Chciałem tylko, byś usłyszała to ode mnie.

Objęła go i mocno przytuliła, czując jednocześnie, że Ross cofa się i sztywnieje, tak jakby jej uścisk sprawił mu ból.

- Dlaczego drgnąłeś? Boli cię coś? Jesteś ranny?

- Mam tylko trochę sińców na żebrach - odparł szybko. - Nic, czym warto się przejmować.

- Jak to się stało?

Westchnął i odwrócił wzrok.

- Bija cię tutaj, prawda?

- To było tylko małe nieporozumienie.

- Związane z czym?

- Podpisaniem przeze mnie przyznania się do winy.

- Och, Ross... - urwała i wyciągnęła dłoń, delikatnie dotykając jego żeber. - Z tej strony?

- Tak.

- Pozwól mi to obejrzeć.

- Ale to naprawdę nic takiego. Tylko kilka siniaków.

- Pozwól, że sama to stwierdzę, ty mały dzieciaku.

Ile troski było w jej głosie. I dumy. Nie kuliła się ani nie płakała, nie załamywała ręk i nie robiła żadnej z tych rzeczy, jakiej się można było spodziewać po chowanej pod kloszem angielskiej damie. Szkocja ją zmieniła i teraz Annabella była jego wymarzoną dziewczyną. Z ukłuciem żalu Ross przypomniał sobie, gdzie jest i co to dla nich oznacza.

Jego dziewczyna.

Ale szczęście przyszło zbyt późno. I odeszło, zanim mogło w pełni się rozwinąć.

Annabella ujęła jego dłoń i poprowadziła do stołu, po czym wysunęła spod niego jedno krzesło. Opadł na nie z wyraźną ulgą. Zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli szybkimi, pewnymi ruchami.

- Och, Ross -jęknęła na widok atramentowych sińców, które pokrywały jego żebra. Dotknęła ich delikatnie. - Myślisz, że są połamane?

- Najwyżej pęknięte. Ale to naprawdę nie ma znaczenia. Prawie na to nie zwracam uwagi, skoro i tak tylko siedzę w celi i... Mój Boże, Annabelle... kochanie... mój Boże!

Kłęcząca przy nim i całowała sińce z delikatnością i czułością. Jej dotyk, jej pocałunki doprowadzały go do szaleństwa. Pragnął jej. Tutaj. Teraz. Na tej twardej, drewnianej podłodze. Pragnął jej tutaj, ponieważ wiedział, że nie zostało mu dużo czasu, by zrobić to gdziekolwiek indziej.

Przytłoczył go ciężar własnej przyszłości. Odepchnął Annabelle, mając zamiar kazać jej wstać, jednak zamiast tego przytulił ją znowu. Odnalazłszy

jej usta, przykrył je dzikim, głodnym pocałunkiem. Gdyby nawet miał ją całować w ten sposób przez resztę swego życia, i tak nie miałby dość. Jego uczucie nie znało barier. Oprócz tych, oczywiście, które ich rozdzielały z powodu zbrodni, której nie popełnił.

Co robisz, człowieku? Sprawiasz tylko, że wszystko jest dla niej jeszcze trudniejsze. Nie dawaj jej fałszywej nadziei. Nie dawaj jej czegoś, czego sam nie masz.

Oderwał się od Annabelli i odepchnął od siebie. Przyjrzał jej się uważnie, starając się zapamiętać każdy, najmniejszy nawet szczegół.

- Musisz już iść, Bello - rzekł cicho. - Obiecuj mi tylko, że nie wrócisz tutaj. Obiecuj, że zapamiętasz mnie takiego, jaki byłem kiedyś. Nie takiego, jakim mnie widzisz teraz.

- Nie mów tak, Ross. Proszę. Chcę być tutaj z tobą - odparła. - Nie chcę, byś musiał przechodzić przez to wszystko sam.

- Nie będę sam - zapewnił ją. - Mam zbyt wiele wspomnień, bym pozostał sam.

- Nie mogę znieść myśli, że cię nie zobaczę, że nie będę z tobą, kiedy ty mnie tak bardzo potrzebujesz.

- Nie potrzebuję ciebie tutaj. Chcę, byś zapomniiała o mnie, byś uczyniła to zaraz po wyjściu stąd. Chcę, żebyś pozostawiła przeszłość za sobą i zamiast tego patrzyła w przyszłość. Zostałaś stworzona, by być kochaną, Bello. Znajdź kogoś, kto będzie cię kochał. Znajdź kogoś, kto będzie cię kochał tak bardzo, że będziesz w stanie zapomnieć o mnie. - Ross wiedział, że ona ma zamiar zaprotestować, zaprzeczyć. - A teraz odejdź już. Odejdź i zostaw za sobą przeszłość i wspomnienia o mnie. Zapomnij o mnie, Annabelle. Wyjdź stąd i nie odwracaj się za siebie.

- Czy pocałujesz mnie zanim odejdę?

- Nie mogę - odparł cicho i odwrócił się. - Strażnik! - zawołał, waląc w ciężkie drzwi. - Otwórz te drzwi. Pani jest już gotowa, by wyjść.

Wyszła, nie oglądając się za siebie.

Dopiero wtedy dotarło do niej, że właśnie go straciła. Dopiero wtedy była w stanie rozpaczliwie szlochać.

Dawna Annabella posłuchałaby Rossa. Dawna Annabella powróciłaby do swego życia i przez jakiś czas rozpaczała nad utratą ukochanego.

Dawna Annabella tak właśnie by zrobiła.

Ale nie nowa. Nowa Annabella nie miała zamiaru o nim zapomnieć, ani szukać mężczyzny, który by jej w tym pomógł. Nie zamierzała się poddać,

dopóki będzie się w niej tliło życie. Warto było walczyć o Rossa. Postanowiła trzymać się nadziei i nie poddawać się.

Tydzień przed procesem do Dunford przybył kolejny list od Rossa. Tym razem był bardzo krótki i przypominał jej, by do niego nie przyjeżdżała. *Ła-
twiej mi będzie, jeżeli się tutaj nie pojawisz.*

Następny ranek był przejmująco zimny i deszczowy. Percy i Mackinnon wyruszyli do Edynburga, a Annabella wciąż się zastanawiała, czy to nie jest zły omen. Stojąc przy oknie w swoim pokoju patrzyła, jak powóz coraz bardziej się oddala. Chciała chwycić pelerynę i pobiec za nimi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Wiedziała, że Ross został uznany za winnego w chwili, gdy otworzyła drzwi i zobaczyła twarz jego dziadka. Nigdy nie widziała, by w ciągu zaledwie kilku dni ktoś tak bardzo się postarzał. Wydawał się starszy o dziesięć lat od mężczyzny, którego poznała przed rokiem.

Percy pomógł mu wejść do środka.

- Źle, prawda? - zapytała Anglika.

- Tak. Tak źle, jak to tylko możliwe. Uznali go za winnego - odparł Percy.

- Powiesz go?

- Za dwa tygodnie.

Najpierw Gavin, a teraz Ross. To nie może się jej przytrafić. Nie znowu. Nie po raz drugi. Nie może stracić kolejnej, tak bliskiej jej sercu osoby. Annabella pragnęła krzyknąć i rzucać przedmiotami, pragnęła wybiec stąd i biec, dopóki nie pochłonie jej wrzosowisko i nie przyniesie końca jej nieszczęściu. Ale spojrzała na starego księcia i wiedziała, że nie może się załamać.

- Nie poddałem się jeszcze - oświadczył Mackinnon. - Pomóż mi wejść na górę, Percy. - Po czym zwrócił się do Annabelli: - Jestem zbyt zmęczony po podróży, by jasno dzisiaj myśleć, dziewczyno, ale jutro ja i ty bierzemy się do pracy. - Ucisnął jej ramię. - Nie trap się. Uwolnimy naszego chłopaka. Uwolnimy go, choćbym miał zaprzedać duszę diabłu.

Po jakimś czasie Percy zszedł na dół. Wspólnie wypili w bibliotece po szklaneczce drambuie. Dziewczyna przez dwie godziny słuchała, a Anglik opowiadał jej o procesie.

- Czy Huntly tam był? Zeznawał?

- Tak, krótko. - Percy przerwał na chwilę, wyraźnie pogrążony w myślach. - Coś wydało mi się w tym wszystkim dziwne.

- Co?

- Przez chwilę rozmawiałem z Huntlym. Powiedział mi, że pojechał do Anglii i rozmawiał z twoim ojcem. Nadal planuje się z tobą ożenić, oczywiście gdy minie już okres żałoby. Powiedział, że okoliczności śmierci twego brata są niesprzyjające, ale stanowią tylko tymczasową przeszkodę.

- Wiem - odparła Annabella. - Ojciec mi o tym napisał. - Popatrzyła na kominiek. - Nie wyjdę za niego. Wolałabym już być martwa jak Gavin niż zostać jego żoną. Jednak nie chcę teraz o tym myśleć. Potrzebuję całej mojej siły i rozumu dla księcia i dla Rossa. Na razie jestem bezpieczna, przynajmniej dopóki trwa żałoba.

- Jeśli wyjdiesz za Huntly'ego, twoja żałoba może trwać wiecznie - stwierdzi Anglik.

- Wiem także i o tym - odparła miękko. - Percy, jak sądzisz, dlaczego on ma taką obsesję na punkcie tego małżeństwa?

- Mówi się, ale pamiętaj, to tylko pogłoski, że Huntly skandalicznie zarządzał swoją ziemią i majątkiem od kiedy odziedziczył fortunę i tytuł. Słyszałem z kilku pewnych źródeł, że roztrwonił także majątek swojej pierwszej żony. Jeżeli to prawda, to mamy powód, dla którego tak bardzo mu zależy na ożenku z posażną panną.

- Mój ojciec nic o tym nie wiedział. Jestem tego pewna.

- W takim razie powiedz mu.

- Zrobię to, ale i tak niczego nie wskóram. Ojciec jest dumnym, upartym człowiekiem, człowiekiem honoru i nie cofa raz danego słowa. Nie zrobiłby tego także dla mnie. - Potrząsnęła głową i westchnęła. - Co powinnam zrobić?

Percy wstał.

- Nie chciałbym teraz odpowiadać ci na to pytanie. Obawiam się, że nie jestem w stanie zbyt jasno myśleć. Jestem zmordowany jak kogut po wyjątkowo długiej i ciężkiej walce. - Ruszył w kierunku drzwi, jednak zatrzymał się przy skórzanej teczce, która stała na biurku Mackinnona. Położył na niej rękę. - Tu są zapiski całego procesu, jeżeli masz ochotę je przejrzeć. Mackinnon zatrudnił skrybów, by wszystko zapisywali.

Annabella zabrała stos papierzyśk do swego pokoju i ślęczała nad nimi przez całą noc. Około wpół do siódmej przeczytała coś, co wydało jej się znaczące, jednak nie wiedziała dlaczego. Cofnęła się i przeczytała to zdanie jeszcze raz. *Zmarły został ugodzony nożem w górną ćwiartkę pleców, w okolicy prawej łopatki.* Potrząsnęła głową, nie rozumiejąc, dlaczego to zdanie poruszyło coś w jej pamięci. Była zbyt zmęczona, by się teraz nad tym zastanawiać. Jutro przeczyta to jeszcze raz i wtedy o tym pomyśli.

Wróciła do tego nazajutrz, jednak w tych słowach nie doszukała się niczego szczególnego, więc kontynuowała czytanie. Kiedy skończyła, zjadła obiad z Percym i księciem. Po posiłku spotkali się w bibliotece i wspólnie zaczęli się przekopywać przez raporty z procesu. Czytali je raz po raz, za każdym razem nie znajdując żadnego punktu zaczepienia.

Po jakimś czasie Annabella uświadomiła sobie, że jej myśli tak były zajęte poszukiwaniem sposobu uwolnienia Rossa, że udało jej się jakoś przeboleć śmierć Gavina. Miała wreszcie po co codziennie rano wstawać z łóżka. Wciąż cierpiała po śmierci brata i myślała o nim przynajmniej raz dziennie. Ale umiała także spojrzeć na to z odpowiedniej perspektywy. Gavin nie żyje i nic nie może tego zmienić. Jego śmierć mogła zniszczyć także ją, albo dać siłę, by iść dalej. Wybrała to drugie.

Myśli o Rossie przynosiły tylko ból, jednak nawet on nie był jej w stanie powstrzymać. Pozostały jej już jedynie wspomnienia. Wiele razy Annabella wpatrywała się w przestrzeń i na nowo przeżywała spędzone z nim chwile. Zaciskała wtedy pięści z wściekłością i wszechogarniającym poczuciem bezsilności.

Najgorsze były noce. Wtedy tęskniła za nim najbardziej. Często budziła się zlaną zimnym potem. Przeraziłwie szlochała, dopóki nie zabrakło jej tchu i tak czekała na nadejście świtu.

Tydzień przed dniem, kiedy Ross miał zostać powieszony, Annabella poszła z Mackinnonem na przechadzkę, tak jak tamtego dnia przed prawie rokiem. Spacerowali przez dwie godziny, po czym wrócili do Dunford.

Widząc, jak bardzo stary książę jest zmęczony, dziewczyna udała się razem z nim do biblioteki i poprosiła Roberta, by rozpałił ogień w kominku. Rozmawiali potem na temat rychłego powieszenia Rossa i oboje uznali, że nie pojedą wtedy do Edynburga.

- To dziwne - rzekł Mackinnon - że przezywam ich wszystkich po kolei: moje dzieci, a nawet wnuki.

- Proszę się jeszcze nie poddawać - zaprotestowała Annabella. - Pamiętaj pan, co mi powiedział? Musimy zachować wiarę i modlić się.

- Wystarczająco się już namodliłem, dziewczyno. Jeżeli Bóg nie zechce mi oddać mojego chłopaka, to mam nadzieję, że obdaruje mnie siłą, bym umiał żyć z jego stratą. - Potrząsnął siwą głową. - Wiesz, sądzę, że Ross wiedział, że nie wyjdzie z tego wszystkiego żywy. Pamiętam dzień, kiedy Percy i ja po raz ostatni pojechaliśmy do niego. Wcześniej stoczył w więzieniu kolejną walkę. Miał obandażowaną prawą rękę. Kiedy zapytałem go o to, roześmiał się i odparł, że w tym, iż go powieszą, jest chociaż jeden jasny

punkt: murowane, że ta ręka nie będzie go już dłużej bolała. Kazał mi się o siebie nie martwić. Po wyjściu odwróciłem się jeszcze i zobaczyłem, że obserwuje nas z okna, uśmiechając się do nas zza krat. Uniósł tę rękę i pomachał. Słońce odbijało się w bandażu, tak jakby to było lustro...

- Mój Boże! - Annabella zerwała się na równe nogi. - O mój Boże! - Po jej twarzy spływały łzy. Otworzyła szeroko ramiona, spojrzała ku niebu i uklęknęła. - Och, kochany, dobry Boże! Dzięki ci! Dzięki!

Wstała i odwróciła się do Mackinnona.

- Modlitwa wszystko potrafi zmienić. Naprawdę! Naprawdę! - Ujęła w obie dłonie twarz staruszka i ucałowała ją. - To pan to zrobił! Pan! Jest pan wspaniałym, cudownym, pięknym człowiekiem. To pan to sprawił! Z pomocą Boga, ale to pan sprawił!

- Co się tutaj dzieje? - zapytał Percy, wbiegając do biblioteki. - Dobrze się czujecie?

- Ja tak - odparł Mackinnon. - Jednak nie sądzę, bym mógł powiedzieć to samo o niej.

Kiedy Annabella nieco się uspokoiła, podbiegła do biurka i zaczęła przepokonywać się przez dokumenty procesowe.

- Proszę - rzekła. - Posłuchajcie tego. *Zmarły został ugodzony nożem w górną ćwiartkę pleców, w pobliżu prawej łopatki.*

- Już to wszystko czytaliśmy, Annabelle - odparł spokojnie Percy. - I podczas procesu także odczytano to na głos.

- Wiem o tym. Ale tak naprawdę nie zrozumiałam tego aż do teraz. - Popatrzyła na Mackinnona. - Dopóki nie wspomniał pan o bandażu. Rozumiecie? Powiedział pan, że błyszczał niczym lustro, i tak właśnie się odbiło w mojej głowie. Miałam przed oczami obraz machającego Rossa... machającego prawą ręką. Prawą ręką - powtórzyła dobitnie. - Czy rozumiecie, o co mi chodzi?

Księżę popatrzył na Percy'ego. Jak na komendę potrząsnęli głowami.

- Nie szkodzi, wystarczy, że na razie ja to rozumiem. Uwierzcie mi po prostu, że nie wspomniał pan o tym, wasza miłość, przez przypadek. To była boska interwencja. - Urwała i popatrzyła na nich.

- Kontynuuj - rzekł Mackinnon, a Bella gotowa była przysiąc, że zaczął młodnieć.

- Gavin został ugodzony nożem w okolicy prawej łopatki. Ross jest praworęczny. - Podeszła do Percy'ego i odwróciła go do siebie plecami. - Gavin został ugodzony tutaj - rzekła pokazując górną ćwiartkę pleców Anglika. Zaciśnęła prawą dłoń w pięść i uderzyła go w plecy. - Jeżeli osoba prawo-

ręczna zachodzi ofiarę od tyłu i bierze zamach, to gdzie godzi nożem? Tutaj? - Ponownie uderzyła Percy'ego. Jej ramię wykonało naturalny łuk i pięść wyśladowała nie po prawej stronie pleców, ale po lewej.

- Po lewej stronie - odparł Mackinnon, a w jego oczach płonęło życie.

- A jaki byłby wtedy kąt nachylenia noża?

- Chyba trochę w dół i lekko na lewo - stwierdził książę.

- Dokładnie. Zbliżałby się do lewej łopatki, podczas gdy osoba leworęczna - Annabella ścisnęła w pięść lewą dłoń i ponownie uderzyła Percy'ego - ugodziłaby w zupełnie innym miejscu, bardziej po prawej stronie.

- Być może masz rację. Nóż byłby po prawej stronie. Ale nie sądzę, by był to wystarczający dowód - rzekł z powątpiewaniem Mackinnon.

- Jest wystarczający. Wiem, że jest... I co więcej, mamy jedynie to. Nie jestem ekspertem, ale z tego, co jest napisane, można wywnioskować, że Gavina zabiła osoba leworęczna.

Podawała kartkę Percy'emu. Przeczytał kilka zdań i unióśł głowę, a na jego twarzy odmalowało się nagłe zrozumienie.

- Huntly jest leworęczny - oświadczył.

- Huntly - powtórzyła Annabella.

- Jesteś tego pewny? - zapytał gorączkowo Mackinnon. - Pomyśl, człowieku, to bardzo ważne.

- Jestem pewny. Pamiętam to, ponieważ tuż przed złożeniem zeznań widziałem, jak coś pisze i podaje kartkę swemu adwokatowi. I pisał to lewą ręką. Jestem tego pewny w stu procentach.

Książę zadzwonił po Roberta.

- Każ przygotować powóz. Natychmiast wyruszamy do Edynburga - oświadczył z mocą.

- Dziś wieczorem, wasza miłość?

- Za chwilę - odparł Mackinnon.

- Ale kolacja, wasza miłość. Będzie gotowa...

- Nie mamy czasu na kolację. Każ przygotować powóz.

- Tak jest, wasza miłość.

Zanim dotarli do łodzi, nastąpiła zmiana planów.

- Pomyślałem, że jedno z nas powinno jechać do Seaforth. By udowodnić naszą tezę, że Gavina zamordowała osoba leworęczna, będziemy potrzebować doktora, który zbadał ciało twego brata - rzekł Percy.

- Pewnie masz rację - zgodził się z nim Mackinnon. - Kiedy tylko dostrzemy do Kyleakin, wynajmiemy tam jeszcze jeden powóz, który zabierze

was do Seaforth. Ja pojedę do Edynburga, spotkać się z moim prawnikiem i wprawić wszystko w ruch.

- Chcę jechać do Edynburga razem z panem - powiedziała Annabella, ale Anglik zaprotestował.

- Lepiej będzie, gdy pojedziesz ze mną. Gavin był twoim bratem. Będziesz musiała przekonać doktora, by dał nam wgląd do potrzebnych informacji.

Dopłynęli do lądu i Mackinnon pojechał w pojedynkę do Edynburga, a Percy i Annabella ruszyli na północ. Do domu doktora MacTarvera dotarli po całym dniu podróży. Doktora nie było, został akurat wezwany do chorego. Percy zostawił więc wiadomość, że wróca jutro. Noc spędzili w Seaforth.

Następnego ranka Annabella, Percy i Barra weszli do gabinetu doktora. Otoczyły ich gryzące opary formaldehydu, które przywołały tak bardzo bolesne wspomnienia śmierci Gavina. Jakaś kobieta zamiatała podłogę. Poza tym gabinet był pusty.

- Czy zastaliśmy doktora MacTarvera? - zapytał kobietę Percy.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich wycierający ręce mężczyzna.

- Lady Annabella, nieprawdaż? - Dziewczyna skinęła głową. - Słyszałem, że mnie szukacie.

- Tak - odparła. - To lord Percival, a to mój wuj Barra Mackenzie, jak pan z pewnością wie.

Doktor MacTarver wymienił z mężczyznami uściski dłoni.

- Bardzo pilnie musimy z panem porozmawiać - oświadczyła Annabella. - To sprawa życia i śmierci.

Mężczyzna uniósł pytająco białe, krzaczaste brwi i zaczął opuszczać podwinięte rękawy.

- Czy mogłabyś pójść sprzątać do drugiego pomieszczenia, Elspeth?

Kobieta wyszła, a doktor MacTarver dał im znak, by zajęli stojące naprzeciwko jego biurka krzesła.

- Co mogę dla państwa zrobić? - zapytał, gdy sam także usiadł.

Percy pochylił się do przodu.

- Kilka miesięcy temu badał pan ciało brata lady Annabelli, markiza Larimore, krótko po jego śmierci.

- Tak. Pamiętam tego biednego chłopaka. Ugodzony nożem w plecy.

- Chodzi nam o raport, który sporządził pan po oględzinach ciała.

Doktor MacTarver odchylił się w swoim fotelu.

- Obawiam się, że nie mogę udzielić państwu innych informacji poza tymi, które umieściłem w moim raporcie. Jestem człowiekiem niezwykle skrupulatnym. Kiedy piszę taki raport, staram się niczego nie pomijać.

- W żadnym wypadku tego nie kwestionujemy - zaznaczył pośpiesznie Percy. - Potrzebujemy tylko dodatkowych wyjaśnień.

- Dotyczących czego?

- Jak dokładnie były oględziny? - zapytała Annabella.

- Co ma pani na myśli, mówiąc „dokładne”?

- Czy chciał pan w nich określić przyczynę i okoliczności jego śmierci, czy też jedynie stwierdzić, że nie żyje?

- Młoda damo, musisz wiedzieć, że autopsję przeprowadza się już od czasów średniowiecznych. Wiem, czego się ode mnie wymaga. Tytuł doktora uzyskałem na uniwersytecie w Edynburgu, a studiowałem także w Wielkiej Szkole Anatomii na Winmill Street. Potrafię stwierdzić powód zgonu.

Percy popatrzył na dziewczynę.

- Lady Annabella nie miała zamiaru kwestionować pańskich umiejętności, doktorze. Po prostu coś w pana raporcie zwróciło jej uwagę. To może dowieść niewinności mężczyzny, skazanego za zabójstwo jej brata. - Wyjął z teczki plik kartek. - Podczas procesu odczytano, że śmiertelna rana, którą zadano markizowi Larrimore, mieściła się w górnej prawej ćwiartce jego pleców, w pobliżu prawej łopatki.

- Chwileczkę, znajduję tylko ten raport - rzekł doktor MacTarver. - Dopiero wtedy potwierdzą to bądź zaprzeczą. - Kilka minut później odnalazł akta i wrócił do biurka. Tyko chwilę zabrało mu znalezienie tego, czego szukał. - Tak... już mam. To prawda. Napisałem: prawa górna ćwiartka. Narysowałem nawet diagram - rzekł, odwracając akta, tak by wszyscy mogli go zobaczyć.

- Lady Annabella wnioskuje z pana raportu, że jej brat musiał zostać ugodzony nożem przez osobę leworęczną.

Doktor MacTarver zamyślił się, rozważając słowa Percy'ego. Jeszcze raz przyjrzał się rysunkowi i notatkom. Uczynił także kilka ruchów ręką, najpierw prawą, a po chwili lewą.

Czekali w napięciu na odpowiedź. Wreszcie usłyszeli:

- Zgadzam się.

Annabella zerwała się z krzesła i popatrzyła na niego ze zdziwieniem, które po chwili zastąpiła niewypowiedziana wprost radość.

- Naprawdę? Naprawdę się pan zgadza? Też pan tak twierdzi?

- Oczywiście. Teraz, gdy pani zwróciła mi na to uwagę, wydaje się to oczywiste. Osoba praworęczna ugodziłaby pani brata nie tylko w inne miejsce, ale także pod innym kątem. A wykonany przeze mnie rysunek tylko to potwierdza. - Zamknął akta i wstał. - Moja profesjonalna opinia jest taka, że pański brat został zamordowany przez osobę z wyraźną preferencją lewej ręki.

- Dzięki Bogu - odrzekła Annabella. - Nie ma pan pojęcia, co to oznacza.

- Ludzkie życie, jak sądzę.

- I nie zostało nam już dużo czasu, by je ocalić - oświadczył Percy. - Ma zostać powieszony w Edynburgu w poniedziałek.

- Na anielskie skrzydła! - zawołał doktor MacTarver. - To przecież już pojutrze. Lepiej ruszajcie w drogę. - Przez chwilę nad czymś się zastanawiał. - Podejrzewam, że będą mnie państwo chcieli ze sobą porwać?

Percy uśmiechnął się szeroko.

- Tak. I wszystko byłoby prostsze, gdyby pojechał pan z nami dobrowolnie, a nie jako nasz jeńiec. Musielibyśmy uspić pana wtedy chloroformem.

- Chloroform? Widzę, że bacznie pan śledzi postępy medycyny.

Propozycja doktora MacTarvera zdawała się być ostatnim szczęśliwym zrządzeniem losu. Podróż do Edynburga przeciągała się. Cały czas padało. Niedaleko Ft. William jeden z koni okułał i trochę potrwało, nim znaleziono innego. W pobliżu Stirling w powozie urwało się koło i dalej musieli pojechać konno. Dotarli do Edynburga w poniedziałek wcześniej rano i udali się prosto do hotelu. Zabrali stamtąd Mackinnona i pojechali do adwokata. Godzinę przed planowaną egzekucją Rossa mieli wszystkie papiery potrzebne do jego uwolnienia.

Gdy opuścili kancelarię adwokacką, Annabella rzekła:

- Nie zostało nam dużo czasu. Weźcie konie i jedźcie. Ja pojedę za wami powozem.

Przyglądała się, jak Percy i Mackinnon ruszają galopem, po czym wspięła się do powozu. Modliła się podczas całego przejazdu przez miasto.

W niewielkiej poczekalni nie było ani śladu Percy'ego ani księcia. Z niecierpliwością przemierzała pomieszczenie tam i z powrotem. Zza okna dobiegły ją odgłosy bębnow.

Nie, krzyczało wszystko w jej głowie. To się nie może dziać naprawdę. Nie mogą go powiesić. Nie mogą.

Ale najwidoczniej mogli.

Obserwowała z przerażeniem wysokiego, ciemnowłosego mężczyznę, którego kochała nad życie, jak idzie powoli przez plac w stronę szubienicy. Zaczęła krzyczeć i walić pięściami w okno, ciągnąć kraty. Robiła wszystko, by tylko powstrzymać to szaleństwo, które rozgrywało się na jej oczach. Ross był wolnym człowiekiem, wypuszczonym pod opiekę księcia, dopóki nie zostanie ustalony termin kolejnej rozprawy sądowej. Powiedział tak zarówno adwokat, jak i sędzia. Nie mogą go powiesić.

Kiedy postawił stopę na pierwszym schodku, Annabella wiedziała, że nie znieśie więcej i odwróciła się.

Ross będzie martwy, zanim ona zdąży opuścić ten budynek. Będzie tak martwy jak Gavin. Nic nie miało już znaczenia. Przyszłość rozciągała się przed jej oczami niczym długa, czarna wstęga, z Huntlym, jako strażnikiem więziennym, czekającym na jej końcu. Nic nie ocali jej teraz przed nim. Udowodnienie niewinności Rossa nie oznaczało od razu możliwość oskarżenia Huntly'ego. Nie skażą go, chyba że się przyzna, a w to nie wierzyła ani przez chwilę. Istniał tylko jeden sposób. Jeżeli spotka się z Huntlym i da mu do zrozumienia, że ma przeciwko niemu dowód, być może uzyska jego zgodę na unieważnienie kontraktu narzeczeńskiego.

Niewiele pamiętała z tego, co nastąpiło później. Był to koszmar senny, w którym grała główną rolę. Wyszła z poczekalni, zatrzymała się na chwilę, by spytać strażnika, jak długo zajmie jej podróż do miejsca niedaleko Aberdeen zwanego Stonehaven, a potem kazała woźnicy jechać właśnie tam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

- I o oczywiste, że musisz za nią jechać - oświadczył stanowczo Percy. - Jeżeli wyzna mu prawdę o śmierci Gavina, ona także może się znaleźć w niebezpieczeństwie.

Ross otworzył drewniane okiennice i wyjrzał na podwórze zajazdu, w którym się zatrzymali.

- Nic jej nie grozi tak długo, jak długo zgadza się za niego wyjść - odparł z pewnością w głosie. - Potwierdza to ta smakowita pogłoska o ruinie finansowej naszego hrabiego. Jego prawnik wkrótce będzie zmuszony do rozpoczęcia sprzedaży dóbr Huntly'ego, chyba że ten ożeni się tymczasem z Annabellą. - Ross odwrócił się od okna. - Hrabia potrzebuje jej fortuny, nawet jeżeli nie dba o nią samą.

- O święty Mateuszu! Chyba nie myślisz jej tam zostawić - odparł z oburzeniem Percy, marszcząc czoło i obserwując, jak Ross wzrusza ramionami. - Zrobisz jak zechcesz, ale ja na pewno jadę po tę dziewczynę.

- Nie rób sobie kłopotu - rzekł Mackinnon, kładąc uspokajająco dłoń na ramieniu przyjaciela. - Ten chłopak próbuje nas zbić z tropu swym szkockim sprytem. Sam chce ocalić Annabelle i być jedynym obiektem jej wdzięczności. - Księżę spojrział na wnuka. - Jeżeli strażnik ma rację i ona naprawdę pojechała do Stonehaven, będziesz potrzebował planu, by ją stamtąd wyciągnąć.

- To, że już raz zostałeś wyrwany z objęć śmierci dzisiejszego dnia, nie oznacza jeszcze, że następnym razem też ci się uda - przestrzegł Percy. - Widziałeś, jak wieszali tego drugiego biedaka. Bądź ostrożny, chłopcze, byś nie skończył ponownie w więzieniu.

- Będę uważał.

- Co zamierzasz? - chciał wiedzieć Anglik.

- Nie mam jeszcze konkretnego planu - odparł lekko Ross. - Zobaczę na czym stoję, kiedy już dotrę do Stonehaven i znajdę ten jego zamek Mercat.

- Powiem ci, co zobaczysz - rzucił Mackinnon. - Solidnie zbudowany zamek położony na cyplu, z otaczającymi go z trzech stron urwiskami, które mają więcej niż sto stóp wysokości. A pod nimi jest już tylko Morze Północne.

- W takim razie dostanę się tam w taki sam sposób, jak czyni to Huntly. Księżę potrząsnął głową.

- Sam nie wiem. Wydostać się stamtąd nie można. Dostać się do środka będzie niewiele prościej. Nie możesz ot tak sobie wejść przez główne drzwi.

Ross uśmiechnął się szeroko.

- Tak właśnie planuję zrobić - odparł. - Nawet Huntly potrzebuje do prowadzenia domu przynajmniej jednej dziewczyny.

Wiatr poruszał koronami wysokich drzew, a pośród ciemności galopowało trzech jeźdźców. Trzymali się drzew, jako że księżyc świecił tej nocy wyjątkowo jasno. Wreszcie zsunęli się ze swoich wierzchowców i przyrzekli widniejącym w oddali zarysom zamku Mercat.

- Oto jesteśmy, chłopcze - oświadczył Mackinnon. - Nie sądzisz, że powinniśmy zawrócić po szeryfa?

- Nie - odparł stanowczo Ross. - Wymyśliłem już sposób, w jaki dostanę się do zamku.

- A co ze sposobem jego opuszczenia? - chciał wiedzieć Percy.

- Będę się o to martwił wtedy, kiedy będę już miał przy sobie moją dziewczynę - odrzekł.

- A potem co?

- Gdy tylko znajdziemy się w bezpiecznym miejscu, zamierzam skrócić ten jej uroczy kark za to, że tutaj przyjechała. Nie wiem, co ona sobie, u licha, wymyśliła. Dlaczego nie zaczekała, aż mnie puszcza wolno?

- Może sądziła, że nie pozwolisz jej jechać i spotkać się z Huntlym? - zasugerował Percy.

- Bo tak właśnie, do diaska, bym zrobił - zgodził się Ross.

- A może uznała, że już za późno, że już nie żyjesz - zasugerował Mackinnon. - Trzeba przyznać, że ten drugi nieszczęśnik był do ciebie trochę podobny, zwłaszcza z daleka. Na początku nawet ja uwierzyłem, że to ty, dopóki nie zobaczyłem ciebie z Percym.

Do ich uszu dotarł z oddali jakiś hałas. Po kilku minutach odgłos trzeszczących kół i fałszywy śpiew znalazł się niepokojąco blisko. Wypełniony młodymi ludźmi wóz powoli zmierzał w ich stronę.

- Schowajcie się - zarządził Ross. - I weźcie ze sobą konie. Najeżdża moja karoca. - Widząc zaniepokojenie na twarzy dziadka, dodał: - Trochę to może potrwać. Jeżeli nie wrócę do świtu, jedźcie po szeryfa.

Kryjąc się w cieniu, Mackinnon i Percy obserwowali, jak Ross się odwraca i rusza środkiem drogi.

Po kilku minutach dogonił go wóz. Dobiegło z niego pogodne i serdeczne powitanie:

- Czyżbyś się zgubił?

- Nie - odparł ze śmiechem. - Ja nie, ale mój rumak tak.

Wywołało to salwy śmiechu.

- Czy zmierzasz do Mercat? - zadała mu pytanie dziewczyna mniej więcej szesnastoletnia.

- Tak szybko, jak poniosą mnie moje zmęczone nogi - odparł.

- W takim razie wskakuj - zaproponowała przyjaźnie. - My też tam jedziemy.

Ross wgramolił się do środka i usiadł między dwiema dziewczynami, które pociągnęły go na tył furmanki.

- Mieszkacie w Mercat? - zapytał.

- Pracujemy tam - odpowiedziała jedna z dziewcząt, całując jego ucho.

- Lord Huntly musi być cudownym pracodawcą, skoro daje swojej służbie wolny wieczór w środku tygodnia.

- Och, zazwyczaj tak się nie dzieje - odparła druga z dziewcząt. - Tyle że dzisiaj ma gościa. Kobiętę. - Roześmiała się i zaczęła śpiewać piosenkę o Leonorze, która ma rozwiązać swój gorset.

Zanim dojechali do Mercat, Ross znał już na pamięć dwie zwrotki.

Annabella stała przy ogromnym pianinie. Miała na sobie elegancką bordową suknię z aksamitu. Hrabia Huntly siedział na rogu francuskiego biurka i huśtał jedną nogą. Tuż przy nim leżały dwa spaniele. W lewej dłoni trzymał niewielki, srebrny sztylet.

Jej serce mocno waliło, jednak starała się równo oddychać i mówić pewnym siebie głosem. Huntly najwyraźniej walczył z ogarniającą go wściekłością. Pociągnął kolejny łyk wina. Dziewczyna wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie, i że nade wszystko musi zachować spokój.

Zmierzył ją wzrokiem. Była piękna. I wyglądała tak niewinnie. Świadomość, że prawdopodobnie nie jest tak czysta, jak się wydaje, jeszcze bardziej go rozsierdziła.

- Nie możesz być aż taka głupia - rzekł na pozór tylko spokojnie. - Nie chcę za pana wyjść, sir - parodiował ją kpiąco. Wstał z biurka i zbliżył się do

niej. - I jak Bóg mi świadkiem nie wyobrażam sobie dlaczego. Nie otrzymasz lepszej propozycji. Zszargałaś sobie reputację, wiesz o tym. Żaden przyzwolony mężczyzna cię nie zechce, kiedy rozejdą się wieści o tobie i Mackinnonie. Możesz wybierać: całkowity upadek albo małżeństwo ze mną.

- W takim razie wolę upadek.

Uderzył ją w twarz tak mocno, że aż się zatoczyła do tyłu. Spuchła jej dolna warga i w ustach poczuła smak krwi, jednak nie odezwała się ani słowem. Uznała, że będzie milczeć, mając nadzieję, że tak jak ojciec, hrabia będzie przez chwilę szalał, a potem się uspokoi. Nie spodziewała się, że ją uderzy, nawet jednak to nie powstrzymało jej od tego, co zamierzała.

- Twoje zachowanie w Seaforth było skandaliczne. Nawet moje dobre nazwisko może nie zatrzeć tego wrażenia.

- W takim razie proszę nie przekazywać mi pańskiego dobrego nazwiska. Na pewno nie odmówię takiej propozycji.

- Nie masz prawa się targować, moja mała, słodka flądrowo. Jesteś tylko pozostałością po Mackinnonie.

- Wolę być jego pozostałością niż pańską żoną.

Huntly z całej siły pchnął ją na pianino. Uderzyła w nie głową. Przyłożyła dłoń do piekającej pręgi na policzku, a jej spojrzenie było błyszczące i twarde. Nie rozplakała się jednak. Nie odezwała się także ani słowem.

- Więcej mnie nie prowokuj - rzekł ostrzegawczo Huntly. Miał właśnie zamiar coś dodać, kiedy Annabella wciągnęła głośno powietrze. Jej twarz była blada, a oczy rozszerzone. Huntly odwrócił się, by zobaczyć, co takiego dojrzała ta mała dziewczyna.

W drzwiach stał Ross Mackinnon, a jego oczy płonęły. Wszedł do pokoju i dziewczyna ujrzała w jego dłoni szablę.

- Ta szabla nie wisała na ścianie bez powodu. Ma ponad czterysta lat - oświadczył zuchwale Huntly. - Jest bezcenna. Po raz ostatni użyto jej podczas bitwy pod Cullogen.

- W takim razie powinna doskonale spełnić swoje zadanie. Wyjdz stąd, Annabelle - polecił Ross, starannie kontrolując głos. - Zaczekaj na mnie za drzwiami.

- Ale jak... Jak to możliwe, że tutaj jesteś? Widziałem, jak się zbliżasz do szubienicy.

- Niewiele brakowało, dziewczyno, ale to akurat nie byłem ja. Percy w porę mnie uratował.

Była bliska omdlenia, jednak wiedziała, że Ross oczekuje od niej, by trzeźwo teraz myślała. Kazał jej wyjść. Ruszyła iść w kierunku drzwi.

- Powiedziałaś już mu? - zapytał.
- Nie - odpowiedziała. - Pojawiłeś się, zanim miałam okazję to zrobić.
- Powiedzieć mi co? - chciał wiedzieć Huntly.

Ross zaczekał chwilę, aż Annabella wyjdzie.

- Że szeryf jest już w drodze, by cię aresztować za zabójstwo Gavina.

- Ty już zostałeś za to skazany i chociaż jasne jest, iż tym razem udało ci się uniknąć stryczka, wkrótce i tak cię powieszają.

- Jestem wolnym człowiekiem, Huntly. Stryczek czeka na twoją szyję, nie moją. Zaplanowałeś to wszystko całkiem zmyślnie, jednak zapomniałeś o jednym. Nie jestem leworęczny. To niedobrze. Ty piszesz lewą ręką. Powinieneś być ugodzić Gavina prawą ręką, ale to ci akurat nie przyszło do głowy.

Huntly stał przez chwilę w bezruchu na środku ogromnego salonu. Zaciśnął pięści.

- Ty draniu! Jeżeli myślisz, że mnie nabierzesz...

- To nie jest żadne nabieranie. Wkrótce potwierdzi to szeryf.

- Czemu mielibyśmy na niego czekać? - zapytał hrabia. - Przyjechałeś tutaj, by mnie zabić, prawda? W takim razie na co czekasz? Załatw to.

- Nie chciałbym odbierać sobie przyjemności, uczestniczenia w twoim procesie, Huntly. Przyjechałem tutaj tylko i wyłącznie z jednego powodu: ponieważ miałeś coś, co należy do mnie. Moją dziewczynę. A jeżeli chodzi o inne sprawy, pozostawię to Sądowi Najwyższemu. Nie zabiję cię, choć do prawdy mam na to ogromną ochotę.

Huntly rzucił się w jego kierunku i Ross uderzył go w klatkę piersiową tępą stroną szabli. Po chwili kpiąco zasalutował i odwrócił się do drzwi, przecinając po drodze sznur, który przytrzymywał wielki kandelabr. Spadł on na podłogę, a palące się świece rozsypały się po bezcennym, perskim dywanie. Dywan natychmiast stanął w płomieniach.

Podczas gdy Huntly deptał płomienie i wzywał pomocy, Ross wymknął się drzwiami i wzrokiem przeszukał korytarz. Annabella czekała pod ścianą. Zdjęła już płaszcz, a suknię zebrała między nogami i trzymała przed sobą na sposób kozacki.

- Nie śmieję się - rzekła. - Pomyślałam, że możesz wybiec w pośpiechu i że będę potrzebowała swobody ruchów, by biec razem z tobą.

- Zuch dziewczyna - odparł z uśmiechem, dochodząc do niej i pośpiesznie całując.

- Nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś. Byłam przekonana, że nie żyjesz.

- Wiem i przypomnij mi, bym obił cię za to, że tak mi uciekłaś. A teraz uciekajmy, zanim Huntly ugasi ogień.

Trzymając się za ręce, ruszyli biegiem korytarzem. Goniło ich szaleńcze wołanie Huntly'ego o pomoc. Dotarli do innego korytarza, zaglądając po drodze w pośpiechu do mijanych pokoi. Annabella krzyknęła z radości, gdy dojrzała w jednym z nich balkon. Ale kiedy już na nim stanęli, jej radość szybko minęła. Ponad jego krawędzią i zobaczyli strome urwisko.

Ludzie Huntly'ego wpadli za nimi do pokoju.

- Tam są! - zawołał jeden.

Ross zerknął na Annabelle.

- Jesteś odważna, dziewczyno?

- Owszem - odparła z błyskiem w oku. - A ty?

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, chwyciła jego dłoń i skoczyła, pociągając go za sobą.

Gdy turlali się w dół, towarzyszył im głośny śmiech Rossa Mackinnona. W dół, w dół, w dół, aż wreszcie wpadli do lodowatej wody.

PROLOG

Teksas, 1880

Stewart Mackinnon jechał konno suchą, teksańską drogą, pozostawiając za sobą tuman kurzu. Chwilę później zatrzymał się przed domem swego stryja Alexandra Mackinnona.

Odnalazł matkę na tylnej werandzie. Siedziała w wiklinowym fotelu, w dłoni trzymała wachlarz, a jej oczy wyraźnie się zamykały.

Usiadł na górnym schodku.

- Naprawdę lubię Tess Delaney - oznajmił.
- Cieszę się. To urocza dziewczyna - przyznała Annabella.
- Odkąd tu przyjechaliśmy, ja i ona staliśmy się przyjaciółmi... dobrymi przyjaciółmi.

- Tak też sądziłam. Spędzaliście ze sobą bardzo dużo czasu.
- Powiedziałem jej, że za niecały miesiąc wracamy do Szkocji.
- Dokładnie za trzy tygodnie i jeden dzień - odparła Annabella. - Te pół roku minęło tym razem wyjątkowo szybko.

- Nienawidzę myśli o wyjeździe.
- Wiem, kochanie. Ze wszystkich moich dzieci ty wydajesz się lubić Teksas najbardziej. W tym względzie bardzo przypominasz swego ojca. Kiedy nadchodzi czas odjazdu, zawsze jest mu strasznie ciężko się spakować.

- Właśnie to sobie myślałem. Że strasznie ciężko jest mi stąd wyjeżdżać. Annabella otworzyła jedno oko.
- To minie i wkrótce będziesz się cieszył, że wróciłeś do domu. Z twoim ojcem też tak zawsze jest.

Stewart wstał.

- Ja nie wracam, matko.

Otworzyła drugie oko.

- Kiedy podjąłeś tę decyzję, Stewarcie?

- Zeszłej nocy. Poprosiłem Tess, by za mnie wyszła.
- Rozumiem. Czy dała ci odpowiedź?
- Tak. Przed chwilą. Właśnie od niej wracam.

Annabella zamachnęła się na niego otwartym wachlarzem.

- I co? Nie trzymaj mnie w niepewności, Gavinie Stewarcie Mackinnon. Jesteś bardzo przystojnym chłopcem. Jestem przekonana, że się zgodziła.

Stewart uśmiechnął się.

- W dosyć okrężny sposób.
- Albo się zgadzasz, by za kogoś wyjść, albo nie. Co dokładnie powiedziała Tess?

- Że będzie dzięki temu tak szczęśliwa jak wieprz z głową w wiadrze z pomysłami.

Zanim jego matka zdążyła zareagować, Stewart ucałował jej policzek i przeskoczył przez balustradę.

- Dokąd pędzisz? - zawołała za nim.
- Odszukać ojca.

Annabella uśmiechnęła się i zaczęła ponownie wachlować. Pomyślała o Stewarcie, swoim dziecku, najmłodszym z siedmiorga.

Zamknęła oczy, myśląc o jego utracie. Z trójki dziewcząt i czwórki chłopców, stracić jednego na rzecz Teksasu to nie tak źle. Na początku sądziła, że utraci więcej.

Usłyszała, jak ktoś wchodzi po schodkach i otworzyła oczy. Stał przy niej Ross, wyglądając równie wspaniałe jak tego dnia dawno temu, kiedy uderzyła go w głowę piłką do krokiet. Uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak sztywnie wyglądał w kilcie w dniu ich ślubu, i jak dumny był z tego stary książę.

Stał tuż przy niej. Ubrany był w swoje ulubione skórzane spodnie, niebieską, batystową koszulę, poplamiony potem kapelusz i parę znoszonych butów. W jego wyglądzie nie było nic ze szkockiego księcia, ale wiedziała, że tak naprawdę jest w każdym calu przywódcą klanu Mackinnonów.

Opadł na stojący tuż obok fotel na biegunach i zdjął kapelusz, ocierając ramieniem pot z czoła.

- Stewart mówił, że rozmawiał już z tobą.
- To prawda.

Ross wyciągnął przed siebie nogi.

- Czy wiesz, co powiedziała Tess?

Annabella uśmiechnęła się.

- Powiedziała coś o byciu szczęśliwym niczym wieprz z głową w pomysłach.

- To trochę dziwna odpowiedź na propozycję małżeństwa, nie sądzisz?

- Czy ja wiem? Przypominam sobie, że ty powiedziałeś coś podobnego, kiedy zgodziłam się za ciebie wyjść.

- Czyżby?

- Powiedziałeś: „Moja kochana, nie zamieniłbym cię nawet na setkę prośnych macior”.

Na widok zaskoczenia na twarzy męża, wybuchnęła śmiechem.

Śmiech Annabelli Mackinnon rozniósł się echem wśród zielonych, lśniących liści na drzewach w sadzie i pośród krzaków pnących żółtych róż. Szleścił w błyszczących liściach rosnących w sadzie drzew. Dotarł aż do stodoły, w której zadowolona stara maciora leżała z łbem w wiadrze z pomysłami.